



Przebiegła uwodzicielska gra i sekrety miłości
w pełnym wdzięku i subtelnej zmysłowości romansie
laureatki najważniejszej nagrody gatunku: Rita Award

W pewne niezapomniane Boże Narodzenie piękna i niewinna lady
Perdita spotyka zabójczo przystojnego księcia i zakochała się
w nim bez pamięci – z wzajemnością.
Cztery lata później małżonkowie są ulubieńcami towarzystwa
i ozdobą salonów. Lecz za zamkniętymi drzwiami sypialni ogień
ich romansu przygasł. Księżę postanawia więc odzyskać
względy żony i uwieść ją raz jeszcze. W szokująco grzeszny sposób...

ELOISA JAMES jest autorką pięknych romansów z epoki regencji
nagradzanych najbardziej prestiżowymi nagrodami.

**Droga do marzeń, Poskromienie księcia, Rozkosz za rozkosz,
Księżna w desperacji** zajmują wysokie miejsca na amerykańskich
listach bestsellerów i są tłumaczona na wiele języków.

Powieści Eloisy James urzekają czarem,
upajają zmysłowością i frapują inteligentną intrygą.

ELOISA
JAMES

Rozważna i namiętna

*Książkę tę dedykuję monsignorowi Jamesowi Mahonyowi,
który uważa, że powieść romantyczna
to sposób na wyrażenie najgłębszych ludzkich uczuć.*

Prolog

Saint Germain des Près, Paryż, rok 1778

Sople lodu zwieszały się z parapetów i skrzyły niczym szkło, a świeży śnieg zamienił błotniste ulice w rzeki mleka. Spoglądając na miasto z dzwonnicy Saint Germain, Fletcher widział płomyki świec w sklepowych oknach. Choć nie czuł zapachu pieczonych gęsi, to liście i lśniące jagody ostrokrzewu nad drzwiami świadczyły, że cały Paryż napawał się już piernikiem i korzennymi przyprawami, wspaniałym winem i słodkimi ciasteczkami. Radość biła z oczu przechodniów, słysząc ją było w śmiechu dzieci. W powietrzu czuło się coś magicznego. Dzwony odezwały się najpierw w jednym kościele, a potem w następnych. Gałązki jemioly ocieniały namiętne pocałunki. Było Boże Narodzenie... Boże Narodzenie w Paryżu - pora najodpowiedniejsza, żeby rozkoszować się miłością, i miasto stworzone dla zakochanych, to połączenie działało równie upajająco, jak najmocniejsze czerwone wino.

Filozofowie od lat się spierali, czy można być w Paryżu i się nie zakochać... jeśli nie w urodziwej kobiecie, to w dzwonach, bagietkach i muśnięciu tego, co niedozwolone, tego co dotykało każdego serca - nawet należącego do nobliwej angielskiej damy. Diuk odpowiedziałby im bez chwili wahania. On stracił głowę po pierwszym spojrzeniu na Notre Dame, uległ wspaniałej kuchni po pierwszym kęsie pysznego francuskiego chleba i wreszcie - całkowicie i nieodwracalnie - zakochał się w młodej, oszałamiająco pięknej kobiecie.

Z dzwonnicy Fletch widział Ponte Neuf - most spinający oba brzegi Sekwany zmysłową krzywizną - i cały Paryż, istny las dachów i wież przysypanych śniegiem.

Gargulcom wyrosły długie srebrzyste nosy. Notre Dame unosiła się niczym królowa ponad innymi smukłymi iglicami, które wydawały się błagać Boga, by zwrócił na nie uwagę. Katedra patrzyła z góry na swoje mniejsze sąsiadki, uważając siebie za piękniejszą, świętszą i wspanialszą od innych. Boże Narodzenie - wydawała się mówić - należy do mnie.

- To absolutnie cudowne, co do siebie czujemy.

Fletch spojrział na swoją przyszlą narzeczoną, Perditę Selby. Przez krótką chwilę Notre Dame, Poppy i Boże Narodzenie niepokojąco mieszały się w jego umyśle. Zupełnie jakby katedra była bardziej zmysłowa niż kobieta i jakby kobieta była świętsza od świąt.

Uśmiechnęła się do niego. Promienie słońca rozjaśniały okoloną miękкими lokami twarz jaśniejącą jak białe złoto. Wargi miała słodkie i pełne niczym francuska śliwka.

- Nie sądzisz, że to wszystko jest zbyt cudowne, żeby mogło być prawdziwe, Fletch?

- Oczywiście, że nie! - odpowiedział pospiesznie. - Jesteś najpiękniejszą kobietą w kraju, Poppy. Jedynym cudem jest to, że się we mnie zakochałaś.

- To żaden cud - odparła Poppy, kładąc smukły palec na dołku pośrodku jego brody. - W chwili, kiedy cię ujrzałam, wiedziałam, że masz wszystkie te cechy, które chciałam znaleźć w mężu.

- To znaczy jakie? - Objął ją, nie zważając na to, że ktoś mógłby ich zobaczyć. W końcu byli w Paryżu i choć w mieście nie brakowało Anglików, zasad nie przestrzegano tak rygorystycznie jak w Londynie.

- No cóż, jesteś diukiem - powiedziała, drocząc się z nim.

- Kochasz mnie tylko za tytuł? - Pochylił się, by pocałować ją w policzek. Jej skóra była kremowa i miękka. Doprowadziło go to do ekstazy pożądania... Pożądania o francuskim zabarwieniu, takiego, które sprawiało, że chciał ją całować, wdychać jej zapach, niemalże zjeść - jakby była daniem pyszniejszym od trufli, co w jej przypadku z pewnością było prawdą.

Czegoś takiego nie czuł nigdy wcześniej. Przynajmniej zanim nie przybył do Francji. W Anglii mężczyźni widzieli w kobietach wyłącznie źródło zmysłowej przyjemności. Fletch jednak czuł, że zmienia się i dojrzewa - tak działała magia

Paryża i miłości. Pragnął czcić ciało Poppy, smakować ją i szałowywać łązy radości po tym, jak doprowadzi ją do największej rozkoszy.

- Właśnie tak - odparła Poppy ze śmiechem. - Twój tytuł jest najważniejszy. Nawet nie zwróciłam uwagi na to, jaki jesteś przystojny, na to, z jakim szacunkiem odnosisz się do kobiet, ani na to, jak pięknie tańczysz, ani... ani na ten dołeczek.

- Dołeczek? - Fletch znowu się pochylił, by ją pocałować. Nie przestawał mówić, pragnąc odwrócić jej uwagę. Poppy była najładniejszą dziewczyną na świecie, ale było piekielnie trudno nakłonić ją do pocałunku. Za każdym razem, gdy udało mu się zostać z nią sam na sam, zawsze coś przeszkadzało ją objąć i pocałować. Jeśli wszystko nadal miałoby się dziać w tym tempie, to będą musieli czekać aż do nocy poślubnej, by oddać się którejś z tych rozpustnych rzeczy, jakie nie opuszczały jego myśli.

- W twojej brodzie - powiedziała, wskazując. - To właśnie ten dołeczek ostatecznie skłonił mnie do podjęcia decyzji.

Odsunął się, nieco niezadowolony

- Nienawidzę tego dołka. Właściwie mógłbym zapuścić brodę, żeby go zakryć.

- Och, nie zrobiłbyś tego! - Westchnęła, gładząc go po twarzy. - Jest taki cudowny. Patrząc na niego, można powiedzieć, jakim jesteś człowiekiem.

- To znaczy? - zapytał, pochylając się znowu ku niej i nawet nie domyślając się, że jej odpowiedź w nadchodzących latach będzie powracać echem w jego myślach.

- Szlachetnym i uczciwym. Najlepszym, jakiego kobieta mogłaby oczekiwać, wybierając męża. Wszystkie damy tak uważają. Powinieneś posłuchać hrabiny Pelloniere. Twierdzi, że jesteś smakowity.

Fletch pomyślał, że Poppy raczej nie dostrzegła prawdziwej przyczyny podziwu hrabiny.

- Wszystkie tak mówią?

Miał jej usta na tyle blisko, że postanowił działać. Przez moment wydawało mu się, że ulegnie - słodkie, różane wargi, które przez pół nocy podsycaly w nim żar pożądania, zaczęły mięknąć. Ale kiedy próbował rozchylić je językiem...

- Faj! Co robisz?

- Całuję cię - odparł, wypuszczając ją z objęć. Pacnęła go mufką i wydawało mu się, że właśnie tak powinien postąpić.

- To obrzydliwe - powiedziała, wpatrując się w niego. - Obrzydliwe! Chyba nie sądzisz, że księżne zajmują się takimi rzeczami, prawda?

- Całowaniem? - zapytał zdezorientowany.

- Takim całowaniem. Miałam twoją... twoją ślinę w ustach! - Wyglądała na autentycznie przerażoną. - Jak mogłeś pomyśleć, że pozwolę na coś takiego? To wstrętne!

- Ależ Poppy, właśnie tak się całuje - zaprotestował, czując na plecach dreszcz zaniepokojenia. - Nigdy nie widziałas, jak ludzie całują się pod jemiolą? Zapytaj kogo chcesz.

- Jak mogłabym to zrobić? - wyszeptała gorączkowo. - Gdybym kogoś zapytała, wyjawiałabym mu twoją perwersję. A tego nigdy nie zrobię. W końcu będziesz moim mężem!

Dostrzegł w jej spojrzeniu dziwną mieszaninę uwielbienia i potępienia.

- Wiem! - wykrzyknął z ulgą. - Spytaj księżną de Beaumont. Ona dokładnie wie, o czym mówię.

Poppy zmarszczyła brwi.

- Moja matka mówi, że księżna jest najbardziej pozbawioną zasad Angielką w Paryżu. To prawda, że bardzo lubię Jemę, ale nie jestem pewna, czy...

- Opinia twojej matki na temat księżny - rzekł Fletch - czyni ją osobą najodpowiedniejszą do tego, by zadać jej właśnie takie pytanie.

- Ale Jemma nikogo nie całuje - zaprotestowała Poppy. - Matka mówi, że diuk prawie jej nie odwiedza. Ostatniego lata pojawił się dopiero, gdy skończył obradować parlament.

Spojrzała na niego z nieprawdopodobnym wyrazem niewinności w błękitnych oczach.

- Jak mogłabym ją pytać o pocałunki? To wprowadziłoby ją w smutek. Jej małżeństwo jest tak straszliwie puste, nasze zaś będzie cudowne.

Położyła dłoń na jego policzku i nagle wszystko przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie.

- Nie dbam o to, czy spytasz, czy nie - powiedział, biorąc ją znowu w objęcia. Pożądanie będzie musiało poczekać, aż się pobiorą. - Popracujemy nad tym w noc poślubną.

Był zdecydowany dać swojej ukochanej Poppy taką samą rozkosz, jaką on znajdował w jej ciele. Czytał o tym wszystkim w pewnej francuskiej książce, potykając się o nieznane słowa. I był na tyle dojrzały, by wiedzieć, że żadna gorąca noc, jaką spędził z kobietą przed przybyciem do Paryża, nie miała nic wspólnego z przyjemnością partnerki. Prawdę mówiąc, wspomnienie wyćwiczonych jęków przyprawiało go o dreszcz.

Jeśli Paryż czegokolwiek go nauczył, to właśnie tego. Mógłby się przespać choćby z samą Kleopatram, lecz jeśli zbliżenie miałyby nie sprawić jej przyjemności, on nie miał na nie ochoty. Kiedy paryżanka się uśmiechała, było to zaproszenie. I oznaczało jej przyjemność, niekoniecznie jego. Kiedy paryżanka się uśmiechała, Fletch wspomniał Cecile, która mówiła mu, że ma wargi piękne jak wiśnie. Albo Elise, która aż jęknęła, kiedy zobaczyła go nagiego... Oczywiście Cecile i Elise należały już do przeszłości, spotykał się z nimi pierwszego miesiąca w Paryżu, zanim się zakochał. Teraz serce wypełniała mu Poppy... A jego lędźwie z rozkoszą podążają za głosem serca.

Poppy, przytulając się do jego szerokiej piersi, zmarszczyła brwi. Co właściwie Fletch miał na myśli, mówiąc, że „popracują nad tym”? Zabrzmiało to, jakby ten rodzaj pocałunków miał dla niego jakieś szczególne znaczenie.

W głębi serca Poppy była bardzo praktyczną osobką. Widziała, że beztronski sposób bycia i słodkie spojrzenie przyszłego męża skrywają determinację. Fletch umiał stawiać na swoim. Wystarczyło spojrzeć na rozwiane przez wiatr włosy, by się o tym przekonać. Nawet nietknięte pudrem! Jej matka cmokała z dezaprobatą, ale Fletch nie dał się przekonać. .. A Poppy musiała przyznać, że wyglądał całkiem dobrze z kruczymi puklami opadającymi na kark.

- Zapytam Jemmę - obiecała. Pocałował ją w ucho, tak jak lubiła. Właściwie wiele rzeczy, które robił Fletch, sprawiało jej przyjemność, na przykład to, jak ją obejmował (o ile nie niszczył jej fryzury), jak całował ją w ucho, w policzki, w podbródek, a nawet w usta. Chyba że stawał się przy tym odrobinę zbyt brutalny.

Matka udzieliła jej w tym względzie bardzo stanowczych instrukcji.

- Musisz mu pozwolić, żeby musnął wargami twoje usta - mówiła. - W końcu jest diukiem. A ty będziesz księżną. Żeby zdobyć diuka, trzeba znieść pewne upokorzenia.

Wtedy Poppy roześmiała się na myśl, że wargi Fletcha przy jej ustach można uważać za upokorzenie. Czuła się tak szczęśliwa, że radość przepełniała jej duszę. Zakochała się w diuku, z czego się cieszyła jej matka. Diuk (ukochany Fletch) był zakochany w niej... z czego ona się cieszyła. Prawdę mówiąc, cały świat byłby cudowny, gdyby tylko udało jej się wymigać od tego całego całowania.

- Pozwól, żebym ci pokazał, jakie to przyjemne - prosił przymilnie Fletch. Kiedy w jego głosie pojawiał się ten głęboki ton, Poppy była gotowa zrobić wszystko, czego zechce. Choć oczywiście nigdy by się od tego nie przyznała. Mężczyźni nie mogą się dowiedzieć, jaką mają władzę, powtarzała matka. I naturalnie miała rację.

A jednak wbrew przestrogom matki posłusznie uniosła ku niemu głowę, on zaś musnął wargami jej usta.

- To jest przyjemne - powiedziała zachęcająco. - Cóż, ja...

W następnej chwili wziął ją tak gwałtownie w ramiona, że poczuła, jak gorset wbija jej się w piersi. Broszka odpięła się i spadła na kamienną podłogę.

- Fletch! - krzyknęła.

Wykorzystał to i wsunął język prosto w jej usta. Prosto! Mało tego - poruszał nim, jakby ona, Poppy, była... jakąś szafką, w której trzeba wytrzeć kurze.

- Chrrr... grr... nie! - wrzasnęła, odpychając go od siebie. Jak na drobną kobietę Poppy miała zaskakująco dużo siły.

- Ależ Poppy...

Nawet jego smutne spojrzenie nie mogło sprawić, by zmieniła zdanie na ten temat.

- Kocham cię, Fletch, wiesz o tym. - Zmrużyła oczy i czekała.

- Wiesz, że ja też bardzo cię kocham - odparł, posyłając jej przymilny uśmiech.

Nie uśmiechnęła się.

- Po prostu musisz się nauczyć, że są rzeczy, których angielska dama nie robi.

- Co masz na myśli? - Wyglądał na nieco zdezorientowanego, a Poppy poczuła przypływ dumy. Przynajmniej raz to ona wiedziała coś, czego on nie wiedział!

- Mama mówi, że damy mają inne zasady niż, powiedzmy, nasza *lavandiere* - wyjaśniła, starając się, aby w jej głosie nie zabrzmiał nawet najlżejszy ton pobłażliwości.

- To znaczy, że się nie całują? Ależ oczywiście, że damy się całują. I praczki także, nieważne, czy są Francuzkami, czy Angielkami!

- Może się i całują - powiedziała z przekonaniem - ale różne klasy w różny sposób okazują zażyłość. To oczywiste. Tak samo jak nosimy różne stroje i jemy różne potrawy. Tak jak istnieją różne narody. Wszyscy bardzo się różnimy. Moja matka mówi, że angielskie damy mają bardzo mało wspólnego z Francuzkami.

Patrzył na nią, a Poppy poczuła, że łzy napływają do jej oczu. Czy widzi w jego spojrzeniu cień rozczarowania? Tak bardzo nie lubiła rozczarowywać ludzi.

- Rozumiesz mnie, prawda? - zapytała z lekkim zaniepokojeniem w głosie.

- Przypuszczam, że tak - odparł bardzo powoli.

- Sam możesz się o tym przekonać, Fletch, jeśli porównasz naszą monarchię z francuską. Dwór angielski jest cnotliwy, na francuskim zaś aż się roi od skandali. Moja matka mówi...

- Uwierz mi, na angielskim dworze skandali jest równie dużo, jak na francuskim. Tylko oglądany z drugiego brzegu kanału wydaje się nieskazitelny. Plotki nie docierają zza wody.

Poppy zastanowiła się nad jego słowami.

- Chodzi ci o to, że w ostatnim tygodniu, kiedy tyle mówiło się o lady Serrard flirtującej z l'Anou...

- W Anglii nikt o tym nie słyszał, nawet jeśli my przez parę dni nie mówiliśmy o niczym innym. A w końcu wszystko ucichło. My nie słyszymy angielskich plotek, tak samo jak oni nigdy się nie dowiedzą o rzekomej nierozwadze lady Serrard.

- Tu masz rację - przyznała Poppy.

Uśmiechnął się do niej i oddech zamarł w jej piersi. Nie mogła się pozbyć myśli, że Fletch jest dla niej stanowczo zbyt przystojny.

Wszystkie francuskie damy wodziły za nim wzrokiem, nawet hrabina Pelloniere. Zdawał się tego nie zauważać, lecz Poppy widziała wyraźnie spojrzenia rywalek. Patrząc teraz na niego, czuła, że mogłaby się zamienić w kamień, podziwiając jego piękne oczy - czarne pośrodku, ze świetlicie szarą obwódką - smukłe ciało i wdzięk, z jakim się poruszał, nawet gdy po prostu spacerował. Pewna dama powiedziała niegdyś, wzdychając, że widzieć, jak Fletcher się kłania, znaczy oglądać szczyt gracji męskiego ciała. Jak, na Boga, ktoś tak niezrównany mógł się zakochać właśnie w niej, zwyczajnej małej Poppy?

Nie tylko ją dręczyło to pytanie. Francuskie damy spoglądały na nią i szeptały ukryte za wachlarzami. Mijały ją, gratulując sprytu, lub zwracały się do niej: *mignonne*, to niemal równało się nazwaniu jej dzieckiem.

Ostatniej nocy Fletch włożył płaszcz z czarnego aksamitu obszyty równie czarnymi błyszczącymi dżetami na bal wydawany przez księżną Orleanu. Włosy spiął w prosty ogonek na karku - zawiadacki uroczy hulaka w stroju eleganta. Francuskie damy opuszczały wachlarze, by posyłać mu uśmiechy z tym szczególnym wyrazem twarzy, jaki rezerwowały dla przystojnych mężczyzn. Patrzyła, jak odpowiada im uśmiechem, po czym kłania się przed hrabiną d'Argentau i tańczy z nią po raz drugi.

- Usiądź prosto! - warknęła do niej matka. - To ty będziesz księżną, a nie ta lalkowata arystokratka. I przestań wyglądać jak dziecko domagające się miłości. Poniżasz się, zwracając uwagę na to, jak ona mu się przymila.

- Ależ mamó - powiedziała Poppy, czując skurcz w żołądku - hrabina jest ode mnie znacznie piękniejsza. A jej strój o wiele lepiej się prezentuje.

- Jesteś ubrana tak, jak przystoi młodej damie w czasie debiutu - odpowiedziała matka, lustrując ją wzrokiem. - A jeśli twoja twarz i figura nie są szczytem regularności i piękna, to przynajmniej nikt nie może powiedzieć, że oszczędzałam na wydatkach.

To była prawda. Matka zwykle wybierała dwa marszczenia tam, gdzie mogłoby wystarczyć jedno, a często decydowała się na pięć.

Spódnice Poppy były ozdobione sznurami pereł, a staniki obszyte gronostajami.

Poppy w głębi duszy uważała, że w nieco skromniejszych strojach wyglądałaby lepiej. Była tak drobna, że z szerokim robronem, długim trenem i przesadnie wielką fryzurą czuła się trochę jak odświętnie ubrane dziecko.

Fletch przytrzymał ją lekko za brodę.

- Nie chciałem wprawić cię w zakłopotanie, Poppy. Proszę, to twoja broszka. Obawiam się, że igła jest złamana. Każę ją dla ciebie naprawić.

Jak mogła się martwić? Fletch jest przecież przy niej i należy do niej. Uśmiechnęła się.

- Dziękuję.

Fletch obejrzał broszkę.

- Jaka dziwna kamea.

- To jedyna kamea z ptakiem, jaką kiedykolwiek widziałam. Wedgewood zrobił ją na cześć królowej Charlotte.

- A w jaki sposób lecący bocian w koronie na głowie ma oddawać honor królowej?

- To głupie, prawda? Ale spójrz tutaj - wskazała palcem szczegół broszki - artysta był niezrównany. Widać każde piórko w skrzydłach.

- Ale korona sprawia, że ptak wygląda, jakby miał rogi - narzekał Fletch.

- Wiem, to rzeczywiście pewna niedoskonałość, ale i tak lubię tę broszkę. - Wsunęła mu rękę pod ramię. - Wracamy? Jest dość mroźno i nie chcę, żeby mama zaczęła się o mnie martwić.

A ponieważ wciąż sprawiał wrażenie nieobecnego, co jej się nie podobało, dodała:

- Zapytam Jemmę, na co damy się zgadzają, jeśli idzie o całowanie. Obiecuję, Fletch.

Kilka minut później wyszli przez drzwi opactwa. Wokół nich rozciągał się Paryż, śpiący w rześkim chłodzie poranka. Nagle powietrze ożyło, odzywając się dźwiękiem dzwonów, który spływał z wieży ponad nimi, odbijając się echem od ośnieżonych ścian i strzelistych iglic katedry.

- Są święta - rzekła Poppy, czując nagły przyptyw radości. - To moja ulubiona pora roku. Uwielbiam Boże Narodzenie.

- A ja uwielbiam ciebie - powiedział Fletch, zatrzymując się. - Widzisz to co ja, Poppy?

- Co takiego? - Westchnęła, zerkając na niego, a nie tam, gdzie wskazywał.

- Jemioła - odparł, obejmując ją. - Jemioła wisi nad nami.

Poppy zamknęła oczy i uniosła ku niemu twarz. To był idealny pocałunek - słodki, krótki i pełen miłości. Potem ruszyli dalej. Poppy ostrożnie stąpała po bruku pokrytym cieniutką lśniąca warstewką lodu.

W ich stronę szła szybkim krokiem młoda kobieta z pochyloną głową i długim bochenkiem chleba pod pachą. Fletchowi wydało się, że czuje zapach gorącego świeżego pieczywa. Zanim zdał sobie z tego sprawę, zaczął wyobrażać sobie wdzięczną krzywiznę jej piersi przyciśniętą do chrupiącej skórki...

Odpędził od siebie te myśli. Kiedy on i Poppy się pobiorą, każe codziennie dostarczać świeży chleb. Będzie go łamał i jadł z jej ciała, jakby była tacą bogów.

- Uśmiechasz się tak dziwnie - odezwała się Poppy. - O czym myślisz?

- O tobie. Tylko o tobie.

Poppy uśmiechnęła się do siebie. Pewien stary paryżanin, który mijał ich, przechodząc ulicą, pomyślał, że on - jeden z największych koneserów urody na świecie - nigdy nie widział tak pięknej damy. Jej twarz i figura zdradzały szlacheckie pochodzenie, a ponieważ wychowała się głównie we Francji, postać i ubiór były pod każdym względem *a la mode*. Ale to przede wszystkim jej oczy i sposób, w jaki patrzyła na wysokiego angielskiego dżentelmena, kroczącego obok niej, sprawiały, że biła od niej ta szczególna radość, która najzwyczajszą osobę czyni piękną.

- Ach - westchnął - *l'amour*.

Cztery lata później

„MORNING POST”, 22 KWIETNIA 1783

Przez ostatnich kilka dni w towarzystwie mówiło się głównie o pojedynku, na który hrabia Gryffyn wyzwał księcia de Villiers. Wygląda na to, że hrabia skradł księciu narzeczoną. Trudno nam wypowiadać się na temat prawdziwości tych pogłosek, lecz przypomnijmy, że pojedynki zostały surowo zakazane przez miłościwie nam panującego...

Mięska rzydźneja księcia i księżniczki Bzaumont

Poranne przyjęcie dla uczczenia zwycięstwa hrabięgo Gryffyna w pojedynku

Księżna Fletcher - oznajmił kamerdyner gromki głosem. Ponieważ nie wspomniał o księciu, Poppy spojrzała za siebie... Fletch zniknął. Oddalił się gdzieś, nie troszcząc się o to, by go zaanonsowano. Ani o to, by poinformować ją o swoich zamiarach.

Czuła, że uśmiech zamiera jej na ustach. Uniosła suknię i zesłała po trzech marmurowych stopniach do sali balowej. Robron utrudniał jej przeciskanie się przez drzwi i wąskie korytarze, a w dodatku tego ranka jej francuska pokojówka przeszła samą siebie. Nad czołem Poppy piętrzyła się istna kaskada loczków, kosmyków i kokard, całość zaś zdobiły sznury małych perełek w gruszkowatym kształcie. Już samo chodzenie było wyzwaniem, zejście z kilku stopni wydawało się prawie niemożliwe.

Ale było warto. Poppy postanowiła dorównać pod względem elegancji mężowi. Fletcha i jego ubrania podziwiał cały Londyn, więc ona w żadnym wypadku nie pozwoli, żeby się za nią wstydził. Nie chciała, żeby ktokolwiek patrzył na nią z politowaniem. Nigdy.

Naturalnie Fletch w powozie nie powiedział ani słowa na temat jej stroju, chociaż musiał zauważyć, że włożyła nową suknię. Być może uważał, że złote i perłowe hafty są zbyt bogate jak na poranne spotkanie. Poppy westchnęła głęboko. Przez cztery lata małżeństwa nauczyła się przede wszystkim tego, że nie sposób odgadnąć, co myśli mężczyzna.

Zrewidowała ten wniosek. Niektóre z męskich myśli są najzupełniej oczywiste.

- Wasza Wysokość - dobiegł ją głęboki głos - czy mógłbym panią odprowadzić na drugą stronę sali balowej? Tam jest mniejszy tłok i tam spotka pani księżnę de Beaumont.

- Będę zaszczycona - odparła Poppy na pytanie gospodarza, kłaniając się na tyle nisko, by okazać szacunek jego pozycji, ale nie zburzyć równocześnie swojej fryzury. Księżę de Beaumont miał na sobie prosty surdut z ciemnozielonego aksamitu z wywinętymi mankietami w kolorze szafiowej zieleni. Oczywiście mężczyźni rzadko ubierali się tak kunsztownie jak kobiety. Lekko oparła rękę na jego ramieniu i powoli ruszyli przez salę balową, witając się ze znajomymi. - Nie sądziłam, że spotkamy się dzisiaj - powiedziała Poppy i natychmiast zdała sobie sprawę z tego, że nie było to zbyt uprzejme.

Księżę — wytrawny polityk, znany z pogardy wobec podłości i cieszący się wątpliwą sławą z powodu reputacji małżonki, Jemmy - uśmiechnął się ponuro.

- To przyjęcie niewątpliwie będzie skandalem tygodnia, ponieważ odbywa się dla uczczenia pojedynku. Mówiąc szczerze, w innym wypadku unikałbym takiego spotkania. Ale ponieważ organizuje je moja żona, w moim własnym domu, wzbudziłoby to większą sensację, gdybym się nie pojawił.

Poppy poczuła przyływ współczucia dla księcia. Był jednym z najważniejszych ludzi w Izbie Lordów, człowiekiem, którego dar przekonywania, elokwencja i władza były znane w całej Anglii. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebował, to skandal. I chociaż Poppy uwielbiała Jemmę od czasu spędzonego wspólnie w Paryżu, musiała

uczciwie przyznać, że plotkarze nie bez podstaw bez przerwy o niej szeptali. Wszystko, co robiła księżna de Beaumont, wydawało się budzić sensację. Rola jej męża nie była łatwa.

Niemal równie trudna jak rola żony Fletcha.

Przystanąła na chwilę.

- Czy jest pani zmęczona, Wasza Wysokość? - zapytał de Beaumont, również się zatrzymując. - Może chciałaby pani usiąść?

- Ależ nie - odpowiedziała, starając się odsunąć od siebie myśli o własnym małżeństwie. - Nie mogę się doczekać spotkania z Jemną. Ostatni raz widziałam się z nią, zanim wyszłam za mąż, gdy obie mieszkałyśmy w Paryżu. Zapewne jest szczęśliwa, że jej brat zwyciężył w pojedynku.

- Oczywiście, wszyscy odczuliśmy ulgę, że cała ta historia skończyła się bez rozlewu krwi - stwierdził de Beaumont. Starał się, by zabrzmiało to obojętnie, lecz jego głos zdradzał, jak dalece nie podobał mu się pomysł świętowania z okazji udziału szwagra w sprzecznym z prawem pojedynku. - A oto i księżna.

Uklonił się i odszedł. Jemma wyglądała jeszcze piękniej niż przed czterema laty w Paryżu. Choć miała na sobie robron, jej suknia nie była sztywna jak strój Poppy, lecz miękka i zwiewna. I, o ile Poppy miała włosy ułożone w ciasno zwinięte, drobne loczki, włosy Jemmy układały się w miękkie pukle, tak lekko przypudrowane, że prześwitywał ich naturalny złocisty kolor. Jej uroda była jeszcze wspanialsza, a otaczająca ją zmysłowa aura, którą zapamiętała Poppy, jeszcze wyraźniejsza.

- Jemmo - wykrzyknęła Poppy - jak pięknie wyglądasz!

Jemma odwróciła się i zawołała radośnie:

- Poppy! - krzyknęła, obejmując ją. Potem się cofnęła i zmrużyła oczy. - Co się stało z tą małą mademoiselle, którą poznałam w Paryżu? Jesteś olśniewająca! Zawstydzasz nas wszystkie. Spójrz na nas, trzy księżne, a tylko ty wyglądasz stosownie do roli.

Poppy już wcześniej zdała sobie sprawę, że źle oceniła oficjalność przyjęcia. Nic dziwnego, że Fletch nie wspomniał ani słowem o jej stroju. Uśmiechnęła się przepraszająco do damy stojącej obok Jemmy.

- Przykro mi, ale nie sądzę...

- Nie miałyśmy okazji się poznać - powiedziała nieznajoma, składając lekki ukłon. - Jemma uwielbia przesadzać. Nie jestem księżną. Nazywam się Isidore del'Fino. - Lady Isidore miała na sobie wspaniałą suknię z miękkiego, różowego *crepe-de-chine*. O ile Jemma była chodzącą doskonałością, o tyle Isidore przypominała dojrzałą wiśnię - kuszącą i smakowitą. Poppy poczuła się jeszcze bardziej nieszczęśliwa.

- Isidore, to księżna Fletcher. Isidore jest niemal księżną - rzekła Jemma, ściskając czule ramię Poppy. - Zawarła małżeństwo przez pełnomocnika i właśnie czeka, aż jej książę wróci ze swoich wojaży.

- Mogłabym dodać, że czekam już dziesięć lat - wyznała Isidore, marszcząc nosek tak zabawnie, że Poppy się roześmiała. - Miło mi panią spotkać, lady Fletcher - ciągnęła Isidore - wiele słyszałam o pani działalności dobroczynnej.

- Do której się nie przyłączę - wtrąciła Jemma. - Chciałam ci to wyraźnie powiedzieć, zanim poczujesz się rozczarowana. Nie jestem ani trochę bardziej skłonna do dobroczynności niż wtedy, kiedy znałyśmy się w Paryżu. A pewnie nawet mniej.

- Czy to w ogóle możliwe? - zapytała Isidore. - Przez ostatnie trzy lata mieszkałam we Włoszech, ale wielokrotnie odwiedzałam Jemkę - wyjaśniła, widząc zdumioną minę Poppy. - I nie mogę powiedzieć, żebym kiedykolwiek widziała, jak zmusza się do zrobienia choćby jednego ściegu na cele dobroczynne.

- Cóż, nie jest chyba tak źle - odezwała się Jemma, po czym dodała: - Jak sądzę, dobroczynność wobec mężczyzn to dziedzina, w której jestem szczególnie biegła.

Wyglądała tak figlarnie, że Poppy wybuchnęła śmiechem.

- To dziwne. Tak trudno sobie wyobrazić, że jesteś zamężna, moja droga - powiedziała Jemma. - Patrząc na nią teraz, Isidore, nigdy byś w to nie uwierzyła, ale Poppy była najśłodszym małym stworzonkiem, jakie widziałam. Chodziła po francuskim dworze z oczami okrągłymi jak... jak śliwki.

- I dlatego wszyscy się ze mnie śmiali - rzekła Poppy do Isidore, otwierając wachlarz - Nie znaczy to jednak, że byłam naiwna, raczej po prostu oszołomiona z zaskoczenia.

- Nikt się nie śmiał! - zawołała oburzona Jemma. - Byli zbyt sparaliżowani przez zazdrość, żeby się śmiać. Widzisz - zwróciła się do Isidore - Poppy pojawiła się w Paryżu z matką i w ciągu tygodnia... Ba! W ciągu godziny złowiła najbardziej pożądanego kawalera w mieście, księcia Fletchera.

- Widziałam go - powiedziała Isidore, posyłając uśmiech Poppy. - W Italii nazywamy takich mężczyzn *bellissimo*.

Poppy uśmiechnęła się sztywno. Ileż komplementów na temat urody swojego męża może wysłuchać kobieta? W takich sytuacjach Poppy czuła się jak harpia, której udało się usidlić ofiarę.

- Poppy wyrwała Fletcha wprost z objęć francuskiego dworu. Sądzę, że księżna de Guise jeszcze ci nie wybaczyła. Do dzisiaj narzeka na nieopierzone angielskie smarkule.

- Zakochałaś się od pierwszego wejrzenia? - zapytała Isidore. - Ja też bym tak chciała, ale nigdy mi się to nie przydarzyło. Być może mogłabym się zakochać w twoim mężu. Chociaż - dodała - nie chciałabym, żebyś pomyślała, że będę się teraz za nim oglądać.

- Nie bądź głuptasem, Isidore - wtrąciła się Jemma. - Poppy ma Fletcha u swoich stóp. Nie musi się martwić o wdzięki. Widzisz - zwróciła się do Poppy - Isidore jest w dość dziwnej sytuacji...

- Rzeczywiście, oficjalnie zamężna, chociaż nie widziałam męża od czasu zaręczyn - przerwała jej Isidore.

- A to znaczy, że wzbudza niepokój w mężatkach.

- Nie mogę nawet rozmawiać z żonatym mężczyzną - poskarżyła się Isidore.

- Oczywiście możesz rozmawiać z moim, jeśli chcesz - zaproponowała Poppy.

- Otóż to! Mówiłam ci, Isidore. Wy dwie na pewno się zaprzyjaźnicie. Fletch jest beznadziejnie zakochany, więc Poppy nie będzie miała nic przeciwko temu, nawet gdybyś z nim poflirtowała. Isidore - Jemma zwróciła się do Poppy - ma niepokojący zwyczaj rozkochiwania w sobie dżentelmenów, choć mogę cię zapewnić, że jedynie z nimi rozmawia. Nic więcej.

- Obiecuję nie flirtować z twoim księciem - oznajmiła Isidore, posyłając Poppy olśniewający uśmiech. - I na pewno zostaniemy przyjaciółkami. Muszę wyznać, że

książę Fletcher jest dla mnie niemal *troppo elegante*. Gustuję raczej w mężczyznach prostszego stanu.

- Wiem, co masz na myśli - powiedziała Poppy. - Piraci!

- Wszyscy kochają piratów - skomentowała ponuro Jemma. - Czasami wręcz żałuję, że jestem żoną polityka.

- W angielskim towarzystwie nie ma piratów - zauważyła Isidore. - Ale oddałabym się mężczyźnie nawet bez pirackich skłonności, gdyby adorował mnie tak jak książę Fletcher panią, Wasza Wysokość.

- Proszę, mów mi Poppy - rzekła, po czym dodała, rozpaczliwie próbując zmienić temat rozmowy - jestem pewna, że twój mąż będzie cię adorował.

- O ile w ogóle mnie pozna - powiedziała Isidore z lekkim chichotem.

2

„MORNING POST" (CIAĞ DALSZY)

Trudno nam się wypowiadać na temat prawdziwości tych doniesień, lecz nie sposób się nie zastanawiać, czy książę de Beaumont nie będzie następnym, który wyzwie de Villiersa. Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę pogłoski, jakoby księżna, która niedawno wróciła z Paryża, spotykała się ze wspomnianym księciem na prywatnych partiach szachów...

Rochanka, oto czego potrzebujesz. Na miłość boską, człowieku, spróchniejesz i rozpadniesz się w pył. Wypuścisz korzonki, jeśli nie będziesz się pilnował.

Fletch skrzywił się kpiąco.

- Coś ci powiem. Jeśli wyrosną mi piersi, pozwolę ci popatrzeć, żebyś się w końcu dowiedział, jak wygląda kobiecy biust.

Frederick August Gili, przyszły hrabia Glasse, odpowiedział żartobliwym przekleństwem, po czym obaj oparli się o ścianę i obserwowali tłum naprzeciwko. W pokoju kłębili się utytułowani dżentelmeni, przekrzykujący się uwagami na temat zwycięstwa hrabiego Gryffyna w pojedynku z księciem de Villiers.

- Pięć minut! - Fletch usłyszał, jak jakiś człowiek o czerwonej twarzy woła do innego. - Tak się to robi!

Gili wzruszył ramionami i pociągnął łyk brandy.

- Widziałeś chwilę, kiedy Villiers wyprowadził *pass in tierce*? Myślałem, że Gryffyn już nie żyje.

- Gryffyn miał Villiersa od samego początku - stwierdził Fletch. - Musiał tylko zdecydować, w którym momencie pokona księcia.

- Mówią, że Villiers stracił mnóstwo krwi, zanim chirurg go pozszywał.

- Nic mu nie będzie. To było czyste cięcie w ramię.

- Gryffyn to szczęściarz - rozmarzył się Gili z lekkim westchnieniem. - Widziałeś, jak patrzy na niego jego narzeczona?

- Jakie to romantyczne — parsknął Fletch.

- Zwykle nie byłeś taki gruboskórny - zauważył z zaskoczeniem przyjaciel. - Zachowujesz się, jakbyś miał kołek w tyłku. Na miłość boską, znajdź sobie kochankę! Twojej żony nie interesują sprawy łóżkowe. Praktycznie każdy w tym pokoju doświadczył czegoś podobnego. Przeciętna angielska dama jest zimna jak ryba i nic nie jest w stanie jej rozgrzać.

- Wracając do kochanki, którą twoim zdaniem powinienem sobie znaleźć — powiedział Fletch ze śmiertelnym znużeniem w głosie — nie mam pojęcia, dlaczego aż tak bardzo interesuje cię, czym się zajmuję w sypialni.

Gili poczerwieniał na twarzy i rzucił coś nienadającego się do powtórzenia, po czym wyszedł.

Fletch westchnął i pociągnął kolejny łyk ze szklanki. Jest głupcem. Był nim od lat. Potrzebuje kochanki. Musi wreszcie przyznać, że jego małżeństwo jest porażką. Musi...

Zauważył Poppy po przeciwnej stronie sali. Jej piersi falowały pod małym sztywnym gorsetem sukni. Ogarnęło go pożądanie. Cierpiał męki Tantala - pragnął kogoś, kto nigdy nie chciał jego. Poślubić kogoś takiego to jak być przywiązany do studni i nie móc się napić.

Ale na samą myśl o tym, że mógłby zapukać do drzwi jej sypialni, ochłonął. Oczywiście wpuściłaby go. Och, matka wyszkoliła ją w tej materii. Paplałaby i się

uśmiechała, ale nie jest aż tak głupi. Nieraz widział w jej oczach wyraz nieufnej rezygnacji. Nie wspominając o tym, w jaki sposób zsuwała nocną koszulę, kładła się na łóżku - to był jego jedyny triumf, już nie upierała się, żeby zostawali w ubraniach - i znosiła jego zabiegi.

Napił się znowu.

„Znosiła” - to odpowiednie słowo.

Niezależnie od tego, co robił, ona po prostu leżała. Na początku poświęcał dużo czasu jej piersiom, mając nadzieję, że nagle zacznie się wić i jęczeć tak jak Elise, kiedy tylko dotknął jej sutków. Elise uczyła go swojego ciała, zupełnie jakby ćwiczyła z nim nowy sport.

- Tutaj - mówiła cicho, a potem: - mocniej! – I wreszcie: *Qui!*

Na miłość boską, myśli o Elise przyprawiały go o mdłości.

Poppy czasami gładziła go po głowie. Całowała go, niekiedy pozwalając, by wsunął język w jej usta, ale nigdy na nic nie reagowała. Początkowo myślał, że jest po prostu niedoświadczona.

Minął rok i kolejny, a ona nie wykazała ani odrobinę większego zainteresowania. Nigdy nie poruszyła nawet palcem, nie zarumieniła się, co dopiero mówić o jęczeniu. Musiał zmienić zdanie.

Wyglądało na to, że nigdy nie zdoła rozpalić Poppy. Kilka miesięcy temu przestał odwiedzać jej sypialnię. Nic nie powiedziała; on też milczał. Pewnie się cieszyła i opowiadała o tym przyjaciółkom.

A jednak wciąż ją kochał.

I to było prawdziwe piekło. Znowu przemknęła mu przed oczami, roześmiana. Jak można nie kochać tej słodczy w jej oczach i tego, jak uprzejmie wysłuchuje wszystkich głupot, które jej opowiadają? Nigdy nie posłała swojej matki smoczycy do diabła, nawet kiedy ta ganiała ją z kąta w kąt, tak szczęśliwa, że jej córka została księżną, że pokazywała ją niczym tresowaną małpkę.

Poppy nigdy jej nie zbesztła ani nie powiedziała złego słowa.

Krótko mówiąc, była aniołem.

Do diabła, anioły są takie nudne w łóżku.

Ale i tak robiło mu się niedobrze na samą myśl, że miałby zapłacić jakiejś kobiecie, żeby poszła z nim do łóżka. „Znajdź sobie kochankę”, radził Gili. A więc

zapłaci kobiecie, żeby udawała, że się nim interesuje. Zapłaci, żeby się wiła i jęczała.

A przecież były inne angielskie damy... Kobiety, które lubiły łóżkowe przygody, a nawet się nim interesowały. Księżna de Beaumont właśnie wróciła z Paryża, a cały świat wie, że Jemma i Beaumont nie sypiają ze sobą i nie robili tego od lat. Co więcej, księżna spotykała się na skandalicznych partiach szachów z księciem de Villiers. Villiers zawsze wygrywa... nagrodą zaś była sama księżna.

No dobrze, teraz Villiers wypadł z gry. Stracił mnóstwo krwi, tak mówią. Przepuszczalnie nie wstanie z łóżka przez kilka tygodni, może miesiąc. Fletch odepchnął się od ściany i poprawił wysoki kołnierz surduta. Księżna lubiła dobrze wyglądających mężczyzn. Villiers był co prawda najlepiej ubranym dżentelmenem w Londynie, ale Fletch przywiózł własnego krawca z Francji. Pomyślał, że to daje mu pewną przewagę.

Odstawił pustą szklankę. Ruszył przed siebie. Mało kto rozpoznałby w nim młodego, dziarskiego Anglika, który zaledwie cztery lata temu maszerował po Pont Neuf. Wtedy miał słodką twarz, jak powiedziała Poppy, z dołkiem pośrodku brody.

A teraz...

Gładko zaczesane do tyłu włosy podkreślały wysokie kości policzkowe. W porywie gniewu na Poppy zapuścił małą, krótko przystrzyżoną bródkę, zasłaniającą dołek w brodzie, który tak lubiła. I chodził czujnym, przyczajonym krokiem kogoś, kto od lat nie uprawiał przyzwoitego seksu i zamierza coś z tym zrobić.

Trudno było nie przyznać, że to wszystko jest po prostu śmieszne. Ponieważ jego życie małżeńskie sprowadzało się do jednej wizyty w sypialni małżonki na miesiąc, postanowił stać się mężczyzną, który przyciąga spojrzenia wszystkich kobiet.

Oczywiście z wyjątkiem własnej żony.

Miał na sobie ubranie w jednym kolorze - jaskrawa ekstrawagancja Villiersa nie była w jego stylu. Zdaniem Fletcha strój nie powinien być deklaracją agresji, lecz musi podkreślać erotyczny powab. Spodnie, gładkie jak jedwab - a często po prostu jedwabne - ciasno opinały uda o mięśniach wyrobionych od codziennej jazdy konnej. Surduty miały za zadanie uwydatniać szerokie ramiona, potężną pierś i płaski brzuch.

Jedyne, co zostało ze skromnego księcia, który przyjechał do Paryża i zakochał się w angielskiej dziewczynie, to zwyczaj niepudrowania włosów. Nadal tego nie robił. Nie tyle z niechęci do pudru, ile dlatego że zauważył, iż kiedy rozpuszcza włosy, niesforne loki opadające na ramiona sprawiają wrażenie, jakby dopiero co wstał z łóżka, w którym dobrze się bawił.

Krótko mówiąc, Fletch doskonale zdawał sobie sprawę, jak kunsztowną fasadę zbudował. Tylko Gili wiedział, że wszystko to tylko pozory. Jego stary przyjaciel zdawał sobie sprawę, jak zdumione byłyby wszystkie te kobiety - wodzące pożądlivym wzrokiem za księciem i marzące o jego akrobatycznych wyczynach w sypialni - gdyby wiedziały, że jest... właściwie prawiczkim, jak mu się czasami zdawało.

Poppy dobrze odgrywała swoją rolę, musiał jej to przyznać. Niekiedy nawet rumieniła się w jego obecności. Nie miał pojęcia, jak udawało się jej podtrzymać tę farsę. W końcu doszedł do wniosku, że dwulicowość musiała być dla niej czymś zupełnie naturalnym.

Widział ją kątem oka - ku swojemu niezadowoleniu, zawsze wiedział, gdzie znajduje się jego żona - ale nie poszedł w jej kierunku. Celowo ruszył w przeciwną stronę.

Wreszcie się poddał.

Potrzebuje kochanki.

I to teraz.

3

„MORNING POST” (CIAĞ DALSZY)

Księżna de Beaumont, która niedawno wróciła z Paryża, spotyka się na prywatnych partiach szachów z księciem de Villiers... a podobno także ze swoim mężem. Niektórzy sugerują, że partie te są rozgrywane w sypialni, a nawet w łóżku!

Niniejszy artykuł stawia sobie za cel zbadanie kwestii moralności rzeszy libertynek wracających ostatnio z Paryża...

Co ci się nie podoba w moim przyjęciu, braciszku? Nie ma nagich śpiewaczek i zapewniam cię, że nie zamierzam się rozbierać. Chociaż, gdyby ranek nie był taki zimny, mogłabym się nad tym zastanowić tylko po to, żeby dokuczyć Beaumontowi, który łaskawie zgodził się przyjść razem ze wszystkimi tymi typami z parlamentu.

- Cóż - rzekł kwaśno Damon - powiedzmy, że to pierwsze przyjęcie zorganizowane dla uczczenia nielegalnego pojedynku, w jakim uczestniczyłem. Przypuszczam, że niektórzy mogliby uznać, że to w złym guście.

Jeśli Jemma mogła być czegokolwiek pewna, to tego, że nie można jej było posądzić o brak gustu. Owszem, jej zachowanie bywało oburzające. Czasami nawet wulgarne, ponieważ nie ma nic bardziej smakowitego niż odrobina wulgarności od czasu do czasu. Ale zły gust? Nigdy!

- Mylisz się - odparła. - Ludzie, którzy mogliby skrytykować tę uroczystość, to wyłącznie ci, których nie zaprosiłam.

- Zaprosiłaś? - spytał Damon. - Wydawało mi się, że wszyscy po prostu przyszli tu po pojedynku.

- Szybko - powiedziała Jemma, chwytając brata za ramię. - Chodźmy na drugą stronę. Zbliżyła się lady Chaussinand-Nogaret. Nie mogę znieść jej wiecznych narzekań na to, że ubieram się w zbyt francuskim stylu.

- To ona wygląda na Francuzkę - orzekł Damon z typową dla siebie ignorancją w kwestii ubioru. Lady Chaussinand-Nogaret miała na sobie sukienkę w odcieniu francuskiego fioletu, lecz ozdobioną falbankami z błękitnej satyny, jakich nie zniosłaby żadna Francuzka, a jeszcze w połączeniu z kapeluszem udekorowanym piórami marabuta...

Jemma skierowała się na prawo.

- Oczywiście, że ci ludzie nie przyszli tu za nami po pojedynku - powiedziała. - Zaprosiłam ich wszystkich. Mój sekretarz przez pół nocy wypisywał zaproszenia, które zostały dostarczone na godzinę przed pojedynkiem.

- A co było na nich napisane? - spytał Damon, wybuchając śmiechem. Pan Cachemire przystanął obok, aby pogratulować mu doskonałej walki.

- Zauważyłeś jego perukę? - spytała Jemma, kiedy Cachemire oddalił się, zostawiając za sobą smugę perfum i pudru.

- Co najmniej dwa funty sztucznych włosów - orzekł Damon. - Ale poważnie, co było w tych zaproszeniach?

- Zapraszałam każdego na uroczystość z okazji twojego zwycięstwa - odparła Jemma, uderzając go żartobliwie wachlarzem. - Widzisz, ile siostrzanych uczuć ci okazuję? Spodziewałam się, że wygrasz, zanim jeszcze stanąłeś do walki.

- Tam jest twój mąż - powiedział Damon. - Muszę pamiętać, żeby podziękować mu za to, iż przyszedł na przyjęcie. Chociaż może raczej powinienem przeprosić za pojedynek. Dobrze wiem, jak Beaumont nie znosi wszystkiego, co niezgodne z prawem.

Jemma obserwowała męża w sporej grupce ludzi, w której zauważyła też pannę Charlotte Tatlock. Wymachiwała szczupłymi rękoma w powietrzu, jakby coś opowiadała. Musiała poczynić jakąś trafną uwagę, ponieważ nawet lord Manning przytaknął z aprobatą. Ta kobieta przypomina konia, pomyślała Jemma. I nie obchodzi mnie, jak bardzo jest inteligentna.

Dochodząc do wniosku, że nie ma nic bardziej pretensjonalnego niż kobieta, która twierdzi, że kocha politykę - albo polityków - ruszyła w przeciwnym kierunku, ciągnąc za sobą Damona.

- Dlaczego się tak zachmurzyłeś? - spytał.

- Te skłonności mojego męża...

Damon jęknął.

- Nie ma nic gorszego niż intymne szczegóły pożycia małżeńskiego. Proszę, nie mów nic więcej.

- Można to porównać tylko z braćmi, którzy wdają się w skandaliczne pojedynki - odparła. - Villiers wydobrzeje, nieprawdaż?

- Oczywiście, że tak. Byłem bardzo ostrożny; ostrze wbiło się dokładnie tam, gdzie chciałem, i nawet nie dotknęło kości. Prawdę mówiąc, twoje przyjęcie zapewne wywoła większy skandal niż sam pojedynek. Biedny Beaumont.

Książęcy kamerdyner, Fowle, przez całe przedpołudnie otwierał wielkie drzwi salonu i ogłaszał nazwiska różnych gości. Kolejne sprawiło, że Jemma i Damon odwrócili głowy.

Fowle przemówił nieco głośniej niż to było konieczne, a ponieważ w sali nagle zapadła zupełna cisza, jego głos zahuczał ponad głowami zebranych.

- Jego Wysokość, książę de Villiers.

4

„MORNING POST” (CIAĞ DALSZY)

Rzesza libertynek wracających ostatnio z Paryża nie ogranicza się do księżnej de Beaumont, choć ona ma chyba najgorszą reputację. Podobno przyjaciele księżnej z tej samej sfery są równie rozwiązli i pozbawieni zasad jak ona. Krótko mówiąc, księżna o pożałowania godnym usposobieniu, skrajnie rozwydrzona i nieskłonna podporządkować się żadnemu mężczyźnie.

Fletch dokładnie wiedział, jakiego rodzaju kobietę chce znaleźć. Taką, której będzie zależało na przyjemności, ale nie na miłości. Taką, która nie będzie chciała się wiązać emocjonalnie. Taką, która będzie go dotykać.

Ta myśl wzmogła w nim determinację. Do diabła, dość nocy spędził, leżąc w pustym łóżku i zadowolając się marzeniami o drobnym, smakowitym ciełe żony - jak żałosny czternastolatek. Musi z tym skończyć. Zostawić to za sobą.

Tym, czego naprawdę potrzebował, była odrobina radosnego seksu z kimkolwiek. Z kimś, kto by go pożądał. Napotkał spojrzenie lorda Randulfa i od razu się poprawił. Z kobietą, która by go pożądała. Wystudiowany erotyzm - jak odkrył - przyciągał nie tylko kobiety.

Dostrzegł księcia de Beaumont, stojącego na uboczu w grupce polityków, niewątpliwie dyskutujących o śmiertelnie nudnych sprawach państwowych, gdyż tacy ludzie zwykle właśnie tym się zajmują. Fletch jeszcze nie zajął swojego miejsca

w Izbie Lordów. Zbyt pochłaniały go próby pozbycia się seksualnej frustracji.

I wzdychanie do Poppy, pomyślał, czując przyptyw nienawiści do siebie.

- Zna pan lorda Hollanda?

- W czasie debat byłem wielkim zwolennikiem pańskiego ojca - powiedział Holland. — To prawdziwa przyjemność pana poznać. Nasze żony zasiadają w radzie szpitala królowej Charlotte.

- Doprawdy? - mruknął Fletch. - Moja żona jest bardzo oddana sprawom dobroczynności.

- Podobnie jak moja - odpowiedział Holland z błyskiem w oku. - To je zupełnie pochłania, nieprawdaż? Byłoby miło móc powiedzieć to samo o księżnej de Beaumont, ale ona ani myśli zachowywać się jak inne kobiety.

Uśmiech zamarł na twarzy Beaumonta.

- Działalność dobroczynna Jej Wysokości nie jest może szeroko znana, niemniej księżna hojnie wspiera potrzebujących. Nie tak dawno na przykład zastałem ją w gabinecie z kobietą zbierającą datki na pensjonariuszy Chelsea.

- Nic innego nie miałem na myśli - odparł Holland.

Jego ton zdradzał jednak, że uważa księżną de Beaumont za ciężar. To była jedyna dobra rzecz w Poppy. Nigdy nie przyprawi mu rogów. Holland zwrócił się do Fletcha.

- Chociaż niezręcznie mi to mówić w obecności Beaumonta, który reprezentuje przeciwną stronę, wszyscy czekamy, aż zajmie pan miejsce ojca w Izbie Lordów. Był doskonałym dyskutantem, zawsze dostrzegał istotę sprawy.

- Syn nie musi należeć do tej samej partii co ojciec - zauważył Beaumont.

- Och, ale rozsądni tak postępują - powiedział Holland, uśmiechając się promiennie do Fletcha. - Czy wolno mi spytać, kiedy dołączy pan do nas, Wasza Wysokość?

- W najbliższym czasie - odparł Fletch. W gruncie rzeczy nie miał pojęcia, co chciały osiągnąć obie partie, i w tym momencie zupełnie go to nie obchodziło. Jego priorytety bardzo szybko się krystalizowały - zamierzał sobie ulżyć, mówiąc dosadnie, i oczyścić myśli. Dopiero potem uda się do parlamentu i będzie takim człowiekiem, jak jego ojciec.

Poglądy polityczne mógł sobie wyrobić później. - Wybaczcie, panowie... - Ukłonił się i poszedł dalej.

Dwa pokoje dalej znalazł dokładnie to, czego szukał.

Lady Nevill.

Była odrobinę starsza od niego i nosiła się z taką samą francuską elegancją, jaką zapamiętał. Słyszał o niej już wcześniej. Ponieważ jej mąż miał wypadek, jadąc powozem, co uczyniło go inwalidą, któż mógłby jej odmówić prawa do romansu? Wszyscy z towarzystwa rozumieli jej położenie i zapraszali ją na przyjęcia, choć doskonale wiedzieli, że dawno temu przestała dbać o reputację.

Była urocza. Miała większe piersi i dłuższe nogi niż Poppy, a przy tym roztaczała wokół siebie zmysłową aurę, która pozwalała się domyślać, że gotowa byłaby owinąć nogi wokół mężczyzny i ujeżdżać go do utraty sił.

Lady Nevill rozmawiała z lordem Kendrick, tak starym, że mógłby być jej ojcem. Fletch się zatrzymał, spojrzał i natychmiast nabrał pewności, że lady zauważyła jego obecność. Powiedziała mu to mowa ciała, wszystkie te urocze, ledwie zauważalne sposoby, którymi kobiety dają wyraz swojemu zainteresowaniu mężczyzną. Jeśli o to chodziło, Fletch był jednym z najbardziej wyczulonych ludzi na świecie, ponieważ wciąż wypatrywał najlżejszych oznak pożądania ze strony Poppy. I nigdy ich nie widział.

Inaczej było z lady Nevill. Odwróciła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Żadnych podstępów, głupstw, flirtowania.

Nie uśmiechnął się. Pozwolił, by uśmiechały się jego oczy.

Powiedziała coś do lorda Kendrick i ruszyła w jego stronę. Zrobił krok w jej kierunku i się ukłonił.

- Czy my się znamy? - spytała ze śmiechem.

- Sądzę, że nie - odparł.

- Tak jest znacznie przyjemniej - powiedziała. - Rozmowy ze starymi przyjaciółmi często są trudne do zniesienia. Za to pogawędki z nowymi mogą być niezmiernie pociągające.

Jej oczy miały niezwykle kolor ciemnego złota. Była uwodzicielska niczym kotka mruczająca w ciemnościach.

- Zrobię co w mojej mocy, żeby się okazać pociągającym - rzekł, czując, że pełna dwuznaczności konwersacja zaczyna go wciągać. Z Poppy nigdy tak nie rozmawiał.

Lekko klepnęła go w ramię wachlarzem.

- Nie ma nic, czego kobieta pożałoby bardziej niż...

Pochylił się ku niej.

- Tak?

- Niż być pożądaną. - Głos miała ochryply i sugestywny. Być może Poppy rzeczywiście była nienormalna pod tym względem, bo nie chciała być pożądana. Odrzucił od siebie tę myśl. Poppy jest jego żoną. Za to lady Nevill jest...

- W jaki sposób kobieta wybiera spośród tych, którzy jej pożądata? Bo musi ich być legion.

- Jak oszalałych świń w Biblii? - Otworzyła wachlarz, a jej oczy śmiały się znad jego krawędzi. Były obrysowane delikatną kreską kohl. - Dama po prostu szuka takiego, który najmniej przypomina wieprza, zapewniam pana.

- A jeśli ukryją małe, zakręcone ogonki? - zapytał ze śmiechem.

- Kobiety nie są zainteresowane niczym, co jest małe - powiedziała cicho. Fletch uniósł lekko brew, dając do zrozumienia, że docenił dowcip. Była wprost doskonała, zainteresowana jego ciałem ze względu na przyjemność, której może jej dostarczyć.

- Dawno temu wyrosłem z krótkich spodenek.

- A jednak jest pan jeszcze taki młody! - Zlustrowała go spojrzeniem, zatrzymując wzrok na dłużej w miejscach, na które Poppy nigdy nie chciała patrzeć. Francuzki były zachwycone faktem, że natura hojnie go obdarowała. Nie rozczaruje jej.

- Nie aż tak młody - powiedział niemal ze smutkiem.

- Nikt z nas nie cieszy się wieczną młodością. - W jej spojrzeniu dostrzegł ledwie zauważalny cień żalu.

- A jednak wygląda pani jak osiemnastolatka - powiedział, zbliżając usta do jej dłoni.

- Nie chciałabym, żeby tak było - odparła. - Gdybym miała osiemnaście lat, byłabym bardzo młoda i tuż po ślubie. To wydaje się dotyczyć raczej pana.

- Cztery lata po ślubie - powiedział. - Proszę mi uwierzyć, to nie odpowiada pojęciu „nowożeńiec”.

- Powinniśmy przestać mówić sobie nawzajem rzeczy prawdziwe - rzekła z rozbieganym wzrokiem. - Nie ma nic bardziej niepokojącego i smutnego niż nazbyt prawdziwa konwersacja.

Lecz Fletchowi sprawiała przyjemność rozmowa, w której prawdziwe było pożądanie, a słowa miały niewielkie znaczenie.

- Najsmutniejsza konwersacja to taka, w której wszystkie prawdy zostają niewypowiedziane.

- Teraz widzę, że nie jest pan aż tak młodym mężem. Cóż za nużący temat, małżeństwo - powiedziała, klepiąc go wachlarzem w nadgarstek. - Skoro najwyraźniej nie ma kto nas sobie przedstawić, może powinniśmy sami uczynić sobie ten honor.

Fletcha ogarnęło nagle uczucie miłego oszołomienia, czystej przyjemności przebywania z kobietą, która chciała go dotykać, która używała wachlarza jako przedłużenia palców.

- Ależ nie ma takiej potrzeby... Domyślam się, kim jesteś, pani. Boginią?

- Proszę, niech pan nie mówi o Wenus. Ta poczciwa dama jest tak straszliwie nudna... a jej imię nazbyt często przywoływane.

- Nie myślałem w kategoriach mitologicznych. Ale gdybym miał...

- Helena Trojańska?

- Mam nadzieję, że nie. Biedna Helena. Młody Parys po prostu wyciągnął ją z łoża starego męża.

- Nie wiedziałam, że mężowskie łóżko miało z tym cokolwiek wspólnego.

- Zapewniam panią, że tak. Parys przybył na brzeg... na brzeg... Gdzie to się, u diabła, działo?

- W Grecji - podpowiedziała ze śmiechem. Jej śmiech w niczym nie przypominał chichotu podekscytowanej dziewczyny. Był stłumiony i zmysłowy. Sprawiał, że Fletch czuł narastające podniecenie.

Mówimy przecież o eposie Homera opisującym wojnę trojańską, nieprawdaż? W którym Parys opuścił Troję i udał się do Grecji, by porwać królową.

- Ależ wcale jej nie porwał. Została mu obiecana. Nie pamięta pani?

- Ach, mężczyźni. Zawsze sobie wyobrażają, że ta czy inna kobieta została im obiecana.

- Jesteśmy aż tak aroganccy?

- Bez wyjątku. Moje doświadczenie wskazuje, że mężczyźni żyją w gorączce oczekiwań związanych z obietnicami, które im, jak sądzą, złożono.

- Na przykład?

- Och, że żony będą ich zawsze pożądać... że zawsze będą godni pożądania... że ich oddech zawsze będzie słodki.

- Kobiety są dokładnie takie same. Mężczyźni łamią obietnice, których złożenia nie są nawet świadomi. Kobiety natomiast łamią prawdziwe przysięgi na każdym kroku.

- A zatem musi mi pan powiedzieć - wzrok miała rozkosznie rozbiegany - jaką obietnicę złamałam wobec pana?

- Jeszcze żadnej - powiedział, zniżając głos - ale robi to pani.

- Doprawdy? - Lekko uniosła pięknie zarysowane brwi.

- Niestety - rzekł z westchnieniem. - Mężczyzna mówi, że kocha kobietę, a ona zwykle wierzy, że ją uwielbia. Niestety my, mężczyźni, bardzo niefortunnie wyglądamy, klęcząc. Robimy to bez większego przekonania.

Pokręciła głową z politowaniem.

- A jednak mężczyzna zawsze oczekuje, że kobieta uklęknie przed nim z... najwyższym entuzjazmem.

Fletch pomyślał, że potrafi sobie dokładnie wyobrazić, co zrobiłaby, klęcząc przed nim. Uśmiech błakający się w kącikach jej pełnych warg wskazywał, że mogłaby w tym nawet znaleźć przyjemność.

- Nie odgadł pan jeszcze, kim jestem - przypomniała.

- Lady Nevill, czyż nie? - powiedział. - Ale wciąż nie wiem najważniejszego.

- To znaczy?

- Nie znam pani imienia. - Ujął jej dłoń. - Tak wiele można się z niego dowiedzieć. Mam nadzieję, że nie Mary... To takie purytańskie.

Roześmiała się, słysząc jego słowa, a jej zmysłowy śmiech sprawił, że Fletch poczuł dreszcz podniecenia.

- Nie, nie mam na imię Mary.

Przesunął palcem po jej nadgarstku.

- Wiele naszych narodowych imion kojarzy się z czymś w rodzaju krzepkiej angielskości - powiedział. - Trudno by mi było wyobrazić sobie panią jako Lucy czy Margaret.

- Mam nadzieję, że nie wyglądam na krzepką Angielkę!

Przyjął jej zaproszenie i uważnie obejrzał ją od góry do dołu. Jej oczy były lekko skośne, o podniesionych w górę kącikach. Wargi miały kolor krwistej czerwieni, niemal karmazynowy. Na przyjęcie włożyła sztywny, ozdobiony koronką gorset - ponad jego brzegiem piersi, znacznie większe niż Poppy, jakby dopraszały się męskiej ręki.

- Nie - powiedział powoli, czując podniecenie jako niemal fizyczny ból. - Z całą pewnością nie wyglądam pani na krzepką Angielkę.

- Dam panu wskazówkę - powiedziała. - Moje imię zaczyna się na „L”.

- Lily - spróbował. - Jak kwiat.

- Zbyt banalne.

- Lettice.

Zmarszczyła nos.

- Nie jestem warzywem.

- Przepraszam, moja cioteczna babka miała na imię Lettice i bardzo ją lubiłem - tłumaczył się. - Laetitia?

Pokręciła głową.

- Lorelei?

Ładne imię, stwierdziła, lecz nie jej. W końcu ustąpiła.

- Louise.

- Louise - powtórzył, napawając się brzmieniem słowa. - Piękne imię.

Jej gardłowy śmiech był wystarczającą odpowiedzią.

Fletch się roześmiał... Oboje się roześmiali...

Wtedy pojawiła się Poppy w towarzystwie Gilla i St. Albansa.

- Witaj - powiedziała.

Nie uśmiechała się.

„MORNING POST" (CIAĞ DALSZY)

Tak oto się dzieje, kiedy księżne o pożałowania godnym usposobieniu - skrajnie rozwydrzone i nieskłonne podporządkować się żadnemu mężczyźnie - wychowują się na kontynencie i wracają na nasze brzegi. Można tylko mieć nadzieję, że tak cnotliwe młode arystokratki jak godna szacunku księżna Fletcher, słynąca w całym kraju ze swojej działalności dobroczynnej, nie dadzą się wciągnąć w ten krąg amazonek.

Jemma poczuła, jak z jej serca spada ciężar, którego istnienia sobie nie uświadamiała. Owszem, jej brat był cały i zdrowy. Ale jej przyjaciel... jej partner do gry w szachy... Villiers?

Książę stał w wejściu, na pozór nie zauważając wbitych w niego spojrzeń kilkuset par oczu. Wyglądał może nieco blado, lecz był elegancki jak zawsze.

Słowo „surdut" kojarzy się z czarnym aksamitem. Villiers był jednak ubrany w różowy jedwab z niewielkim żabotem ze sztywnej tafty w kolorze głębokiego fioletu. Żabot był ozdobiony bogatym haftem o wzorze przypominającym żelazną kratę. Przez wszystkie lata spędzone w Paryżu i na dworze w Wersalu Jemma nie widziała tak wysmakowanego stroju. Czarne włosy mężczyzny, lekko przyprószone siwizną, były zaczesane do tyłu i przewiązane aksamitną wstążką, doskonale dopasowaną do peleryny.

- Peleryna osłania ranę na ramieniu - szepnął Damon, gdy oboje skierowali się w stronę drzwi. - Co za spryciarz.

- Nie ma drugiego takiego jak on - rzekła Jemma, czując, że uśmiecha się jak idiotka. Villiers zbliżał się do niebezpiecznej granicy dzielącej męskość od jej przeciwieństwa, a jednak - jak zwykle - krzykliwy strój sprawiał, że wydawał się jeszcze bardziej przystojny. Oczywiście jego rysy nie były w najlżejszym stopniu zniewieściałe - ani wydatny nos, ani kwadratowy podbródek. Poza tym jak praw-

dziwy mężczyzna miał zwyczaj wysławiać się lakonicznie i w lekko znudzony sposób.

W całej Anglii nie było drugiego dżentelmena, który mógłby włożyć ten kaftan. Nie, inaczej: w całej Anglii nie było drugiego mężczyzny który odważyłby się włożyć ten kaftan. Lecz Villiers wyglądał w nim jak księżę. Co więcej, jak księżę, który ma cały harem tańczących kobiet.

Jemma odwróciła się bokiem, aby precyzyjnie się między dwiema ogłupiałymi damami, i złożyła głęboki ukłon przed Villiersem.

- Wasza Wysokość - powiedziała - to dla nas wieki honor.

Villiers odpowiedział równie głębokim ukłonem.

- Dzień, w którym nie stawię się na przyjęciu księżnej de Beaumont, będzie dniem, w którym zdejmą ze mnie miarę do trumny. I chociaż - zwrócił się do Damona - twój brat, pani, starał się jak mógł, ułożyć mnie na tym niewygodnym posłaniu, przeżyłem, by podjąć kolejne wyzwanie.

Ukłon Damona byłby godny cesarza.

- Nie będzie ono należeć do mnie, Wasza Wysokość.

- Mam nadzieję, że nie - odparł Villiers, postępując o krok do przodu, a na jego twarzy pojawił się miły, choć tak rzadki uśmiech. - Nie lubię przegrywać i nie chciałbym tego powtórzyć, Gryffyn. Czy wiesz, że w ciągu zaledwie dwóch dni przegrałem i z bratem, i z siostrą?

Jemma się uśmiechnęła.

- Jeśli mówisz o grze w szachy, Wasza Wysokość, to przegrałeś tylko jedną partię.

Villiers rozejrzał się wśród szepczących gości, którzy natychmiast odwracali się w inną stronę, bezskutecznie udając pogrążonych w ożywionej rozmowie. Na jego wargach błąkał się szatański uśmieszek.

- Pomyślałem, że moglibyśmy zacząć kolejną partię już dzisiaj, Wasza Wysokość. W końcu, o ile mi wiadomo, jacyś głupcy założyli się o ponad dwa tysiące funtów, kto wygra. Byłoby nietaktem odwlekać moment, kiedy ich ciekawość zostanie zaspokojona.

Przez salę przebiegł cichy pomruk, jakby wiatr nagle powiał nad polem pszenicy. W ostatnich tygodniach zakłady o wynik gry między księżną de Beaumont a księciem de Villiers osiągnęły skalę szaleństwa.

Villiers przy każdej okazji opowiadał, że jest najlepszym szachistą w Anglii, a fakt, że Jemma pokonała go w pierwszym starciu, podbił stawki w zakładach. Nie wspominając o tym, że...

Książę de Beaumont pojawił się u boku Jemmy i złożył głęboki ukłon Villiersowi; jak na polityka przystało.

- Jestem zachwycony, widząc pana tutaj - zwrócił się do księcia. Nic w jego głosie nie zdradzało niechęci do rywala ani zainteresowania szachowym pojedynkiem. Nawet jeśli cały Londyn był przekonany, że to sama Jemma jest nagrodą, którą otrzyma zwycięzca. - Przykro mi było słyszeć, że został pan ranny dziś rano - powiedział Beaumont, zachowując się, jakby jego szwagier nie miał z tym nic wspólnego. - Czy nie powinien pan odpoczywać, Wasza Wysokość?

- Ach, odpoczynek - odparł Villiers leniwie - często bywa przeceniany, zwłaszcza jeśli pojawia się szansa rozegrania interesującej partii szachów. Właściwie miałem nadzieję, Beaumont, że pańska żona otworzy nowy etap w naszej grze. Widzi pan - dodał - ja nie znoszę przegrywać.

- Gramy tylko jeden ruch dziennie - odezwała się Jemma z kpiącą powagą. - Nie może pan ocenić na podstawie dzisiejszego posunięcia, czy wygra, czy też nie, Wasza Wysokość.

- Będę się starał przerazić panią moją błyskotliwością - powiedział Villiers - przytępić twój umysł, pani, abyś zrobiła fałszywy ruch.

- Drzę na myśl o tym. Ale zgadzam się z moim mężem, powinien pan odpocząć. Jeśli zechce pan towarzyszyć mi w bibliotece, może moglibyśmy zacząć grę?

- Będę zaszczycony - odparł Villiers. Ukłonił się Beaumontowi. Jemma zauważyła z ukłuciem niepokoju, że jest odrobinę skonfundowany. A przecież Villiers nigdy nie czuł się zażenowany.

Ujęła go pod ramię.

- Do biblioteki? - spytał głosem pełnym słodyczy, gdy przeciskali się przez tłum. Rozmawiający z ożywieniem goście ustępowali im z drogi, jakby byli parą królewską zmierzającą do tronu. - Tak bardzo podobało mi się miejsce, w którym rozegraliśmy pierwszą partię.

Jemma posłała mu karcące spojrzenie.

- Jeśli nalega pan na rozpoczęcie gry już teraz, musi się pan pogodzić z otoczeniem. Z całą pewnością nie zaproszę pana do sypialni w czasie jednego z moich przyjęć.

Villiers uklonił się lordowi Sosneyowi i odwrócił się do niej.

- Zdałem sobie z czegoś sprawę w czasie pojedynku z pani bratem.

- Zamierza pan brać lekcje szermierki? - spytała niewinnie, uśmiechając się do lady Rapsfellow, która wytrzeszczała oczy z ciekawości. - Właśnie zamierzamy rozpocząć drugą partię szachów. Czy zechce się pani do nas przyłączyć?

Lady Rapsfellow, mamrocząc coś, skinęła z entuzjazmem głową i ruszyła za nimi.

Villiers nachylił się ku Jemie i szepnął:

- Słyszała pani tę starą legendę o szczurołapie, który grając na flecie, wyprowadził szczury z miasta?

- To podstęp, który ma rozproszyć pańską uwagę - odpowiedziała, śmiejąc się do niego. - Ale proszę mi powiedzieć, z czego zdał pan sobie sprawę w czasie pojedynku?

- Ponieważ nie jestem głupcem, szybko zrozumiałem, że jestem zdany na łaskę pani brata - odparł Villiers - a to dało mi wyjątkową jasność myśli. Przypuszczam, że jest to uczucie znane ludziom, którzy spadają w przepaść lub znajdują się w podobnych sytuacjach.

- Damon nigdy by pana nie zabił - powiedziała Jemma, kłaniając się dwóm nieznanym damom.

- Założyłem, że dobre imię narzeczonej znaczy dla niego więcej niż życie jakiegoś księcia, ale takich rzeczy nigdy nie można być pewnym - mówił Villiers. - W każdym razie chciałbym móc powiedzieć, że przeżyłem przemianę duchową, która zaprowadzi mnie do klasztoru albo jakiegoś innego, równie szacownego miejsca, lecz niestety, tak się nie stało.

- Cóż, mogę to zrozumieć - zgodziła się Jemma. - Pewnego razu w Paryżu wpadłam pod powóz i... Wstyd powiedzieć, kiedy się ocknęłam, myślałam przede wszystkim o stanie mojego futra, a nie duszy.

Służący stał na baczność, przytrzymując otwarte drzwi biblioteki. Weszli do środka, za nimi zaś około czterdziestu gości. Villiers, imponującym gestem odrzucając pelerynę, usadowił się naprzeciwko Jemie przy stoliku szachowym.

Lord Randulf dreptał nerwowo za Villiersem.

- O ile dobrze pamiętam, rozpoczął pan swoją ostatnią partię pionkiem na D3.

Czy teraz pójdzie pan w innym kierunku?

- Nie - odparł Villiers, przesuwając pionka w dokładnie to samo miejsce.

- Rzeczy nowe zawsze są ryzykowne - skomentowała Jemma, posyłając uśmiech Randulfowi i jednocześnie wykonując swój ruch.

- Czy to już? - zapytała lady Rapsfellow piskliwym głosem. - Już koniec?

Lord Randulf ujął ją pod ramię.

- Kiedy gra jest prowadzona po jednym ruchu dziennie, przebiega nieznośnie powoli, droga pani.

- Ale czy nie powinni pomyśleć o tym dłużej? - dociekała lady Rapsfellow, gdy Randulf starał się wyprowadzić ją z biblioteki.

Jemma spojrzała Villiersowi w oczy. Dostrzegła w nich błysk uśmiechu.

- Zamierzam pomyśleć dłużej - odezwał się. - Proszę jeszcze nie świętować zwycięstwa.

- Zawsze staram się doceniać moich przeciwników - odparła Jemma.

Goście obserwujący grę opuszczali bibliotekę równie szybko, jak do niej przybyli.

- Więc, co zrozumiał pan w czasie pojedynku z moim bratem, Wasza Wysokość?

Rozejrzał się dyskretnie po pustej bibliotece i odchylił się do tyłu, obserwując ją spod wpróżymkniętych powiek.

- Że popełniłem błąd.

- Tylko jeden? Ja popełniłam ich wiele.

- Ma więc pani nade mną przewagę. Moje błędy są nieliczne.

- Ktoś mógłby dodać: „W pańskim mniemaniu” - skomentowała Jemma.

- Ależ tak. Ale kiedy popełniam błędy, robię to w wielkim stylu - rzekł Villiers. - Popełniłem błąd w przypadku Benjamina... księcia Berrow.

Jemma spojrzała ze zdziwieniem, lecz Villiers kontynuował, zanim zdążyła się odezwać.

- Wiem, że słyszała pani o samobójstwie Benjamina i mojej roli w tej tragedii. Pani i ja postanowiliśmy zostać przyjaciółmi. Niestety moja przyjaźń może przynosić pecha.

- Nie zgodzę się z tym. Benjamin sam postanowił się zabić...

- Kiedy przegrał ze mną partię szachów.

- To nie ma żadnego związku z pańską przyjaźnią. Benjamin zawsze podejmował działania, których później żałował.

- To prawda...

Spod długich rzęs uważnie oglądał swoje dłonie. Nagle podniósł wzrok i Jemma poczuła, że rumieni się pod wpływem tego spojrzenia.

- Postanowiłem nie popełniać więcej błędów wobec przyjaciół - powiedział szorstko.

- Jeżeli wygra pan ze mną, będzie pan mógł wytknąć mi moje błędy. Jestem tak ambitna, że raczej zabiłabym pana niż siebie.

- Dziwka - powiedział bez emocji.

Roześmiała się.

- Widzi pan, jak dobrymi możemy być przyjaciółmi? Jeśli chodzi o zamiłowanie do szachów, nie ustępuję Benjaminowi, ale kiedy przegrywam partię, chcę tylko zagrać jeszcze raz.

- Czy szachy są pani jedyną pasją?

Siedziała przez chwilę, zastanawiając się, czy powinna odpowiedzieć szczerze.

- Przypuszczam, że tak. Wielce szanuję mojego męża i przyjaciół, kocham brata, lecz moje serce należy do szachów. Zauważyłam, że ci, którzy są prawdziwymi mistrzami w tej grze, rzadko znajdują w sobie głębokie zamiłowanie do czegokolwiek innego.

- Mógłbym się wydać potwierdzeniem pani teorii, ponieważ nie mam rodziny, którą mógłbym kochać, stąd moje zainteresowanie płcią przeciwną jest raczej niestałe.

- Podobnie jak moje - wyznała. - To poważna wada, która jest przyczyną wielu skandali.

- A jednak nie odrzucam możliwości pokochania kogoś aż tak zdecydowanie jak pani. Kilka tygodni temu złożyła mi pani towarzyską ofertę - rzekł Villiers. - Powiedziałem, że nie zamierzam przypawić rogów mojemu staremu przyjacielowi Beaumontowi.

Jemma zamarła. W porywie gniewu na męża zaproponowała romans Villiersowi, a on odrzucił jej zaproszenie.

- Zmieniłem zdanie - powiedział. - Przez pięć minut byłem zdany na łaskę pani brata i wtedy pomyślałem, że nigdy nie kochałem kobiety. I że jest to jedno z doświadczeń, które gorąco pragnąłem przeżyć wiele lat temu. Nie potrafię wyjaśnić, w jaki sposób mogło mnie to ominąć.

Jemma zacisnęła usta.

- Nie chce pan chyba powiedzieć, że mnie kocha?

- Nie - odparł z namysłem - ale mógłbym. Jestem wręcz przekonany, że jest pani jedyną ze znanych mi kobiet, którą mógłbym pokochać. Miłość polega na podejmowaniu decyzji. Chociaż kocham szachy, odnajduję w sobie pragnienie kochania również czegoś innego. Być może ja i pani, Jemmo, mogliśmy wspólnie znaleźć miłość.

- Chyba że oboje jesteśmy niezdolni do prawdziwej miłości.

- Mówi pani o sobie? Ja kochałem, choć nie w taki sposób, o jakim pani myśli.

- Benjamina? - spytała.

- Właśnie. I Elijaha. Pani męża.

- Pan i Beaumont przyjaźniliście się w dzieciństwie - zauważyła. - Ale?

- On był wyjątkowy, już wtedy.

- Mój mąż?

- Miał wielkie plany, chciał zmienić świat, zrewolucjonizować wieś. Mówił o tym nieustannie.

- Wciąż ma wielkie plany - powiedziała Jemma z uczuciem. - Jestem przekonana, że wierzy, iż Izba Lordów nie funkcjonowałaby bez niego.

- Zawsze taki był - mówił Villiers. - Prawdę mówiąc, może mieć rację. Jest nie tylko inteligentny, ale i nieprzekupny, co stanowi rzadką cechę u polityka.

- Co stało się z waszą przyjaźnią?

Na jego wargach pojawił się krzywy uśmiech.

- A co zwykle przydarza się mężczyznom?

- Kobieta.

- Miała na imię Bess. Chciałbym móc o niej romantycznie opowiadać, ale prawdę mówiąc, nie mogę sobie nawet przypomnieć jej twarzy. Chociaż ogromnie ją kochałem, a przynajmniej tak mi się wydawało.

- Czy Beaumont także ją kochał? - Zaśmiała się Jemma. - Mogę sobie wyobrazić was dwóch zabiegających o względy Bess. Sądząc z imienia, zgaduję, że nie była młodą damą, którą moglibyście poślubić?

- Miałem kuzynkę o imieniu Bess - powiedział Villiers, wstając i podając jej ramię - ale oczywiście ma pani rację. Bess miała całkiem godziwe zajęcie, podawała piwo we wsi.

- Gdzie wy dwaj wysiadawaliście nocami, wzdychając do jej błędnych oczu?

- Nie, siedziałem sam. Powinna pani wiedzieć, że mój nos w młodości był jeszcze większy.

- Tak czy inaczej, to pan zdobył Bess? - spytała Jemma, niemal pewna, że dokładnie wie, jak atrakcyjny musiał być młody Villiers. Ona sama nie potrafiłaby się oprzeć tym oczom - szczególnie jeśli byłoby w nich mniej cynizmu, a więcej entuzjazmu - jego dolnej wardze, włosom...

- Tak było. Dopóki Beaumont nie doszedł do wniosku, że to on chce ją mieć.

- To brzmi nieładnie. I jest zupełnie niepodobne do niego.

- Ach, te sprawy nie są tak proste, jak by się mogło wydawać - rzekł Villiers z westchnieniem. Otworzył drzwi biblioteki. - Chciałem tylko powiedzieć, Jemmo - wypowiedział z lubością jej imię - że pomyliłem się, odrzucając pani hojną propozycję.

Jemma nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Odwrócił się do niej i nieoczekiwanie złożył głęboki ukłon.

- Uczciwie ostrzegam, Wasza Wysokość. Uczynię co w mojej mocy, by panią uwieść.

Po czym odwrócił się z łopotem różowej peleryny i odszedł.

Jemma stała oszołomiona w korytarzu i patrzyła w ślad za nim.

„MORNING POST” (CIAĞ DALSZY)

Aż strach pomyśleć o skutkach, gdy ów krąg amazońek otworzy ramiona przed naszymi młodymi, niezamężnymi duszyczkami - czystymi, niewinnymi dziećmi naszej arystokracji. Młode damy są podatne - tak, podatne, na pokusę i słodki urok grzechu.

Zmysłowe śmiechy umilkły, ustępując miejsca uprzejmym uśmiechom i głębokim ukłonom.

- Wasza Wysokość - powiedział obdarzony ciętym językiem i pożałowania godnym zamiłowaniem do plotek St. Albans, którego żona Fletcha trzymała pod ramię.

- Lady Nevill, do usług - odezwał się Gili.

Fletch ograniczył się do ukłonu. Powinien przedstawić Poppy lady Nevill. Jego żona była przyozdobiona wstążkami niczym pudełko francuskich cukierków. Pieczołowicie ułożone włosy tworzyły wieżę z loczków i pierścionków.

Zdarzyło się najgorsze.

- Wasza Wysokość - zwróciła się do niej lady Nevill - jak się pani dziś miewa?

Poppy uśmiechnęła się do niej.

- Cudownie, dziękuję, Louise - odezwała się, nie zważając na etykietę. - Obawiałam się, że będę zmęczona po wczorajszym szyciu, ale jest wspaniale.

- Szyciu? - spytał głucho Fletch.

- Tym właśnie zajmowałam się wczoraj przez cały ranek - wyjaśniła mu Poppy. - Szycjemy dla szpitala królowej Charlotte. Louise i ja pracowałyśmy, popijając herbatę, całymi godzinami.

- Powinieneś wiedzieć, czym zajmuje się twoja żona, Fletch - wtrącił St. Albans, najwyraźniej próbując obrócić niezręczną sytuację w żart.

- Nigdy nie wiem, co się z nią dzieje - odpowiedział Fletch. - Byłoby niezmiernie nużące tropić swoją żonę niczym pardwę w sezonie polowań. Znacznie łatwiej się żyje bez interesowania się tym, gdzie jest.

- Zawsze mówię ci o moich planach - stwierdziła oschle Poppy.

- Musicie sądzić, że nie jestem nadzwyczajnie błyskotliwa - odezwała się lady Nevill, spoglądając na Fletcha. - Domyślam się, że ten dżentelmen to twój uroczy mąż, o którym tyle mi opowiadałaś, Poppy?

- O tak, to on. Sądziłam, że się znacie. Pozwolisz, że ci przedstawię mojego męża, księcia Fletchera? Fletch, to moja przyjaciółka, lady Nevill.

Uklonił się. Lady Nevill złożyła głęboki ukłon. Teraz jej oczy wyglądały zupełnie inaczej. Do diabła, ona przyjaźni się z Poppy.

- Wasza Wysokość, to prawdziwa przyjemność poznać pana - powiedziała. - A teraz, drogie dzieci, musicie mi wybaczyć. Po drugiej stronie sali zauważyłam przyjaciółkę, z którą koniecznie muszę porozmawiać. *Au Renoir!*

Fletch uklonił się ponownie. Zupełnie jakby nigdy ze sobą nie flirtowali. Jakby był tylko jednym z wielu mężczyzn. A ze sposobu, w jaki powiedziała *au revoir*, mógł wywnioskować, że mówiła po francusku. A niech to.

Po jej odejściu na chwilę zapadła cisza.

- Śmialiście się oboje tak głośno... - odezwała się Poppy. - Mógłbyś się podzielić żartem?

- Nie rozumiałabyś - odpowiedział. Narastał w nim gniew; na nią, na całe życie...

Uśmiechnęła się.

- Mam rozumieć, że opowiadaliście sobie nieprzyzwoite żarty? Jestem pewna, że potrafię zrozumieć wszystko, co Louise uważa za zabawne.

- Wątpię - odparł Fletch. Pozostali stali w milczeniu. Fletch zdawał sobie sprawę, że w jego głosie brzmi szyderstwo i niemal pogarda. Ale nie mógł na to nic poradzić.

Zamrugnęła zdezorientowana, lecz po chwili na jej twarzy pojawił się radosny uśmiech.

- A więc dam ci przyjemność wyjaśnienia mi tego!

- Chyba żartujesz - rzucił. - Są rzeczy, których damy twojego pokroju nigdy nie rozumieją.

Wyprostowała się.

- Damy mojego pokroju?

- Znasz ten typ, St. Albans - wyjaśnił, chociaż ten nie patrzył mu w oczy. -
Pocziwe do szpiku kości. Właściwie zostają świętymi już tutaj, w Londynie.

- Fletch - odezwała się Poppy - nie mów do mnie w ten sposób, błagam.

- Dlaczego? - Po raz pierwszy spojrział wprost na nią. - Przecież nigdy nie rozmawiamy o niczym istotnym. Prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, byśmy przez cały rok zamienili choćby jedno ciekawe słowo.

Zbladła.

- To nieprawda.

- Przypomnij chociaż jedno interesujące zdanie - zakpił, przyglądając się jej.

Uniosła dumnie podbródek.

- W zeszłym tygodniu powiedziałam, że cię Kocham. W tych okolicznościach to wyjątkowo interesujące.

Obróciła się na pięcie i odeszła.

- Do diabła - rzucił Gili. Zapomniał, że ma na głowie perukę, i próbował przygłodzić włosy. Peruka spadła i potoczyła się po podłodze. Wyglądała jak zabity zając, leżący na dywanie.

Fletch zacisnął zęby.

- Jej dziecinne poglądy przyprawiają mnie o mdłości. Nie mogę znieść jej małych, radosnych komentarzy na temat każdego cholernego drobiazgu. Jeśli padnę trupem na ulicy, pewnie uklęknie obok mnie i będzie szczebiotać jakieś bzdury o tym, jak bardzo musi mi się podobać w niebie.

- Ona cię kocha, chociaż na to nie zasługujesz - zauważył Gili.

- Kogo obchodzi, czy zasługuję? Nie chcę tego! - rzucił Fletch. - Nasze małżeństwo to pozory i pomyłka. A skoro tak, lepiej, żebyśmy oboje zrozumieli, gdzie są nasze miejsca. Nie chcę, żeby moja żona udawała, że jesteśmy normalną parą. Ze robimy cokolwiek razem - dodał pogardliwie - w łóżku.

- Nikt z towarzystwa nie prowadzi intymnego życia z własną żoną czy mężem - odezwał się St. Albans, najwyraźniej dopiero teraz odzyskując mowę. - Co nie znaczy, że powinieneś ją w taki sposób mordować z zimną krwią.

- Ona cały świat widzi na różowo i złoto - powiedział zdecydowanie Fletch. -
Przypuszczam, że naprawdę wierzy, iż jesteśmy szczęśliwi.

- Teraz już nie - zauważył Gili.

Fletch wzruszył ramionami.

- To dobrze.

7

„MORNING POST” (CIAĞ DALSZY)

Trudno sobie wyobrazić coś bardziej niebezpiecznego dla moralności niż krąg kobiet dążących do zaspokajania swoich żądz, czerpiących z życia same przyjemności i lekceważących wszelkie napomnienia. Drżymy z niepokoju o dusze wszystkich księżnych w Londynie!

Poppy nigdy nie płakała, dopóki nie została księżną. Ślub zamienił ją w istną fontannę łez. Płakała w samotności, usypiając. Płakała w najdziwniejszych momentach, na przykład pomiędzy spotkaniami Towarzystwa na rzecz Pomocy Nawróconym Nierządnicom a posiedzeniami zarządu szpitala królowej Charlotte. Teraz biegła długim korytarzem Beaumont House, ocierając wielkie łzy, które spływały po jej liczkach.

Jak on mógł? Jak mógł to powiedzieć i to w obecności przyjaciół? Zdawała sobie sprawę, że prawie nie rozmawiają ze sobą. Wiedziała, wiedziała, że coś jest nie tak!

Ale choć starała się jak mogła, nie umiała sprawić, żeby wszystko było jak należy. Każdego ranka budziła się z postanowieniem, iż sprawi, iż Fletch znowu ją pokocha, tak jak wtedy, gdy jeszcze nie byli małżeństwem.

Nigdy nie dała po sobie poznać, że irytuje ją sposób, w jaki przechadza się po domu. Nigdy, przenigdy, nie denerwowała go, przypominając, że nie będą mieli dzieci, skoro odwiedzał ją w łóżku raz na miesiąc - jeśli w ogóle. Nie skomentowała ani słowem, kiedy zapuścił tę głupią szpiczastą bródkę, chociaż dobrze wiedział, jak lubi jego dołek w brodzie. Prawdę mówiąc, jego bródka była całkiem twarzowa.

Ale tak było ze wszystkim w ciągu kilku ostatnich lat. Fletch zmienił się w dystyngowanego, przystojnego, zupełnie obcego człowieka. Nosił ubrania, które ją olśniewały i przerażały. Zapuścił brodę. Zatrudnił francuskiego lokaja i francuskiego kucharza, z którymi paplał po francusku.

Kiedy dorastała, matka zmuszała ją do ćwiczenia całymi godzinami gry na fortepianie, mówiąc, że ta umiejętność jest niezbędna w małżeństwie. Ale jeśli po kolacji proponowała Fletchowi, że coś zagra, spoglądał na nią z wyrazem bezbrzeżnego znudzenia na twarzy, krzyżował ramiona na piersi i siedział nieruchomo, dopóki nie skończyła. Potem wstawał, kłaniał się uprzejmie i życzył dobrej nocy. Nie całując jej.

Zwolniła kroku. Kiedy Fletch przestał ją całować? Sama myśl o tym wycisnęła jej łzy z oczu. Po chwili znalazła chusteczkę i próbowała się nad tym zastanowić. Nie mogła sobie przypomnieć. Ostatni pocałunek. ... nie wiedziała, że to był ostatni pocałunek.

Być może ostatni raz, kiedy w ogóle ją całował!

Dopiero gdy zauważyła, że ktoś przed nią stoi, dotyka jej policzka i coś do niej mówi, zdała sobie sprawę, że opiera się o ścianę i łka. Dosłownie zanosi się płaczem.

- Ja... ja... ja... - wyjąkała, spoglądając spod zapuchniętych powiek. - Jemmo! Jestem taka... - Załkała, padając w ramiona przyjaciółki.

Jemma pocałowała ją w czoło i powiedziała:

- Cicho... już dobrze - po czym odezwała się do kogoś stojącego za jej plecami: - postąpiłaś dokładnie tak, jak należało, Isidore.

Jemma pocałowała ją jeszcze raz, jakby była małą dziewczynką.

- Kochanie, Isidore znalazła mnie, gdy zauważyła, że jesteś przygnębiona. A teraz chodź ze mną.

Poppy bez słowa pozwoliła się zaprowadzić na sofę. Lady Isidore del'Fino usiadła naprzeciwko. Mama tłumaczyła jej, że nigdy nie powinna wyjawiać sekretów swojego małżeństwa, że byłoby to nielojalne. I zawsze, gdy Poppy zaczynała opowiadać o małżeństwie, mama powtarzała, że powinna nauczyć Fletcha poczucia odpowiedzialności odpowiedniego zachowania.

- Czy on cię szanuje? - pytała.

A Poppy potwierdzała. Nie była absolutnie przekonana, że tak właśnie jest, ponieważ ostatnio w spojrzeniu Fletcha dostrzegała coś rodzaju niesmaku. Ale druga możliwość była tak straszna, że Poppy nie chciała nawet o niej myśleć.

- Jeśli cię szanuje, to nie masz się o co martwić - oznajmiała jej matka. Nie mów nikomu ani słowa o tym, że jesteś rozczarowana Fletcherem, on wyświadczy ci tę samą uprzejmość. Na tym polega małżeństwo.

Na myśl o tym Poppy poczuła łzy napływające do oczu. Przestało ją obchodzić, na czym polega małżeństwo. Zwłaszcza kiedy Jemma usiadła tuż obok - w każdym razie na tyle blisko, na ile pozwalała suknia Poppy - i poprosiła:

- A teraz opowiedz mi, co się dzieje?

- To Fletch. - Zachlipała. Jej chusteczka była mokra od łez, więc Jemma podała jej swoją. - Moje małżeństwo... Nie, nie potrafię tego powiedzieć.

Jemma odezwała się po chwili milczenia.

- Małżeństwa są jak kanapowe pieski - powiedziała z lekkim westchnieniem. - Każdy chwali się zwierzakiem, ale wszystkie, które znam, lubią tylko drapać boazerię i rzucać się na ludzi. Moim zdaniem to porażka.

Poppy czknęła dość głośno.

- Przepraszam - powiedziała, biorąc głęboki oddech. - Zawsze dostaję czkawki, kiedy jestem zdenerwowana. Mama mówi, że to odrażający nawyk, ale naprawdę nie potrafię nad tym zapanować.

- Cóż, drapanie pazurami boazerii jest znacznie gorsze - pocieszyła ją Jemma. - A więc co się dzieje z twoim małżeństwem? Chociaż raczej powinnam zapytać, co może się zdarzyć w twoim małżeństwie, co nie zdarzyło się w moim?

- Jestem pewna, że dzięki tej rozmowie zacznę być zadowolona, że jeszcze nie mieszkam ze swoim mężem - odezwała się Isidore, kiedy Poppy próbowała powstrzymywać płacz. - Czy twój mąż zaczął używać różu?

- Nie!

- Pytam tylko dlatego, że jestem pewna, iż wicehrabia St. Albans położył sobie coś na policzki, a on i Fletcher są bliskimi przyjaciółmi, nieprawdaż?

- To nie znaczy, że dzielą się kosmetykami - wtrąciła Jemma. Ścisnęła dłoń Poppy. - Poczujesz się lepiej, jeśli nam opowiesz, kochanie.

- Myślę, że on... - Poppy nie potrafiła tego wykrztusić. Jej podejrzenia były zbyt potworne, by brać je pod uwagę. - Zachował się wobec mnie okropnie w obecności przyjaciół... Powiedział... Powiedział, że nasze życie małżeńskie nie jest takie, jak... jak by pragnął. - Łzy znowu popłynęły strumieniami. - Ale ponieważ on nigdy nie odwiedza mojej sypialni, nie wiem, co mogłabym na to poradzić!

- Powiedział to przy swoich przyjaciółach? - spytała Jemma. Jej głos wzniósł się o dwie oktawy. Samo to sprawiło, że Poppy poczuła się lepiej.

- *Bastardo* - syknęła Isidore.

- Otóż to - orzekła Jemma. - Jak mógł zrobić coś takiego? Co dokładnie powiedział, Poppy?

- No cóż, szłam z... z... - Głos jej zadrzał.

- Z kim? - pytała Jemma.

- Z wicehrabią St. Albans - odpowiedziała z wahaniem - i z Gil-lem. I...

- A on rozmawiał z kobietą? - domyśliła się Isidore. - Nie powiedział chyba tego przy kobiecie?

- Nie, ona odeszła wcześniej... - Poppy zawiesiła głos.

- Rozumiem - powiedziała Jemma, znowu ściskając jej dłoń. - Zgaduję, że Fletcher ma kochankę.

Słyszając to słowo, Poppy poczuła dławienie w gardle.

- Kochaliśmy się - szepnęła. - Fletch był we mnie zakochany jeszcze kilka lat temu. A potem wszystko poszło nie tak!

- Przynajmniej miał na tyle przyzwoitości, by trochę poczekać - rzekła Jemma. - My byliśmy małżeństwem parę tygodni, kiedy weszłam do pokoju Beaumonta

w Westminsterze i zastałam go z kochanką na biurku.

Poppy i Isidore krzyknęły niemal równocześnie.

- Nie!

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś!

Jemma uśmiechnęła się smutno.

- To nie są informacje, które chętnie się przekazuje.

- Kim ona była? - spytała Poppy.

- Nazywała się Sarah Corbett - mówiła Jemma. - Właściwie to nie ma znaczenia, ponieważ przypuszczam, że ją odprawił, czy też cokolwiek oni robią z kobietami, których mają dość.

- Przynajmniej jej nie znałaś - powiedziała Poppy

- Dobrą rzeczą jest to, że nas nie mogą odprawić - powiedziała Isidore z namysłem.

- Tak, są na nas skazani do końca życia - dodała Poppy. - Chociaż Fletch byłby szczęśliwy, gdyby mógł mnie odprawić. Patrzy na mnie w taki sposób... - Głos jej drżał, kiedy to mówiła. - Po prostu chciałabym wiedzieć, co zrobiłam nie tak! Co takiego powiedziałam? Albo uczyniłam? Teraz mnie nienawidzi. Naprawdę.

- Beaumont także był *bastardo* - orzekła Isidore.

- Problem polega na tym, że wciąż go kocham - mówiła Poppy. Nic na to nie poradzę. Nawet teraz, kiedy zrozumiałam, jak bardzo mnie nie znosi, próbowałam wyrzucić go z serca i nie potrafię.

- Wielkie nieba - westchnęła Jemma. - Wyrzucić z serca? Jesteś poetką!

Poppy czknęła głośno.

- Jesteś pewna, że nie potrafisz? - pytała Jemma. - W pierwszych tygodniach małżeństwa byłam głupio zakochana w Beaumoncie, ale kiedy zastałam go z kochanką... I kiedy powiedział, że kocha tę kobietę. .. Wcale nie było mi trudno pozbyć się go z mojego serca. W tej chwili wydaje się zaciekle flirtować z panną Charlotte Tatlock, a mnie to jedynie irytuje.

- Naprawdę? - zapytała Poppy ze smutkiem. - Próbowałam przez cały rok, ale nic na to nie poradzę, nie potrafię. Wciąż go kocham. Jeśli jest przy mnie, czuję się szczęśliwsza. - Jej oczy znowu wypełniły się łzami. - Ale podejrzewam, że kiedy

nie wiedziałam, gdzie jest, zadawał się z innymi kobietami. Do tej pory nawet nie przyszło mi to do głowy!

- Kim była kobieta, z którą rozmawiał? - spytała Isidore.

- Lady Nevill - odparła Poppy. - Loui... - przerwało jej szczególnie głośne czknięcie. - Louise! Ale... nie mogę uwierzyć, żeby Louise... A jednak uśmiechali się w taki sposób...

- Nie Louise - powiedziała stanowczo Jemma. - Nie twierdzą, że dochowuje przysięgi małżeńskiej. Zresztą ponieważ jej mąż jest inwalidą, nikt nie miałby do niej o to pretensji. Ale Louise ma własny kodeks i nigdy nie przespałaby się z mężem przyjaciółki.

Pociągnęła za ozdobny sznur dzwonka.

Służący natychmiast otworzył drzwi.

- Czym mogę służyć, Wasza Wysokość? - spytał, wpatrując się w przeciwległą ścianę. - Fowle prosił mnie, żebym stanął przy drzwiach i dopilnował, aby nikt paniom nie przeszkadzał.

- Czy mógłbyś poprosić lady Nevill, żeby się do nas przyłączyła, jeśli wciąż tu jest? - zwróciła się do niego Jemma. - Chciałybyśmy też tacę z pierniczkami i gorącą czekoladą.

W chwili, gdy drzwi się zamknęły, Poppy wykrzyknęła:

- Nie możesz powiedzieć Louise o moich podejrzeniach, Jemmo! Będzie się zamartwiała, że mogłam tak źle o niej pomyśleć.

- Nie, nie będzie - odparła Jemma.

- Też tak sądzę - wtrąciła Isidore. - Nie znam jej wprawdzie tak dobrze jak ty, ponieważ nie biorę udziału we wszystkich tych dobroczynnych przedsięwzięciach, którym poświęcacie tak wiele czasu. Ale kilka razy z nią rozmawiałam i były to interesujące rozmowy. Lubię ją.

Ponieważ Isidore miała cięty język, jak można było oczekiwać przy jej włoskim pochodzeniu, te słowa stanowiły prawdziwą pochwałę.

- To takie smutne - powiedziała cicho Poppy.

W tym momencie weszła Louise. Spojrzała na Poppy - zapewne zauważyła jej zapuchnięte oczy - i podeszła do niej. Uklękła obok niej i ujęła jej dłonie.

- To był tylko flirt, kochanie. Nic więcej. Nie miałam pojęcia, że to twój mąż.

Poppy uśmiechnęła się do niej, próbując przybrać nieco weselszy wyraz twarzy.

- Wiem o tym, Louise. Po prostu... Po prostu Fletch zachował się nieprzyjemnie, kiedy odeszłaś, i to sprawiło, że się rozplakałam. Louise odchyliła się do tyłu i spojrzała na Jemnę. Ta uniosła brwi ze współczuciem - Poppy dostrzegła to kątem oka.

- Proszę, usiądź - powiedziała Poppy, pociągając nosem.

Louise wstała i zwróciła się do Jemmy i Isidore.

- Moje drogie, nie przywitałam się z wami, ale przywykłam do tego, że Poppy przypomina mi, jak należy się zachować w towarzystwie.

Usiadła.

- Louise, mój mąż z tobą flirtował.

- Chciałabym powiedzieć, że nie. - Louise przygryzła wargę. Czy zabrzmi to lepiej, jeśli powiem, że to ja z nim flirtowałam? Ale tylko dlatego, że nie miałam pojęcia, kim jest. To zabójczo przystojny mężczyzna. Masz szczęście! - Zakończyła olśniewającym uśmiechem.

- Isidore - spytała Poppy - czy Fletch kiedykolwiek z tobą flirtował?

Isidore spojrzała na nią zaskoczona.

- Nie. Ale rzadko go spotykałam. Może następnym razem.

- Jesteś niesamowita - orzekła Louise.

- Jemmo, a może Fletch flirtował z tobą? - Poppy wstrzymała oddech, ponieważ wiedziała, jak bardzo Jemma podoba się Fletchowi.

- Nigdy - odpowiedziała pospiesznie przyjaciółka. - Odnosi się do mnie bardzo przyjaźnie, ale nigdy nie przekracza granicy.

- On chciał... - Poppy przełknęła ślinę. - Chciał cię bliżej poznać. Prawda, Louise?

Louise lekko się zarumieniła.

- Tylko dlatego, że nie wiedziałam, kim jest.

- Zamierzał zdradzić mnie z tobą - powiedziała obojętnym głosem Poppy. - Moje małżeństwo jest skończone.

- Byłabyś zaskoczona, jak trudno jest zakończyć małżeństwo - wtrąciła Jemma. - Moje skończyło się, w tym sensie, dawno temu. A jednak jestem tutaj, w Londynie, i planuję poczęcie dziecka.

Isidore uniosła brwi.

- Dziedzica?

- Czy to nastąpi, zanim zakończysz grę w szachy z księciem de Villiers i swoim mężem, czy też dopiero później? - spytała Louise.

- Później. Zmierzam do tego, że twoje małżeństwo wcale nie jest skończone, Poppy. Ono po prostu weszło w nową fazę. - Westchnęła.

- Czy będziesz chciała począć dziedzica również wtedy, gdy to Villiers wygra w szachy? - dopytywała się Isidore, jeszcze bardziej zaciekawiona.

- Oczywiście, że tak! - odparła Jemma. - Nie, żeby Villiers miał wygrać. Po prostu przygotowuję się do tego, żeby pokonać go w wielkim stylu. Ale Beaumont i ja nie spotykaliśmy się w sypialni od ośmiu lat. To nie jest coś, czego wyczekuję z niecierpliwością.

- Moje małżeństwo, takie, jakim je sobie wyobrażałam, jest skończone - odezwała się Poppy, przerywając jej.

Przyjaciółki milczały, co Poppy odebrała jako wyraz aprobaty.

- Mój mąż przestał mnie kochać. Zamierza uwieść inną kobietę i chociaż nie będzie nią Louise, najprawdopodobniej już teraz szuka kogoś w zamian.

- Chociaż nie cierpię szargać mojej reputacji - odezwała się Louise, marszcząc lekko brwi - nie sądzę, żeby miał dużo szczęścia. Chyba że będzie próbował uwieść lady Rutledge, oczywiście.

Poppy nieznacznie drgnęła.

- Louise! - zakpiła Jemma. - Ty i ja jesteśmy bardziej zaprawione w bojach niż nasza droga Poppy. Powinnyśmy mieć na względzie jej wrażliwość.

- Mój mąż właśnie oświadczył każdemu, kto chciał słuchać, że nasze małżeństwo jest oszustwem - wyznała Poppy. - Sądzę, że powinnam dostosować swoją wrażliwość do tej prawdy.

Wszystkie odczuły ulgę, gdy pojawił się Fowle, niosąc tacę.

- Pierniczki, Wasza Wysokość - oznajmił z namaszczeniem. - Gorąca herbata, oczywiście, i gorąca czekolada. A także plasterki cytryny, gdyż kucharz uważa, że są bardzo zdrowe.

- Cudownie - powiedziała Jemma.

Poppy westchnęła głęboko i sięgnęła po babeczkę ociekającą masłem.

- Muszę się przystosować, to wszystko. Wiecie, chyba lepiej znać prawdę. Przez ostatni rok czułam się strasznie, próbując na próżno coś naprawić.

- To nie twoja wina, kochanie, że mężczyźni schodzą z dobrej drogi - pocieszyła ją Jemma.

- O nie, to wina takich kobiet jak Louise! - powiedziała Isidore, chichocząc.

Louise uniosła brew i przywołała je do porządku.

- Dosyć, dzieci, albo oberwiecie ćwiartką cytryny.

- Kogo nazywasz dzieckiem? - zapytała dociekliwie Isidore. - Mam dwadzieścia trzy lata, Louise. Jesteś najwyżej trzy lata starsza.

- Pięć - sprecyzowała Louise i dodała: - Ale wyjątkowo o siebie dbam.

Poppy dokończyła babeczkę i pogrążyła się w rozmyślaniach. To takie straszne i przykre, że Fletch już jej nie kocha. Czuła się zagubiona nikomu niepotrzebna. Ale teraz...

- Kocham was - powiedziała, pociągając nosem.

- Czy będziesz znowu płakać? - spytała Isidore. - Ja też cię kocham, przynajmniej na tyle, na ile cię znam. Ale mogę przestać, jeśli to ma cię doprowadzać do łez.

- My też cię kochamy, moja droga - pocieszała ją Jemma.

- Może powinnam wyjść - odezwała się Louise, odkładając serwetkę. - Naprawdę nie chciałabym przeszkadzać, ale zapewniam cię, że twój mąż pozostanie terra incognita, w każdym razie dla mnie.

- Proszę, zostań - powiedziała Poppy. - W końcu, skoro zamierzam opuścić Fletcha, muszę się dowiedzieć, co mam robić dalej.

Pełne zaskoczenia milczenie, jakie zapadło po jej wypowiedzi, sprawiło jej prawdziwą przyjemność.

„MORNING POST" (CIĄG DALSZY)

Wprawdzie narażone są dusze wszystkich londyńskich arystokratek, ale nie zapominajmy o duszach ich czcigodnych małżonków. Plotkarskie kolumny aż roją się od historii o pijaństwie i niewierności, lecz są nieliczni, jak książę de Beaumont, którzy wydają się postępować odpowiednio do swojej wysokiej pozycji. A jednak mamy wiarygodne informacje, że nawet ów najszacowniejszy z polityków okazał niestosowne zainteresowanie pewnej młodej damie, pannie T. Pominiemy milczeniem jej nazwisko w nadziei, że takie doniesienia to tylko bezpodstawna plotka.

Przerwał jej.

- Prywatnie zwracasz się do mnie po imieniu. Przyjęcie się skończyło. Nie musisz już nazywać mnie Beaumontem.

Poczuła wobec niego niemal litość, chociaż to uczucie było w tym przypadku mało prawdopodobne. Wyglądał na zdezorientowanego...

- Wróciłam do Londynu dla ciebie, Elijahu - zawahała się. Jak powiedzieć to, co niemożliwe do wypowiedzenia?

- Ponieważ mam chore serce? - spytał, a na jego czole pojawiła się pionowa bruzda.

- Ja też jestem coraz starsza - odpowiedziała, próbując wywołać na jego twarzy uśmiech, Bóg wie dlaczego. - Powinniśmy się postarać o dziecko teraz, kiedy jeszcze mogę je mieć.

- To będzie trudne. - Jego uśmiech był raczej wymuszonym grymasem.

- Tak naprawdę nie ma żadnego dowodu, że twoje serce jest słabe, czyż nie? - zapytała.

- Lekarze nic nie widzą, ale mam wrażenie, że nie mają pojęcia, jak wygląda chore serce. - Teraz uśmiechnął się do niej z wyrazem smutku w oczach.

- Nie wiedzą - potwierdziła. - Mogłeś umrzeć tamtego dnia w Izbie Lordów, gdy

wypiłeś zbyt dużo przy obiedzie.

Dostrzegła prawdę w jego spojrzeniu.

- Oczywiście, ty nigdy nie pijesz zbyt dużo. Na Boga, Elijahu, czy zrobiłeś cokolwiek niewłaściwego?

Odpowiedziało jej milczenie.

- Naturalnie poza poślubieniem mnie - dodała z godnością.

- Nie o tym myślałem.

- Cóż - odezwała się Jemma, czując dziwne pragnienie przegnania smutku z jego spojrzenia - pewnie ucieszy cię wieść, że mój brat zabiera swoją złą sławę narzeczoną na wieś. Twoja reputacja została ocalona powiedziała, pochylając się lekko i dotykając jego palca. Miał takie silne palce. Z pewnością serce jest podobnie mocne.

Wzruszył ramionami.

- Wygląda na to, że moja reputacja nie doznała uszczerbku. Właśnie dostałem wiadomość od Pitta. Prosi mnie, żebym przemówił w Izbie Lordów i przygotował ich na jego propozycję podatkową. Bardziej mnie interesuje, kiedy zaczniemy naszą następną partię szachów. Może jutro?

- To bardzo w twoim stylu nie rozpamiętywać długo faktu, że właśnie wygrałeś pierwszą - odpowiedziała.

- Nie widzę powodu, by to rozpamiętywać - powiedział, uśmiechając się do niej. - Zamierzam wygrać również następną.

- To by oznaczało, że nie będzie trzeciej partii - zauważyła.

- A to z kolei wywołałoby wielki zawód w towarzystwie. Wszyscy z taką niecierpliwością wyczekują wieści o trzeciej partii. Z zawiązanymi oczami i w łóżku, nieprawdaż?

Przyglądał się jej uważnie. Podniosła wzrok i spojrzała mu prosto oczy.

- Tak, takie były warunki.

- Wygląda na to, że pokonałaś Villiersa w pierwszej partii - powiedział, starając się nadać swemu głosowi swobodny ton, lecz ona знаła doskonale.

- Drugą zaczęliśmy dziś rano.

- To temat, który fascynuje wszystkich, od młodziutkiej pokojówki po najdostojniejszego księcia w całym kraju - skomentował Beaumont.

Dopiero po chwili Jemma zdała sobie sprawę ze znaczenia tego, co powiedział.

- Ty jesteś najwyższym księciem w kraju.

Wstał i spojrzał na nią z góry. Już wcześniej zdjął perukę. Miał krótko ostrzyżone włosy, które nie zasłaniały jego twarzy, a podkreślały pięknie zarysowane kości policzkowe i zmęczone oczy.

- Nie chciałbym, żebyś sądziła, że dla mnie ta rozgrywka jest mniej fascynująca - rzekł. A potem złożył jej głęboki ukłon.

9

„MORNING POST” (CIĄG DALSZY)

Zakończmy naszą relację napomnieniem skierowanym do zdesperowanych arystokratek. Sprawiajcie sobie przyjemność do woli, lecz pamiętajcie, że wasi mężowie postępują tak samo. A kiedy księżę schodzi z dobrej drogi, może zejść z niej na dobre i ucierpieć na tym wy same.

Dziwziąta wieczorem, tego samego dnia

Było już późno, a Fletch nie wracał do domu. Minęła pora kolacji, lecz Poppy nie przebierała się do snu. Siedziała sztywno wyprostowana, jak uczyła ją matka, i wpatrywała się w ścianę. Jediną dobrą rzeczą tego dnia było to, że matka nigdy nie zbliżała się do miejsca, w którym przebywała księżna Beaumont, więc nie przyszła na przyjęcie. Z całą pewnością jutro rano usłyszy o zachowaniu Fletcha, lecz do tego czasu Poppy mogła w spokoju rozmyślać o swojej sytuacji. I nie musiała myśleć tak, jak chciała matka.

A to była wielka różnica. W jakiś niezauważalny dla siebie sposób Poppy pozwoliła, by matka wszystkim kierowała. Znacznie łatwiej było podążać za nią, postępować tak, żeby była zadowolona. A kiedy była niezadowolona...

Poppy drgnęła. Nie lubiła płakać, odkąd była małą dziewczynką. To nie tak, że

matka jej nie kochała. Kochała. Naprawdę. Czasami Poppy musiała samej sobie o tym przypominać, ponieważ będąc córką lady Flory, czuła się niekiedy jak coś, co należy do lady Flory. Jak jej własność.

Do dziś pamiętała, że jako mała dziewczynka potrafiła całymi godzinami siedzieć i udawać poduszkę. Albo podnózek. Jeśli była bardzo cicho i nie rzucała się w oczy, matka zapominała o jej obecności i nie wykrzykiwała swoich narzekań na ludzi, miejsca i rzeczy, które nie odpowiadały jej oczekiwaniom.

Te wspomnienia sprawiły, że Poppy poczuła się winna. Tak naprawdę matka na nią nie krzyczała - w każdym razie najczęściej nie. Po prostu nawałnice gniewu przetaczały się nad głową Poppy, która w końcu czuła się, jakby się znalazła w samym środku wielkiej burzy. Jeśli lady Flora zauważyła Poppy, zwykle krzyczała. Bo przecież Poppy mogła się poprawić pod bardzo wieloma względami.

Czuła się zmęczona - ludźmi, którzy sprawili jej zawód, których nie sposób było zadowolić i którzy sprawiali, że czuła się gorsza. Głupia. W jej głowie wciąż powracała jedna wyraźna myśl. Nie chciała, by matka na nią krzyczała. I nie chciała nigdy więcej zobaczyć tego wyrazu niesmaku na twarzy Fletcha, nawet jeśli miało to znaczyć, że i jego już nigdy nie zobaczy.

Łza spłynęła na jej dłoń, gdy dotarło do niej znaczenie tych słów.

Nawet jeśli i jego już nigdy nie zobaczy.

Fletch w końcu wrócił do domu około dziesiątej wieczorem. Słyszała krzątanie, jaka zwykle towarzyszyła jego powrotom - lokaj odbierał kapelusz, służący zajmował się jego płaszczem, włosami...

Skrzywiła kpiąco usta.

Naturalnie przyszedł do niej natychmiast, gdy tylko Quince przekazał mu jej życzenie. Aż do dzisiejszego wieczoru ona i Fletch odnosili się do siebie bardzo uprzejmie. Stał przez chwilę w drzwiach, wyglądając jak ilustracja z „Journal de la Mode”. To odbierało jej pewność siebie, zwłaszcza w ciągu ostatniego roku. Im bardziej olśniewająco wyglądał, tym trudniej było odezwać się do niego.

- Proszę, wejdz - powiedziała. - Musimy porozmawiać.

- Przepraszam cię za dzisiejszy poranek - odezwał się. Stał naprzeciw niej, patrząc poważnie, a nie szyderczo. - Nie powinienem mówić do ciebie w taki sposób w obecności przyjaciół.

- Wolałabym poznać twoje zdanie wcześniej niż inni - stwierdziła Poppy. - Ale zauważyłam, że Gili nie był zaskoczony, więc zgaduję, że już przedyskutowałeś z nim sprawę naszego małżeństwa. Może powinieneś powiedzieć mi to, co mówiłeś Gillowi.

- Gili to mój stary przyjaciel - wyjaśnił, a jego spojrzenie natychmiast się zamgliło. - Mężczyźni pod wpływem emocji mówią różne rzeczy, których tak naprawdę nie myślą. Gili był zaskoczony. Kiedy odeszłaś, zbeształ mnie jak sztubaka.

- Przekaż mu wyrazy mojej wdzięczności - powiedziała Poppy, zaciskając pięści. Rozmowa stawała się naprawdę nieprzyjemna. Chciałaby się zamienić w mysz i uciec w jakieś bezpieczne miejsce, gdzie nikt nie będzie na nią krzyczał. Wzięła głęboki oddech i postanowiła być dzielna. - Proszę, usiądź, Fletch.

Usiadł.

- Powinnam wiedzieć, co myślisz o naszym małżeństwie. Nie dlatego, że zamierzam się z tobą spierać albo...

Wyglądał na tak zmęczonego, że serce jej się ścisnęło i przez chwilę pragnęła rzucić mu się do stóp, zadzwonić po herbatę i gorącą kąpiel. Ale zagryzła wargi i zmusiła się do pozostania na miejscu.

- Myślę, że wiedzie nam się równie dobrze jak każdemu innemu księciu i księżnej w Anglii - stwierdził, spoglądając na nią z ponurym grymasem. - Chociaż na pewno lepiej niż księciu i księżnej de Beaumont. Zachowałem się jak osioł, Poppy. Przepraszam.

W jego głosie rzeczywiście brzmiała skrucha, ale to nie miało większego znaczenia.

- Co chciałbyś zmienić, Fletch? - spytała.

- Czasami wszyscy wpadamy na głupie pomysły.

- Nie rozumiem tych pomysłów. Wydaje mi się, że zawsze próbowałam być kimś, kogo pragniesz. Problem w tym, że nie wiem, kto to taki.

- Nikt - zaprzeczył ostro. - Jesteś doskonała taka, jaka jesteś. Byłem głupcem. Nie mówmy o tym więcej.

Przełknęła ślinę.

- Nie jesteś zadowolony z naszego intymnego życia.

Zapadło ciężkie milczenie. Poppy doszła do wniosku, że jej odwaga była dobrym rozwiązaniem.

- Czy myślisz, że nie zdaję sobie sprawy z twojego niezadowolenia? - spytała. - Od chwili, gdy się pokochaliśmy, chciałeś, żebym się zmieniła. Ale jestem dokładnie taką żoną, jaką wierzę, że powinnam być. Nie wiem, jak mogłabym być kimś innym niż ja sama.

Zacisnął zęby. Zauważyła to spod opuszczonych rzęs.

- Niewątpliwie miałem wobec ciebie niestosowne oczekiwania.

- A jaka według ciebie powinnam być?

Nie odpowiedział. Zebrała całą odwagę i brnęła dalej, ponieważ wszystko to powinno zostać powiedziane. Nie zniosłaby kolejnej podobnej rozmowy.

- Pytam poważnie, Fletch. Wciąż się zastanawiam, dlaczego cię rozczarowałam, i nie potrafię znaleźć odpowiedzi. Co robię źle? Próbowałam zrobić wszystko, o co mnie prosiłeś, milczałam, kiedy wydało mi się, że tego oczekujesz, zachowywałam się podobnie jak ty.

- Nie rozczarowałam mnie.

Poczuła tak silny ucisk w żołądku, że niemal zwymiotowała, tu, we własnej sypialni. Zacisnęła pięści, ukrywając je w fałdach sukni, by nie mógł tego zobaczyć. Zachowała całkowicie spokojną twarz - wiedziała o tym.

- Czego oczekujesz? Albo może powinnam zapytać, co chciałbyś, żebym zrobiła?

- Powiedziałaś mi kiedyś, że damy różnią się od praczek pamiętasz?

Uśmiechnęła się blado.

- W ciągu ostatnich dwóch lat pracowałam w szpitalach tak często, mogę powiedzieć, iż tak naprawdę kobiety nie różnią się bardzo od siebie. Nie pamiętam, kiedy to powiedziałam. Czy to dotyczyło jakiejś konkretnej rzeczy?

- Nie chciałaś mnie pocałować inaczej niż z zamkniętymi ustami.

Teraz znowu wyglądał na wściekłego.

- Ale pozwoliłam ci na to - odparła, starając się opanować strach nie dopuścić do tego, by głos jej zadrżał. - Odkąd się pobraliśmy, bardzo się starałam nigdy nie mówić ci „nie”, Fletch.

- Nie powinniśmy zaczynać tej rozmowy.
- Dlaczego?
- Ponieważ robiłaś, co mogłaś, Poppy. Wiem o tym. To ja byłem naiwny.
- Ale powiedz mi, co mam zrobić!

Drgnął, słysząc ostry ton w jej głosie.

- Zawsze sprawiasz wrażenie rozczarowanego. Oczekujesz czegoś ode mnie, ale nie mówisz, czego właściwie chcesz.

- Chciałbym, żebyś... żebyś...

- Tak? - Z trudem rozpoznawała własny głos.

- Sprawiała sobie przyjemność - powiedział ze smutkiem. - Żebyś zadbała o własną rozkosz, bo to sprawi przyjemność również mnie.

Przygryzła wargę tak mocno, że poczuła dziwny, metaliczny smak krwi.

- Jest mi przyjemnie.

Słyszając to, wstał i podszedł do okna.

- Obwinałem cię o coś, czego nie możesz kontrolować. To było niesprawiedliwe.

Przepraszam.

Patrzyła na jego plecy i zrozumiała, że jej małżeństwo naprawdę się skończyło. Nie potrafi dać mu tego, czego chce. Nigdy nie będą razem szczęśliwi, a ona zawsze będzie go rozczarowywać.

Nie mogła tego dłużej znieść.

10

¶ Dwa dni później, 24 kwietnia

Rsiążę de Villiers leżał w łóżku. Czuł palący ból w miejscu, gdzie rapier przebił mu ramię. Zimne kompresy nie przynosiły ulgi.

- Po brandy jest tylko gorzej, do diabła - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Czuł się upokorzony faktem, że nie znosi bólu. W tej chwili na przykład udawał, że leży tylko dlatego, że tak zalecił lekarz. Ale w rzeczywistości nie był pewien, czy

mógłby wstać. Zapewne z powodu utraty krwi.

- Brandy wyleczy infekcję, wasza wysokość - powiedział kamerdyner. Zupełnie jak do niedorozwiniętego dziecka.

- Nie twierdzę, że nie należy tego robić. Mówię tylko, że to zwiększa... dyskomfort.

Mężczyźni nie powinni cierpieć bólu. W dodatku to, co czuł, nie było bólem. To coś znacznie silniejszego - jakby ktoś wbijał mu we wnętrzności rozgrzany do czerwoności pogrzebacz.

- Jeszcze trochę wody jęczmiennej, Wasza Wysokość? - spytał Finchley

Villiers zmrużył oczy i obserwował, jak kamerdyner krząta się po pokoju. Finchley był tym typem kamerdynera, który lepiej niż sam Villiers sprawdziłby się jako książę. Villiers wiedział o tym; wiedział i Finchley. Villiers miał prezencję, arogancję i pochodzenie. Finchley miał prezencję, arogancję, książęcy sposób chodzenia, upodobanie do peruk i wysokich obcasów oraz - niestety - brak odpowiedniego pochodzenia.

Finchley się odwrócił i Villiers uświadomił sobie, że mu nie odpowiedział. Co dziwne, twarz Finchleya przypominała mu jego starą nianię. Prawdę mówiąc, przez chwilę widział jej szeroką twarz w miejscu męskiego oblicza kamerdynera. Patrzył zafascynowany, jak nos Finchleya wyrasta obok nosa niani.

- Wasza Wysokość?

- Finchley, czy masz jakichś krewnych w Somerset? - spytał Villiers, mrużąc oczy i próbując zobaczyć wyraźnie nos Finchleya.

- Żadnych, Wasza Wysokość. Dlaczego pan pyta?

- Przypominasz mi moją nianię z dzieciństwa - mruknął Villiers, nie chcąc przyznać, że tym, co ich łączyło, był nos.

Finchley nie był tym zachwycony. Jego plecy mocniej się wyprostowały, a podbródek uniósł wyżej. Krótko mówiąc, wyglądał jeszcze bardziej arystokratycznie, pomijając fakt, że wciąż miał dwa nosy.

- Zapomniałem, że niania miała na nosie brodawkę - powiedział Villiers niemal nieprzytomnym głosem. - Wiesz, kochałem ją i tak. Może właśnie dlatego nigdy się nie ożeniłem... Myślisz, że to dlatego, iż nigdy nie znalazłem kobiety z brodawką

na nosie, Finchley? Uwierzysz? Czy gdybyś ty był kobietą z brodawką na nosie, mógłbym się z tobą ożenić?

Finchley przez moment stał z otwartymi ustami, a w końcu powiedział:

- Wasza Wysokość, wezwę lekarza.

- Na twoim miejscu kazałbym sobie usunąć ten nos - mówił Villiers, patrząc na niego spod zmrużonych powiek. - Przecież miałeś całkiem niezły nos. Powiedziałbym, że książęcy.

- Proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość. - Służący skierował się do drzwi.

- Jeszcze nie - powiedział Villiers. - Chciałbym szkło, Finchley.

- Wasza Wysokość?

- Szkło! Przynieś mi to małe lusterko. Chcę zobaczyć, ile mam nosów.

Te słowa skłoniły Finchleya do działania. Wcisnął lusterko w dłoń Villiersa i wypadł z pokoju, jakby goniło go stado bestii piekielnych.

Villiers przez chwilę niemal bał się spojrzeć w lustro. Czy jemu także wyrósł dodatkowy nos?

Ale nie. Był tylko jeden wielki nos... I to wszystko. Pomacał go ostrożnie. Tylko jeden. Ale i tak nie wygląda jak książę. Książęta mają jasną cerę i delikatne rysy, niczym wyszukana odmiana psów myśliwskich. Albo są nadzwyczaj urodziwi, jak jego dawny przyjaciel Elijah. Ale przez kilka ostatnich lat przyzwyczał się nie myśleć o Elijahu, znanym też jako książę de Beaumont, dlatego natychmiast porzucił tę myśl.

Villiers wyglądał raczej jak robotnik portowy. Włosy miał smoliście czarne, nie licząc pasm siwizny. Teraz pewnie staną się całkiem białe. Ramię nie paliło aż tak bardzo. Prawdę mówiąc, miał uczucie unoszenia się w powietrzu, co stanowiło dość miłą odmianę.

Przynajmniej brwi pozostały czarne. Kiedyś jakaś kobieta powiedziała mu, że ma oczy węża. Zamykając jedno oko, Villiers odkrył, że wie, co miała na myśli. Otwarte oko było czarne jak noc. Doprawdy dziwne.

Miał tylko jeden nos, ale był naprawdę paskudnym osobnikiem.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadł ten beznadziejnie głupi chirurg, Banderspit, a za nim Finchley. Lokaj stracił dodatkowy nos i wyglądał całkiem normalnie. Banderspitowi natomiast wyrosły czerwone pióra z tyłu głowy. A to osobliwość!

- Wasza Wysokość - powiedział Banderspit, podchodząc do łóżka i kładąc mu rękę na czole - dostał pan gorączki. Trzeba będzie puścić krew.

- Za późno - rzekł ze śmiechem Villiers. - Już się wykrwawiłem. Stoczyłem pojedynek, nieprawdaż? I przegrałem. A niech to! - Usiadł. - Muszę iść do Beaumont House. Czas na nasz następny ruch!

Kilka sekund później zmagali się z Finchleyem i Banderspitem, którzy starali się zatrzymać go w łóżku

- Co wy, do diabła, sobie wyobrażacie? - ryczał. - Zabierzcie ode mnie ręce!

- Wasza Wysokość? - zapytał Finchley drżącym głosem, który zupełnie nie pasował do jego książęcego sposobu bycia. - Czy jest pan znowu sobą?

- Zawsze jestem sobą - powiedział porywczo Villiers. - Może nie jestem miły, ale nie mam innego wyjścia.

Banderspit otarł mu czoło.

- Musimy to zrobić natychmiast - zwrócił się do Finchleya.

- Co zrobić?

- Puścić krew, Wasza Wysokość - odparł Banderspit.

- Niech to diabli! - krzyknął Villiers, przypominając sobie o partii szachów z księżną. - Pora na mój ruch! Pora na mój ruch.

Zaczął się podnosić, lecz w tej samej chwili Finchley dosłownie rzucił się na jego zdrowy bok, przygniatając go do łóżka.

- Doprawdy - rzekł oziębłe Villiers - zawsze panowałem nad uczuciami, jakie ci okazywałem, Finchley. Zachowaj te same granice. Nie mam ochoty iść z tobą do łóżka.

- O jakim ruchu on mówi? - spytał Finchleya Banderspit.

- Z pewnością wie pan, że jego wysokość gra w szachy z księżną de Beaumont - odpowiedział Finchley.

- O tak! - przerwał mu Villiers. - I niestety ona wygrała pierwszą partię.

Finchley go zignorował.

- Jego Wysokość chce kontynuować obecną partię.

- Jeden ruch dziennie - wyjaśnił Villiers. - Jeśli mamy dojść do trzeciej partii. Ta będzie w łóżku i z zawiązanymi oczami. Chyba pan rozumie, że tym razem muszę wygrać! - Uśmiechnął się do grubego doktora. - Choćby po to, żeby zawiązać oczy księżnej.

Banderspit wyglądał na oburzonego.

- Księżna de Beaumont? Mówi pan o żonie księcia de Beaumont?

- No przecież nie o księżnej wdowie - sprecyzował Villiers. Zaczynał odczuwać nieprzyjemne zawroty głowy. - Z nią nigdy nie poszedłbym do łóżka. Ani nie grałbym w szachy. Chociaż te dwie czynności nie są od siebie aż tak bardzo odległe, jak mógłby pan sądzić.

- Właśnie słyszę - rzekł Banderspit, zaciskając usta. - Nie do mnie należy wypowiadać się na temat moralnej oceny pańskich rozrywek, Wasza Wysokość. Choć trudno mi nie wspomnieć, że księżę de Beaumont jest bardzo poważany w parlamencie. Dniem i nocą pracuje nad tym, żeby dać Anglii rząd szanowany i wolny od korupcji!

Villiers patrzył na niego, mrugając oczami.

- Podobają mi się te czerwone pióra, które wyrastają z tyłu pańskiej peruki - oznajmił. - Widziałem kobiety, które ozdabiają swoje peruki w ten sposób, ale nigdy mężczyzn.

Banderspit sięgnął ręką do głowy i natychmiast się wyprostował.

- Proszę sprowadzić mojego asystenta - warknął. - Musimy zacząć natychmiast.

Słuchałam cię od lat, mamo - mówiła spokojnie Poppy. - Luce, proszę, uważaj na moje emaliowane szczotki. Bardzo je lubię.

- Natychmiast przestań pakować rzeczy - warknęła lady Flora do pokojówki Poppy. Luce zamarła. Kiedy lady Flora rozkazywała, ludzie wokół niej słuchali bez

mrugnięcia okiem, niczym głosu dobiegającego z niebios. - My nie odchodzimy od mężów, to byłaby niehonorowa ucieczka! Nie tak cię wychowałam!

- Wiem o tym, mamó - potwierdziła Poppy. - Wychowałam mnie, bym została księżną.

- Księżna jest żoną księcia - zauważyła lady Flora z żelazną logiką.

- Rozumiem.

- Mam nadzieję, że nie słyszę kpiącego tonu.

Poppy na nią spojrzała. Jeszcze w dzieciństwie nauczyła się przybierać wyraz szczerego zainteresowania i uwagi - prawdziwe uosobienie niewinności.

- Oczywiście, że nie, mamó.

- Żona nigdy nie opuszcza męża. Nawet jeśli jest tak wielkim osłem jak twój ojciec. Nigdy go nie opuściłam.

Poppy posłusznie przytaknęła. Z tego, co rozumiała, jej matka odkryła, że małżeństwo nie przypadło jej do gustu, mniej więcej godzinę po ceremonii. A potem pracowicie wpajała tę wiedzę swojej jedynej córce.

- Nie ma sensu wychodzić za mąż, chyba że za księcia - wciąż powtarzała Poppy, nawet gdy ta była jeszcze małym szkrabem ledwie drepczącym za piastunką. - Za księcia, Poppy.

Jak to często bywało w przypadku lady Flory, wydarzenia potoczyły się dokładnie tak, jak oczekiwała.

- Zawsze chciałam, żebyś poślubiła księcia - powiedziała teraz. - I ten jeden raz zrobiłaś to, czego sobie życzyłam.

- Mamó, zawsze robiłam wszystko, czego sobie życzyłaś - zauważyła Poppy, podając Luce leżący obok łóżka modlitewnik.

- Nieprawda! Czy choćby przez chwilę zastanowiłaś się nad decyzją o porzuceniu męża?

- Od tygodnia nie myślałam o niczym innym.

- Zawsze byłaś małym głuptasem - orzekła beznamiętnie matka. - Uważałam, że jesteś głupia, kiedy bełkotałaś o miłości do Fletchera, uznam cię za jeszcze głupszą, jeśli go opuścisz. Tobie jest pisana rola księżnej. Nie wychowałam cię po to, żebyś mi przynosiła wstyd.

To prawda, pomyślała Poppy. Prawdę mówiąc, jej rola jako księżnej polegała dokładnie na tym samym, na czym rola córki - na wspieraniu, komplementowaniu, ozdabianiu i ogólnie uzupełnianiu niejakej lady Flory, matki księżnej.

- Powiedziałam ci, żebyś przestała pakować - warknęła lady Flora do Luce. - Czy jesteś równie głucha, jak brzydka, dziewczucho?

Poppy wspięła się na palce, dzięki czemu wydawała się nieco wyższa od matki.

- Luce będzie dalej pakować, mamó, ponieważ jest moją służącą i poleciłam jej to robić. - Patrzyła spokojnie w stalowoniebieskie oczy matki. - I Luce nie jest brzydka.

- Jak śmiesz mi się sprzeciwiać?! - Oczy lady Flory porównywano do letniego nieba i delikatnych bratków. Gdyby jej wielbiciel zobaczyli je w takiej chwili, zapewne chcieliby jeszcze raz przemyśleć swoje sonety.

Poppy poczuła przyptyw lęku, więc się odwróciła, żeby pozbiierać czasopisma i podać je Luce. Potem wzięła głęboki oddech.

- Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię! - wrzasnęła matka. - Na miłość boską - zwróciła się do Luce - może w końcu wyjdiesz z pokoju, zamiast myszkować tu jak niewytresowany pies?

Struchlała Luce spojrzała na Poppy, która przyzwalająco skinęła głową. Dziewczyna uciekła, zamykając za sobą drzwi z trzaśnięciem tak głośnym, że Poppy aż podskoczyła.

- Niewytresowana - powtórzyła lady Flora. - Zwolniłabym ją już dawno, bo jej jedyną zaletą jest umiejętność układania włosów. Ma wyzywający wygląd i jest brzydka z tym nosem jak kartofel. Nie uważam, żeby okłamywanie niższych klas było dla nich dobre. Lepiej dla niej, jeśli zrozumie swoje miejsce w życiu.

- Opuszczam ten dom - oznajmiła Poppy. - Opuszczam mojego męża. A ty, mamó, możesz to przyjąć do wiadomości albo nie.

- Nie przyjmuję tego do wiadomości i nigdy nie przyjmę. Jesteś księżną.

- Zamierzam nadal być księżną. Natomiast nie chcę być księżną przeżywającą upokorzenia małżeństwa.

- Miejsce księżnej jest w rezydencji jej męża. Czy sądzisz, że kiedykolwiek pomyślałam o opuszczeniu domu twojego ojca? Po co miałabym to robić? Dlatego, że jest idiotą? Mężczyźni są głupcami i on wcale nie był wyjątkiem. Bo nie lubiliśmy

się wzajemnie? Kobieta, która lubi swojego męża, jest naiwna. Sądzisz, że jak długo lubiłam twojego ojca?

Poppy pokręciła głową, żałując, że nie pamięta taty. Żałowała, że nie żył wystarczająco długo, by wiedzieć, czy lubił swą córkę. To mogłoby oznaczać, że przynajmniej jedno z rodziców żywiło do niej jakieś cieplejsze uczucia.

- Uważałam, że jest głupcem, jeszcze zanim go poślubiłam - kontynuowała matka.

- Przestałam go lubić pierwszej nocy, którą spędziliśmy razem. Opowiadałam ci o tym, prawda?

- Tak, mamo.

- Ten człowiek był odrażającym rozpustnikiem - stwierdziła lady Flora. - Odrażającym. Śmierdział jak cap i zachowywał się jak byk. Ale nie zostawiłam cię nieprzygotowaną na tę noc, tak jak to zrobiono ze mną. Prawda?

Pełne obrzydzenia wzdrygnięcie, które towarzyszyło jej słowom, wywarło na Poppy takie samo wrażenie, jak zawsze, odkąd matka zaczęła jej mówić o intymnym życiu małżeńskim. Poczowała mdłości.

- Nie, mamo.

- Zawsze mówiłam ci nawet najgorsze, przygotowywałam cię. Mówiłam ci, że mężczyźni są nudni, chociaż użyteczni. Przygotowałam cię na ich wstrętne zachowanie w łóżku. Uważałabym, że zawiodłam jako matka... Tak, zawiodłabym, gdybyś poślubiła kogokolwiek o pozycji niższej od księcia albo gdybym nie uprzedziła cię o tym, co cię czeka w małżeństwie.

Matka zauważyła swoje odbicie w lustrze i obróciła się bokiem, żeby mieć lepszy widok. Ponieważ nie mogła obejrzeć całej fryzury, ugięła kolana, ale nawet wówczas nie widziała jej w całej okazałości, ponieważ składała się z trzech pięter. Pierwsze było ozdobione niebieskimi kordami, drugie sznurami pereł, zaś ostatnie wstążką z błękitnej satyny. Wyglądała tak, że śmiało mogłaby pokazać się na dworze, mimo że składała tylko poranną wizytę własnej córce.

Poppy usiadła, choć w obecności matki było to nieuprzejme. Ale końcu, pomyślała ze znużeniem, księżnej wolno siedzieć, jeśli przyjmuje zwykłe damy.

Matka - zupełnie jakby czytała w jej myślach - wybuchnęła gniewem, dając ujście żalowi wobec rodziców, którzy oddali ją panu Selby'emu, podczas gdy mogła poślubić najdostojniejszych w kraju, gdyby tylko pokładali w niej więcej wiary.

- Spójrz na mnie! - zażądała. - Tylko spójrz na mnie!

Poppy spojrzała.

- Nigdy cię nie okłamałam, córko. I teraz też nie będę cię okłamywać. Poślubiłaś księcia, ale jestem piękniejsza od ciebie, nawet teraz, gdy jestem dojrzałą kobietą. Jeśli tylko znalazłby się odpowiedni książę, natychmiast bym za niego wyszła. Gdybym tego zechciała, oczywiście.

Wyprostowała się, poprawiła i przygładziła błękitną wstążkę.

- Zmierzam do tego - mówiła dalej - że jesteś głupia, jeśli myślisz o porzuceniu męża. Co na tym zyskasz? Nie będziesz wolna, dopóki nie umrze, a nic nie wskazuje, żeby to miało wkrótce nastąpić.

Poppy pomyślała, że to wyjątkowo nieuprzejme ze strony matki wyrażać tak głębokie rozczarowanie dobrym stanem zdrowia Fletcha. Ale jej ojciec się poddał i umarł krótko po ślubie, więc matka najprawdopodobniej uznała, że taka jest naturalna kolej rzeczy.

- Nie chcę, żeby Fletch umarł - zaznaczyła.

- Więc dlaczego od niego odchodzisz? Wyjaśnij to, Perdito. Nie widzę absolutnie żadnego powodu, żebyście wy dwoje się rozstawali. Powinnaś po prostu pozwolić mu pójść swoją drogą i sama iść swoją... - urwała na chwilę, po czym zapytała: - Czy chodzi o łóżko?

Poppy odniosła przedziwne wrażenie, że matka okazała jej zrozumienie.

I rzeczywiście, na twarzy lady Flory pojawił się grymas, który u każdej innej kobiety mógłby oznaczać współczucie. Usiadła na skraju łóżka.

- Wiem, że to wstrętne. Pamiętam to, Perdito. Dobrze pamiętam. Żadna kobieta nigdy nie zapomni tego bólu i upokorzenia.

- To nie było...

Ale matka już jej nie słuchała.

- Ten jego przekrwiony instrument, taki siny i ruszający się we wszystkie strony... Wiesz, to sprawiło, że zwymiotowałam. Zwymiotowałam, tam w sypialni. Ale to go nie powstrzymało. Zupełnie nie. Nie, on... on się roześmiał i... dalej robił swoje.

Dziś trudno w to uwierzyć, ale minęły całe trzy miesiące, nim znalazłam w sobie dość siły żeby nie wpuścić twojego ojca do sypialni. Poppy nigdy wcześniej o tym nie słyszała.

- Nie wpuściłaś go? Wydawało mi się, że mówiłaś, iż ojciec odwiedzał cię raz w tygodniu.

- O tak, kiedy znowu mu na to pozwoliłam. Ale na początku... On nie traktował mnie poważnie, wyobrażasz sobie?

Poppy pokręciła głową. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że ktoś mógłby zlekceważyć jej matkę.

- Wylałam na niego pełny nocnik - oznajmiła lady Flora.

- Fuj!

- I miałam wtedy miesięczkę - dodała z satysfakcją. - Dokładnie tak to zaplanowałam.

Poppy poczuła, że i ona za chwilę zwymiotuje.

- A kiedy znowu pozwoliłam mu się do siebie zbliżyć, był utemperowany i dokładnie rozumiał swoją rolę w sypialni - mówiła matka.

Pozwoliłam, żeby odwiedzał mnie raz w tygodniu do chwili, gdy ostałaś poczęta. A ponieważ miałaś odziedziczyć całą jego ziemię, oświadczyłam, że nie życzę sobie, żeby ten jego obrzydliwy męski organ kiedykolwiek znowu dotknął mojej skóry. Poppy ułożyła wargi w coś na kształt uśmiechu.

- Widzę, że twój mąż będzie znacznie trudniejszy do wytresowania niż mój - powiedziała z namysłem matka.

- Ja...

- Nie zajęłam się tobą wystarczająco dobrze, moje dziecko. Poppy z trudem nie okazała zdumienia. Matka pogładziła ją po rajeniu.

- Jak często on odwiedza swoją kochankę?

Poppy pokręciła głową.

- Nie sądzę, żeby Fletch miał kochankę.

- Nie ma kochanki? - Matka westchnęła. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że sama musisz świadczyć mu te wszystkie... usługi? Ile lat trwa?

- Jesteśmy małżeństwem od czterech lat. Ale to nie...

- Wstrętne! - Matka niemal splunęła. - Książę nie powinien się zachowywać w tak obrzydliwy sposób. Można by oczekiwać, że usiłuje splodzić dziedzica. Ale jeśli tak długo próbuje bezskutecznie, to niemal na pewno jest do tego niezdolny. - Znowu pogłaskała ją po ramieniu.

- A może to ja... - powiedziała zgnębiona Poppy.

- Nigdy - stanowczo zaprzeczyła matka. - Jesteś z dobrego, silnego rodu i płynie w tobie moja krew. Twój ojciec i ja wykonaliśmy to zadanie w rozsądnym czasie. Nie. Jeśli zajdzie taka potrzeba, po prostu musisz znaleźć kogoś innego i postarać się o dziedzica. Takie jest zadanie kobiety, jakkolwiek może być nieprzyjemne. Kiedy nadejdzie pora, wybiorę ci odpowiedniego człowieka. Tak samo jak wybrałam ci męża.

- Nie wybrałaś Fletcha, mamó. Sami siebie wybraliśmy.

- Nonsens - zaprzeczyła energicznie lady Flora. - Wybrałam go w chwili, gdy pojawił się w Paryżu. To było urocze, kiedy wy dwoje tak ładnie zabawialiście się w miłość, chociaż śmiem stwierdzić, że przez to było ci tylko trudniej, kiedy odrażająca prawda wyszła w końcu na jaw.

Poppy przełknęła ślinę.

- Jaka odrażająca prawda, mamó?

- Małżeństwo służy wygodzie mężczyzn - zauważyła bez ogródek matka. - Kobiety nigdy nie zgodziłyby się brać udziału w tych wstrętnych praktykach, gdyby nie to, że zawierając małżeństwo, mężczyzna kupuje kobietę, a ona zgadza się urodzić mu dzieci. Właśnie dlatego twoje poświęcenie się opłacało. Podpisując kontrakt, otrzymałaś trzecią część jego majątku. I dlatego fakt, że chcesz go opuścić, utrudnia sprawę. - Pogłaskała ją po ramieniu. - Nie martw się. Pomyślę o wszystkim. Nie chcę, żebyś sądziła, że nie możesz się zwierzyć matce, kiedy jest ci ciężko.

- Nie całkiem o to chodzi... - Ale matka naturalnie nie pozwoliła jej dokończyć zdania. Czasami Poppy przychodziło do głowy, że w towarzystwie lady Flory mogłaby spędzić cały tydzień, nie kończąc ani jednego zdania.

Nie zdawałam sobie sprawy, że musiałaś znosić to... aż przez cztery lata! -

stwierdziła matka, przypatrując się jej uważnie. - Wiem, że byłaś przygotowana na ten akt, sama o to zadbałam. A jednak dusza matki cierpi na myśl, że jej córka musi przechodzić przez to samo, co ona. Sądzę, że masz rację. Powinnaś odejść.

- Powinam?

- Odejdź. To zmusi Fletchera do znalezienia sobie kochanki, mężczyźni są całkowicie podporządkowani swoim żądom, nie panują nad nimi. To niezwykle, żeby mężczyzna interesował się jedną kobietą dłużej niż pięć lat, więc jestem pewna, że twój mąż po prostu potrzebuje jakiejś zachęty. Nie możesz go bardzo nienawidzić. Przynajmniej się kąpie.

- Tak - wymamrotała Poppy.

- Przenieś się do jego domu - oznajmiła matka. - Szybko mu uświadomię niestosowność jego postępowania. Ty jesteś zbyt młoda i uległa, Poppy. Nie masz tak mocnego kręgosłupa jak ja, kiedy wsadziłam twojemu ojcu nocnik na głowę. Na miłość boską, cierpisz od czterech lat! Czuję się strasznie jako matka. Jak mogłam nie zauważyć twojego cierpienia.

Ku swemu zaskoczeniu Poppy stwierdziła, że spojrzenie błękitnych oczu matki było rzeczywiście lekko zamglone.

- Wszystko w porządku, mamó - powiedziała. - To nie było aż tak bardzo...

- Troszczę się o ciebie - tłumaczyła lady Flora. - Wiem, że czasami mogę ci się wydawać trochę przytłaczająca. Mamy różne osobowości, a ja nie umiem dobrze ukrywać prawdy, gdy ją dostrzegam. Ale troszczę się o ciebie, Perdito. Zawsze to robiłam.

- Wiem o tym mamó - rzekła Poppy.

Matka zacisnęła szczęki.

- Pokażę twojemu mężowi, jak powinien się odnosić do księżnej.

- Och...

- Nie martw się. - Matka uniosła dłoń w geście, którym generał mógłby zatrzymać całą armię. - Nie będę aż tak brutalna, jak wynikałoby to z mojego charakteru. Użyję podstępu. Będę delikatna. Pozwolę, by ten młody głupiec sam wyciągnął wnioski. A kiedy już uznasz, że lepiej rozumie swoje prawa i obowiązki, wrócisz i odtąd będziecie żyli zgodnie.

- Ale jeśli tu zostaniesz, mamó...

Matka zmarszczyła brwi.

- Wiem, co masz na myśli. Dokąd się udasz? Byłoby nieco dziwne, gdybyś sama wróciła do mojego domu.

Wtedy stał się cud. Poppy otworzyła usta i powiedziała:

- Zamierzam zatrzymać się u mojej bliskiej przyjaciółki.

- Kto to taki?

- Księżna de Beaumont.

- Beaumont? - powtórzyła lady Flora. - Ta dziwka? Dlaczego na Boga chcesz zatrzymać się właśnie u niej?

- Lubię ją.

- Nie mogłabyś zamieszkać u lady Wartley? Wspaniale udziela się w radzie szpitala i wiem, że darzy cię szczerym uczuciem.

- Będę się lepiej czuła u Jemmy.

- Żałuję, że dopuściłam do tej znajomości - stwierdziła matka. - W Paryżu wszystko było w porządku, ale kto by pomyślał, że ta ulicznica zechce wrócić do Anglii?

- To moja przyjaciółka, mamó. Wolałabym, żebyś nie...

- Nazywam rzeczy po imieniu - odparła lady Flora. - Zawsze tak postępowałam. Ta kobieta to ulicznica i to wszystko, co mam na ten temat do powiedzenia. Żał mi tylko jej męża, Beaumonta. Z drugiej strony, ona jest księżną. Pozwalam ci złożyć jej wizytę.

- Jeśli pozwolisz, matko - powiedziała Poppy, składając ukłon, który był tylko odrobinę lekceważący - jestem umówiona. Każ służbie przynieść wszystko, na co będziesz miała ochotę.

- A wiesz... - Matka zamyśliła się na chwilę. - To może być nawet miłe. Zawsze uważałam, że w innych okolicznościach świetnie poradziłabym sobie na scenie.

Poppy poczuła niemal współczucie dla Fletcha.

- Zacznę od napadu hysterii. Zauważyłam, że mężczyźni najbardziej na świecie nie znoszą hysterii. W ten sposób odpowiednio go przygotuję. - Lady Flora ujęła ją pod brodę. Ku zaniepokojeniu Poppy jej spojrzenie było znowu zamglone. - Byłam okropną matką. Tak bezmyślnie zostawiłam cię samą na całe cztery lata.

- Ależ naprawdę...

-Już cicho. - Uroczyście cmoknęła Poppy w czoło. - Matka bierze sprawy w swoje ręce. Kiedy dam ci znak do powrotu, Perdito, twój mąż będzie już nowym człowiekiem. Obiecuję ci. Będzie cię błagał, byś wróciła do domu, a ty przedstawiś mu wtedy własne warunki, myśl o mnie - w jej oczach pojawiły się rzadko spotykane iskierki humoru - jako o nocniku, z którym Fletcher ma się spotkać.

Poppy zeszła po schodach i przechyliła się przez poręcz, przykładając rękę do serca. Czy naprawdę chce zostawić Fletcha na pastwę matki? Ale kiedy pomyślała o jego zachowaniu, o tym, jak flirtował Louise, doszła do wniosku, że owszem, chce.

Zasłużył na spotkanie z jej matką.

Problem polegał na tym, że o ile naprawdę przyjaźniła się z Jemmą, o tyle było wiele kobiet, które znała lepiej i z którymi spotykała się w różnych komitetach, oddanych sprawie dobroczynności. Kobiet, których reputacja była śnieżnobiała w porównaniu z księżną de Beaumont.

Cały Londyn wiedział, że Jemma miała liczne romanse w czasach, gdy mieszkała w Paryżu, daleko od męża. Towarzystwo z zaciekawieniem obserwowało szachowy pojedynek, który Jemma toczyła ze swoim mężem i księciem de Villiers. I większość arystokracji uważała, że księżna de Baumont była co najmniej niemoralna.

I właśnie dlatego Jemma była najbardziej odpowiednią osobą. Nie będzie potępiać. Ani namawiać do powrotu.

A matka nigdy w życiu nie przekroczy progu takiej rozpustnicy, niezależnie od tego, czy jest księżną, czy nie. Jeśli lady Flora uważała, mężczyźni są głupcami, to kobiety, które dobrowolnie się z nimi zadawały, miała za coś znacznie gorszego. „Ladacznicą”, syczała, słysząc jakąkolwiek plotkę na temat kobiety. Pozwalała Poppy przyjaźnić się Jemmą przez te wszystkie lata spędzone w Paryżu, ponieważ snobizm brał w niej górę nad pogardą. W końcu Jemma była księżną. Wreszcie Poppy puściła balustradę i zdała sobie sprawę, że jej ręce są mokre od potu. Stała prosto i poprosiła lokaja, by podał jej futro.

- Proszę cię, Quince, powiedz księciu, że opuszczam jego dom oznajmiła na koniec.

Lokaj wytrzeszczył oczy.

- Wasza Wysokość?

- Postanowiłam zamieszkać gdzie indziej - wyjaśniła, zapinając futro pod brodą. Koniec kwietnia był raczej chłodny. - Pewnie mu się to nie spodoba. Jeśli będzie miał mi cokolwiek do powiedzenia, może mnie spotkać na balu u lady Vesey w tym tygodniu.

Lokaj zamknął gwałtownie usta i się uklonił.

- Czy mogę wyrazić żal w imieniu służby, Wasza Wysokość?

Wolność przyprawiła Poppy o zawrót głowy.

- Dlaczego mielibyście żałować? Bez księżnej w rezydencji wiele zmieni się na lepsze. Przypuszczam, że księżę będzie większość czasu spędzał poza domem tak jak teraz, więc na pewno nie przybędzie wam pracy.

Quince wyglądał na speszzonego, więc poklepała go po ramieniu.

- Czy mógłbyś wezwać dla mnie powóz?

- Wasza Wysokość - powiedział, przełykając ślinę, i się uklonił. Poppy usiadła na krześle w przedsiionku i podśpiewywała cicho. Przedsiionek był duży, ale urządzono go niezwykle surowo. Z przyjemnością pomyślała, jak bardzo go nie lubi. Było nieprzyjemnie zimno.

Wiedziała, że Jemma może być zaskoczona jej wizytą, lecz szybko przegnała tę myśl. Najważniejsze, że w końcu była prawie szczęśliwa. Poczwała ulgę.

Fowle, kamerdyner Jemmy miał tak miłą twarz, że Poppy posmutniała, kiedy ją zapytał, czy zdejmie okrycie. Kilka minut później do salonu weszła Jemma.

Poppy wstała, lecz żadne słowa nie przychodziły jej do głowy.

Jemma stanęła w drzwiach, niczym uosobienie francuskiej elegancji, od starannie ułożonych włosów po czubki pantofli z delikatnego różowego jedwabiu.

- Jak miło cię widzieć - przywitała przyjaciółkę. Poppy przełknęła ślinę.

- Myślałam, że wrócę do domu, do mamy. Ale ona zamierza zostać u mnie i...

I wychowywać Fletcha.

Jemma zamrugwała z niedowierzaniem.

- Chcesz powiedzieć, że lady Flora ma zamiar wychowywać Fletcha?

- Właśnie tak - potwierdziła Poppy.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, że ktokolwiek mógłby to zrobić, bardziej twoja matka!

- Czy mogę zostać u ciebie z wizytą?

- Byłabym zachwycona - ucieszyła się Jemma, całując ją w policzek. - To musi być opatrność, zwłaszcza że brat zabrał na wieś moją ulubioną podopieczną i zostałam całkiem sama.

- Czy to prawda, że mają się pobrać za specjalnym pozwoleniem? - spytała Poppy.

Jemma westchnęła. Prawda była taka, że podopieczna dała się złapać z jej bratem niemal na gorącym uczynku. I to na otwartej łodzi! Więc jak najszybszy ślub był jedynym rozsądnym rozwiązaniem dla wszystkich zainteresowanych.

- Jestem przekonana, że mój brat darzy tak wielkim uczuciem przyszłą żonę, że nie chce dłużej czekać.

- Obawiam się, że nie będę dobrym towarzyszem - powiedziała Poppy czując, że łzy znowu napływają jej do oczu. - Ja... po prostu...

- Kiedy opuściłam Beaumonta, płakałam całym tygodniami - wyznała Jemma, a w jej oczach pojawił się wyraz udręczenia. - Całymi dniami.

- Ja też tak mogę - rzekła Poppy drżącym głosem. - To znaczy czuję, że mogłabym.

- Więc jesteś we właściwym miejscu - uspokoiła ją Jemma. - Nie będę ci się narzucać, ale jeżeli zapragniesz towarzystwa, wystarczy, że powiesz. Płacz do woli!

Poppy nie potrafiła powstrzymać uśmiechu, choć po policzkach nadal płynęły jej łzy.

12

Jedynym sposobem obniżenia gorączki jest puszczenie krwi - orzekł Banderspit. - Albo postawienie baniek. Gorączka utrzymuje się od ponad tygodnia.

Finchley spojrział na księcia. Villiers wydawał się spokojny. Nagle otworzył oczy i znowu próbował wstać. Finchley rzucił się, by go przytrzymać.

- Muszę zagrać - ryknął książę.

- Ale nawet wtedy jego umysł może być trwale uszkodzony — powiedział Banderspit, krzywiąc usta w pełnym dezaprobaty grymasie. - Człowiek o jego moralności jest niewątpliwie na krawędzi szaleństwa. Rana, jaką odniósł, wystarczy, by wprowadzić jego umysł w stan permanentnego zaburzenia.

- Nie! - krzyknął Finchley, rozluźniając uchwyt na ramieniu Villiersa, ponieważ książę znowu zapadł w stan półsnu. - Książę jest absolutnie zdrowy na ciele i umyśle. Po prostu ma gorączkę.

- Szachownica! Pora na mój ruch! - szepnął Villiers. Głos miał nieco schrypnięty, więc Finchley przyłożył mu do ust szklankę wody. Parę kropel spłynęło mu po szyi. Kamerdyner jeszcze nigdy nie widział swojego pana w tak pożałowania godnym stanie.

- Powinniśmy sprowadzić mu księdza - powiedział szybko Banderspit. - Jak mówiłem, człowiek o tak odrażającej moralności najprawdopodobniej umrze od nadmiaru niegodziwych zachcianek. Nie ma innego powodu, by żyć poza swoimi zdegenerowanymi żądzami. A to nie jest dobra inspiracja.

- To nieprawda! - krzyknął Finchley.

- Czy ma rodzinę?

- Nie.

- To oczywiste, że nie jest żonaty - parsknął Banderspit. - Chociaż najwyraźniej bardzo się stara zrujnować małżeństwa innych.

Villiers znowu się miotał. Otworzył oczy i utkwiał spojrzenie w twarzy Finchleya.

- Finchley!

- Tak, Wasza Wysokość? - Lokaj pochylił się nad nim.

- Muszę zrobić ruch. Wiesz o tym. Będzie musiała przyjść tutaj do mnie, skoro ja nie mogę się podnieść. Poślij jej wiadomość. - Ręka opadła mu bezwładnie, głowę opuścił na poduszkę.

- Majaczy - orzekł Banderspit. - Wątpię, żeby puszczenie krwi mu pomogło. Czekaliśmy zbyt długo.

Finchley miał wątpliwości co do puszczenia krwi. Czyż chirurg nie puszczał krwi drugiemu lokajowi, po czym nieszczęśnik przez miesiąc leżał na stryżku, a w końcu umarł? Finchley zawsze uważał, że wolałby sam powoli dochodzić do zdrowia, niżby mu miano puszczać krew. - Zgadzam się z panem - zwrócił się do lekarza. - Nie wydaje mi się, żeby puszczenie krwi mogło pomóc.

Banderspit rzucił mu podejrzliwe spojrzenie.

- Jestem chirurgiem wybranym przez jego wysokość - oświadczył. Nie masz prawa wzywać nikogo innego.

- I nie wezwę - odparł Finchley, równocześnie przygniatając do łóżka Villiersa, który próbował wstać, aby wykonać swój ruch.

- Wrócę dziś po południu - zapowiedział Banderspit. - Jeśli Jego Wysokości się nie polepszy i nie będę widział szansy, że to wkrótce nastąpi, puszcze mu krew niezależnie od twoich protestów. Chociaż jego moralność zupełnie mi się nie podoba. Złożyłem jednak przysięgę przed Bogiem, że będę pomagał tak samo grzesznikom, jak błogosławionym.

To prawda, pomyślał Finchley. Zwłaszcza jeśli grzesznicy tego świata tak dobrze ci płacą. Wyprowadził Banderspita z pokoju i spojrzął za siebie. Villiers rzucał się z boku na bok.

Nie było rady. Księżna musiała z nim zagrać.

Podszedł do drzwi i zawołał lokaja.

13

Fletch spędził raczej nudne popołudnie w towarzystwie Gilla. Wsiadł z powozu zamyślony. Palił go wstyd połączony z żalem, niczym chłopca, który niechcący zbił szybę. Oczywiście mógł lepiej rozegrać to wszystko z Poppy. Ale minął już tydzień i z pewnością zdążyła się uspokoić. W jego kieszeni spoczywał diamentowy naszyjnik. Może po prostu zostawi go w jej sypialni i niech to będą przeprosiny.

Ale nie. Kiedy przypomniał sobie wyraz jej oczu, pomyślał, że musi załatwić sprawę we właściwy sposób. Ta myśl przyprawiła go o mdłości. Nie widział

w Poppy już nic zabawnego. Zabawne było tylko flirtowanie.

Podał swój płaszcz Quince'owi.

- Jeśli pan pozwoli, Wasza Wysokość - w głosie kamerdynera zabrzmiał niezwykle ton.

Fletch się zatrzymał.

- Czy mógłbym z panem zamienić słowo na osobności?

Zacisnął zęby. Chciał szybko zakończyć sprawę z Poppy i wypić mocnego drinka.

- Czy to nie może poczekać, Quince? Mam coś do powiedzenia księżnej, a potem...

Przerwał mu jakiś głos dobiegający ze szczytu schodów.

Spojrzał w górę i poczuł, że i tak już straszny dzień staje się jeszcze bardziej potworny. Ukłonił się pospiesznie.

- Zaraz się z panią przywitam, lady Floro. Quince ma mi coś pilnego do powiedzenia. - I nie czekając na odpowiedź, skierował się do zachodniego salonu. - Mamy jakieś pięć minut, zanim mnie tu wytropi - ostrzegł kamerdynera. - Czy kucharz znowu zwolnił całą służbę kuchenną? - I sam sobie odpowiedział. - Jeśli tak, to powinienes o tym poinformować księżną. Zatem, co mogę dla ciebie zrobić, Quince?

- To dotyczy księżnej - rzekł kamerdyner.

Fletch uniósł brew.

- Tak?

- Prosiła, żebym przekazał panu wiadomość.

- Doprawdy?

Quince podał mu arkusz papieru.

- Sądzę, że chciała pana poinformować, iż będzie mieszkała gdzie indziej, Wasza Wysokość.

- Mieszkała... O czym, do diabła, mówisz? Nie ma jej na górze z tą smoczyką, jej matką?

- Nie - odparł Quince. - Lady Flora została sama i przeżywa atak hysterii od mniej więcej godziny. Może dłużej. Chyba dłużej - dodał z pasją.

Fletch poczuł zimny dreszcz. Poppy najwyraźniej postanowiła się zabawić. Ale jak mogła opuścić dom i zostawić tu matkę?

- Wasza Wysokość? - jęknął Quince.

- Tak? - Fletch pochylił się w stronę drzwi.

Quince mówił ściszym głosem.

- Lady Flora poleciła służącej, żeby udała się do Selby House i wróciła z jej ubraniami.

Fletch się zatrzymał, cofnął rękę od klamki.

- Powiedz mi, że żartujesz, a ja podwoję ci pensję.

- Wasza Wysokość, jeśli lady Flora tu zostanie, rozważałbym podwojenie pensji całej służby, żeby ich zatrzymać. Fletch dotarł do holu w tej samej chwili, gdy matka Poppy schodziła z ostatniego stopnia schodów. Wstrząśnięty, dostrzegł wyraźnie całą grozę sytuacji. Poppy uciekła i wiele wysiłku będzie kosztowało sprowadzenie jej z powrotem. A czyja to była wina? Matki Poppy. I czyją winą było to, że jego żona źle się czuła w sypialni? Jej matki. I czyją winą było to, że Poppy spędzała większość czasu w szpitalach i przytułkach? Jej matki.

Na pierwszy rzut oka trudno było rozpoznać prawdziwą naturę lady Flory. Ubierała się niczym królowa i przede wszystkim to rzucało się oczy. Szczerze mówiąc, była piękna. Miała kuszącą figurę, co niezwykle u kobiety po czterdziestce. A twarz! Fletch musiał przyznać - mimo miotającej nim wściekłości - że miała piękne rysy, może piękniejsze niż córka. Była to twarz kobiety, która przywykła do robienia dokładnie tego, na co miała ochotę, wtedy, kiedy miała ochotę, i tak jak miała ochotę. Ta kobieta rzadko napotykała sprzeciw. Uważała się za kogoś w rodzaju królowej Anglii. A może - ponieważ było rzeczą powszechnie wiadomą, lady Flora wykpiwała wszystkich, którzy całe życie spędzili na niewielkiej wyspie - za kobiecego odpowiednik rosyjskiego cara?

Fletch ukłonił się tak zamaszyście, że mało brakowało, a jego podbródek przeciąłby powietrze ze świstem.

- Lady Floro, przykro mi to mówić, ale zastała nas pani w bardzo niefortunnym momencie.

Podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Mój biedaku - powiedziała.

Fletch zamrugał zdezorientowany. Do tej pory teściowa traktowała jak każdego innego dżentelmena - jakby był czymś w rodzaju nieco bardziej eleganckiej odmiany służącego

- Czuję się odpowiedzialna - zagruchnęła. Tak! To było gruchanie. Fletch zacisnął zęby i z trudem zapanował nad sobą. Miał ochotę odsunąć się od niej. - Najwyraźniej nie udało mi się dobrze wychować córki, a przez to zawiodłam Waszą Wysokość. Od godziny cierpię katusze. Musi pan to zrozumieć, zbolełe serce matki nie może się z niczym równać.

Fletch otworzył usta, lecz jej urocze wargi ani na chwilę nie przestały się poruszać.

- Potem zdałam sobie sprawę, że na świecie jest tylko jedna osoba, która może rozwiązać ten problem i pomóc mi zrozumieć niezwykle postępowanie mojej córki. - Fletch zauważył, że spojrzenie jej błękitnych oczu na moment stwardniało. - A także ukoić moje obezwładniające poczucie winy. Zostanę u pańskiego boku, Wasza Wysokość. Nie opuszczę pana, mimo że moja córka to zrobiła. Ja...

Fletch odchrząknął.

- Lady Floro, jestem głęboko przekonany, że moja żona wróci do domu, nim zapadnie zmrok. Nie ma najmniejszej potrzeby, by aż tak bardzo się pani ekscytowała.

- Ach, jakże bym pragnęła, żeby tak było! - krzyknęła odrobinę bardziej piskliwym głosem. - Ale muszę powiedzieć, że znam Perdite lepiej niż pan. Potrafi być wyjątkowo niepokorna. - Błysk białych zębów lady Flory omal nie oślepił Fletcha. - Ma to po moim zmarłym mężu, niech spoczywa w spokoju. Wątpię, czy Poppy wróci do pańskiego domu, Wasza Wysokość.

- To oczywiste, że wróci! - ryknął Fletch, cofając się gwałtownie i wrywając rękaw z jej dłoni. - A teraz, jeśli pani pozwoli, poproszę Quince'a, żeby towarzyszył pani do domu. Jesteś pani bardzo poruszona.

Uśmiechnęła się do niego, jakby zupełnie nie słyszała jego słów.

- Proszę się nie martwić - rzekła. - Porozmawiam z zarządcą i zapanuję nad wszystkim. Absurdalna ucieczka mojej córki nie będzie dla pana przyczyną najmniejszych niewygód!

W jej spojrzeniu nic na to nie wskazywało, ale propozycja zastąpienia córki przez matkę miała w sobie coś niestosownego. Z drugiej strony, Fletch nie przypuszczał, by lady Flora wykazywała zainteresowanie sprawami sypialni. Podobnie jak córka.

Jego pierwszą myślą było: uciekać!

- Proszę mi wybaczyć, lady Floro. Mam pilne spotkanie.

Uśmiechnęła się do niego z życzliwością polującego tygrysa.

- Proszę robić, co się panu podoba, Wasza Wysokość. W tym domu wszystko będzie zawsze na pana czekało.

I natychmiast zwróciła się do Quince'a, wydając mu kilka poleceń dotyczących domu, swojej pokojówki i pościeli. Zdumiewające, jak jej głos stracił słodycz, kiedy przemawiała do służby.

- Och, Wasza Wysokość! - zapiała, kiedy lokaj otwierał drzwi.

Fletch odwrócił się do niej.

- Proszę przekazać pozdrowienia mojej córce, gdyby przypadkiem pan z nią rozmawiał.

Fletch się uklonił. Zabawne, włosy lady Flory wciąż miały imponujący złocisty kolor. Wcale nie przypominały kłębiących się węży. A jednak...

Kamerdyner uklonił się przy drzwiach, trzymając płaszcz, który Fletch przed chwilą zdjął.

- Quince - powiedział, zatrzymując się na chwilę - jak się nazywała ta bogini o włosach z węży?

- Meduza, wasza wysokość - odparł Quince. - Jedno jej spojrzenie zamieniało człowieka w kamień.

- No właśnie - powiedział z namysłem Fletch, kierując się do powozu. Poppy zrozumie, że musi wrócić do domu.

Peruka była piekielnie ciężka, lecz nie drapała bardziej od tej, którą nosił na co dzień. Większy problem stanowiła halka z obręczami.

- Jak w tym można siedzieć? - zapytał gospodyni, pani Ferrers.

- Ależ to zupełnie małe paniery - zauważyła. - Te sprzed dwudziestu lat były naprawdę straszne. Te tutaj tylko nadają panu bardziej kobiecych kształtów.

Finchley spojrział na gorset sukni w kolorze nieba i parsknął:

- Moje biodra nie są jedyną częścią ciała, która wymaga wypchania, pani Ferrers.
- Byłoby znacznie łatwiej, gdyby pozwolił pan jednej z pokojówek zrobić to za pana
- odparła. - Betty, chodź tutaj. Ona ma odpowiednio dramatyczne podejście.

Pokręcił głową.

- Książę nigdy by mi nie wybaczył, gdybym pozwolił kobiecie zobaczyć go w tym stanie. Nigdy.

Pani Ferrers wydeła usta.

- Betty nie może sobie pozwolić na to, by stracić pracę. Ma trzy siostry.
- Nie ma mowy.
- Pańskie ręce są owłosione, panie Finchley. Proszę mi wybaczyć, że to mówię.
- Może szal? Próbowałem zmieścić się w tę czerwoną suknię z długimi rękawami, ale była za mała.

- Cóż, chyba żaden mężczyzna w kobiecym stroju nie mógłby wyglądać lepiej. Dam panu szal, a pod gorset wsuniemy koronkową chustkę. Tam też wystaje panu trochę włosów.

- Może mógłbym je zgolić... - powiedział niepewnie Finchley. Pani Ferrers cofnęła się i obejrzała go krytycznie.

- Jego Wysokość ma wysoką gorączkę. Ledwie otwiera oczy... - rozmyślał na głos lokaj.

- Wystarczy, że spojrzy na pańskie owłosione ręce i pomyśli, że dręcą go koszmary.

Finchley z jękiem oddalił się wykonać niezbędne czynności.

- Jestem gotów - oznajmił ponuro, wracając po dłuższej chwili.

Pani Ferrers owinęła go kawałkiem tkaniny.

- Nie znalazłam wystarczająco długiego szala, panie Finchley. To jest świąteczny obrus z małej jadalni, ale uważam, że wygląda całkiem ładnie.

Finchley nie spojrział w lustro, lecz od razu skierował się do wyjścia.

- Proszę stąpać lekko - przypomniała mu pani Ferrers. - Nie może pan wejść tam z hukiem, bo księżę, zaskoczony, otworzy oczy. I musi pan mieć delikatny i wysoki głos.

Finchley stanął w drzwiach sypialni i oznajmił swoim normalnym głosem:

- Wasza Wysokość, przybyła księżna de Beaumont, aby grać z panem w szachy.
- Dobrze! - powiedział Villiers, siadając z trudem na łóżku i zdejmując szlafmycę.
- Do diabła, ciemno tu jak w grobie. Jak mamy grać po ciemku? Finchley, przynieś nam lampę.

Finchley skulił się przy łóżku i zapiszczał:

- Ależ Wasza Wysokość, tak jest doskonale. Czy nie możemy po prostu kontynuować?

Villiers zamrugnął, patrząc na Finchleya, lecz najwyraźniej był oszołomiony, gdyż rzekł:

- Wygląda pani jak duch, Jemmo. Cała spowita w biel. Niestety moim zdaniem to nie jest wygląd, który rzuci Londyn na kolana.

Finchley wziął szachownicę, którą podał mu służący.

- Postawię mojego piona tutaj, Wasza Wysokość - zaćwierkał. - Teraz pański ruch i opuszczę pana, życząc dobrej nocy

Księżę wyraźnie z trudem utrzymywał jasność myśli, więc Finchley przysunął szachownicę bliżej niego. Villiers otworzył szerzej oczy i wpatrywał się w pionki.

- Jemmo - odezwał się po chwili - czy koń kiedykolwiek stawał na tylnych nogach i wierzgał, kiedy pani na niego patrzyła?

- Nigdy - skrzeknął Finchley. Wymienili spojrzenia ze służącym.

Villiers wyciągnął rękę i znieruchomiał. Jego dłoń zawisła nad szachownicą.

- Wasza Wysokość? - odezwał się niepewnie Finchley.

Księżę bardzo, bardzo powoli odwrócił głowę. Zmrużył oczy i uważnie obejrzał Finchleya, przyglądając się peruce, gładko ogolonym policzkom i dłużej zatrzymując wzrok na zaczerwienionej skórze ponad gorsetem.

- Finchley - powiedział głosem całkowicie przytomnym i wyraźnym. - Sądziłem, że tracę rozum. Czy z jakiegoś powodu masz coś wspólnego z obecną sytuacją?

- Nie jestem Finchley - powiedział Finchley.

- Nie? A zatem księżnej de Beaumont naprawdę zmieniła się cera. Mogę tylko przypuszczać, że to zgryzota spowodowała taką zmianę w twoim wyglądzie.

Finchley przełknął ślinę.

- Wasza Wysokość martwił się o swój ruch w partii z księżną - zaryzykował.

- Jestem obrzydliwie spocony - rzekł książę. - Muszę się natychmiast wykąpać. Nie mogę się pokazać księżnej w takim stanie.

- Tak też pomyślałem. - Nie mógł się powstrzymać i zadał pytanie: - Jak to możliwe, Wasza Wysokość?

- Że odzyskałem zmysły? Księżna rozpoczęła partię pionem na D4, Finchley. Myśl, że mogłaby postawić skoczka na C8, natychmiast mnie otrzeźwiła. Nigdy nie przesunęłaby skoczka na brzeg szachownicy. Domyślam się, że byłem nieprzytomny.

- Tak, Wasza Wysokość. Rozejrzał się po pokoju.

- Jaki mamy dziś dzień?

- Sobotę - rzekł Finchley, po czym dodał z ociąganiem: - Chorował pan przez blisko dziesięć dni, Wasza Wysokość.

Książę przymknął oczy.

- Co mówią?

- Kto?

- Lekarze, głupcze.

- Może się pan źle czuć przez jakiś czas - referował Finchley. - Banderspit widywał przypadki, kiedy podobny rodzaj gorączki utrzymywał się miesiącami.

- Utrzymywał się? Utrzymywał... a potem?

- Potem zdrowieli! - powiedział Finchley, przeklinając się za brak pewności w głosie.

- Napisz list do księżnej i na razie odwołaj nasze spotkanie - polecił Villiers, ignorując jego słowa. - I lepiej wezwij mojego prawnika. Teraz, kiedy jestem przytomny.

- Tak jest, Wasza Wysokość - powiedział Finchley. - Rano miewał się pan znacznie lepiej, Wasza Wysokość.

- Nic nie pamiętam. - Potarł czoło. - Zupełnie jakby ten koszmarny pojedynek miał miejsce wczoraj.

Doświadczenie podpowiedziało Finchleyowi, że gorączka wraca.

- Powiadomię prawnika, żeby przyszedł jutro rano.

Księżę przyjrzał mu się uważnie.

- Lepiej przypomnij mi, że umieram, zanim się tu pojawi. Inaczej mogę nie wiedzieć, po co przyszedł.

Finchley, ze ściśniętym sercem, uklonił się i powiedział:

- Tak jest, Wasza Wysokość.

15

Dwa tygodnie później, 15 maja

Jemma czytała po raz kolejny *Szlachetną grę w szachy*, kiedy jej pokojówka, Brigitte, zastukała do drzwi i poinformowała, że księżna Fletcher chciałaby się z nią zobaczyć. Zerwała się na nogi.

- Poppy, kochanie, jak ślicznie wyglądasz!

- Obawiam się, że jestem najgorszym z możliwych gości.

Poppy z całą pewnością była niezwykłym gościem. Niemal nie opuszczała pokoju i - według tego, co mówiły pokojówki - nie zajmowała się niczym poza czytaniem. I płakaniem, pomyślała Jemma.

- Nie ma lepszego gościa od takiego, którego nie widać - pocieszyła ją.

Poppy dotknęła książki.

- Nie wiedziałam, że istnieją książki tylko o szachach.

- Prawdę mówiąc, jest ich wiele.

- Musisz mi wybaczyć ignorancję. Wiem, że jesteś świetna w tej grze... I że grasz z księciem de Villiers i jednocześnie ze swoim mężem.

Jemma spojrzała na przyjaciółkę i wzdrygnęła się w duchu. Poppy mogła także wiedzieć o najgorszym.

- Jeden ruch dziennie. Jeśli którakolwiek z rozgrywek dojdzie do trzeciej partii, będziemy grać ze związanymi oczami... i w łóżku.

Zapadła cisza.

- Dlaczego? - spytała w końcu Poppy. Nie wyglądała na wstrząśniętą, raczej na zaskoczoną. - Dlaczego mielibyście grać w łóżku? Czy pionki się nie poprzewracają?

- Być może.

Kolejna chwila ciszy.

- Przypuszczam, że to twój mąż wpadł na taki pomysł?

- Prawdę mówiąc, księżę de Villiers.

- Wygrasz?

- Obie gry? Obawiam się, że to może być trudne - wyznała Jemma. - Byłam wstrząśnięta, kiedy przegrałam pierwszą partię z moim mężem. Na razie obie rozgrywki zostały przerwane do czasu, aż Villiers wydobrzeje.

- Dlaczego nie miałabyś przegrać i tej partii? Wtedy uniknęłabyś trzeciej.

Jemma spojrzała na nią zdumiona.

- Sugerujesz, że celowo przegrałam?

- Dlaczego nie?

To pytanie było niesłychane, niemniej jednak kryło się za nim coś interesującego.

- A czy ty zgodziłabyś się przegrać, aby uniknąć spotkania w łóżku?

Poppy nieco się zarumieniła.

- Gra w szachy w łóżku musi być dość niewygodna.

Jemma odchyliła się na fotelu. Przyjaciółka siedziała wyprostowana, jakby wykuta z żelaza. Chociaż Poppy wyglądała wyśmienicie, teraz - gdy Jemma przyjrzała się jej się bliżej - sprawiała wrażenie kruchej i delikatnej. Jakby miała wybuchnąć płaczem.

- Domyślam się, że sypialnia nie jest miejscem, w którym ty i twój mąż czujecie się szczęśliwi - powiedziała ostrożnie.

- Zawsze się starałam. Ale Fletch nie jest ze mną szczęśliwy. A przecież próbowałam! Gdyby... gdyby moja matka wiedziała, jakie rzeczy z nim robiłam... Ale jemu wszystkiego było ciągle za mało!

Jemie przychodziły do głowy różne niepokojące możliwości. Przez osiem lat spędzonych w Paryżu wiele słyszała o ludzkim zdeprawowaniu. A słodka twarzyczka i złote loki Poppy wyglądały tak... młodo. Zrobiło jej się niedobrze.

- Może to lepiej, że księżę postanowił poszukać innych uciech? - spytała.

Po drugiej stronie stołu zapadło dziwne milczenie, milczenie, jakby nie do końca potwierdzające jej słowa. Ale jeśli Poppy rzeczywiście była wykorzystywana, zapewne bardzo chce się uwolnić od męża.

- Czego właściwie wymagał od ciebie Fletch? - spytała Jemma.

- Niczego - odparła zgnębiona. - Sądzę, że jestem świętoszką. Tyle kiedyś powiedział. A później próbowałam... naprawdę próbowałam.

- Co zrobić?

- Zdjęłam nocną koszulę - wydusiła Poppy.

Jemma przytaknęła.

- I co?

- Zdjęłam ją, zanim się położyłam.

- Tak?

- A potem się położyłam i zupełnie nie narzekałam na to, co bił.

Jemma nie była z natury cierpliwa.

- Ale co właściwie on zrobił, Poppy?

- Grzebał - wyznała Poppy. - On... on zrobił to, po co przyszedł do mojej sypialni. Nigdy się nie skarżyłam - dodała. - Mam nadzieję, że on wie, że może brać, co tylko zechce. Ja...

- Ach, kochanie.

Poppy zalała się łzami.

- Coś jest ze mną nie tak, prawda? Dużo o tym rozmyślałam. Inne kobiety nie są takie. Poza moją matką, oczywiście. Muszę być do niej podobna. Ale Louise flirtowała z Fletchem i wcale nie chodziło o to, że była w nim zakochana.

Jemma nie odpowiedziała od razu, więc Poppy spytała jeszcze raz:

- Louise nie myślała o miłości, prawda?

- Absolutnie nie! - zaprzeczyła Jemma.

- A jeśli ty... jeśli będziesz grać trzecią partię w łóżku z księciem de Villiers, nie wspominając o twoim mężu... To nie będziesz z tego niezadowolona, prawda? - dopytywała się Poppy.

- Raczej nie.

- On odsunie szachownicę na bok i wtedy... będzie ci przyjemnie, tak?

- O którym z nich dwóch mówimy? — spytała ostrożnie Jemma.

- O którymkolwiek - wyjaśniła Poppy z głębokim westchnieniem.

- Myślę, że uda mi się pokonać męża - powiedziała Jemma po chwili namysłu. - A Villiers... - urwała, zdając sobie sprawę, że nie chodzi o to, czy uda jej się wygrać, lecz o to, co się zdarzy, jeżeli przegra. - Naturalnie czasami zdarza mi się trafić do łóżka z moim mężem, ponieważ wróciłam z Paryża właśnie po to, żebyśmy spółdzili dziedzica. Trzeba iść do łóżka, żeby mieć dzieci. Poppy, wiesz o tym, prawda?

- Oczywiście, że tak! - załkała Poppy. Cała twarzyczkę miała teraz mokrą od łez, była równocześnie zrozpaczona, zawstydzona i wściekła. - Nawet powiedziałam o tym Fletchowi! Jak możemy mieć dzieci, skoro nigdy nie odwiedza mnie w łóżku? Powinien wypełnić swój obowiązek! Matka mówi, że mój ojciec odwiedzał ją regularnie, dopóki to się nie stało. Ale Fletch... jego interesuje tylko... - Reszta słów utonęła wśród łez i łkania.

- Domyślam się, że Fletch szuka przyjemności - podsunęła Jemma.

- Właśnie tak to nazywa!

- A jak ty byś to nazwała?

- Nie wiem. - Zapłakana twarzyczka się wykrzywiła. - Po prostu nie wiem. Próbowałam... robiłam wszystko, czego chciał. Pozwalałam mu na wszystko, czego chciał, nawet całować mnie po całym ciele, chociaż to było... niewłaściwe.

Jemma zaczęła się zastanawiać, czy pomoc w małżeńskich problemach Poppy nie przerośnie jej sił.

- Dlaczego niewłaściwe? - zapytała ostrożnie.

- Moja matka... - Lecz cokolwiek Poppy chciała powiedzieć, łkanie jej to uniemożliwiło.

- Przyda się nam filiżanka herbaty - zdecydowała Jemma. - Potem opowiem ci dokładnie, co robiłam w łóżku, albo na co pozwalałam mężczyźnie. Przygotuj się więc na szok.

Potrzebne były aż dwie filiżanki herbaty, nim przyjaciółki zasiadły na niewielkiej sofie pod oknem. Poppy spojrzała wyczekująco na Jemmę.

- Nie jest aż tak ważne, co się pozwala mężczyźnie robić - zaczęła Jemma. - Weź babeczkę jabłkową, Poppy, są naprawdę pyszne. Chodzi, o to czego się od niego wymaga.

- Żeby w pokoju było ciemno - powiedziała Poppy, kiwając z aprobatą głową. - Mówiłam o tym Fletchowi.

- To nie ma żadnego związku ze światłem. Najważniejsze jest to, że mężczyznom przyjemność przychodzi bardzo łatwo, podczas gdy kobietom znacznie trudniej. Dlatego twoje potrzeby powinny stać na pierwszym miejscu.

- Och! - Poppy spuściła głowę. - Fletch wie o tym. Tak wiele razy, pytał mnie, czy podoba mi się to czy owo, że gdyby zapytał jeszcze raz, chyba zaczęłabym krzyżeć. Żadna odpowiedź go nie zadowala. Jeśli mówię nie, nie przestaje. Jeśli mówię tak, też nie przestaje. Albo, jeśli przestaje, jest na mnie zły.

- To miłe, że Fletchowi zależy na twojej przyjemności.

- Za bardzo - powiedziała z uczuciem Poppy.

Jemma uznała, że doszły do sedna problemu.

- Chcesz powiedzieć, że nic, co robi Fletch, nie jest miłe?

Poppy przygryzła wargę.

- Coś jest ze mną nie tak, prawda? Pewnej nocy Fletch kazał mi mówić, co ma robić. Powiedziałam mu więc dokładnie, czego chciałam.

- To łatwiejsze niż poleganie na mężczyźnie - powiedziała zachęcająco Jemma.

- Ja... ja po prostu chciałam zrobić to właściwie - wyznała z desperacją Poppy. - Od pierwszej nocy naszego małżeństwa nigdy nie czułam się dobrze. Chciał, żebym zrobiła to albo tamto, a ja nie wiedziałam, o czym on mówi. A poza tym to wszystko było takie krępujące. Fletch chyba nie ma pojęcia, jak powinna się zachowywać szlachetnie urodzona kobieta!

- Niewątpliwie masz rację. Muszę przyznać, Poppy, że twój mąż wydaje się mężczyzną znacznie bardziej... interesującym od większości Anglików.

- O tak interesujący - potwierdziła ponuro Poppy. - Jest też taki przystojny. Patrzę na niego i nie mogę uwierzyć, że miałam szczęście go poślubić. A wtedy on patrzy na mnie z pogardą i przypominam sobie, że do niczego się nie nadaję. Chciałabym, żeby się ożenił z kimś innym. Wtedy mogłabym kochać go z daleka. I kochałabym go. Nie mogę sobie wyobrazić kochania kogokolwiek innego poza Fletchem. Gdybyśmy nie byli małżeństwem, nie nienawidziłby mnie aż tak bardzo.

- Odnoszę wrażenie, że Fletch narzucił odrobinę zbyt wysokie wymagania - oceniła Jemma. - Ja i de Beaumont nigdy nie wykazywaliśmy szczególnej zręczności w łóżku, ale dla niego to z pewnością nie miało większego znaczenia. - Przerwała na chwilę, przypominając sobie, jak ich małżeństwo się rozpadło, kiedy zastała męża energicznie uprawiającego miłość z kochanką w jego pokoju w Westminsterze. - A może po prostu nie zdawałam sobie z tego sprawy. W końcu Beaumont miał kochankę, chociaż o niej nie wiedziałam.

- Zanim się pobraliśmy, mama uprzedzała mnie, że Fletch będzie miał kochankę - powiedziała Poppy. Jej głos nieco drżał, lecz dumnie uniosła głowę. - Nie sądzę, żeby tak było, ponieważ... tak bardzo mnie kochał. Ale przypuszczam, że mogłabym przywyknąć do takiej sytuacji. Mogę przywyknąć do wszystkiego. W końcu tyle lat mieszkałam z moją matką.

- Słuchając cię, jestem niemal szczęśliwa, że moja matka umarła tak wcześnie. Prawie jej nie znałam.

- Matka mnie kocha. Naprawdę. I widzi we mnie wszystkie możliwości, jakie straciła, kiedy musiała poślubić ojca. Mówi, że on nie był mądry. I oczywiście nie miał tytułu.

- Najbardziej niesmaczne, co można powiedzieć o mężu.

- Kiedyś powiedziała mi, że najmądrzejsze ze strony mojego ojca było to, że umarł młodo.

- Zamiast „niesmaczne” wstaw „okrutne”.

- Ale kiedy przejęła jego posiadłości, zaczęły przynosić wielkie zyski.

- Jak jej się to udało?

- Otoczyła całą ziemię płotem i wpuściła owce na pola, które przedtem uprawiali wieśniacy.

Jemma pomyślała ze smutkiem o losie nieszczęsnych wieśniaków.

- Nie umiem się buntować - wyznała Poppy, wzruszając ramionami. - Nie mam silnego charakteru.

- Możesz sama siebie zaskoczyć - rzekła Jemma. - Niewątpliwie zaskakujesz mnie. I nie wątpię, że twoja mama też jest zaskoczona. Poppy po raz pierwszy się uśmiechnęła.

- Oburzona.

- To dobrze - orzekła Jemma. - Bardzo dobrze.

16

5 czerwca

Zaczął się czerwiec. Księżę de Villiers chorował od ponad miesiąca. Wciąż rzucał się w pościeli, twarz znaczyły mu czerwone plamy, słowa spływały z jego ust niczym liście z drzew jesienią. Finchley był przerażony. Odpędzał Banderspita, który nadal chciał puszczać choremu krew. Krzyczał na panią Ferrers, kiedy ta chciała mu dawać do picia świeżą krew koguta.

- Jeśli rano nie będzie lepiej - rzekł doktor, wychodząc - w ogóle z tego nie wyjdzie. Zapamiętajcie moje słowa. Pacjent nie przeżyje takiej gorączki, jeśli nie będzie pił.

Nikt nie mógł skłonić księcia, by wypił więcej niż maleńki łyk wody. Ostatni raz pił w czasie krótkiego okresu przytomności, gdy Finchley próbował podstępem z szachami.

- Szachy - powiedział Finchley do pani Ferrers. - To jedyna rzecz, która do niego przemawia. Słuchajcie!

I rzeczywiście, książę odezwał się głosem schrypniętym od calu nocnego majaczenia:

- Te dwa pionki w zamian za ofiarę... - Wymachiwał rękoma, przestawiając w powietrzu pionki. Musieli mu podać szachy, gdyż inaczej grał wyimaginowanymi figurami. Wyglądało to tak upiornie, że pani Ferrers była naprawdę przerażona.

- Jadę po księżną - oznajmił Finchley.

- Księżną de Beaumont? Mówił pan, że Jego Wysokość nigdy nie wybaczyłby panu, gdyby księżna zobaczyła go w takim stanie.

- I nie wybaczy - powiedział Finchley, spoglądając na swojego pana. Villiers miał znowu włosy mokre od potu, twarz czerwoną i wychudzoną. - Ale jest bliski śmierci. Muszę spróbować.

Wziął powóz księcia i popędził do miejskiej rezydencji de Beaumontów. Ale sprawa nie była prosta.

- Nie pozwolę na to - oznajmił kamerdyner de Beaumonta, Fowle, słysząc jego prośbę. - Książę miał dość zmartwień z powodu Villiersa, nawet bez wizyt księżnej. Pół Londynu pomyśli, że mają schadzki.

- Jest śmiertelnie chory - mówił z rozpaczą Finchley. - Nikt tak nie pomyśli.

- Nie bądź głupcem - odparł Fowle. - Doskonale wiesz, że Villiers mógłby być już trupem, a i tak ludzie będą gadać o jego wyczynach. Jedyne co możesz, to pomówić z samym de Beaumontem. Jeśli książę będzie towarzyszył żonie, unikniemy skandalu.

- Sądzisz, że by się zgodził? - spytał Finchley. - Wiesz, że Villiers i Beaumont nie przepadają za sobą.

Fowle wyprostował się z godnością.

- Jego wysokość może nie aprobować poczynań Villiersa, ale nigdy nie porzuci człowieka w potrzebie.

To była prawda. Chwilę później Finchley przedstawiał swoją prośbę Beaumontowi.

- Do diabła z tymi pojedynkami - rzekł książę. - A przede wszystkim niech szlag trafi Gryffyna. Po co w ogóle wyzywał Villiersa! Przynieś mi płaszcz, Fowle.

- A księżna? - zapytał Finchley

- Księżna już się położyła - wyjaśnił Beaumont. - Jeśli Villiers odczuwa potrzebę gry w szachy, ja z nim zagram.

- Musi się napić wody - tłumaczył zdesperowany Finchley. - Próbowałem z nim grać, Wasza Wysokość. On nie chce zwykłej partii szachów. Obawiam się, że chodzi o grę z księżną. Proszę, czy mógłby ją pan obudzić? Proszę...

Beaumont przyglądał mu się przez chwilę.

- Dobry z ciebie człowiek - rzekł. - Jeśli nie uda się go nakłonić do picia w ciągu godziny, wrócę tu i sam przywiozę do niego moją żonę. Czy to wystarczy?

Finchley uklonił się nisko.

- Tak jest, Wasza Wysokość.

Minęło zaledwie kilka tygodni, odkąd Elijah był świadkiem imponującego wejścia Villiersa na przyjęcie Jemmy. Ale teraz książę wyglądał strasznie. Oczy miał zapadnięte, sinawy odcień skóry na czole jeszcze bardziej uwydatniał czerwone plamy na policzkach.

Beaumont podszedł do niego. Zdjął płaszcz i rzucił za siebie. Chory trzymał w powietrzu wieżę, a kiedy gość nadstawił ucha, usłyszał, mamrocze coś o ruchu królowej.

- Spróbuję - zwrócił się do Finchleya.

Ale nie mógł swobodnie rozmawiać z chorym, kiedy służący zwilżał mu czoło, Finchley sapał do ucha, a gospodyni przyglądała się ciekawie ze schodów.

- Wyjdźcie wszyscy!

Finchley zaczął coś mówić, lecz Elijah posłał mu spojrzenie, jakim obdarzał opornych legislatorów w Izbie Lordów. Kiedy wreszcie w pokoju zapanował spokój, Elijah przysunął sobie bliżej fotel.

- Villiers - zaczął.

Żadnej reakcji.

- Wasza Wysokość! - powiedział głośniejszym głosem. - Villiers!

- Jego biała królowa jest kryta - odezwał się chory. Nawet nie spojrzał w stronę Elijah, tylko wymachiwał w powietrzu wieżę.

Elijah wziął szklankę wody i próbował przystawić ją Villiersowi do ust, lecz wieża uderzyła w naczynie i książę niemal upuścił je na pościel.

- Kryta - mówił ochryple Villiers. - Jest... - Reszta jego słów była już niesłyszalnym, urywanym szeptem.

On wkrótce umrze, pomyślał książę. Villiers... Villiers. Kto to taki? Nie rozmawiali ze sobą od lat, ale to nie był żaden Villiers. To był Leopold, najdroższy przyjaciel. Gdzieś za tymi spoconymi, rozczochranymi włosami i przekrwionymi oczami krył się Leo, pierwsza osoba na świecie, którą pokochał.

Odstawił szklankę i chwycił wieżę. Chory przewrócił zaczerwienionymi oczami i powiedział:

- Czarne są w rozpaczliwej sytuacji. Nie mają już ruchu.

- Leopoldzie - przemówił Elijah najbardziej stanowczym tonem

- Leopoldzie, przyszedłem zagrać z tobą w szachy.

Villiers próbował mu odebrać wieżę.

- To moja wieża - zaprotestował Elijah. - Zawsze gram białymi, nie pamiętasz?

Villiers po raz pierwszy skupił na nim wzrok.

- Kim jesteś? - spytał.

- Elijah - odparł. - Jestem Elijah.

- Elijah - powiedział sennym głosem Villiers. - O nie, Elijah jest teraz księciem.

Ożenił się z księżną.

- Ty też jesteś księciem - rzekł z naciskiem Elijah. - Przyszedłem zagrać z tobą w szachy.

Chory próbował usiąść, więc Elijah poprawił go na poduszkach.

- Najpierw musisz napić się wody. Potem możemy grać.

Coś się zmieniło w Villiersie. Znowu przebywał w swoim ciele. Elijah unikał jego spojrzenia, sięgnął po szachownicę i szybko rozstawił figury. Potem wziął szklankę i przyłożył choremu do ust. Leopold przyglądał mu się znad krawędzi, lecz otworzył spękane usta i wypił.

- Kim jesteś? - zapytał nagle.

- Elijah, książę de Beaumont. - Elijah uśmiechnął się nieznacznie. - Mąż Jemmy.

- Jemma nie ma męża.

- Nie ma?

Elijah przestawił pion na D4.

Villiers wyciągnął rękę, lecz Elijah go powstrzymał.

- Nie, dopóki nie wypijesz.

Leopold pociągnął łyk i przestawił czarny pion. Dłoń mu drżała, lecz udało mu się powtórzyć ruch przeciwnika. Elijah przestawił skoczka. Po kolejnej zachęcie Villiers wypił wodę i drżącą dłonią postawił pion na E3.

- Jemma nie ma męża - powiedział, kiedy już niemal opróżnił szklankę. - Nie wygląda na zamężną.

- A jak wygląda? - zainteresował się Beaumont.

Leopold dopił ostatni łyk i odstawił puste naczynie.

- Nie wiem, dlaczego jestem tak spragniony. - Przesunął królową do przodu.

Elijah czuł się dość dziwnie, grając w szachy z człowiekiem niewątpliwie szalonym. A jednak owemu szaleńcowi udało się zastawić imponującą pułapkę na jego królową.

- Dlaczego mówisz, że Jemma nie wygląda na zamężną? - zapytał ponownie.

- Wygląda jak kobieta, która nigdy nie była naprawdę kochana odparł Villiers. - Nie możesz tego wiedzieć, ale poślubiła człowieka, którego niegdyś znałem.

Elijah spojrzał na niego ukradkiem, lecz Villiers ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w szachownicę.

- Nie jesteśmy już przyjaciółmi - powiedział, wykonując swój ruch i bez namawiania sięgając po napełnioną ponownie szklankę.

- Być może ten człowiek ją kocha - rzekł Elijah.

- O nie! - zaprzeczył Leopold. - Mówiła mi, że kocha tylko swoją metresę, co w tych okolicznościach wydaje się piekielnie dziwne. Ale podobno on sam jej tak powiedział.

Elijah zacisnął zęby. Oczywiście, powiedział coś tak głupiego, ale to było całe lata temu. Czy Jemma wciąż o tym pamiętała? Można by przypuszczać...

- To ja powinienem się z nią ożenić. - Głos Villiersa, już nie tak schrypnięty, brzmiał wręcz przyjaźnie. Książkę opróżnił drugą szklanekę, więc Elijah dolał mu wody.

- Zrobiłbyś to? - Ze zdumieniem usłyszał, że jego własny głos brzmi jak dwa kawałki żelaza zgrzytające o siebie.

- Ona naprawdę wie, jak radzić sobie w łóżku - rzekł Villiers. - Na pewno chcesz postawić wieżę na G5? To wyjątkowo głupie. - Szybko zdjął figurę. - Wie, jak radzić sobie w łóżku, a jednak jest niezwykle inteligentna. Przespałbym się z nią, ale obawiam się, że mógłbym ją stracić. Śmieszne, prawda?

- Nie, dlaczego? - wykrztusił Elijah. Jego królowa była zagrożona. Widział to i nic nie robił. Nawet owładnięty gorączką i szaleństwem, nawet gdy nie potrafił go rozpoznać, Villiers prządnął wokół niego pajęczą sieć z czarnych pionów, a teraz na horyzoncie pojawiła się czarna wieża.

- Pragnę jej, ale bardziej zależy mi na jej przyjaźni - mówił. - Obawiam się, że przegrałeś tę partię. Mówiłeś, że jak się nazywasz? Jesteś lekarzem, tak? Czuję się znacznie lepiej.

Zdjął królową Elijaha i położył ją na poduszce. Zamknął oczy, lecz jeszcze coś mówił.

- Co takiego? - spytał Elijah, pochylając się nad nim.

- Panie, jakimiż głupcami są śmiertelnicy - powtórzył Villiers.

Czy w gorączce cytował Szekspira? Elijah przyłożył dłoń do czoła chorego, lecz wydawało się chłodne. To raczej Beaumont czuł się, jakby ogarniała go gorączka. Gorączka gniewu. Leopold znów otworzył oczy.

- Pamiętaj, żeby zabrać Betsy kiedy będziesz wychodził - powiedział.

- Betsy? Betsy?

- Mojego psa - wyjaśnił Villiers. - Powinna wyjść na spacer. Dotrzymywała mi towarzystwa.

- To nie jest twój pies - wykrztusił Elijah. - To był mój pies, ale nie żyje od lat!

Villiers na chwilę otworzył szeroko oczy i przyglądał mu się uważnie.

- Niech będzie - powiedział, sprawiając wrażenie zaskoczonego. - To ty, Beaumont? A więc miałeś i psa, i kobietę? Czy teraz twoją żoną jest karczmarka? Szczęśliwy drań.

- Nie, nie jest - uciął Elijah. - Wypij jeszcze trochę wody. W jego głosie było coś, co najwyraźniej otrzeźwiło lekko Leopolda, gdyż ten zmarszczył czoło. Wypił całą szklanekę wody, którą podał mu Elijah.

Beaumont odebrał od niego szklanekę, po czym wziął płaszcz.

- Jeżeli masz Betsy - dobiegł go głos z tyłu - i masz także Jemkę, .. to masz wszystko, nieprawdaż?

Nie po raz pierwszy w życiu Elijah uświadomił sobie, jak nieistotne może się wydawać „wszystko”.

Finchley czekał pod drzwiami.

- Wypił pięć szklanek wody - poinformował go Elijah. - Sądzę, że może odczuwać potrzebę. Nie zamierzam podawać mu nocnika. Zostawię to tobie.

- Wasza Wysokość - Finchley miał łzy w oczach - czy przyjdzie pan znowu?

Elijah zacisnął usta.

- Jeśli będziesz mnie potrzebował, przyjdę. Przyślij mi wiadomość. Mówisz, że rano gorączka go opuszcza?

Finchley przytaknął.

- Daj mu pięć albo sześć szklanek wody. Nie parę łyków. Musi napić się tyle, żeby mu wystarczyło na cały dzień.

Finchley klasnął w dłonie.

- Tak zrobię, Wasza Wysokość. Tak zrobię. A pan...

- Jeśli będziesz mnie potrzebował, przyjdę.

Wciekłość to uczucie, do którego Poppy nie była przyzwyczajona. Teraz pod mostkiem czuła żarzący się węgielek gniewu. Podsycalała go od chwili, gdy Fletch przysłał list z informacją, że zamierza złożyć jej wizytę.

Wizytę! Minęły ponad dwa miesiące i jej mąż postanowił złożyć jej wizytę.

Co takiego zrobiła Fletchowi, że tak grubiańsko ją traktuje? Kochała go, to wszystko. Kochała go nawet wtedy, kiedy zapuścił brodę i kiedy stroi się tak oszalałmiająco elegancki, i kiedy przestał jadać z nią śniadania.

Cierpliwość kobiety nie zna granic. Chociaż cierpliwość nie wydaje się odpowiednim słowem na określenie dżgnięcia rozżarzoną po-grzebaczem. A dokładnie takiego uczucia doznała, kiedy przypomniła sobie, jak Fletch uśmiechał się do Louise. Uśmiechał się do Louise w taki sam sposób, w jaki niegdyś uśmiechał się do niej. A potem, kiedy ją zobaczył, to wszystko zniknęło i w jego spojrzeniu pozostały tylko pogarda i niechęć.

- Kochał mnie kiedyś - powiedziała do swojego odbicia w lustrze. Odbicie odwzajemniło spojrzenie. Miało dokładnie tę samą twarz, w której zakochał się Fletch. Miała na sobie ten sam strój albo prawie taki sam. Nieistotne. Dbała o siebie również po ślubie. Malowała usta, zanim przyszła na śniadanie, i nigdy nie pokazywała się w dezabilu.

Lecz nieustannie towarzyszył jej ciężar niemych żądań Fletcha. Bardziej francuska, pomyślała. Chciał, żeby była bardziej francuska, mimo iż nie była Francuzką.

Okazało się, że jej małżeństwo nie różni się niczym od jej stosunków z matką. Matka miała tylko inne oczekiwania. Bądź piękna. Bądź silna. Bądź posłuszna. Ale najważniejsze były te, których Poppy nie miała szansy spełnić - nigdy nie będziesz tak piękna jak ja, powtarzała często matka. Nigdy nie będziesz potrafiła czarować mężczyzn tak jak ja. Poślubiłabym księcia...

Straszna myśl przemknęła Poppy przez głowę. A jeśli nigdy naprawdę nie kochała Fletcha? Jeśli tylko podporządkowała się żądaniu matki, żeby poślubić księcia... a on był jedynym dostępnym księciem? Kiedy się nad tym zastanowiła, doszła do wniosku, że Fletch był jedynym wolnym księciem, jakiego spotkała w Paryżu po swoim debiucie. Nie rozumiała go. Nigdy nie wiedziała, jaki jest naprawdę. Jak więc mogła się w nim zakochać? Straszliwy ucisk w piersi nieco zelżał. Tylko wydawało jej się, że go kocha.

Nie potrafiła nie kochać matki, mimo tego, jak bardzo ją rozczarowała. Ale postanowiła nie kochać Fletcha i mogła sprawić, że rozczarowanie nim nie będzie miało dla niej znaczenia.

Muszę sama dokonać pewnych wyborów, pomyślała Poppy. Zdecydować za siebie. Co chcę zrobić ze swoim życiem? Nigdy nie wracać do tamtego domu, odpowiedziało jej serce. Przestać się starać zadowolić męża. Przestać go kochać.

Najbardziej jednak chciała znowu być Poppy, a nie księżną Fletcher. Nagle do głowy przyszło jej mnóstwo pomysłów - rzeczy, które chciałyby zrobić; książki, które chciałyby przeczytać; miejsca, które chciałyby odwiedzić. Czowała się niemal oszołomiona radością. Nie musi wcale być księżną. Może być po prostu sobą. Poppy.

Może żyć samotnie. Tak jak Jemma. Jemma opuściła męża i założyła własny dom. Ona też może to zrobić. I będzie podróżować! Przed oczami stanęły jej barwne obrazy Paryża, Nilu, dzikiej Ameryki.

Rozległo się ciche stukanie do drzwi.

- Jego Wysokość chciałby się z panią zobaczyć.

Sięgnęła po szminkę, ale zrezygnowała. Nie kocha Fletcha. Nigdy nie kochała. Nie musi być dla niego piękna.

Zeszła po schodach i z zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że się uśmiecha. Ile czasu minęło, odkąd szczerze się uśmiechała w obecności Fletcha? Chyba ponad rok. Cały ten czas spędziła w napięciu, rozpaczliwie próbując wymyślić, jak może go zadowolić. Jak sprawić, żeby ją pokochał.

Zawahała się, wchodząc do salonu. Tłumaczyła sobie, że to najzupełniej nieistotne, iż Fletch jest taki przystojny. Jego włosy były czarne jak heban, z księżycowym połyskiem. Prosty nos i lekko skośne oczy nadawały mu nieco

egzotyczny wygląd. Gdyby nie był tak piekielnie przystojny, nie byłby też tak wymagający.

- Poppy! - powiedział, odwracając się ze zmarszczonym czołem. To ułatwiło sprawę. Zawsze marszczył czoło, patrząc na nią, a jej robiło się od tego niedobrze.

Uśmiechnęła się do niego, inaczej niż zazwyczaj. To nie był uśmiech wiernego szczeniaka żebrzącego o miłość.

- Tak, Fletch?

- Chciałbym, żebyś wróciła do domu.

- Nie zrobię tego - oświadczyła, siadając wygodnie. - Na razie zostanę u Jemmy. Ze względu na zajęcia Beaumonta w Izbie Lordów wyjeżdża na wieś dopiero w grudniu.

- Proszę. Czy nie możemy po prostu zapomnieć o całym tym zamieszaniu? Znamy się przecież dostatecznie długo, żebyś mogła mi wybaczyć i wrócić do domu.

- Wybaczam ci.

- Wspaniale - powiedział z miną mówiącą, że ani przez chwilę nie wątpił, że tak będzie.

- Chociaż zachowałeś się wobec mnie skrajnie grubiańsko. I to publicznie.

- Przepraszam. Nigdy więcej tego nie zrobię.

- I flirtowałeś zjedną z moich przyjaciółek.

- Nie miałem pojęcia... - urwał.

- Tak - ciągnęła z namysłem, stukając palcem w oparcie fotela. - To trochę trudniej wyjaśnić, prawda? Louise jest jedną z moich przyjaciółek. Bliską przyjaciółką, na twoje nieszczęście. Ale oczywiście w Londynie jest wiele kobiet, z którymi się przyjaźnię.

- Tak - powiedział, po raz pierwszy wyglądając na zaniepokojonego.

- Więc, jak sądzę, oboje się zgodzimy co do tego, że musisz po prostu poszukać nieco dalej - kontynuowała łagodnie.

Otworzył usta zaskoczony, co stanowiło bardzo miły widok.

- Powinniśmy poczynić pewne plany - mówiła Poppy. - Oczywiście kiedyś znowu będziemy musieli zamieszkać razem... Powiedzmy za pięć lat? Kiedy poczujesz, że sprawa dziedzica staje się pilna, zapewniam cię, nie będę się sprzeciwiał.

Na początku naszego małżeństwa wydawało mi się, że pragnę dziecka, ale teraz rozumiałam, że znacznie rozsądniej będzie poczekać. Mam pewne sprawy do załatwienia.

- Naprawdę? - spytał osłupiały.

- Tak. Ty i ja rozstaliśmy się dość miło, możemy więc wszystko zaplanować bez złości. Sugerowałabym pięć lat, a potem możemy znowu zamieszkać razem.

- Co takiego?

- Możemy robić dłuższe plany, ale wtedy ryzykujemy, że zostaniemy bezdzietni.

W końcu jesteśmy małżeństwem od czterech lat, bez żadnego rezultatu.

Patrzył na nią, nic nie mówiąc.

- Szczegóły możemy omówić później - ciągnęła z zachęcającym uśmiechem. - Chciałbyś może coś dodać?

Choć była pogodna, wciąż czuła mały, rozżarzony węgielek gniewu pod mostkiem. Zamilkła. Fletch stał osłupiały.

- Jemma zapewniała mnie, że będzie zachwycona, jeśli na święta pojedę z nimi na wieś. Zabiera ze sobą mnóstwo znajomych. Poza tym pomyślałam, że mogłabym na kilka lat wrócić do Francji. Choć oczywiście jeszcze nie jestem pewna swoich planów. Chcę dużo podróżować. - Węgielek gniewu skłonił ją do tego, by dodać niezmiernie słodkim tonem: - Ale nie martw się, Fletch, na pewno poinformuję cię, dokąd się wybiorę. Wiem, że to byłoby bardzo niedogodne, gdybyś nie miał pojęcia, gdzie przebywa twoja żona. Nikt nie ma ochoty tropić małżonki niczym pardwy w sezonie polowań.

W końcu otworzył usta.

- Nie to miałem na myśli.

- Poinformuję cię, dokąd wyjeżdżam. I nie będziesz musiał się o mnie martwić.

Ach, zapomniałam! Ty nigdy się nie martwisz, prawda?

Ściągnął brwi.

- Mówisz zupełnie jak nie ty, Poppy. Naprawdę jest mi przykro, że cię rozgniewałam.

Wyglądał na tak strapionego, że aż się roześmiała - szczerym śmiechem.

- Jestem rozgniewana, Fletch. Na siebie i na ciebie. Nie powinniśmy się pobierać.
- Nie powinniśmy?
- Sądzę, że wyszłam za ciebie, ponieważ tego chciała moja matka.
- Przecież... przecież wyszłaś za mnie, bo mnie kochałaś!

Uśmiechnęła się. Miała nie lada satysfakcję, mogąc mu powiedzieć prawdę.

- Nie, nie kochałam, Fletch. Odkąd skończyłam siedem lat, matka mówiła mi, że mam poślubić księcia. Ty byłeś pierwszym angielskim księciem, który przybył do Paryża, więc wyszłam za ciebie. Wydawało mi się, że cię Kocham, ale teraz przekonałam się, że się myliłam. I bardzo dobrze - zauważyła - gdyż ty najwyraźniej doszedłeś do tego samego wniosku jakiś czas temu.

Otworzył usta ze zdziwienia.

- Nieprawdaz? - nalegała. - Bo jak mi się wydaje, nie tylko zrozumiałeś, że się nie Kochamy, ale też postanowiłeś poszukać innego towarzystwa.

Zapadła cisza, aż w końcu Poppy nie była w stanie jej dłużej znieść. Nie kochała go, ale taka obojętność ze strony męża była niezmiernie upokarzająca.

- Doprawdy, nie widzę celu kontynuowania tej dyskusji.
- Nawet jej nie zaczęliśmy! - zaprotestował Fletch.
- Nie ma wiele do omawiania.
- Musisz wrócić do domu - nalegał.
- Nie zrobię tego.
- Musisz.
- Dlaczego? - Przez krótką chwilę świat zawirował wokół niej. Ponieważ wbrew niej samej, mimo wszystkiego, co powiedziała, mimo całej odwagi i świadomości, że nigdy go nie kochała, wciąż jakaś część jej serca...
- Twoja matka - powiedział.
- Moja matka? - Przez chwilę obawiała się, że może się rozplakać, lecz w końcu się opanowała. - Co z moją matką?
- Wiesz dobrze, że twoja matka wprowadziła się do naszego domu - mówił z wściekłością. - Minęły już dwa miesiące, a nic nie wskazuje to, by miała się wyprowadzić.

Poppy z przyjemnością odkryła, że wściekłość Fletcha nie wywiera niej najmniejszego wrażenia.

- Jestem pewna, że potrafisz sobie z nią poradzić.

Jego oczy zwęziły się w szparki.

- Co zamierzasz, Poppy? Skąd się wzięły wszystkie te dzikie pomysły? Czy księżna de Beaumont maczała w tym palce?

- Nie rozmawiałam z Jemną o moich planach - rzekła Poppy zgodnie z prawdą. - No, poza tym że zapytałam, czy mogę z nią spędzić święta. A z całą pewnością nie zwierzałam jej się z tego, do jakich wniosków doszłam, rozmyślając o naszym małżeństwie. Ona oczywiście wie, co ty sądzisz na ten temat. Prawie cały Londyn już to słyszał.

- Jesteś złośliwa.

- Och, mój drogi - stwierdziła Poppy - jestem pewna, że nie miałam takiego zamiaru. Spędziłam tyle czasu, próbując cię oczarować, że sądziłam, iż zupełnie wyzbyłam się złośliwości.

- Ale twoja matka... - jęknął bezradnie. Węgielek gniewu w jej piersi rozżarzył się nieco bardziej, kiedy uświadomiła sobie, że jedyne, na co Fletch się skarża, jest towarzystwo jej matki. Poppy doskonale wiedziała, że mieszkanie z lady Florą nie jest przyjemnością.

- Pomówię z moją matką - obiecała. Postanawiając, że podziękuje jej za dotrzymanie towarzystwa Fletchowi.

- Poppy! - zawołał, a jego głos po raz pierwszy zabrzmiał prosząco.

Ale Poppy już skończyła. Fletch mógł iść do diabła - on, jego czarne ubranie i zabójcza uroda. Odwróciła się bez pożegnania i podeszła do drzwi.

- Poppy!

Wyszła.

Siedząc naprzeciwko Beaumonta, Jemma zastawiała pułapkę.

- Miło mi słyszeć, że Villiers ma się lepiej.

- Nie powiedziałbym, że mu się poprawiło. Wciąż przez większość dnia ma gorączkę. Przynajmniej tak wynika z listu, który dostałem od jego kamerdynera dziś rano. Może największe zagrożenie minęło, ale musi jeszcze zwalczyć gorączkę. Czy zaczniemy naszą drugą partię?

- Nie wydaje ci się, że powinniśmy poczekać, aż Villiers również będzie mógł grać.

- Dlaczego? To, że dwie pierwsze partie rozgrywaliśmy równolegle, nie znaczy, że z pozostałymi musi być tak samo. Z takiej zależności można by wyciągnąć niesmaczny wniosek, że dokonujesz wyboru między mną a Villiersem.

Spojrzała na niego, lecz uważnie oglądał czarną królową. Jego rzęsy rzucały cień na policzki.

- Zapropnowałeś mi grę dopiero wtedy, gdy usłyszałeś o moim pojedynku z Villiersem - powiedziała. - Ta paralela istniała w twoim umyśle, zanim przyszło to do głowy londyńczykom.

- Jeśli rozegramy tę partię teraz, gdy Villiers jest chory, powinno to ugasić niezdrowe zainteresowanie pytaniem, kto będzie następny w twoim łóżku.

Zachowywał się jak rasowy polityk. Mówił o łóżku żony w sposób całkowicie pozbawiony emocji.

- Czy Villiers przeżyje? - spytała, bawiąc się gońcem.

- Gorączka go nie opuszcza. Uważałbym go za szczęściarza, gdyby przeżył.

Jemie zrobiło się słabo.

- O Boże... - szepnęła.

Wciąż na nią nie patrzył.

- Czy to złamało ci serce? Jeśli tak, naprawdę mi przykro.

- Złamało mi serce? Nie, nie znam go aż tak długo. Sądziłam jednak, że zostaniemy przyjaciółmi, i cieszyłam się z tego. Przykro mi słyszeć, że jest umierający.

- Może liczyłaś na coś więcej niż przyjaźń? - zapytał najzupełniej obojętnym tonem.

- Moje serce jest wyjątkowo twarde - powiedziała, żałując, że wdała się w tę rozmowę i nienawidząc sposobu, w jaki wścibiał nos w jej uczucia. - Złamałeś je dawno temu i od tamtego czasu nie oddałam go nikomu.

Spojrzał na nią.

- Ja?

- Jesteś innego zdania?

- Nie. Ty... Sądziłem, że nie mieliśmy ze sobą zbyt wiele wspólnego...

- I to właśnie jest najgorsze - rzekła ze smutkiem. - Łączyło nas niewiele, a jednak zbudowałam na tym swój zamek. Najwyraźniej słowo „małżeństwo” miewa niekiedy taki nonsensowny wpływ na kobiety. Ale to była dobra lekcja.

- Przepraszam.

Jemma spod wpółprzymkniętych powiek obserwowała męża. Dziś nie miał tego niezdrowego wyglądu - podkrążonych oczu i ostro zarysowanych kości policzkowych. Sprawiał wrażenie zmęczonego, lecz nie śmiertelnie chorego.

- Co się dzieje ostatnio w Izbie Lordów? - spróbowała.

- Szkoci i brandy.

- Szkoci? Ach! Chodzi o szkocką reprezentację w Izbie?

Zdumiony uniósł brwi.

- Czytałaś o tym zamieszaniu? Wydawało mi się, że polityka cię nie interesuje.

- Jestem nią tak samo zainteresowana, jak każdy rozsądny człowiek - odparła zaskoczona. - Nie mam czasu na czytanie wszystkich gazet, ale staram się, jak mogę.

- Nie mogła się powstrzymać i dodała: - Chociaż niewątpliwie rozumiem o wiele mniej niż twoja miss Tatlock

- To niezwykła kobieta - odparł Elijah z nutą dumy w głosie. - Jak osobę jej płci i wieku jest obdarzona intuicyjnym zrozumieniem spraw politycznych. Na jej dzisiejszą wypowiedź w Towarzystwie Królewskim zwrócił uwagę sam lord Rollins.

- O? -Jemma doszła do wniosku, że zdecydowanie nie lubi panny Tatlock. - Jak do tego doszło?

- Miałem tam dziś wykład - wyjaśnił Beaumont. - To dlatego nie jestem w parlamencie. Panna Tatlock kieruje kołem członkiń. Większość wykładów jest zastrzeżona dla zwykłych członków, lecz czasami są zapraszane również kobiety.

Jemma zastanawiała się, czy powinna była wiedzieć o wykładach męża, i doszła do wniosku, że nie, ponieważ nikt nie uznał za stosowne jej o tym zawiadomić.

- Jakie to przedsiębiorcze z jej strony, że przyszła na twoje wystąpienie.

Zastanawiam się, czy przyłożyła rękę do tego, by cię zaproszono.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Przedsiębiorcze?

- Czy to zbyt brutalne słowo? Cóż, o was dwojgu w ubiegłym tygodniu wspominał „Morning Post”. Podobno zwróciliście na siebie uwagę, prowadząc serdeczną rozmowę na koncercie lorda Rochester. Zastanawiam się, jak ona wyobraża sobie mój los, jeśli uda się jej wyrzucić na tobie wrażenie swoimi rozlicznymi zaletami.

Nie próbował udawać idioty, co ją nieco zaskoczyło.

- Być może sądzi, że umrzesz z powodu wyniszczającej choroby, Zauważyłem, że młode kobiety ogarnięte gorączką miłości mają skłonność do wiary w cuda.

- Czuję się całkowicie zdrowa - powiedziała beztrąsko. - Zagramy w szachy?

- Jeżeli wolisz nie podejmować dalszej gry - zaproponował Elijah - może rozegramy osobną partię?

Żadne z nich nie powiedziało tego, co oczywiste. Jeśli Villiers nie będzie mógł dokończyć swojej partii, zainteresowanie ich podwójna rozgrywką umrze razem z nim.

- Rozsądny pomysł. Możemy rozegrać jedną czy dwie partie i poczekać, aż Leopold wydobrzeje.

- Leopold? - uniósł ze zdziwieniem brwi.

- Villiers ma tak na imię... Chyba o tym wiesz? - spytała Jemma z niewinną miną.

- Myślałam, że w młodości byliście przyjaciółmi.

- Nie wiedziałem, że łączy was aż taka zażyłość.

Jemma przesunęła pion. Miły rytm ruchów króla, królowej i wieży serce i duszę, odsuwając od niej niedające spokoju myśli o stanie zdrowia Beaumonta, o pannie Tatlock i o gorączce Villiersa. Godzinę później uśmiechnęła się do męża.

- Teraz czuję się lepiej - oznajmiła.

- Ja nie - powiedział kwaśno.

- Wygrałeś pierwszą partię - pocieszyła go Jemma. - Tę, która się liczyła. O tej grze nie wie nikt oprócz nas, a jednak cieszę się, że zwyciężyłam.

- Zaczniemy drugą partię naszego turnieju - zaproponował Elijah. Proszę. Nie chcę czekać na śmierć Villiersa. To zbyt upiorne. Skinęła głową, szybko rozstawiła figury i przesunęła pion na D4. Beaumont przesunął swój pionek na tę samą pozycję i na tym partia się skończyła. Na dzisiaj.

Wstał z krzesła i się wyprostował. Jemma została na swoim miejscu. Jej mąż był niezwykle przystojnym mężczyzną. Doprawdy, nic dziwnego, że siał takie spustoszenie.

- Przyszedłem, żeby zadać ci pewne pytanie, Jemmo.

Uniosła ze zdziwieniem brwi.

Wróciłaś z Francji, żebyśmy mogli spłodzić dziedzica. Zastanawiam się, czy zaplanowałaś już coś w związku z tym?

Innymi słowy, kiedy pójdą do łóżka? Wbrew sobie Jemma poczuła ukłucie zainteresowania.

Elijah jednak mówił dalej.

Pytam, ponieważ jeśli Villiers wygrałby turniej, sądzę, że mogłoby to mieć wpływ na nasze plany.

Zesztywniała.

Zakładasz, że jestem nagrodą w tym turnieju. Zapewniam, że nie zgodziłabym się kłaść na szachownicy mnie ani mojego ciała.

Nic nie mogła wyczytać z jego oczu i w duchu przeklęła jego twarz polityka.

- Nasz problem nie polega na tym, czy albo komu używasz swoich wdzięków - mówił obojętnym głosem. - Niestety jeśli Villiers wygra, cały Londyn będzie wierzył, że z nim sypiasz. Nieistotne, czy to prawda.

- Wcale nie uważam, żeby to było nieistotne - zaproponowała dotknięta. - Sugerujesz, że w żyłach twojego dziedzica mogłaby płynąć krew Villiersa.

- Źle mnie zrozumiałaś - powiedział, spokojny jak zawsze. - Doskonale zdaję sobie sprawę, że nie należysz do kobiet, które przypadkowo zachodzą w ciążę.

Była to jednoznaczna obelga, wymierzona z chłodną precyzją strzała w serce. A jednak w Jemie prawda i logiczne myślenie zawsze brały górę nad uczuciami. Prawdą zaś było, że nie dochowała mężowi wierności podczas pobytu w Paryżu. I że nie miała dzieci z tamtych związków. Fakt, że on zdradził ją w obrzydliwy sposób - i być może czynił to do dzisiaj - nie miał aż tak wielkiego znaczenia.

- Jeśli ty i ja mamy spłodzić dziecko w okresie twojego zainteresowania Villiersem - kontynuował - obawiam się, że większość ludzi uzna je za kukułcze pisklą. A w każdym razie będą wykazywać niezdrowe zainteresowanie pochodzeniem dziecka, co może mieć fatalny wpływ na jego przyszłość.

Skinęła głową.

- Rozumiem.

- Zastanawiałem się, czy nie poprosić cię, żebyś zrezygnowała z tego turnieju, lecz w parlamencie nabrałem zwyczaju nieproszenia polityków o coś, czego wiem, że mi nie dadzą. W ten sam sposób zachowuję się w domu.

- Jeśli czujesz się z tym źle - powiedziała - zrezygnuję z turnieju. Czy znowu jest ci słabo, Beaumont?

- Dzięki Bogu nie.

- W takim razie, uważam, że masz rację. Najlepiej byłoby poczekać do zakończenia turnieju, zanim przejdziemy do... zbliżenia.

Uklonił się.

- W takim razie...

- To nie znaczy - dorzuciła Jemma - że możesz swobodnie wdawać się we flirty z szanowną panną Tatlock. Nie zamierzam umierać na żadną wyniszczającą chorobę. Czuję się doskonale.

- Jestem zachwycony, słysząc to.

- Jakoś mi się wydaje, że ta młoda kobieta nie podziela twojego zachwyty.

Jego śmiech był rzadkim i tym miłszym zjawiskiem.

- Księżna de Beaumont jest zazdrosna! Nie sądziłem, że doczekam takiego dnia! Muszę wyznać, że to nastraja mnie jeszcze cieplej panny Tatlock. Jemma wstała.

- Nigdy nie wychodziło nam dobrze dzielenie się czymkolwiek. Zapewne zauważyłeś to na samym początku naszego małżeństwa.

Otworzył usta, lecz nie chciała jego przeprosin. Posłała mu zamglone spojrzenie, jakim patrzy się na kochankę, i przyciągnęła jego głowę ku sobie.

Smakował cudownie, jak jeżyny z korzenną nutą. Pragnęła, aby ten pocałunek był ostrzeżeniem, obietnicą i sposobem na kontrolowanie. Ale chwilę po tym, jak jej ręka otoczyła jego szyję i pocałunek stał się gorętszy, przypomniała sobie coś, o czym udało jej się zapomnieć w czasie pobytu w Paryżu. Pocałunki męża nie były takie same jak innych mężczyzn. Miały na nią szczególny wpływ. Kruszyły jej mury, zamieniały ją w głupiutką, bezbronną dziewczynkę, która płakała całymi miesiącami po rozstaniu.

Odskoczyła tak szybko, że niemal przewróciła stół z szachami, siłowała ukryć panikę.

- Ostrzeżenie? - spytał, patrząc na nią kpiąco.

Zawsze wiedział... Znał jej myśli. Na krótką chwilę ból wrócił niczym drzazga w sercu.

- Właśnie tak.

Tęgo samego wieczoru, w znacznie mniej eleganckiej części Londynu

Kiedy panna Charlotte Tatlock się zatrzymała, by pomyśleć o ostatnich kilku tygodniach, opanowała ją radość, od której zakręciło jej się w głowie. Niestety, uczucia tego nie podzielała jej siostra May. Miotaly nią wątpliwości i obawy, nie mogła pogodzić się z tym, że imię Charlotte łączono z imieniem księcia de Beaumont.

- Po prostu nie mogę uwierzyć! - lamentowała od dwóch tygodni. - Jak mogłaś...
Dzięki Bogu mama nie żyje. Och, dzięki Bogu, że mama nie żyje!

Kiedy May po raz czternasty wyraziła wdzięczność z powodu śmierci rodzicielki, Charlotte niemal zaczęła życzyć tego samego reszcie rodziny, to znaczy samej May.

- Po prostu musisz się trzymać od niego z dala. Jak najdalej!

I Charlotte, oczywiście, przyznawała jej rację. Szacowny narzeczony May, pan Muddle, posunął się nawet do tego, by poinformować Charlotte, że reputacja jest najcenniejszym majątkiem kobiety. Przemilczała gniewną odpowiedź i rozsądnie przytaknęła.

Najwyraźniej nikt nie mógł uwierzyć, że książę de Beaumont nie zrobił absolutnie nic, by zszargać jej reputację.

Koniec końców uważała, że zachowała się wyśmienicie - poza tym momentem, kiedy znalazła się w jednym pokoju z Beaumontem. Na widok jego twarzy serce zaczęło jej walić jak młotem. A potem nie była w stanie się oprzeć. Powiedziała mu, co myśli o doniesieniu „Gazette” na temat jego ostatniego wystąpienia w parlamencie. Lekko przechylił głowę w bok i słuchał uważnie. Słuchał jej! Naprawdę to robił. A oni...

Oni...

Mówili zdecydowanie za dużo, ona zaś zdawała sobie z tego sprawę.

Miała też świadomość - choć inni o tym nie wiedzieli - że książę nie wykazywał najmniejszego zainteresowania nią jako kobietą. Nigdy patrzył na nią w taki sposób. Charlotte nie należała do kobiet, które się okłamują. Jej nos był zbyt długi, a majątek zbyt mały, żeby mogła pozwalać sobie na fantazje na temat własnej urody.

Albo atrakcyjności - finansowej czy jakiegokolwiek innej.

- Czy nie widzisz — warknęła w końcu do May - że to, co sugerujesz, jest dla mnie bardzo bolesne? Uważasz, że księżę mógłby zechcieć... zechcieć mnie pocałować? Obie dobrze wiemy, że księżęta nie całują kobiet, które wyglądają jak ja. A już na pewno nie te samotne, z nieprzyjemnie małym majątkiem. Księżęta nigdy nie całują starych panien!

- Nie jesteś starą panną - zauważyła May.

- Jestem. Wiesz, że jestem! - wyrzuciła Charlotte, nienawidząc świata. - Jestem małą i plotkarą. I można powiedzieć o mnie wszystkie te straszne słowa. Prawda jest taka, May, że nikt nigdy mnie nie pragnął. A kiedy zachowujesz się tak, jakby księżę naprawdę mnie pożądał, tylko posypujesz tę ranę solą! - Podniosła głos na tyle, że pojawiło się w nim niebezpieczne drżenie.

May nie zwykła okazywać uczuć, jednak objęła siostrę i oświadczyła, że gdyby była księciem, nie potrafiłaby wymyślić nic lepszego niż pocałowanie panny Charlotte Tatlock. Charlotte uśmiechnęła się smutno.

- Pomyśl, May, gdyby przypadkiem czekała na ciebie w domu jedna z najpiękniejszych kobiet w towarzystwie... Mówiąc wprost, księżna Jemma de Beaumont. Czy wciąż chciałabyś pocałować starą pannę? Jakąś tam Charlotte Tatlock?

- Oczywiście! - powiedziała z przekonaniem May, lecz Charlotte widziała, że jej argument dotarł do siostry.

W końcu księżna była doskonała w każdym calu. Pewnego dnia Charlotte dla zabawy próbowała określić kolor włosów księżnej. Doszła do wniosku, że najbardziej przypomina żółtko. Nie brzmiało to t dobrze, lecz Charlotte miała na myśli żółtko jednego z tych jaj, które przywożono prosto ze wsi. Kiedy rozbija się takie jajko, jego żółtko ma kolor bogatego złota z odcieniem dobrej brandy i połyskiem zdrowia - rodzaj naturalnego piękna w niczym nieprzypominającego szarawych kosmyków Charlotte.

Zestawmy loki księżny z doskonałą figurą i inteligencją, wyraźnie malującą się na jej twarzy.

- Ona jest - przypomniała siostrze Charlotte - najlepszą szachistką we Francji, a przynajmniej tak wszyscy mówią.

Mąż takiego ideału i panna Charlotte Tatlock? Nigdy.

20

1 sierpnia

Poppy nie spodziewała się, że Fletch odwiedzi ją po raz drugi i się nie pomyliła.

Przez kilka następnych tygodni co noc płakała przed snem, a rano ubierała się jak najpiękniej, na wypadek gdyby Fletch znowu się pojawił. W końcu jej matka cały czas z nim mieszkała. Jak mu się udawało to wytrwać?

Najwyraźniej jakoś przetrwał. Pewnego ranka Poppy odesłała pokojówkę, zanim ta zdążyła ułożyć i upudrować jej włosy. Włożyła szlafroczek skuliła się przy oknie i obserwowała ptaki w ogrodzie Jemmy. Szpaki skakały z gałęzi na gałąź, wlatywały w powietrze i wzbijały się w niebo, po czym wracały i ćwierkały do siebie. Bywało, że siedziała przy oknie całymi dniami, rozmyślając o gniazdach szpaków i ich konwersacjach.

Była to jedna z rzeczy, których jej matka nienawidziła.

- Dlaczego marnujesz czas? - pytała zawsze, kiedy Poppy rozmyślała na podobne tematy. - Dlaczego marnujesz mój czas?! - grzmiała jeszcze, opuszczając pokój.

Jemma najwyraźniej uznała za całkiem rozsądne to, że Poppy przestała się stroić.

- Ja sama często ubieram się dopiero późnym popołudniem - mówiła. Chociaż szpaki jej nie interesowały. - Znam się tylko na szachach - wyznała. Przez jakiś czas razem obserwowały ptaki. - Wyglądają, jakby ze sobą rozmawiały, prawda? - zapytała zaskoczona Jemma. - Pewnie są przyjaciółmi.

- Zanim cię poznałam, nigdy nie miałam prawdziwej przyjaciółki.

- Piękny komplement, ale nieprawdziwy! Taca pełna wizytówek, która stoi na dole, świadczy o tym, że masz wielu przyjaciół, i to nie tylko takich, których ciekawi twoja obecna sytuacja. Na przykład panie z kółka krawieckiego na rzecz skruszonych biedaków...

- Kółko krawieckie działa na rzecz ubogich matek - wyjaśniła Poppy. - Spotkania na rzecz skruszonych biedaków odbywają się u lady Cleland i tam nie zajmujemy się szyciem. Prawdę mówiąc - dodała ponuro - jedyne, co robimy, to rozmawiamy o niemoralnym postępowaniu prostytutek.

- W każdym razie wszystkie te szwaczki i plotkarki składały ci wizyty, ale teraz większość z nich wyjechała już na wieś. Każda dama, zajmująca się działalnością dobroczynną, zebrała całą swoją odwagę i przekroczyła mój próg. Chociaż nie! Niezupełnie.

- Ktoś się przestraszył?

- Możesz sobie wyobrazić przestraszoną lady Langhorne?

- O nie! - rzekła stanowczo Poppy, mając przed oczami potężną, niezłomną kobietę.

- Podała swój bilet wizytowy z powozu. Pewnie nie potrafiła się przemóc i wejść do takiej jaskini rozpusty jak Beaumont House podczas obecności księżnej - mówiła Jemma. - A więc nie opowiadaj mi więcej bajek o tym, że nie masz przyjaciół.

- To nie tak - rzekła Poppy, czując ogromne zmęczenie. - One są na swój sposób przyjaciółkami. Ale nigdy nie pogodziłyby się z tym, że chodzę przez cały dzień w nocnej koszuli.

- To wynika z ich cnotliwości - orzekła Jemma. - A ponieważ ja rodziłam się z całkowitym brakiem cnót, nie obchodzą mnie wzniosłe zasady, jakie wy wszyscy sobie narzucacie.

- Urodziłaś się z całkowitym brakiem cnót? - powtórzyła Poppy śmiechem.

- Klątwa Reeve'ów - wyjaśniła Jemma. - To moje panieńskie nazwisko. Jesteśmy wyjątkowo paskudną gromadką. Mam wuja, który jest niebezpiecznym szaleńcem. A mojego brata także trudno uznać za wzór dżentelmena. Pojedynek z Villiersem był jego czwartym. Potrzebujesz czegoś, Poppy?

- Książek - poprosiła. - Zapomniałam zabrać z domu moje książki, a przeczytałam już wszystko o przyrodzie, co znalazłam w twojej bibliotece.

- O przyrodzie? Masz na myśli drzewa i tym podobne rzeczy? Nie wiedziałam, że w ogóle mam takie książki.

- Wolę czytać o zwierzętach. Chociaż w domu zostawiłam bardzo interesującą rozprawę o powietrzu zawartym w wodzie, którą zdążyłam przeczytać tylko do połowy.

- Z całą pewnością nie mamy nic takiego. Swoją drogą, masz niezwykle zainteresowania. Ale dlaczego, na miłość boską, nie posłałaś służącego po książki?

- Wyślę listę do księgarni Lackingtona - powiedziała. Po czym dodała z namysłem: - Postanowiłam przeczytać wszystkie książki, do których nigdy nie miałam czasu zajrzeć. I zamierzam robić z nich notatki, chociaż to zupełnie bezcelowe, jak powiedziałaaby moja matka. Zrobię to dla samej przyjemności.

- Kiedyś pochowają cię z książkami - zażartowała Jemma, wstając z fotela. - Wiesz, że kobiety mogą wstępować do Londyńskiego Klubu Szachowego, ponieważ okazało się, że zapomnieli tego zabronić w regulaminie? Zamierzam wstąpić do niego, już choćby dlatego, że wszyscy uważają, iż jedynie mężczyźni mogą być mistrzami szachów.

- Musisz to zrobić. Tym bardziej że jedynie mężczyźni mogą być przyrodnikami - dodała.

Mięsiąc później, 1 września

- Czy wiesz, co robi twój mąż? - odezwała się Jemma przy stole, w czasie śniadania.

- Co takiego? - spytała znużonym głosem Poppy. Biorąc pod uwagę fakt, że Fletch nie marnował czasu na składanie kolejnych wizyt żonie, nie była pewna, czy interesują ją jego poczynania.

- Podobno wygłosił w Izbie Lordów bardzo dobre przemówienie, które zostało życzliwie przyjęte przez obie strony. To dziwne. Zwykle przynajmniej jedna strona udaje, że jest niezadowolona z wystąpienia...

Co myślisz o tym, żeby wybrać się na przyjęcie do lady Wigstead dziś wieczorem?

- Być może - odparła Poppy.

Jemma zmrużyła oczy.

- Dobrze wiem, o czym myślisz, Poppy. Ale nie dopuszczę do tego. Dałam ci dość czasu na rozpaczanie, ponieważ każdy tego potrzebuje, kiedy małżeństwo się kończy. Jest już wrzesień. Minęło pięć miesięcy wystarczająco długo, by dojść do siebie. Mnie zajęło mniej więcej tyle samo czasu, nim przestałam marzyć o miłości męża. Ale jest coś uroczego ego w budzeniu się obok mężczyzny.

- Spaliście razem całą noc? - spytała zaskoczona Poppy.

- Tak - potwierdziła Jemma. - Prawdę mówiąc, to, co robiliśmy w łóżku, z perspektywy czasu nie wydaje mi się aż tak interesujące. Ale lubiłam budzić się o świcie i pytać go, jakie ma plany. Byłam tak naiwna, że aż trudno to sobie wyobrazić.

- Jak to? - Poppy nie zrozumiała przyjaciółki.

- Sądziłam, że te rozmowy sprawiają mu przyjemność, że mają jakiś wpływ na to, jak mija mu reszta dnia. Że mnie w ogóle słucha.

- A nie słuchał?

- Oczywiście, że słuchał. Ale tak naprawdę nie interesowały go moje rady. Słuchał z uprzejmości, ponieważ jest uprzejmy z natury i dlatego, że tak go wychowano. Beaumont jest jedną z najuprzejmiejszych osób, jakie kiedykolwiek spotkałam. Tylko raz widziałam, jak zachował się po grubiańsku. Kiedy przyłapałam go z kochanką.

- To straszne - powiedziała Poppy, otrząsając się. - Naturalnie Fletch pewnie teraz już ma kochankę. Ale za każdym razem, gdy o tym myślę, czuję, że robi mi się niedobrze.

- Mnie było niedobrze. Mdliło mnie w powozie przez całą drogę do domu. Nawet teraz, kiedy przypomnę sobie, jak jej włosy opadały na biurko, mam ochotę wymiotować.

- I natychmiast wyjechałaś do Paryża?

- Nie. Czekałam na wyjaśnienia, przeprosiny, cokolwiek. Ale przy swoich innych wadach, Beaumont jest uczciwy. Powiedział mi, że rozstanie się z kochanką, i przeprosił za to, co widziałam. Zapytałam, czy ją kocha. Wahał się przez chwilę

i unikał odpowiedzi, ale było już t późno. A w końcu wyznał prawdę.

- Darzył uczuciem kochankę?! Moja matka mówi, że mężczyźni wchodzi w takie związki z czysto praktycznych powodów.

- Do przekonań twojej matki należy podchodzić z pewną dozą sceptycyzmu - zauważyła Jemma. - Sarah była piękna. Gdy braliśmy ślub, byli razem, o ile mogę użyć takiego słowa, już od trzech lat, Beaumont twierdzi, że Sarah nie jest już jego kochanką, ale nie wiem, jak skończył się ich związek. Wiem za to, że był do niej przywiązany o wiele bardziej niż do mnie, z naszym niemrawym życiem intymnym i moimi głupimi uwagami w łóżku.

Poppy przełknęła ślinę.

- Wygląda na to, że nasze małżeństwa były do siebie bardzo podobne.

- Ty widziałaś Fletcha flirtującego z inną - poprawiła ją Jemma. - Beaumont opuścił łóżko, w którym się kochaliśmy, i poszedł do biura, gdzie kochał się z panną Cobbett. To ogromna różnica, Poppy.

- Wcale nie - odparła. - Dobrze o tym wiesz. Gdyby Louise nie była moją przyjaciółką, pewnie teraz kochałby się z nią na swoim biurku. Czy to jest... Czy to jest normalne miejsce dla takich czynności? - wybuchnęła.

- Nie - zaprzeczyła Jemma. Po chwili się uśmiechnęła. - Nie powinniśmy ulegać takiemu ponuremu nastrojowi, Poppy. Wiele małżeństw się rozpada, z takich czy innych przyczyn. Czekałam w Paryżu trzy lata, licząc na to, że Beaumont sprowadzi mnie z powrotem, ale tego nie zrobił. Zanim w końcu zniżył się do złożenia mi wizyty, odkryłam już inne przyjemności... Choć nie na stole.

- Rozumiem - rzekła Poppy. - Sugerujesz, że Fletch będzie czekał trzy lata, zanim znowu mnie odwiedzi?

Jemma się pochyliła i uściśniła ją, lecz nic nie powiedziała.

- On nie przyjdzie, prawda? - Powiedzenie tego głośno przyniosło Poppy ulgę.

- Nie jestem pewna, na ile twoja sytuacja jest podobna do mojej - powiedziała Jemma. - Ale sądzę, że Fletcher był raczej zaskoczony faktem, że nie spotkał cię na żadnym przyjęciu.

- Bywa na przyjęciach? - spytała Poppy.

Jemma odwróciła gazetę i pokazała jej kolumnę zatytułowaną *Ploteczki z towarzystwa*. Tuż powyżej różowego paznokcia Jemmy widniało zdanie, które sprawiło, że serce Poppy zamarło.

„Książę F. pojawił się ostatniej nocy na balu u du Mauriera bez swojej żony. Plotki głoszą, że księżna udała się do Wenecji. Książę wydawał się obojętny na towarzyszące mu zainteresowanie i spędził większą część wieczoru na dyskusjach z lordami ze stronnictwa Pitta, którzy wydawali się uszczęśliwieni faktem, że do ich szeregów dołączył ów elegancki młodzieniec.

- Fletch nie znosi określenia „elegancki młodzieniec” - zauważyła Poppy - A ja jestem w Wenecji? - dodała.

- Och! Zawsze wszystko pokręca - skomentowała Jemma. - Jeśli nie mają pewności, co się z tobą dzieje, po prostu coś wymyślą.

- Chyba pójdę na spotkanie kółka krawieckiego u lady Cleland odezwała się po chwili Poppy.

- Nie robiłabym tego - zauważyła Jemma.

- Dlaczego nie?

- Brzmi nudno.

- Mamy obowiązek opiekować się ubogimi i wspierać nieszczęśliwych - zaproponowała Poppy.

- Nie wychodzi mi to najlepiej - stwierdziła Jemma. - Rozdaję mnóstwo pieniędzy. To pieniądze Beaumonta, ale uwierz mi, człowiek ubogi woli solidny brzęk monety od nieporadnie uszytego obrusa. A to wszystko, na co mnie stać.

- Zastanawiam się nad pieniędzmi... Jak powinnam postąpić?

- Co masz na myśli? Fletcherowi z pewnością nie brakuje pieniędzy. Nigdy nie słyszałam, żeby było inaczej.

- Tak, ale ja ich nie mam - powiedziała Poppy. - Nie mam nawet dwupensówki.

- Nie dostajesz pensji?

Poppy pokręciła głową.

- Fletch mi to proponował, ale matka powiedziała, że powinnam o prostu oddawać mu wszystkie rachunki i zostawić mężowi sprawy finansowe. Matka bardzo często radziła mi, jak należy zareagować, gdyby Fletch zakwestionował moje

rachunki. Ale on nigdy nie powiedział ani słowa. Nawet gdy kupiłam aż dwa kapelusze, a były skandalicznie drogie, w ciągu jednego miesiąca.

- Dlaczego twoja matka uważa, że nie powinnaś dostawać pensji?

- Nie wiem. - W rzeczywistości jednak wiedziała. - Sądzi, że nie jestem dość inteligentna, żeby zarządzać swoimi pieniędzmi. - Starając się panować nad głosem, dodała po chwili: - Nie powiedziała tego wprost, ale jest zdania, że bardzo niewiele kobiet umie się dobrze obchodzić z pieniędzmi.

- I mówi to tobie? Kobiecie pochłoniętej przez studia nad wodą, powietrzem i szpakami? Twierdzisz, że przez wszystkie te lata, kiedy byliście małżeństwem, nie kupiłaś sobie niczego, nie myśląc o reakcji męża? A wcześniej twoja matka, jak przypuszczam...

- Oczywiście - odparła Poppy, czując się jak głuptas. - Zostanę z tobą na święta, Jemmo, ale potem chciałabym się usamodzielnąć. I zamierzam mnóstwo podróżować. Jemma uniosła brwi ze zdziwieniem.

- Pozwól, niech zgadnę... Dzikie równiny Afryki?

- Szczerze mówiąc, na początek myślałam o Nilu - rzekła Poppy z uśmiechem. -

- Wyprawa w górę Nilu jest przyjemna tylko wówczas, jeśli dosłownie pławisz się w pieniądzech - stwierdziła stanowczo Jemma. - Przypuszczam, że twój mąż trzyma pieniądze w banku Hoare'a, jak każdy elegancki młodzieniec w stolicy?

- Nie nazywaj go tak. Nie spodobałoby mu się to!

- Ależ on jest młodzieńcem - zauważyła Jemma. - Przecież jest młody.

- Starszy ode mnie.

- Ale młodszy ode mnie, a co gorsza, sprawia, że czuję się starsza przez tę jego bródkę i sposób, w jaki snuje się po pokojach, przystając tu i ówdzie.

- To męczące, nieprawdaż? - powiedziała Poppy, wybuchając śmiechem.

- I jest nużąco przystojny - dodała Jemma. - Doprawdy nużąco!

- O tak!

- To zupełnie niemęskie być tak doskonałym pod każdym względem.

Poppy śmiała się z zadowoleniem.

- Tym, czego naprawdę potrzebujesz - stwierdziła Jemma – jest jakaś duża sumka, którą wydasz, jak sama będziesz chciała. Nie zastanawiając się dwa razy nad zakupem, niezależnie od tego, czy to będą dwa kapelusze, czy czterdzieści. A potem napiszemy list do Fletcha

Poinformujemy go, że chciałabyś, aby twoja pensja była przekazywana na twoje własne konto w banku Hoare'a. Dla obojga tak będzie znacznie łatwiej. Ty będziesz mogła się usamodzielnic i podróżować, gdzie tylko zechcesz, a on nie będzie się musiał o to martwić. Wszystko to było rozkosznie proste.

Patrząc na uśmiechnięte, pewne siebie twarze księżnej Fletcher i księżnej de Beaumont, pan Pisner w banku Hoare'a bez mrugnięcia okiem wypłacił nieprzyzwoicie wysoką sumę, której zażądała Poppy.

- W końcu - powiedział później swojemu przełożonemu - wiedziałem, kim ona jest i to była ona.

Nie była to może wypowiedź gramatycznie poprawna, niemniej jednak zrozumiała.

- Była z nią księżna de Beaumont, obie budziły respekt. A potem powiedziały mi... To znaczy księżna Fletcher stwierdziła, że chciałaby założyć własny rachunek w banku. I że jej mąż będzie na niego przekazywał pensję.

- Świat chyli się ku upadkowi - zauważył pan Fiddler. - Mężczyzna nie ma już żadnej kontroli nad własną żoną. Bo przecież jeśli księżę nie może okiełznać małżonki, to na co my możemy liczyć?

Pan Pisner w cichości ducha był przekonany, że wolałby wypić truciznę niż mieć za żonę panią Fiddler. Wkrótce temat do rozmowy się skończył i obaj zajęli się podliczaniem rachunków z ostatniego miesiąca.

Poppy wysiadła z powozu i spojrzała z niedowierzaniem na gruby plik banknotów, który trzymała w dłoni.

- Jemmo! - Jęknęła. - Fletch będzie wściekły.

- Naprawdę? - rzuciła przyjaciółka, pudrując nosek przy małym lusterku, które wydobyła z torby. - Więc może wrócimy jutro i weźmiemy więcej?

Poppy zastanowiła się nad tym.

- Dlaczego ma być wściekły? Nie wygląda na sknerę - dorzuciła Jemma.

- Nie jest sknerą.

- Najprawdopodobniej nawet tego nie zauważy.

Poppy nie była co do tego przekonana. Ale skąd miała wiedzieć? Powoli uświadamiała sobie, że nie wie niemal nic o swoim mężu.

- A teraz kupmy coś, na co zawsze miałaś ochotę, ale nie mogłaś się zdecydować.

Poppy nic nie przychodziło do głowy.

- Nowa suknia?

- Zawsze kupowałam suknie wtedy, gdy uważałam, że ich potrzebuję.

- Ale my teraz - zwróciła jej uwagę Jemma - zajmujemy się kupowaniem czegoś, czego nie potrzebujesz. Dla samej przyjemności kupowania. Nie dlatego, że masz dziurawe pończochy, ale ponieważ lubisz pończochy.

Roześmiała się.

Poppy uśmiechnęła się niepewnie.

- O co chodzi?

- To twoja mina - wyjaśniła. - Wyglądasz jak kociak ze swoją pierwszą myszą.

- Dobrze więc. Jest coś, czego bym chciała - rzekła nieśmiało Poppy.

- Co takiego?

- Obiecujesz, że nie będziesz się śmiała?

- Tego nie mogę obiecać - zastrzegła Jemma. - Ale obiecuję nie krzyknąć. Czy to wystarczy?

Poppy rozwinęła niewielkie ogłoszenie, starannie wycięte z gazety.

- Cóż to, na Boga? - spytała Jemma, biorąc do ręki skrawek papieru.

„Na sprzedaż.

Róg dziwnego zwierzęcia znaleziony w Babilonie przez Sisfrefya".

- Co takiego?

- Słyszałaś o tym zwierzęciu? - spytała Poppy. - W ubiegłym roku pisali o nim w „Gazette”. Podobno ma dwa rogi na nosie i po jednym spiralnym nad każdym uchem. W artykule było napisane, że jest wcieleniem konia i z łatwością może unieść dwóch ludzi. I ma niebieskie o.

Jemma miała minę przypominającą nieco wyraz twarzy matki Poppy za każdym razem, gdy jej córka wykazywała zainteresowanie wycinakami z gazet.

- Po co, na miłość boską, nosisz to w kieszeni?

- Chciałabym to kupić - wyznała Poppy.

- To?!

Poppy się pochyliła i zastukała w dach.

- Tak jest, wasza wysokość? - rozległ się stłumiony głos woźnicy.

- Chciałybyśmy pojechać do sklepu z osobliwościami Grudnera.

- Słucham?

- Sklep z osobliwościami Grudnera w Whitefriars - krzyknęła. - Natychmiast.

Powóz ociężale skręcił w prawo.

- Sklep z osobliwościami Grudnera? - spytała Jemma zaskoczona.

- Czytałam jego ogłoszenia - wyjaśniła Poppy. - Ma najróżniejsze cudowne rzeczy... Kiedyś miał pestkę wiśni, na której wyrzeźbiono sto głów. I jajo strusia. Wiesz, co to jest struś, Jemmo?

- Nie mam pojęcia - odparła Jemma, odchylając się do tyłu ze śmiechem.

- To wielki, tłusty ptak - powiedziała Poppy. - Mój ojciec miał książkę o osobliwościach natury, a ja całymi latami chowałam ją pod moim łóżkiem. Naturalnie wiedziały o tym wszystkie pokojówki, ale nigdy nie powiedziały matce. Dlaczego tak się uśmiechasz?

- Ponieważ oczy ci błyszczą - powiedziała Jemma. - Oczy ci błyszczą, policzki masz zaróżowione i wyglądasz... na zainteresowaną, Poppy. Naprawdę zainteresowaną.

- Cóż, to zainteresowałoby każdego! Czy wiesz, że lord Prestle ma wypchanego aligatora? Chciałabym go zobaczyć!

- Wypchanego aligatora? Co to jest aligator?

- Potwór - wyjaśniła Poppy. - Prawdziwy potwór, z wielkimi, ogromnymi zębami i kłami wielkości ludzkiej nogi. Tak opisywał go „Rambler Magazine”. Grasuje po pustkowiach Ameryki i potrafi jednym kłapięciem pożreć człowieka.

- Na miłość boską! - zawołała Jemma. - Wygląda na to, że czytasz zupełnie inne artykuły niż ja.

- Pierwsza rzecz, jaką zamierzam kupić, to gablota.

- Na wypchanego aligatora?

- Niespecjalnie interesują mnie wypchane zwierzęta - uściśliła Poppy. - A właściwie interesują mnie, ale wolę osobliwości. Na przykład kilka miesięcy temu widziałam ogłoszenie o sprzedaży idealnie przezroczystego kryształu, w którym była uwięziona woda. Niemal zapytałam matkę, czy mogę go kupić.

- Więc dlaczego tego nie zrobiłaś?

- Matka uważa, że ciekawość nie jest cechą godną księżnej.

- Zdaje się, że jestem księżną odpowiadającą wyobrażeniom twojej matki - rzekła z zadowoleniem Jemma. - Nigdy nie wykazywałam najmniejszej ciekawości, chyba że chodziło o znalezienie nowego rozwiązania jakiegoś problemu szachowego. Ale muszę cię o coś zapytać, Poppy. Dlaczego, na miłość boską, prosisz matkę o pozwolenie, żeby wydawać pieniądze Fletcha na to, na co masz ochotę?

Poppy zmarszczyła czoło.

- Nie jestem pewna.

- Nigdy nie pytam nikogo o pozwolenie - oświadczyła Jemma.

- Tak żyje się znacznie zabawniej.

- Rozumiem, co masz na myśli. Sądzę, że pytam mamę po prostu z przyzwyczajenia. Chociaż wiem, że i tak zawsze powie „nie”.

- Zatem musisz przestać pytać. Nie znoszę ludzi, którzy odmawiają.

Poppy się roześmiała.

- Czy ktoś ci czegośkolwiek odmówił, Jemmo?

- Tylko nieliczni i tak powinno być. Beaumont i ja kłóciliśmy się o to kiedyś i teraz także.

- Wydaje mi się, że matka mówi „nie” w bardzo wielu sprawach.

- A tylko w nielicznych ma do tego prawo - zauważyła Jemma. - Im więcej słyszę o twojej matce, tym bardziej się cieszę, że mam tak krewnych. Za żadne skarby nie

zamieniłabym mojego szalonego wuja na twoją matkę!

- Czy wiesz, że w ciągu ostatniego miesiąca nie napisałyśmy do siebie żadnego listu? Przypuszczam, że jest na mnie wściekła.

- Pełni obowiązki księżnej zamiast ciebie - rzekła Jemma kąśliwie, plotkarskie kolumny donoszą, że w ubiegłym tygodniu organizowała przyjęcie.

- Zawsze chciała być księżną - powiedziała Poppy w porywie lojalności. – I sprawdziłaby się w tej roli znacznie lepiej niż ja.

- I teraz jest księżną - rzekła Jemma. - My, zdetronizowane księżne mieszkamy w Beaumont House. A te prawdziwe mogą składać wizyty twojej matce. I wszyscy jesteśmy zadowoleni.

21

Wciąż 1 września

Książę de Villiers rozłożył elegancki papier listowy z wytłaczanym monogramem. Przebiegł go wzrokiem i wypuścił z ręki. Był tak strasznie zmęczony, że nie potrafił wzbudzić w sobie zainteresowania tym, że jeden z przyjaciół przysłał mu długi przegląd plotek. Podobno książę de Beaumont flirtuje z panną Charlotte Tatlock. Widywano ich, jak rozmawiają ze sobą na spotkaniach towarzyskich.

Elijah musi być szalony, żeby flirtować z takim starym pudłem jak Charlotte Tatlock, skoro może rozmawiać z Jemną. Kiedy teraz się nad tym zastanowił, przypominał sobie, że Elijah rozmawiał z panną Tatlock przez większą część przyjęcia Jemmy.

Villiers nie miał siły przeczytać dalszej części listu - był wyjątkowo irytujący

Miał przy łóżku szachownicę, lecz nie mógł się skupić na żadnym problemie szachowym. Nawet jeśli Finchley zaczerpnął pomysł z *Analizy gry w szachy Philidora*, o co sam go poprosił.

Prześlizgiwał się wzrokiem po pustym nudnym pokoju. Dwa lata temu kazał go przemalować na jasnoszary kolor porannego nieba nad oceanem, jak w dniach, kiedy jesień ustępuje miejsca zimie. Wciąż lubił ten kolor. Lecz pokój był pusty... tak przeraźliwie pusty.

Nie czuł nawet żalu z powodu tego, że narzeczona porzuciła go dla brata Jemmy. Chociaż trzeba przyznać, że nie rozpaczał i wcześniej, gdy to nastąpiło.

- Może przyniosę odrobinę krupniku, Wasza Wysokość? - spytał Finchley, ukazując się w drzwiach niczym widmo.

- Nie - odparł książę. Po czym dodał: - Dziękuję, Finchley.

- Wielu gości przyszło dziś rano - oznajmił z dumą lokaj. Odebrał tacę od czekającego w pobliżu służącego i zaprezentował ją jak własne dziecko. Rzeczywiście, spoczywał na niej stosik wyłaczanych biletów wizytowych z nazwiskami arystokratów, przyjaciół, znajomych i ciekawskich.

- Nie, dziękuję. - Wśród licznych wizytówek nie było żadnej, którą chciał zobaczyć. Prawdę mówiąc, pogrzyżył się w depresji. Chciałby się spotkać z Benjaminem. Wpadłby do pokoju niczym powiew świeżego powietrza. Villiers powiedziała mu coś kąśliwego o niezdarnych szczeniakach i tak dalej...

To niezwykle doświadczenie znaleźć się tak blisko śmierci. Wtedy przypomniał sobie, że jego przyjaciel Benjamin nie żyje.

- Nie przypuszczam - odezwał się, kiedy Finchley miał wyjść - żeby księżna Beaumont złożyła mi wizytę? Albo księżna Berrow? - Była to wdowa po Benjaminie.

Finchley się uklonił.

- Wśród gości nie było żadnej damy, Wasza Wysokość - powiedział z łagodną przyganą, jakby Villiers zapomniał o zasadach etykiety. Oczywiście, że nie przyszła żadna z dam. Dlaczego, na Boga, wdowa po Benjaminie miałaby mu składać wizytę? Z pewnością obarcza go winą za samobójstwo męża.

A jednak mogła przyjść Jemma. W końcu powiedziała, że są przyjaciółmi. Najwyraźniej nie aż tak dobrymi przyjaciółmi. Nie mógł sobie przypomnieć... Jego umysł nie pracował poprawnie.

- Księżna de Beaumont nie przychodziła, prawda? - spytał jeszcze raz dla pewności.

Finchley z dziwnym wyrazem twarzy pokręcił głową.

- Nie, Wasza Wysokość.

- Majaczyłem o niej, prawda? - domyślił się Villiers. - Przypuszczam, że mówiłem różne rzeczy, Finchley. Mam bardzo dziwne wspomnienia. Czy odwiedził mnie prawnik?

- Tak, Wasza Wysokość - odparł Finchley. - Podyktował pan testament. Pamięta pan to?

- Oczywiście - skłamał gładko Villiers. W końcu zlitował się nad nieszczęśliwym kamerdynerem. - Możesz odejść.

Finchley zniknął. Villiers przyglądał się swoim palcom. Stały się jakby cieńsze, niemal przezroczyste. To jasne, że Jemma nie przyszła, nie mogła go odwiedzić. Równałoby się to obwieszczeniu, że mają romans. A najgorsze w tym wszystkim było to, że go nie mieli. Prawdę mówiąc, Villiers był na tyle głupi - o ile dobrze sobie przypominał - że odrzucił coś, co mogło być zaproszeniem z jej strony.

- Co za idiota ze mnie... - wyszeptał.

I - myśląc tym razem o Benjaminie - dorzucił w myślach: głupiec! Gorączka wracała, w głowie mu wirowało. Temperatura ustępowała każdego ranka, lecz teraz, kiedy minęła pora lunchu, czuł, że powraca. Nadciągała niczym fala czarnego aksamitu, która wkrótce całkowicie go zakryje.

I wtedy po raz pierwszy przyszło mu to do głowy: Mogę umrzeć, myślał. Naprawdę mogę umrzeć. Co za głupota ponieść śmierć w wyniku pojedynku o narzeczoną, za którą nie dałby złamanego pensa. Stracić życie z powodu nieroztropnego słowa, od jednego ciosu stalowego ostrza.

Nie żeby miał wiele do stracenia... kilka zaprzepaszczonych okazji i kilku już straconych przyjaciół. Benjamin... nie żyje. Elijah. Elijah ożenił się z Jemną. Myśli o własnym życiu przyprawiały go o ból głowy.

Ale było coś jeszcze...

Pozostała jeszcze jedna rzecz do zrobienia.

Wzrok już mu się mącił.

- Finchley - zawołał łamiącym się głosem.

Kamerdyner pojawił się natychmiast.

- Znowu mam gorączkę - powiedział Villiers, uprzedzając troskliwą dłoń na swoim czole. - Chciałbym się napić wody i muszę coś napisać. Szybko, zanim się zacznie.

Zanim Finchley przyszedł z kartką, gorączka wróciła i Villiers nie mógł już sobie przypomnieć, co chciał powiedzieć.

- Ta kobieta... - Udało mu się w końcu zebrać myśli. - Zaadresuj do niej.

Finchley usiadł przy łóżku.

- Jaka kobieta? - zapytał.

Villiersowi się zdawało, że szczupła postać kamerdynera wydłużyła się jeszcze bardziej, wyrosły jej rogi i odpłynęła do ściany.

- Oczywiście wszyscy jesteśmy przyjaciółmi. Jak ona ma na imię? Charlotte, jak mi się wydaje. Może Charlotte. Od jego Wysokość Księcia de Villiers. Pozdrowienia.

Zapomniał, co chciał powiedzieć. Zapadł się w sadzawce ciepłej wody, która z tajemniczych przyczyn czekała tuż pod jego powiekami. Unosił się w niej, niemal latał, kiedy przez wodę dobiegł go stłumiony, wilgotny głos Finchleya.

- Wasza Wysokość, czy może mi pan podać nazwisko tej kobiety?

- Której?

- Charlotte - odparł Finchley. - Kobiety o imieniu Charlotte. Pisze pan do niej list, Wasza Wysokość.

- Naprawdę? Charlotte? Chodzi ci o Charlotte Tatlock? - spytał, zdając sobie sprawę, że zaczyna być poirytowany. - To dość dziwna młoda kobieta. Ma takie długie zęby.

Ta długa wypowiedź wyczerpała go i opadł zmęczony na poduszkę. List? Jaki list, do diabła?

- Nie, nie. Chciałem powiedzieć... Powiedz jej... powiedz... - U jego stóp znów otworzyła się sadzawka, ciepła, zapraszająca. Może mieszkały w niej syreny o jasnych oczach, które sprawią, że poczuje się potrzebny i kochany. Może... Wdowa po Benjaminie nie nazywa się Tatlock. Ponieważ nazwisko Benjamin... Jak brzmiało nazwisko Benjamin? - Powiedz jej, żeby mnie odwiedziła... Powiedz jej, że tęsknię za Benjaminem.

Słyszał, jak Finchley skrobie po papierze. Ten dźwięk walił w jego głowę jak młotem.

- A teraz idź już, idź - powiedział. - Doręcz to przez posłańca. Kiedy drzwi się zamknęły, przymknął oczy i zapadł się w wodzie. Lecz nie było w niej jasnoookich syren o smukłych zielonych ogonach, a tylko przesuwające się cienie i ciepło. Było tak gorąco, jakby sadzawkę podgrzewały wulkany.

I tak było aż do świtu.

22

Sklep z osobliwościami Grudnera stał nieco oddalony, a w jego trójkątnie zwieńczonych oknach piętrzyły się sterty czegoś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak śmieci.

Poppy wyskoczyła z powozu. Zamierzała odwiedzić to miejsce od lat, odkąd po raz pierwszy usłyszała o jego istnieniu, lecz matka nigdy jej na to nie pozwalała. Sklep Grudnera był usytuowany w Whitefriars, jednej z dzielnic Londynu, które - zdaniem matki - nie znały prawa ani porządku. Poppy się wydawało, że ulica jest tak samo obskurna i zatłoczona jak każda inna i nic nie wskazuje, by miała być siedliskiem przestępców.

Jemma poszła w jej ślady znacznie wolniej, dbając o to, by nie trzeć bokiem sukni o drzwi powozu.

- Domyślam się, że pan Grudner nie jest fanatycznym zwolennikiem sprzątanania - orzekła, patrząc na okno.

- Spójrz na to - powiedziała Poppy, wskazując coś ręką.

Jemma przyjrzała się dokładnie.

- Co to takiego? Stara rękawica jeździecka? Co w niej niezwykłego? Umie latać?

- Należała do króla Henryka VIII. Widzisz? Tak jest napisane na kartce.

- A gdzie masz na to dowód? - parsknęła Jemma. - Mogłabyś wziąć każdą starą rękawiczkę i położyć przy niej kartkę z napisem, że należała do samego króla Salomona. Poza tym, Poppy, czy wiesz, że Henryk VIII nigdy się nie kąpał? Podobno nie lubił, żeby jego skóra miała kontakt z wodą. Wuj powiedział mi, że Henryk VIII miał skórę tak gładką jak pupa niemowlęcia. Ale wyobraź sobie... - Otrząsnęli się. -

Wyobraź sobie wewnątrz jego rękawiczki!

Sklepek był niewielki, pomalowany na przyjemny dla oka wiśniowy kolor. Wszędzie, gdzie Poppy spojrzała, stały pudełka ze szklanymi pokrywkami, oszklone regały, a nawet szklane postumenty, na których stały niezwykle przedmioty.

- Czcigodne panie - powiedział jakiś człowiek, zbliżając się do nich. - To dla mnie wielki zaszczyt. - Był wysoki i szczupły, z wielką szopą białych włosów, która sprawiała, że jego głowa wydawała się nieproporcjonalnie duża w stosunku do ciała. - Jestem Ludwig Grudner. Czym mogę paniom służyć? Może chcą panie obejrzeć rękawiczkę Henryka VIII, którą podziwiałyście na wystawie?

- Nie - odpowiedziała Poppy z uśmiechem. - Interesują mnie osobliwości naukowe.

- Mam sępa z Afryki - rzekł pan Grudner. - Dziesięć stóp rozpiętości skrzydeł, oczywiście, i pięknie wypchany. Przechowuję go gdzie indziej, ale mogę dostarczyć na jutro rano.

- Nie szukam wypchanych zwierząt, lecz ciekawostek - wyjaśniła Poppy. - Chciałabym stworzyć własny gabinet osobliwości. Widziałam pańskie ogłoszenie o rogu bestii Sisfrefya.

- Niezwykły okaz - rzekł pan Grudner. - Prawdziwy cud. Sprzedałem go za trzysta funtów.

- Trzysta funtów! - wykrzyknęła Jemma. - To oburzające!

- Jest jedyny w swoim rodzaju - zaproponował pan Grudner. - Był wart znacznie więcej, a sprzedałem go za tyle, ponieważ lord Strange należy do moich najlepszych klientów

- Doprawdy? - rzuciła Jemma.

- Lord Strange jest wielkim naturalistą - wyjaśnił pan Grudner - I oczywiście może sobie pozwolić na zaspokajanie swojej ciekawości. Ma jedną z najlepszych kolekcji w Anglii, a większość okazów kupił właśnie u mnie.

- Och! - powiedziała Poppy zafascynowana. - Szkoda że nie udało mi się zobaczyć tego rogu, zanim został sprzedany.

- Mam w moim sklepie mnóstwo niezwykłych przedmiotów... Każda dama powinna mieć własny gabinet osobliwości. Może mógłbym pani pokazać rękę syreny?

Jemma oddaliła się nieco, kiedy szczęśliwa Poppy myszkowała wśród odrażających eksponatów kolekcji Grudnera. Znalazła niewielki obrazek, wykonany z ptasich piór i właśnie się zastanawiała, czy przedstawia on małą wspinającą się na plecy człowieka, kogoś wchodzącego po schodach czy też może krowę stojącą pod drzewem, kiedy zobaczyła pojedynczą figurę szachową, ustawioną na niedużym postumencie.

Była to biała królowa z kości słoniowej. Stała w iście królewskiej pozie, przytłoczona przez olbrzymią koronę, którą miała na głowie. Koronę wyrzeźbiono na kształt zachwycającej ażurowej pustej wewnątrz kuli. A kiedy Jemma zajrzała do środka, zobaczyła mniejszą ażurową kulę, a w niej kolejną i następną.

- Wspaniała, czyż nie? - odezwał się pan Grudner, zaglądając jej przez ramię. - Obawiam się, że mam tylko tę jedną figurę. Reszta kompletu należy do lorda Strange'a i nie udało mi się go namówić, by się z nim rozstał.

- Więc dlaczego, na Boga, rozstał się z królową?

- Tego, niestety, nie potrafię powiedzieć - odparł Grudner.

- Komplet szachów - zauważyła Jemma - do niczego się nie nadaje bez królowej. Jest bezużyteczny. Dlaczego Strange ją oddał?

- Sprzedał mi ją - wyjaśnił Grudner. - Chociaż nie musi pozbyć się takich dzieł sztuki, żeby zostać najbogatszym człowiekiem Anglii.

- Więc dlaczego to zrobił?

- Sądzę, że po prostu zrezygnował z gry w szachy - paplał dalej Grudner. - Jakakolwiek była przyczyna, zapewniam panią, że ta figura sama w sobie jest wyjątkowa. W koronie jest pięć kul wyrzeźbionych jedna w drugiej, w samym środku zaś najmniejsza kulka z kości słoniowej, jaką kiedykolwiek widziałem.

- Jemmo, spójrz na to! - zawołała Poppy z przeciwległego końca sklepu.

Jemma podeszła do niej, zabierając ze sobą białą królową. Z jakiegoś powodu nie chciała rozstawać się z jej szatańsko uśmiechniętą małą twarzą. Uśmiechniętą, mimo że musiała się rozstać z królem i resztą dworu.

- Znalazłam przepiękną rzeźbę chłopca z motylem - powiedziała Poppy, pokazując jej znalezisko.

- Kopia starożytnego greckiego posągu - wyjaśnił pan Grudner - I to doskonała, pozwolę sobie zauważyć.

- Popatrz tylko na detale motyla! - wykrzyknęła Poppy.

Jemma spojrzała, lecz to nie motyl, ale klęczący przed nim nagi młodzieniec wzbudził jej zainteresowanie.

- Kogo przedstawia ta rzeźba? - zapytała Grudnera.

- Erosa, czyli Kupidyna, zakochanego w Psyche - odparł. - Psyche po grecku oznacza oczywiście motyla.

- A to co takiego? - spytała Jemma, przyglądając się dziwnemu kawałkowi skały w drugiej ręce Poppy.

- To geoda - odpowiedziała Poppy, odkładając rzeźbę Kupidyna.

- Zobacz, tak się otwiera. - Dwa nieregularne kawałki kamienia rozchyliły się, ukazując olśniewające ametystowe wnętrze. - Zupełnie jak maleńka jaskinia, którą możesz trzymać w dłoni. Baśniowa grota.

- Sam lepiej bym tego nie ujął - zauważył z uznaniem pan Grudner, sprawiając wrażenie człowieka, który nie ma pojęcia, co to jest geoda, lecz doskonale zdaje sobie sprawę, że taka fraza oznacza dla niego czysty zysk.

- Znalazłem też to - rzekła Poppy, zupełnie go ignorując. Na jej wyciągniętej dłoni leżała pestka jakiegoś owocu, być może moreli. Delikatnie otworzyła jej połówki. Wewnątrz spoczywał zestaw najmniejszych łyżeczek, jakie Jemma kiedykolwiek widziała.

- To urocze - oceniła, przypominając sobie nagle mały serwis należący do jej dawno zaginionej lalki.

- Dwadzieścia cztery łyżeczki w pestce wiśni - podkreśliła Poppy.

- Najmniejsze na świecie - dodał pan Grudner.

- To nie jest pestka wiśni - stwierdziła Jemma. - Raczej brzoskwini.

- Wiśnia, Wasza Wysokość - powtórzył z uporem Grudner.

Jemma westchnęła. Najwyraźniej Poppy zostanie za chwilę oskubana ze wszystkich pieniędzy, jakie podjęła z konta swojego męża. Ale... właściwie dlaczego miałyby nie dać się oskubać, skoro sprawiało jej to przyjemność? Przedstawiciele rodu Reeve'ów nie mieli w zwyczaju chronić innych przed popełnianiem błędów.

Wiśnia, brzoskwinia - co za różnica?

Ale Poppy ją zaskoczyła. Zmarszczyła czoło i poprosiła o krzesło, potem z uroczym uśmiechem nakłoniła Grudnera do odkurzenia mebla. A kiedy usiadła, zdjęła rękawiczki i zgodziła się wypić filiżankę herbaty, Jemma wiedziała już doskonale, do czego zmierza. I rzeczywiście, czterdzieści minut później wyszły ze sklepu, zostawiając w nim oszołomionego właściciela, który sam siebie przekonywał, że oddał pestkę księżnej niemal za darmo, ponieważ... ponieważ była...

Urocza. Westchnął i pokręcił głową, rozmyślając o tym, co powiedziałyby pani Grudner, świeć panie nad jej duszą. To nie byłoby nic miłego.

- Najgorsze jest to, że zapłaciłam za moją królową tyle, ile chciał powiedziała Jemma. - A ty kupiłaś wszystko za połowę ceny. To niesprawiedliwe!

Poppy spojrzała na nią, nie okazując najmniejszych wyrzutów sumienia.

- Moja matka mówi, że dama nigdy się nie targuje.

- Więc jak nazwałabyś waszą rozmowę? Ten biedak zażyczył sobie pięćdziesiąt funtów za pestkę wiśni, a ty zapłaciłaś mu... ile? Cztery?

Poppy się uśmiechnęła.

- Nazwałabym to... nazwałabym...

- Ja nazywam to buntem - przerwała jej Jemma. - Czy wolno mi zauważyć, Poppy, że porzucając męża, rozstałaś się również z matką?

- Właśnie to widzę - przyznała Poppy, rozsiadając się wygodnie i otwierając woreczek z pestką. - Jutro zamierzam odwiedzić France'a Bantinga. Podobno mają doskonałe gabloty na okazy.

- Czy ktoś robi gabloty na pestki wiśni? - spytała Jemma z niedograniem.

- Widziałaś kiedykolwiek gabinet osobliwości? Zbiory należące króla Szwecji były pokazywane rok temu w Leverian Museum. Powiedziałam wtedy matce, że odwiedzam ubogich, ale poszłam do muzeum.

- Cóż za odwaga! - zauważyła z przekąsem Jemma. - Mam nadzieję, że nie odkryła twojej perfidii?

- Na szczęście nie. I możesz sobie być złośliwa, Jemmo, jeśli chcesz, ale zapewniam cię, że wcale nie jest łatwo zrobić cokolwiek wbrew woli mojej matki.

- Mogę to sobie tylko wyobrazić - odparła przyjaciółka. - Szczęśliwie ona nigdy nie wykazywała najmniejszego zainteresowania mną.

- To właśnie - wyznała szczerze Poppy - jedna z przyczyn, dla których jestem wdzięczna, że mnie przyjąłeś. Moja matka tak bardzo obawia się o swoją reputację, że przenigdy mnie tu nie odwiedzi. Choć bardzo by tego chciała.

- Zdaję sobie sprawę, że moja reputacja czasami okazuje się bardzo użyteczna. Szkoda że nie słyszałaś, jak Beaumont narzeka, iż opinia o mnie rujnuje jego szanse na to czy owo w parlamencie. Powinnam go poinformować, że przydaje się ona do odpędzania matek i innych zbójców.

- Sądzę, że zamówię gabinet z dębu i hebanu. Uwielbiam połączenie czarnego i brązowego drewna.

- Hm... - mruknęła Jemma. Wydobyła królową i przyjrzała się jej jeszcze raz. Figura była naprawdę piękna. Jej szata wydymała się z tyłu niczym fala oceanu uderzająca o brzeg.

- Pan Grudner powiedział, że ta figura należała do lorda Strange'a, nieprawdaż? To jedna z kolekcji osobliwości, które bardzo chciałabym zobaczyć.

- Niestety polega na tym - rzekła Jemma - że nawet ja nie mogę odwiedzić Fonthill, jego posiadłości. Jak myślisz, dlaczego rozdzielił komplet i sprzedał królową? To takie okrutne!

- Dlaczego nie możesz odwiedzić Fonthill? Zamierzałam to zrobić.

- Strange ma dziesięć razy gorszą reputację ode mnie. Jego postępowanie oburza nawet tych, którzy mnie uważają za anioła.

Poppy odchyliła się do tyłu.

- Mam zamiar zobaczyć jego zbiory. I chcę pójść do Ashmolean Museum. I na posiedzenie Towarzystwa Królewskiego. Matka nie pozwalała mi tam bywać, mimo że często zapraszają kobiety.

Jemma spojrzała na nią ze zdumieniem. Twarz Poppy była urocza jak zwykle, lecz Jemma uświadomiła sobie nagle, że uśmiech przyjaciółki jest równie słodki, co zdeterminowany.

- Panna Tatlock jest sekretarzem Pomocniczego Koła Kobiet Towarzystwa Królewskiego - podsunęła.

Masz na myśli tę młodą kobietę, która flirtuje z twoim mężem?

- Tę samą. Przypomina z wyglądu klacz.

Poppy uśmiechnęła się do niej.

- Chciałabym, żeby Louise z czymś mi się kojarzyła, ale zbyt ja lubie.

- I tu się różnimy. Ja nie czuję żadnej sympatii do panny Tatlock, chociaż pierwsza przyznam, że moja antypatia jest niesprawiedliwa. O ile mi wiadomo, ta kobieta adoruje Beaumonta z daleka, a on z pewnością nigdy nie naraziłby na szwank swojej cennej reputacji, posuwając się do czegoś więcej niż rozmowa z nią.

- A zatem musimy skierować jej uwagę na kogoś innego - powiedziała stanowczo Poppy. - Przypadkiem znam uroczego młodego uczonego, doktora Loudana.

- Panna Tatlock nie wyjdzie za jakiegoś młodzieńca z Oksfordu, choćby był nie wiem jak inteligentny - rzekła Jemma. - Za bardzo zależy jej na majątku. To jedna z tych kobiet ze zubożałej arystokracji. Ależ to szanowny George Loudan - wyjaśniła Poppy. - Pewnego dnia zostanie wicehrabią Howitt. Jemma uniosła brwi ze zdumieniem.

- Cóż za wspaniały pomysł, Poppy!

- Pójdę na następne spotkanie Towarzystwa Królewskiego. A w każdym razie na pierwsze, na które zaproszą kobiety. Przedstawię ich sobie.

- Wielkie nieba, jak udało ci się poznać tego uczonego? Ku zaskoczeniu Jemmy, Poppy się zaczerwieniła.

- Poppy!

- Napisałam do niego list - wyznała przyjaciółce. - Widzisz, on wydrukował w „Transactions of the Royal Society” rozprawę na temat leniwca trójpalczastego, w której zawarł kilka interesujących obserwacji, lecz przeoczył istotne uwagi dotyczące jego tylnych łap, jakie poczynił doktor Hembleton w swoim poprzednim artykule.

- Napisałaś do niego list? O leniwcu trójpalczastym? - Jemma spodziewała się wszystkiego, ale nie tego.

Poppy przytaknęła.

- Występna korespondencja z przystojnym młodzieńcem? - Jemma odchyliła się do tyłu ze śmiechem. - Mówiłaś, że jest przystojny, prawda, Poppy?

Poppy wyglądała na jeszcze bardziej speszoną.

- Cóż... oczywiście nie myślałam o jego wyglądzie, kiedy pisałam list...

- Naturalnie, że nie - potwierdziła Jemma, krztusząc się ze śmiechu. - Ani przez chwilę. Nigdy. Oczywiście, że nie. Odpisał?

- Ależ to nie tak! - protestowała Poppy.

- Odpisał ci, prawda? Na pewno doszedł do wniosku, że jesteś genialna, czyż nie? A... Ile listów wymieniliście, panno świętoszko?

Poppy sprawiała wrażenie, jakby miała zemdleć.

- Czy naprawdę sądzisz... Uważasz, że... Myślisz, że on...

- Kto może wiedzieć, co mu chodzi po głowie? Mężczyźni stanowią dla mnie zagadkę. Podoba mi się, że prowadzisz konwersację, choć tylko pisemną, z jednym z największych uczonych świata!

- Wcale nie uważam, żeby był jednym z największych uczonych - zwróciła uwagę Poppy. - Może jest ekspertem, jeśli chodzi o leniwce trójpalczaste, ale często popełnia błędy, przedstawiając wyniki badań. Przypuszczam, że musi mieć bałagan w notatkach.

Po czym dodała, widząc, że Jemma nie przestaje chichotać.

- Naprawdę to nie jest żaden niedozwolony flirt!

- Nie? Więc rozumiem, że pokazałaś te listy Fletchowi?

- Nie zainteresowałoby go to. Fletcha nie obchodzą leniwce.

- Wydaje mi się, że gdyby leniwce nosiły peleryny obszyte gronostajami, mogłoby być inaczej - zauważyła złośliwie Jemma.

- Nie powinnaś... - zaczęła Poppy, lecz nagle wybuchnęła śmiechem. - Fletch jest dość zabawny, nieprawdaż?

- Słodki - odparła Jemma. - Ale zabawny.

- Nigdy tak o tym nie myślałam - rzekła Poppy ze smutkiem. - Kiedy razem mieszkaliśmy, stawał się po prostu coraz bardziej układny.

- Nic dziwnego, że zwróciłaś się ku dostawcy leniwców dwupalczastych. Postąpiłabym dokładnie tak samo. Oczywiście gdybym miała skłonności do rozmów na takie tematy.

- Trójpalczastych, nie dwupalczastych. Zainteresowałoby cię to - stwierdziła Poppy. - Naprawdę! Doktor Loudan potrafi być fascynujący.

- Przypuszczam, że i on uważa cię za fascynującą? - spytała Jemma z nutką złośliwości w głosie.

- Nie - odparła Poppy.

- Nie?

- Widzisz, mój umysł pracuje w taki sposób, że nie zapominam nawet najdrobniejszych szczegółów, które gdzieś przeczytałam. Taka już jestem.

- Ja zapominam wszystko - zauważyła Jemma.

- Ale pamiętasz każdą partię szachów, jaką kiedykolwiek rozegrałaś. Mój mózg pracuje w taki sam sposób, kiedy chodzi o leniwce francuskie świstaki. To bardzo niedogodne - wyznała strapiona.

- Dlaczego?

- Niekobiece - wyjaśniła Poppy, marszcząc nos. - Nic na to nie mogę poradzić. Widzę nową książkę albo artykuł na temat, który mnie interesuje, i po prostu muszę je przeczytać. Matka tego nie cierpi.

- To dziwne - rzekła Jemma. - Nie chodzi mi o ciebie, lecz o nieodpartą chęć czytania o leniwcach, niezależnie od tego, ile by miały palców. To niezwykle, musisz sobie z tego zdawać sprawę.

- Nigdy nikomu o tym nie mówiłam. Obiecuj mi, że ty też nie powiesz.

- Więc dlaczego ten człowiek z Oksfordu po prostu nie obejmie ciebie i twojego precyzyjnego umysłu?

- Okazuje się, że naukowcy nie zawsze lubią, gdy im się przypomina o szczegółach - powiedziała Poppy, nieco zaskoczona. - Precyzja jest z pewnością pożądana w studiach przyrodniczych, ale byłabyś zdumiona, Jemmo, jak bardzo nieprecyzyjni potrafią być ludzie. Doktor Loudan czasami nie potrafi porzucić swoich pomysłów, nawet jeśli dowody świadczą przeciwko nim.

- Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek miała okazję rozmawiać z przyrodnikiem. Bardzo niewielu ich spaceruje po Paryżu. A zatem sądzisz, że moglibyśmy zainteresować szanownego George'a Loudana panną Tatlock?

- Dziwne mi się wydaje, że tak bardzo zależy ci na usunięciu panny Tatlock z otoczenia twojego męża. Sama przyznajesz, że nigdy nic naraziłby na szwank swojej reputacji. A ona jest dobrze urodzoną młodą damą. Waszemu małżeństwu nic nie grozi.

- Widziałam już mojego męża kochającego się z inną kobietą - odparła Jemma. - Wyjechałam do Paryża, ponieważ nie mogłam znieść jego obecności. Tego Beaumont nigdy nie potrafił zrozumieć, małżeństwo i reputacja nie są najważniejszymi rzeczami na świecie.

- To dość częsty problem. Moja matka przyznałaby mu rację.

23

2 września

Charlotte nie wiedziała, co myśleć o liście, który dostała. Zobaczyła pieczęć księcia i wyrwała list służącej, jakby mógł jej sparzyć palce. A potem pobiegła na górę, żeby schować się przed May.

Ku swemu rozczarowaniu przekonała się, że na liście widnieje pieczęć Villiersów, a nie Beaumontów. Oczywiście. Księżę de Beaumont nigdy by do niej nie napisał. Był przecież stateczny, poważany, szlachetny...

Kiedy w końcu przysłała do siebie, spojrzała na treść listu. Najwyraźniej został napisany przez służącego, który zawiadamiał, że księżę pragnie, aby złożyła mu wizytę. Księżę de Villiers? Mężczyzna nieżonaty? Jak mogłaby zrobić coś takiego? Jak mógł oczekiwać, że choćby rozważy taką możliwość?

I dlaczego chciał, żeby go odwiedziła? Zamienił z nią ledwie dwa słowa na przyjęciu wydanym przez księżnę de Beaumont, gdzie spotkali się pierwszy i ostatni raz. I wreszcie kim jest ów Benjamin, którego imię pojawia się w liście?

Problem polegał na tym, pomyślała Charlotte, że jej życie było nudne. Pozostawała w cieniu więcej lat, niż mogłaby zliczyć. Matka zawsze powtarzała, że ma inteligentną twarz, zdawała sobie też sprawę, że jest uczciwa, prawa i cnotliwa. Nie, żeby miała kiedykolwiek szansę okazać się niecnotliwą, jednak cnota pozostaje cnotą, nawet jeśli nigdy została poddana próbie. Lecz żadna z tych zalet

nie czyniła jej życia dziej interesującym. May weszła do pokoju.

- Czy to list od Beaumonta?

- Skąd wiesz, że dostałam list?

- Służąca mi powiedziała - rzekła ze zniecierpliwieniem May. – Widzę, że pan Muddle naprawdę będzie musiał zamienić słowo z jego wysokością. Księżę igra z twoją reputacją w najbardziej nieuprzejmy sposób, wysyłając ci prywatne listy.

- Pan Muddle nie ma o czym rozmawiać z Beaumontem! - zawołała Charlotte, przerażona myślą o tym, że narzeczony jej siostry miałby zawracać głowę księciu. - Nie możesz go o to prosić, May!

- Ależ oczywiście, że mogę - oświadczyła May, prostując się dumnie. - Matka nigdy nie zgodziłaby się na taką wizytę. A nikomu twoja reputacja nie leży bardziej na sercu niż mojemu przyszłemu mężowi, u Muddle'owi!

Charlotte nie znosiła tego, jak May zniżała głos, wypowiadając słowo „mąż”. I nie była to z jej strony zazdrość. Naprawdę.

- To nie jest list od Beaumonta - powiedziała stanowczo.

- Och. - May usiadła. - Cóż...

- Beaumont nigdy nie pisał do mnie i nigdy nie napisze. Nic nie rozumiesz, May. On nie jest zainteresowany flirtowaniem ze mną.

- Ale ty jesteś zainteresowana flirtowaniem z nim - odpowiedziała sownie May. - A to bywa jeszcze bardziej niebezpieczne dla reputacji kobiety, Charlotte.

Charlotte była zbyt przygnębiona, żeby odpowiedzieć. Siedziały przez chwilę w milczeniu, aż w końcu May się odezwała:

- Od kogo jest ten list?

- Od księcia de Villiers.

- Och! - zawołała May. - Czy to wyznanie na łożu śmierci?

- Wyznanie? Jakie wyznanie?

- Nie wiem! - krzyknęła May. I aż klasnęła w ręce. - Przypuszczam, że on już nie żyje. Może to - zniżyła głos do tajemniczego szeptu - list od nieboszczyka.

- Villiers nie żyje?

- Tak słyszałam dziś rano - powiedziała May. - Nie żyje. Węglarz usłyszał o tym z absolutnie pewnego źródła, od sprzedawcy ryb z Gatrell Street.

- To okropne - szepnęła Charlotte, wypuszczając list z palców.

- Ale czego chciał od ciebie? Nie sądziłam, że go znasz. - Wyciągnęła rękę po kartkę.

- Byliśmy na tym samym przyjęciu wydanym przez księżnę dr Beaumont wiosną. Ale właściwie nie rozmawialiśmy ze sobą. Myślę, że nastąpiła pomyłka w adresie.

- Nie - powiedziała May z typową dla siebie nużącą logiką. - Jest skierowany do ciebie. I w adresie, i w treści. - Przeczytała list. - To dziwne. Oczywiście wiem, o co chodzi. I ty też, Charlotte. Ty też.

- Doprawdy?

- Naturalnie, że tak! To ten zwariowany Reeve, z którym tańczyłaś tyle lat temu. Ten sam, o którym sądziłaś, że zaproponuje ci małżeństwo, podczas gdy on ukrył się na wsi, szalony jak marcowy zając.

- Nie musisz robić ze mnie idiotki - parsknęła Charlotte.

- Wszystko jedno - orzekła jej siostra. - Pewne jest, że jego wysokości chodzi o Reeve'a. Zapewne byli przyjaciółmi i jego wysokość chce ci o tym powiedzieć na łożu śmierci.

- Tyle że - zauważyła Charlotte - tamten Reeve miał na imię Barnabę, nie Benjamin.

- Nieistotne - uznała May. - Brzmi dość podobnie.

- Cóż, to w gruncie rzeczy nie ma znaczenia, jeśli księżę nie żyje.

- Powinnaś zostawić swój bilet wizytowy - poradziła May. - Księżę myślał o tobie, Charlotte, praktycznie na łożu śmierci. Tyle przynajmniej możesz zrobić.

- Nigdy nie rozumiałam tego zwyczaju - stwierdziła Charlotte. - Jaki pożytek będzie miał zmarły z tego, że zostawię wizytówkę w jego domu? Po co? Nagle przed domem ustawiają się powozy i kawałki papieru latają tam i z powrotem, ale czy zmarły usiądzie w trumnie i policzy gości?

- Jesteś dziwna - May mówiła to już wiele razy i teraz wypowiedziała to zdanie z wyćwiczoną łatwością. - Mogę tylko powiedzieć, że dzięki Bogu księżę de Beaumont nie myśli o tobie w swojej ostatniej godzinie.

- Ile razy mam ci powtarzać? - wysyczała Charlotte przez zaciśnięte zęby.

- Wiem - powiedziała May - niemniej jednak musisz przyznać, że to bardzo dziwne. Jesteś, nie obraż się Charlotte, właściwie starą panną. Żadna z nas nigdy nie była obiektem zainteresowania hm... arystokracji. I nagle wokół ciebie pojawiają się sami książęta. To... to jest osobliwe.

Charlotte złożyła list.

- Zostawię bilet w domu Villiersa, kiedy będę szła po lekarstwo dla dziewczyny z dołu. Znowu spuchła jej twarz, a Cook potrzebuje gorczycy na okłady.

- Powinnaś wysłać Robertsa - zauważyła May. - Damie nie przystoi włóczyć się po targowisku.

- Pamiętaj, że jestem starą panną - powiedziała Charlotte zgryźliwie. - Potrzebuję trochę świeżego powietrza. Nie jest miło dostawać list od kogoś, kto właśnie umarł.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, co ludzie powiedzą! Mam tylko nadzieję, że nie pomyślą, iż byłaś z Villiersem tak blisko, jak miałabyś być z Beaumontem! - Zaśmiała się przenikliwie i podreptała do swoich zajęć.

Charlotte nie dbała o to, by się przebrać. Miała na sobie schludną, niebieską, luźną sukienkę. Nie była ani szczególnie elegancka, ani modna, lecz Charlotte dobrze się w niej czuła. Spojrzała przelotnie na swoje odbicie, przypominając sobie, jak sztywny zawsze był książę de Villiers w swoich fantastycznie haftowanych strojach. Kiedy pojawił się przyjęciu tuż po owym fatalnym pojedynku, wyglądał blado, lecz olśniewająco.

To takie smutne. A kiedy się nad tym zastanowiła, uznała, że to smutne również dla lorda Gryffyna. Można przypuszczać, że teraz, kiedy jego przeciwnik umarł, zaszył się gdzieś na wsi.

Głupi mężczyźni i ich durne pojedynki. Lokaj gdzieś przepadł, kazała więc Robertswi sprowadzić dorożkę. Nie miała ochoty czekać, aż woźnica wyprowadzi ich stary czarny powóz, którym tłukłaby się ulicami, a każda plama na jego rozklekotanym pudle stanowiłaby świadectwo zubożenia.

- Piccadilly piętnaście - zażądała. - Kiedy w końcu stanęli przed domem Villiersa, po raz pierwszy zdała sobie sprawę z problemu, jaki wynikał z jazdy dorożką. Nie było służącego, który mógłby dostarczyć bilet wizytowy.

- To tutaj! - zawołała do woźnicy. - Czy byłbyś tak dobry i dostarczył mój bilet wizytowy?

Podrapał się po głowie i posłusznie wziął kartonik. Charlotte patrzyła przez okno, jak człapie do drzwi, a wiatr szarpie jego dorożkarską czapkę. To nie było stosowne. Bilet wizytowy powinien być dostarczony przez służącego, lecz pocieszało ją, że Villiers prawdopodobnie już nie żyje. Zmarli nie przywiązują wielkiej wagi do konwenansów.

Lokaj otworzył drzwi i odebrał wizytówkę. Charlotte oczekiwała, że woźnica wróci, ale stało się inaczej. Obok lokaja przecisnął się kamerdyner i skierował się do dorożki. Otworzyła drzwi.

- Pani pozwoli - powiedział z ukłonem.

- Obawiam się, że zostałam źle zrozumiana - rzekła zakłopotana Charlotte. Kto wie, jakich głupot naopowiadał im dorożkarz? - Nic przyjechałam z wizytą. Przenigdy nie uczyniłabym tego w tak kłopotliwym momencie. Nie zamierzałam przeszkadzać, więc pojedziemy swoją drogą.

Kamerdyner ukłonił się znowu.

- Pani obecność jest niezbędna, madame.

Charlotte zacisnęła usta. Ale z drugiej strony, kto widziałby cokolwiek niestosownego w odwiedzeniu domu martwego nieżonatego mężczyzny? Człowiek, który nie oddycha, raczej nie pozbawi czci żadnej kobiety.

Wygramoliła się z powozu i pomaszerowała do drzwi. Wiatr był niezwykle zimny i przenikliwy jak na tę porę roku, więc kiedy dotarła do domu, czuła, że ma zaczerwienione policzki i ubranie w nieładzie.

- Jesteśmy pani wdzięczni za wizytę - rzekł kamerdyner, znowu się kłaniając.

- Nie składam wizyty... - zaczęła. Lecz zanim dotarło do niej, co się dzieje, odebrano od niej futro i poprowadzono po schodach w górę. - Nie przyszedłam zobaczyć... Kamerdyner się odwrócił i spojrział na nią z góry.

- Życzy sobie pani zobaczyć? A co dokładnie?

- Nie chcę niczego widzieć! - zirytowała się Charlotte. Westchnęła z rezygnacją i ruszyła dalej po schodach. Kamerdyner najwyraźniej był głuchy i przerastał go nawał zajęć. Zauważyła na przykład, że nie zdążył przystroić domu żałobną krepą, co niewątpliwie powinno być zrobione możliwie najszybciej.

- Nie chcę oglądać ciała - powiedziała najgłośniejszym głosem, jaki umiała, kiedy w końcu stanęła u szczytu schodów. - Ciało księcia! Nie przyszedłam go oglądać!

Lokaj otworzył usta ze zdumienia, a z otwartych drzwi po prawej stronie dobiegł ją niski śmiech.

- Jeszcze nie zostałem wystawiony do oglądania, mam nadzieję. Był to ponad wszelką wątpliwość głos księcia de Villiers.

Charlotte zasłoniła dłonią usta.

- Pani pozwoli, panno Tatlock - powiedział uroczyście niezrażony kamerdyner. - Jego Wysokość przyjmuje gości.

Cofnęła się o krok.

- Nie! - szepnęła z przerażeniem.

Jakiś człowiek o ciekawskiej, przypominającej królika twarzy sunął się z sypialni i chwycił ją za łokieć, kiedy miała uciec na schody.

- Panno Tatlock, doprawdy jestem zmuszony nalegać. Jego Wysokość jest ciężko chory, a wyraził życzenie zobaczenia pani.

- Nie znam go! - odezwała się przyciszonym głosem, bacznie obserwując drzwi sypialni. - Sądziłam, że nie żyje.

- Ależ żyje! - odezwał się z wnętrza księżę. - Może więc pani wejść, kimkolwiek jest. Dzięki Bogu mam chwilę przytomności.

- Nie! - rzekła stanowczo Charlotte.

Lecz człowiek o twarzy królika pochylił się ku niej i szepnął:

- Proszę, panno Tatlock, niech to będzie akt miłosierdzia. Od dwóch tygodni nie chciał nikogo widzieć.

Wówczas Charlotte zrozumiała, że nieszczęsny książę rzeczywiście musi być bliski śmierci. Nigdy nie starała się pomagać chorym i umierającym. Ale naturalnie nie mogła okazać braku serca.

- Wyślę pani powóz wokół parku - zaproponował lokaj.
- To dorożka - powiedziała. - Proszę ją po prostu odesłać.

Weszła do sypialni księcia.

24

Fletch nie mógł wrócić do domu. Prawdę mówiąc, od bardzo długiego czasu nie miał na to ochoty. W jego rezydencji rozgościła się lady Flora. Salon roił się od uperfumowanych dam i rozbrzmiewał ich delikatnym śmiechem. Jeśli Fletch zabłąkał się do domu w porze kolacji, znajdował nieznanne potrawy na stole i służących, których nigdy wcześniej nie widział. Odnosił wrażenie, że większość służby odeszła. Nawet dom pachniał inaczej - perfumami.

- To świece - wyjaśnił Quince, kiedy go o to zapytał. - Lady Flora uważa, że każde pomieszczenie powinno mieć swój nastrój.

Można by pomyśleć, że właśnie z tego powodu tak nieprzyjemnie przechodziło się przez progi. Ze sfery jednego zapachu wchodziło się w zupełnie inny, lecz równie intensywny.

Podobnie nieprzyjemny był fakt, że lady Flora wydawała się zawsze wiedzieć, gdzie był. Odwiedził Pitta w jego mieszkaniu, a ona witała go uwagami na temat polityki indyjskiej Pitta. Wybrał się na przejażdżkę z Gillem, a jeszcze tego samego dnia wieczorem słyszał, że Gili staje się nieco za stary na krótkie spodnie.

- Gili nie nosi krótkich spodni! - warknął, zastanawiając się, czy przypadkiem nie oszalała.

Lady Flora się uśmiechnęła.

- To tylko delikatna uwaga na temat tego, że lord Gili powinien dorosnąć - wyjaśniła. - Słyszałam, że próbuje rysować portrety. Zastanawiam się, czy on kiedykolwiek miał kobietę, jeśli wybaczy mi pan brak delikatności.

Nie potrafił wybaczyć. Choć nie widział też sposobu, by jej o tym powiedzieć. Nie życzył sobie słuchać takich rzeczy od teściowej. Prawdę mówiąc, nie życzył sobie nawet jej oglądać - ani przy śniadaniu, ani obiedzie, ani kiedy wracał. Wydawała się ucieleśnieniem troski. Chociaż nie ciekawości. Nigdy nie okazywała ciekawości, ponieważ wyraźniej zawsze doskonale wiedziała, czym się zajmował.

Czasami informowała go mimochodem o swoich planach lub zmianach, jakie zamierza wprowadzić w tym czy innym pokoju.

- Czy pytała pani Poppy? - zapytał kiedyś, gdy oznajmiła, że zmienia zasłony we wschodnim saloniku na nowe, w kolorze dojrzałej perony.

- Poppy? - powtórzyła zaskoczona, jakby chodziło mu o samego króla Jerzego. - Oczywiście, że nie.

I odeszła, sprawiając wrażenie, jakby duch córki podążał przed nią.

Fletch uznał to za nieco dziwne.

Minęły miesiące, odkąd ostatni raz widział się z Poppy. Prawdę mówiąc, nie szukał jej, gdyż starał się zdobyć pozycję w Izbie Lordów, bywał na każdym godnym uwagi przyjęciu, a ona się na nich nie pojawiała. Wciąż mieszkała u Jemmy. A może nie. Nikt nie umiał mu tego powiedzieć.

Otrzymał dyskretną notę od bankiera, który informował go o prywatnym rachunku jej wysokości. Naturalnie przelał natychmiast sporą sumę. Tak się robi, kiedy odchodzi żona. Właściwie żaden z jego przyjaciół nie miał podobnych problemów, jednak Fletch czuł, że etykieta takich sytuacjach jest bezlitosna. Znacznie bardziej istotne było to, co zamierza zrobić ze sobą. Wiedział, czym powinien się zajmować według wyobrażeń Poppy. Najlepiej, aby się zabawiał w towarzystwie kobiet.

W rzeczywistości większość czasu każdego dnia spędzał w Izbie Lordów. Postanowił zdobyć silną pozycję i doprowadzić do znaczących zmian w rządzie. Zmian w kraju.

Jego żona sądziła, że figluje z kurtyzanami. I nie obchodziło jej to.

Była to przykra świadomość, ale właściwie dlaczego to, co robił, miałoby obchodzić Poppy? Nie lubiła się z nim kochać. A teraz powiedziała, że nigdy go nie kochała.

Zatem dlaczego ma to dla niego jakiegokolwiek znaczenie?

Był umówiony na lunch z Foksem w domu pani Armistead. Słyszał opowieści o pięknych kobietach i miłych rozrywkach... Niewiele go to obchodziło.

25

Sypialnia księcia de Villiers kojarzyła się Charlotte z jakimś miejscem, ukrytym za wodospadem. Wszystko przyćmione i srebrzyste, tylko tu i ówdzie stało kilka świec. Środek pokoju zajmowało okazałe łóżko z zasłonami z szarego jedwabiu, haftowanego w dzwonki.

Villiers leżał oparty o poduszki, blady i posępny. Zawsze miał wystające kości policzkowe - May powiedziała niegdyś, że jest niepokojąco przystojny, a Charlotte uznała to za trafne spostrzeżenie. Teraz jednak jego skóra wydawała się przezroczysta. Pomachał ręką na powitanie i Charlotte zauważyła, że jest przeraźliwie wychudzony. Poczowała przyływ współczucia.

- Proszę uczynić mi zaszczyt i usiąść - rzekł. - Dziękuję pani za wizytę.

Służący rzucił się, żeby podsunąć jej krzesło. Usiadła.

Villiers nie powiedział nic więcej, tylko patrzył na nią. Charlotte nagle uświadomiła sobie każdy najdrobniejszy aspekt swojego wyglądu - rozwiane przez wiatr brązowe włosy, zaczerwienione policzki, niezbyt piękną falbankę u dołu sukni. W pokoju pachniało miętą i wodą cytrynową.

- Co mogę dla pana zrobić, Wasza Wysokość? - spytała, starając się, by jej głos brzmiał cicho i spokojnie, jak przystało przy łożu śmierci.

- Przypuszczam, że nic.

To zabawne. Wcale nie miał głosu człowieka umierającego. Sprawiał wrażenie raczej rozbawionego i nieco zmęczonego. Charlotte postanowiła zaryzykować i spojrzeć na niego jeszcze raz.

Zamknął oczy. Co ciekawe, chory był jeszcze bardziej przystojny. Jego skóra była tak biała, że rzęsy wydawały się niesłychanie długie i ciemne na tle policzków.

- Z pewnością jest coś, co mogłabym zrobić, skoro napisał pan do mnie list - powiedziała w końcu.

- Napisałem? - W jego głosie zabrzmiał lekki ton zaskoczenia, co irytowało ją i sprawiło, że zaczęła się podnosić z krzesła.

- Proszę mi wybaczyć. Ten list musiał do mnie trafić przez pomyłkę.

- Proszę - powiedział - proszę zostać. Jestem pewien, że do pani pisałem. Teraz sobie przypominam.

Usiadła z powrotem, zastanawiając się, co się mówi umierającemu.

- O czym pani myśli?

- Cóż, skoro list rzeczywiście miał trafić do mnie, zastanawiam się, dlaczego pisał pan, że tęskni za Benjaminem. Czy chodziło panu o Barnabe'a.

- Barnabe'a? - powtórzył zdziwiony. - Nie znam żadnego Barnabe'a. Chodziło mi o Benjamina, księcia Berrow. Prawdę mówiąc, byłem przekonany, że piszę do wdowy po nim, lecz list w jakiś tajemniczy sposób zabłądził. Gorączka wraca wieczorami i wtedy mój umysł jest straszliwie zmacony. Tu jest zbyt dużo „B”: Barnabę, Benjamin i Berrow. Nie wspominając o Beaumencie. Spotkaliśmy się na wieczornym przyjęciu u księżnej de Beaumont, nieprawdaż?

- Tak, rzeczywiście. Byłoby mi miło skontaktować się z księżną w pana imieniu, Wasza Wysokość - zaproponowała Charlotte. - Może uczynię to od razu? Czy mogłabym dostać kartkę?

- To pani jest tą młodą kobietą, z którą zaczął flirtować Beaumont - rzucił nagle Villiers. - Lord Trush pisał mi, że poprawiała pani jedno z wystąpień księcia w parlamencie i, jego zdaniem, treść znacznie na tym zyskała.

Charlotte poczuła, że rumieniec spływa jej aż na szyję.

- Nie poprawiałam go - powiedziała. - Podsunęłam tylko Jego Wysokości pomysł, jak powinno być skonstruowane.

- Może sobie pani tutaj darować tytuły - powiedział Villiers. - Mój człowiek zapewne powiedział pani, że umieram?

Charlotte otworzyła usta, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Pani sama wygląda teraz jak umierająca ryba - zauważył. - Zastanawiam się, czy leżąc na łożu śmierci, stałem się bardziej miłosierny. Wcale nie czuję się tak,

jakbym miał wkrótce spotkać Najwyższego. I zupełnie nie skłaniam się ku szlachetnym czynom. Bynajmniej. Doktorzy od tygodni wciąż mi powtarzają, że umieram, a tymczasem nie słyszałem choćby nuty anielskiego chóru.

- Bardzo ufa pan opinii swoich lekarzy - zauważyła Charlotte.

Uśmiechnął się blado.

- Mój doktor poczułby się dotknięty, gdybym postanowił żyć dłużej, niż przewidział. Odnoszę dziwne wrażenie, że jego zdaniem pacjenci powinni zachowywać się tylko zgodnie z zaleceniami lekarza.

- Czy wolno mi zasugerować, aby żył pan dalej na złość jemu?

- Doskonała sugestia. Gdybym nie był tak zmęczony, poważnie bym ją rozważył. Jest pani pierwszą osobą, jaką widziałem od miesiący, nie licząc kamerdynera.

- A rodzina? - zaryzykowała.

- Nie mam rodziny. Przypuszczam, że umieranie wśród tłumu płaczących ludzi byłoby jeszcze bardziej męczące. Pani natomiast okazuje odświeżający brak sentymentalizmu.

- Zapewniam pana, że byłabym bardziej skłonna do łez, gdybym znała pana choć odrobinę lepiej - powiedziała Charlotte z uśmiechem. Trudno było go nie polubić, choćby za stoickie podejście do całej sprawy.

- A zatem musimy pozostać sobie obcy. Proszę powiedzieć mi coś interesującego.

- Jako nieznajoma?

- Tak. Najlepszymi nieznajomymi są ci, którzy opowiadają nam szczerze o sobie, po czym nigdy więcej ich nie spotykamy.

- Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek spotkała taką osobę - rzekła Charlotte.

- To dlatego, że jest pani kobietą. Nigdzie nie może pani chodzić sama. Spędziłem wiele lat na kontynencie. To zdumiewające, ile opowiadają zupełnie obcy ludzie, jeśli znajdzie się pani z nimi, powiedzmy, podczas burzy piaskowej.

- Przeżył pan burzę piaskową?

- Nie, ale gdyby tak było, wypaplałbym moje najgłębsze tajemnice, zapewniam panią.

- Nie mam żadnych tajemnic - powiedziała Charlotte z nutą smutku. - Chciałabym je mieć, choćby dla ożywienia konwersacji.

- Cóż, flirtuje pani z Beaumontem, na przykład. Kocha go pani?

Charlotte nie dostrzegła w jego oczach potępienia, a jedynie zmęczenie i ciekawość.

- Troszkę - odparła. - Ale tak naprawdę tylko dlatego, że nie ma nikogo innego, w kim mogłabym się kochać. On mnie słucha.

- Jest politykiem. Jeśli pani słucha, to tylko dlatego, że jest pani dla niego użyteczna.

- Wiem o tym. Ale wolę być użyteczna dla niego niż bezużyteczna dla nikogo.

- Ja tymczasem leżę tu całkiem bezużyteczny. To oczywiście prowadzi do niepokojącego opustoszenia sypialni. Przypuszczam, że gdybym mógł być użyteczny dla jakiejś kobiety, miałbym teraz gromadkę dzieci.

Charlotte rozejrzała się wokół. Pokój był urządony ze smakiem i po męsku. Na biurku leżała jedynie szczotka do włosów o uchwycie w kolorze dopasowanym do ścian.

- Zgadzam się z pani taktownym milczeniem - dobiegł z łóżka jego głęboki głos. - Trudno sobie wyobrazić dzieci przy mnie albo mnie wśród dzieci. A co z panią? Czy chciała pani mieć dzieci?

- Ja jeszcze żyję! - wykrzyknęła.

- Cóż, w kategoriach socjety obawiam się, że jest pani martwa - rzekł Villiers. - Ile ma pani lat? Dwadzieścia sześć?

- Tak - szepnęła.

- Dwadzieścia sześć lat i publicznie flirtuje pani z żonatym mężczyzną. .. Jeśli nie ma pani nieślubnego syna z jakimś księciem...

- Mam nadzieję, że to nie jest propozycja - warknęła. Trzeźwa ocena sytuacji dotknęła ją do żywego.

- Niestety, moja świeca prawie się wypaliła. Nawet pani wdzięki nie mogłyby jej ożywić w tym momencie.

- Nie musi pan być ordynarny. To, że jest pan umierający, nie znaczy że wolno panu zabawiać się moim kosztem.

Otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Prawdę mówiąc, nie miałem takiego zamiaru.

- Ależ miał pan. Wiem doskonale, że mam zbyt długi nos i nieciekawą twarz. A moje ubranie jest porządne, ale niemodne. Wyglądam na to, kim jestem. Na starą pannę z nędznym posagiem, która nigdy nic będzie miała dzieci.

I, powiedziawszy to, zalała się łzami.

- O, do diabła! - dobiegło z łóżka.

26

Była piękną kobietą. Miała miłą twarz z dołeczkami w policzkach, które przyciągały spojrzenia mężczyzn jak magnes. Jej figura była właściwie zaokrąglona w odpowiednich miejscach.

I nie była blondynką. Fletch nie mógłby mieć romansu z kobietą o włosach w tym samym kolorze co Poppy. To nie byłoby właściwe. Jeszcze raz przyjrzał się ciemnowłosej kuzynce Elizabeth Armistead, która była utrzymanką Foksa.

Utrzymanka. To słowo brzmiało lepiej niż „ prostytutka”. Pani Armistead była piękna, lecz bardziej majestatyczna niż jej kuzynka.

Fox stał po drugiej stronie pokoju pogrążony w rozmowie. Fletch nie znał niemal nikogo z obecnych, co ułatwiało sprawę. Wino miało głęboki, bogaty smak i paliło w przełyku. Było ciemne i uderzało do głowy jak oczy Cressidy.

- Jestem zamężna, wie pan o tym? - zapytała po chwili rozmowy.

- Ja mam żonę - powiedział.

- Wiem. - Roześmiała się. - Wszyscy znają sytuację rodzinną książąt. Wiem wszystko o panu. I o pana żonie.

- Co pani o niej wie? - spytał z niespodziewanym przyływem opiekuńczości.

- To bardzo szacowna dama - rzekła Cressida. - Prawdę mówiąc, mój mąż też nie jest zły. Jest krawcem. Mieszka w Suffolk i udaje, że nie wie, co robię. A ja zawsze wracam do domu na święta i latem, jeśli tylko jestem w stanie to znieść.

- Jak długo jest pani poza domem?

- Jesteśmy małżeństwem od dziewięciu lat - powiedziała, dopijali wino. - Wysłałam za męża bardzo młodo. Ale od chwili, gdy doszłam do wniosku, że nie zniosę kolejnej rozmowy o satynie i niciach, zamieszkałam tutaj, w St. Anne's Hill.

- To piękne miejsce - ocenił Fletch, oglądając obite adamaszkiem ściany.

- Fox traktuje Elizabeth całkiem dobrze - powiedziała Cressida. Ale na wypadek, gdyby pan rozważał taką możliwość, nie zamierzam decydować się na podobny układ. Nie potrzebuję opieki, choćby najdostojniejszej.

Fletch się roześmiał. Czy można było nie polubić jej niezwykle czarnych brwi? Nie była doskonałą piękną, lecz okazała się szczerą i wesołą.

- Czy chciałby pan zwiedzić dom? - spytała.

Przez chwilę wydawało mu się, że cały świat wstrzymał oddech. A potem jego usta się otworzyły i Fletch usłyszał swój głos:

- Oczywiście. Niczego bardziej nie pragnę.

Wtedy wzięła go za rękę, uśmiechnęła się do niego i wyszli z pokoju.

To było takie łatwe.

I tak łatwo przyszło im znaleźć się w sypialni - uroczej, utrzymanej w tonacji różu i bladej zieleni. Cressida nadal się śmiała i mówiła jawne, sarkastyczne głupstwa. W pewnym momencie Fletch zorientował się, że ją całuje.

Było zupełnie inaczej, niż kiedy całował Poppy. To oczywiste. Jej usta były... cóż, większe, bardziej wilgotne i...

Fletch wiedział, że coś jest nie tak. Ale Cressida nie zorientowała od razu. Zresztą z jakiegoś powodu nie chciał, żeby się domyśliła, dlatego za każdym razem, kiedy wyciągała rękę do jego spodni, cofał się. Nadal jednak pieścił ją i całował.

Chwilę później miała na sobie tylko koszulę, a on nie przestawał jej pieścić.

Czuł się podle.

Obrzydliwe uczucie, doprawdy. Poppy opuściła go przed miesiącami.

Właściwie powinien być zadowolony. Okazało się, że przez wszystkie te noce, kiedy martwił się, że nigdy nie będzie umiał zaspokoić kobiety, był w błędzie. W końcu jednak Cressida była szybsza, a on nie dość szybko przewrócił się na bok. Znieruchomiła, gdy zdała sobie sprawę z tego, co poczuła. A właściwie czego nie poczuła.

- O co chodzi? - zapytała, cofając rękę. - Co ty właściwie robisz?

- Sam nie wiem.

- Wolałabym, żebyś nie bawił się ze mną w żadne gierki - powiedziała, wpatrując się w sufit. - Było mi z tobą miło, ale teraz czuję się paskudnie. Co ci jest?

- To nie ma nic wspólnego z tobą.

- Rozumiem, że należysz do tych, którzy wolą mężczyzn - rzek ponuro, siadając i sięgając po ubranie.

- Nie.

Grymas jej ust świadczył, iż taka odpowiedź była częsta.

- Ja... jestem żonaty

- Jesteś głupi.

- To także.

- I przypuszczam, że po raz pierwszy postanowiłeś być niewierny, - Cressida spięła włosy, a w jej głosie brzmiała raczej rezygnacja niż irytacja.

- Właściwie tak.

- Zdumiewające. Większość dżentelmenów, których spotkałam, zdradziła swoje żony, zanim jeszcze wysechł atrament na ich akcie małżeństwa. Co było nie tak?

- Nie tak?

- Musisz być zakochany - orzekła, patrząc na niego z dziwną mieszaniną litości i zrozumienia.

- Nie lubi ze mną sypiać. - Wypowiedzenie tego na głos przyniosło mu ulgę. - Nie mówi tego, ale znosi to z przykrością.

- Niektóre kobiety takie są. Czasami każda z nas się tak czuje. Dotknij mnie, a będę krzyczeć.

- Nigdy tego nie mówi.

Cressida wyjęła szpilki z ust i powiedziała:

- Niektóre kobiety nie cierpią tego aktu. Mieliśmy tu jedną taką dziewczynę. Po prostu nie była w stanie tego znieść, a potem pewnego dnia uciekła.

- Ale to nie jest burdel - rzekł Fletch. - Dlaczego musiała uciekać. Nie odpowiedziała na to pytanie.

- Jeśli zmienisz zdanie i dojdiesz do wniosku, że chciałbyś mieć w łóżku kobietę, która sprawi ci przyjemność, wiesz, jak mnie znaleźć. Jestem prawdziwą okazją w porównaniu z tymi kocmołuchami tutaj.

- Ale mówiłaś...

Odwróciła się do niego i się roześmiała.

- Uwierzyłeś mi?

Spojrzał na nią zupełnie inaczej.

- Książę, jak kobieta taka jak ja miałaby się utrzymać na starość? Czy sądzisz, że pewnego dnia po prostu wrócę do męża i pozwolę, żeby piekło mnie pochłonęło? Och, jeżdżę tam na święta, a on musi mnie wpuścić, gdyż inaczej chłopcy byliby zbyt rozczarowani.

- Chłopcy...

- Dwaj. Małe, mądre szkraby. - Jej uśmiech zbladł. - Ale zaczynają zadawać pytania. Muszę znaleźć opiekuna takiego jak Fox. Takiego, który będzie mnie utrzymywał i kupi mi dom. Wtedy może chłopcy mogliby do mnie przyjechać. Albo ja odwiedziłabym ich w karecie. To judziłoby respekt w moim mężu.

Fletch pomyślał, że jest mało prawdopodobne, by jej mąż pozwolił dzieciom odwiedzać upadłą matkę.

Być może wyczytała to w jego oczach. Odwróciła się i wpięła ostatnią szpilkę we włosy.

- Nie jesteś tym właściwym. Widzę to.

Odeszła, zanim zdążył złożyć jakąkolwiek propozycję. Czy należy dać pieniądze? A może wysłać biżuterię - później, przez posłańca.

Siedział w sypialni i rozmyślał o biżuterii. Wyśle jej jakiś naszyjnik i zrobi to jutro, postanowił. Mimo że do niczego nie doszło. A może właśnie dlatego.

Wrócił do domu, zanim przypomniał sobie, że lady Flora może na niego czekać. Wybiegła mu na spotkanie.

- Wasza Wysokość! - Podała mu rękę. Pochylił się, by ją ucałować. - Hm...
Pachnie pan różami. To zapach kobiety.

Wyprostował się czym prędzej. Ale ona uśmiechała się do niego, jakby udało jej się coś osiągnąć. Fletch cofnął się ostrożnie.

- Mam nadzieję, że nie urazi pana moja szczerość - zwróciła się do niego, a jej błękitne oczy błyszczały w blasku świec. - Moim zdaniem każdy młody dżentelmen powinien znaleźć sobie jakąś liberynkę, która będzie mu zapewniała rozrywkę. Niektórzy dżentelmeni wydają się dochodzić do tego wniosku wolniej niż inni.

Fletch przełknął ślinę. Czy ona naprawdę mówi to, o czym on myśli? Miała groteskowo wielką fryzurę, wręcz dekorację głowy, ze strusimi piórami sterczącymi na stopę w górę i muskającymi świeczniki, zwieszające się z sufitu. Niestety, świece w nich zapalano tylko przy uroczystych okazjach. Inaczej może stałyby w płomieniach.

To nieuprzejma myśl, skarcił się w myślach i wyszczerzył zęby w czymś imitującym uśmiech.

- Miło mi znaleźć dowody, iż nie jest pan jednym z naszych - zachichotała - mniej męskich mężczyzn. Każdy dżentelmen powinien mieć swoją amazonkę.

Zacisnął szczęki.

- Rozumie mnie pan, prawda, Wasza Wysokość? - Uśmiechnęła się do niego, a Fletch pomyślał, że nigdy nie widział kobiety bardziej przypominającej wilka. - Moja córka nie powinna być zmuszana do dźwigania brzemienia pańskich rozwiązanych żądz. Być może dama, która uperfumowała swoje ciało, a tym samym pańskie, zostanie pana stałą towarzyszką. To mogłoby wystarczyć, żeby przekonać moją córkę do powrotu do pana.

Fletch stłumił w sobie gniew i ukłonił się raz jeszcze.

- Nie miałem pojęcia, że mojej żonie aż tak bardzo zależy na tym, żebym znalazł sobie kobiece towarzystwo.

- Ach! Mężczyźni są tak samolubni, nieprawdaż?

Umilkła, co wydawało się wskazywać, iż czeka na jego odpowiedź.

- Według mojej wiedzy, nie.

- Nie? - Uniosła delikatnie zarysowane brwi. - Naturalnie ci, którzy są największymi egoistami, nie uważają się za takich, prawda?

- Tego nie umiem powiedzieć, madame. Czy siebie uważa pani za egoistkę?

Uśmiechnęła się do niego.

- W każdym znaczeniu tego słowa. Być egoistą znaczy dbać o własne interesy. Istnieje tylko jedna dziedzina, w której nie uważam za słabość myślenia o czymś innym poza własną osobą. Tą dziedziną jest wszystko, co dotyczy mojej córki. Wyłącznie dla jej dobra narażam się na dyskomfort, jakim jest mieszkanie z panem...

- umilkła i dodała po chwili: - Wasza Wysokość.

Ona mnie nienawidzi, pomyślał Fletch. Cóż, to uczucie jest odwzajemnione.

Mam nadzieję, że pani iście herkulesowe poświęcenie nie będzie trwało wiecznie?

- Dla mojej córki jestem gotowa zrezygnować z wszelkich wygod.

Opadła na fotel, doskonale udając damę przytłoczoną przez okrutne okoliczności, które zmusiły ją do zamieszkania w książęcej rezydencji, z pięćdziesięcioma czterema służącymi gotowymi na każde wezwanie.

- Zatem proszę mi powiedzieć, jak mógłbym panią nakłonić do powrotu do bardziej komfortowych warunków?

- Czyż to nie oczywiste? - spytała, uśmiechając się do niego serdecznie, jakby siedzieli przy herbatce na przyjęciu. - Wasze życie intymne budzi w mojej córce odrazę. Najwyraźniej nie jest pan zdolny spędzić dziedzica, lecz szczerze panu radzę odsunąć ten mały problem na bok na jakiś rok. Biedna Perdita ciężko pracowała, zaspokajając pańskie zwyrodniałe żądze. Byłoby nieludzkie prosić ją w tej chwili, by znalazła sobie odpowiedniego dżentelmena, który odegrałby pańską rolę w tym stadle. O Boże! - jęknęła, choć wyglądała na raczej Zadowoloną z siebie. - To było chyba dość brutalne, prawda? Muszę wyznać, że jestem rozdarta między najszczerzym współczuciem dla nieszczęsnej Perdity a morderczymi skłonnościami, jakie każda matka odczuwałaby w takiej sytuacji.

- Morderczymi? - powtórzył Fletch, siadając i krzyżując nogi. - Wielkie nieba! Widzę, że sytuacja jest bardziej nagląca, niż sądziłem. Rozumiem, że jeśli znajdę sobie kurtyzanę, zostanie to życzliwie przyjęte przez moją żonę. Zastanawiam się, dlaczego nie powiedziała mi tego sama.

- Perdita? - spytała lady Flora, unosząc brwi. - Sądzi pan, że droga Perdita zdobyłaby się na powiedzenie panu czegoś takiego? Nazywam rzeczy po imieniu, Wasza Wysokość. Moja córka jest słabowitą głuptaską o miękkim sercu. Nie potrafiła panu powiedzieć, jak odrażające to dla niej było. Uważam, że moim prawem jako matki jest przedstawić panu jej uczucia. Powiedziałam jej, że pan po prostu nie uświadamia sobie prawdy.

Fletch nie potrafił się zdobyć na odpowiedź. Wszystkie te noce...

Wiedział, że Poppy nie odczuwa przyjemności, lecz nie sądził, że rozmawia o tym z matką. Sama myśl przyprawiła go o gęsią skórkę.

Lady Flora nie należała do kobiet, które potrafiłyby znieść chwilę milczenia.

- Mężczyźni rzadko rozumieją takie rzeczy - powiedziała. - Naturalnie wasza cielesność jest odrażająca dla przedstawicielek delikatniejszej płci. Nasze zmysły są słodko wyczulone, a ciała pięknie uformowane. Co opiewają poeci. Jak pan mógł sądzić, że prawdziwa dama życzy sobie intymnego zbliżenia z włochatym... Cóż, pańskiej wyobraźni pozostawiam odczucia Poppy.

Fletch wstał i się uklonił.

- Wybaczy pani, lady Floro. Okazuje się, że... Spojrzała na niego z rozbawieniem.

- Będzie pan musiał ją błagać.

- Ja...

- Błagać, żeby wróciła. Proszę jej powiedzieć, że w końcu znalazł pan kurtyzanę i nigdy więcej nie będzie jej wykorzystywał niczym praczki.

- Z całą pewnością porozmawiam z moją żoną - oświadczył Fletch, z trudem opanowując chęć popełnienia morderstwa. Nie wiedział, kogo chętniej pozbawiłby życia, teściową czy żonę.

- Kiedy Perdita zgodzi się wrócić do pańskiego domu, ja oczywiście wrócę do swojego - dodała słodkim głosem. - To powinno być dla pana zachętą do działania, nieprawdaż? Domyślałam się, że zastanawia się pan, dlaczego tak energicznie działam w imieniu Perdity?

- To prawda - warknął. - Zwłaszcza w obliczu egoizmu, o którym sama pani mówiła...

Oczywiście nie pozwoliła mu dokończyć.

- Nie sądzę, by Perdita mogła długo mieszkać u księżnej Beaumont. Pamięta pan zapewne, że moja biedna córka wyobrażała sobie, iż pana kocha.

Nie drgnął mu żaden mięsień.

- Nie pamięta pan? - spytała ze zniecierpliwieniem. - To nie było tak dawno temu. W każdym razie moja córka jest trochę słaba na umyśle, choć mówienie o tym sprawia mi prawdziwy ból. Jeśli pozwolę jej mieszkać u księżnej znanej skądinąd z lekkiego prowadzenia się, znowu się zakocha i obiektem jej uczuć nie będzie pan, drogi książę. Czy jest to wystarczająco zrozumiałe?

Skinął głową.

- Perdita jest romantyczką. Uważa mężczyzn za bardziej interesujących, niż są w rzeczywistości. Wie pan o tym jej dziwnym pragnieniu uczestniczenia w spotkaniach Towarzystwa Królewskiego?

- Towarzystwa Królewskiego?

Uśmiechnęła się do niego.

- Zgaduję, że nie poświęcał pan wiele czasu na rozmowy z Perditą. Nie wie pan o jej fascynacji przyrodnikami? Ale po cóż w ogóle pytam...

Fletch pokręcił głową. Czuł zimny dreszcz przesywający go od stóp do głów.

Sugeruje pani...

Jeszcze nie. Ale Bóg wie, co może się zdarzyć teraz, gdy przeniosła się z pańskiego domu do Beaumont House, gdzie rozpusta jest modną rozrywką i to często uprawianą.

- Porozmawiam z Poppy.

Gdy tylko przeprowadzi się z powrotem do pańskiego domu, wrócę do swojej rezydencji - oznajmiła radośnie lady Flora. – Choć chciałabym jeszcze zwrócić uwagę, że ponieważ nie udało się panu spłodzić potomka w ciągu ostatnich kilku lat, potomstwo jakiegoś młodego naukowca mogłoby być odpowiednim sposobem, by nieco odświeżyć krew w pańskiej rodzinie!

Fletch nigdy, w całym swoim życiu, nikogo tak bardzo nie nienawidził. To uczucie szalało niczym huragan w jego głowie. Palce drżały mu lekko i pragnął... pragnął...

Wstała i szybkim krokiem podeszła do drzwi.

- Życzę dobrej nocy - powiedziała. I zamilkła, odwracając głowę tak energicznie, że strusie pióra uderzyły o nadproże drzwi. - Ufam, iż nie poinformuje pan Perdity o naszej rozmowie. Ona, biedny aniołek, ma nadzieję przejść przez życie bez konieczności mówienia rzeczy nieprzyjemnych. A relacje między mężczyznami i kobietami zawsze są nieprzyjemne, nie sądzi pan? Moim zdaniem szczerść jest jedynym zdrowym sposobem, by sobie jakoś z tym wszystkim poradzić.

W końcu wyszła. Fletch dostrzegł dwa pióra dumnie sterczące pod sufitem i jedno zwisające smętnie nad uchem. Dobrze jej tak.

27

Rzydźdencja księcia dę Villigrs

Powinno być panu przykro - powiedziała Charlotte, łkając. - Jest pan nieuprzejmy, a fakt, że pan umiera, nie stanowi wymówki. Poza tym i tak panu nie wierzę. Ludzie umierający myślą o wieczności i zachowują się uprzejmie.

- Mówiłem pani - przypomniał - że umysł odmawia mi posłuszeństwa. Być może i moja dusza się poddała, wiedząc, że tak czy inaczej będzie przerzucać węgiel przy piecach Belzebuba.

Pociągnęła nosem i wytarła chusteczką.

- Muszę już iść - stwierdziła. - Rozmowa była urocza i niezmiernie się cieszę, że mogłam wesprzeć pana w ostatnich godzinach.

- Chwileczkę - przerwał jej. - Nie może pani jeszcze wyjść.

Próbował podnieść się z łóżka.

- Proszę przestać - warknęła. - Jest pan zbyt słaby, żeby siadać. Z całą pewnością powinnam już iść. Nie znam pana dobrze. Przykro mi, że pan umiera, ale domyślam się, że nie ma pan ochoty posłuchać, jak czytam Biblię...

- Tego pani nie proponowała... - wtrącił.

- Cóż, jest to pociecha, jaką zwykle oferuje się osobom w pana stanie. - Podniosła się z krzesła. - Życzę panu wszystkiego najlepszego, Wasza Wysokość.

- Nie, proszę jeszcze zostać.

- Popęłniłam wielki błąd, przychodząc tutaj. Poza tym to nie mnie chciał pan widzieć. Zrobiłam z siebie idiotkę i uważam, że mam naprawdę dość upokorzeń na dzisiaj. Żegnam.

Charlotte minęła próg i zeszła po schodach, zanim zdążył powiedzieć następne słowo.

- Sprowadź dorożkę! - zwróciła się do jednego z czterech służących w holu.

Zanim wrócił, dla zabicia czasu przyglądała się marmurowym posągom ustawionym przy wejściu.

Villiers był dziwnie pociągający. Być może tak jest ze wszystkimi umierającymi. Ale pociągający czy nie, nie musiał sprawiać, że czuła się aż tak podle.

Chociaż nie powiedział niczego, co nie byłoby prawdą. Niemal zdecydowała się wrócić i powiedzieć mu o tym, kiedy frontowe drzwi się otworzyły i podjechała dorożka. Tak było nawet lepiej.

28

20 września

Towarzystwo Królewskie spotykało się w Somerset House. Kiedy Poppy i Jemma znalazły się w labiryncie ceglanych łuków i marmurowych ścian siedziby, Jemma wciąż protestowała.

- Przekonasz się, że to fascynujące - tłumaczyła jej Poppy. – Od lat czytywałam o panu Mooreheadzie. Dotarł na sam kraniec świata.

Jemma jęknęła. Zrobiła to ponownie i jeszcze głośniejsze, kiedy zobaczyła pannę Tatlock, która witała przybyłych w wejściu do sali. Panna Tatlock uśmiechnęła się do nich, zupełnie jakby nie była zakochana w mężu Jemmy.

- To prawdziwa przyjemność, drogie panie - zwróciła się do nich. - Jestem pewna, że uznacie wystąpienie pana Belsize'a za czarujące.

- Czarujące? - szepnęła Jemma, kiedy wchodziły do przestronnej sali, już wypełnionej tłumem ludzi. - Co za oślica!

- Jemmo! - wykrzyknęła Poppy.

- Powiedz szczerze, czy nie uważasz, że jest wstrętne?

- Nie - odparła Poppy. - Moim zdaniem wygląda na bardzo inteligentną młodą kobietę.

- Wstrętne - powtórzyła Jemma, otrząsając się z odrazą. Usiadła i rozwinęła kartkę, którą wręczyła im panna Tatlock. - Wieczór rozpocznie się od debaty na temat samców makaka. Wyśmienicie. Zawsze fascynowały mnie nieduże, włochate samce.

- Óóó... - syknęła Poppy, trącając ją łokciem.

- A potem żywa dyskusja między panami Brownriggieni i Pringle'em na temat tego, czy Adam i Ewa mieli pępki. Poppy!

- Cóż, to interesująca kwestia - stwierdziła przyjaciółka. - Ale spójrz, później pan Moorehead będzie mówił o swoich ostatnich podróżach po Afryce. To będzie fascynujące.

- Ba! Wielkie nieba, jakie mnóstwo ludzi! Jest i lord Strange. Sądzisz, że powinnam go spytać, czy sprzeda mi resztę kompletu szachów?

- Gdzie?

- Przy oknie. Rozmawia z tą wspaniałą młodą kobietą. I rzeczywiście, oparty o pięknie zwieńczone kamienne okno stał szczupły mężczyzna o jastrzębiej twarzy. Wyglądał na ożywionego. Rozmawiał z młodą kobietą o włosach bardziej złocistych niż Poppy i wargach niewątpliwie bardziej czerwonych.

- Hm... - mruknęła Poppy.

- Ostrzegałam cię - szepnęła radośnie Jemma. - Jak myślisz, sprzeda mi szachy?

Właśnie wtedy Strange się odwrócił i rozejrzał po sali. Leniwie śliznął się wzrokiem po Poppy i Jemie, jakby były ziemniakami czekającymi na zasadzenie. Poppy pochyliła się ku przyjaciółce.

- Nie.
- Nie sprzeda mi ich?
- Nie, chyba że jesteś gotowa zapłacić własnymi wdziękami.
- Poppy, zaskakujesz mnie! Sądziłam, że jesteś całkowicie niewinna.
- Nie jestem ślepa i zdaję sobie sprawę, że niektórych mężczyzn nie interesują szanujące się kobiety.
- Według wszelkich relacji gorąco kochał swoją żonę. Umarła przy narodzinach ich dziecka.

- Miał żonę?

Jemma przytaknęła i odwróciła się, by przywitać jednego z przyjaciół. Poppy usiadła, rozmyślając o tym, że arystokrata słynący z niemoralnych związków mógłby pożądać żony i kochać ją. Przekonała się jednak, że takie rozmyślania do niczego nie prowadzą, porzuciła więc myśli o Fletchu. W każdym razie zdążyła to zrobić, nim stanął przed nią i się uklonił.

Przez chwilę wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

- Co ty, na Boga, tutaj robisz?
- Mógłbym o to samo zapytać ciebie - odparł. - Nie wiedziałem, że interesują cię sprawy naukowe, Poppy.

Wstała w końcu i się ukloniła, pragnąc, by Jemma wróciła jak najszybciej. Jednak przyjaciółka zniknęła wśród chmary paplających arystokratów.

- To moja pierwsza wizyta tutaj - wyjaśniła. Po czym dodała: - Czy mógłbyś wyjść, Fletch? Proszę.

- Wyjść? - spytał. - Dlaczego miałbym wychodzić?
- Ponieważ to krępujące - syknęła, siadając.

Natychmiast usiadł obok niej.

- To miejsce Jemmy.
- Dlaczego miałbym wyjść?
- Ciebie nie mogą interesować takie sprawy - wyjaśniła. - A mnie tak.

- Naprawdę?

- Owszem, i czuję się niezręcznie, kiedy ty tu jesteś. Proszę, bądź tak uprzejmy i opuść to miejsce.

- Możesz prosić, mimo to ja nie wyjdę. - Rzucił jej ponure spojrzenie i skrzyżował ręce. - W końcu powiedziałaś, że możemy być przyjaciółmi.

Poppy wydawało się, że Fletch jest zirytowany. Zebrała się w sobie i powiedziała radośnie:

- Zatem oczywiście możesz zostać. Gili zapewne także jest tutaj. Nie przyjdzie się ze mną przywitać?

- Nie ma go tu. Dlaczego pytasz?

- Ponieważ nigdy nie robisz niczego bez Gilla - odpowiedziała. - Ponieważ jeśli zainteresowałeś się sprawami nauki, musiało to nastąpić pod wpływem Gilla.

- To niemal obelga - rzekł obojętnym tonem.

- Nie miałam zamiaru cię obrażać. Spójrz, jest tu doktor Loudan. Osobiście mnie zaprosił, więc powinnam się z nim przywitać. Wybacz, Fletch.

Odeszła.

Oślupiały ze zdumienia odprowadził ją wzrokiem. Kiedy wyobrażał sobie spotkanie z Poppy, nie przyszło mu do głowy, że tak go potraktuje. Ani że będzie się uśmiechać do młodego człowieka o długim nosie i... Fletch poczuł, że pięści same mu się zaciskają. Zerwał się na równe nogi, zanim to sobie uświadomił.

Przecisnął się przez tłum i stanął za Poppy tak, że nie mogła go zobaczyć. Z jakiegoś powodu miał pewność, że nie byłaby zadowolona z jego obecności.

- Informacje na temat tylnych łap leniwca, które mi pan przesłał, były fascynujące - mówiła do doktora Loudana. Młody mężczyzna był niski. Dobrze, może nie tak całkiem niski, ale z pewnością niższy niż Fletch. Pokonałbym go bez trudu, pomyślał książkę z pogardą. Potem, przyglądając się jego ramionom, doszedł do wniosku, że walka byłaby wyrównana.

Ale i tak by go pokonał.

Rozłożył go na łopatki, zagrzmiął jakiś głos w jego głowie, kiedy zobaczył, jak uczoney patrzy na Poppy. Mówili, zdaje się, o wydrach morskich. Cóż Poppy mogła wiedzieć o wydrach?! Wyglądało na to, że sporo, co wynikało chociażby z tego, że porównywała te zwierzęta z ich angielskimi kuzynami.

Pięć minut później Poppy nadal nie odrywała wzroku od twarzy doktora Loudana, który wciąż rozprawiał o wydrach.

Fletch cofnął się o krok. Nawet na niego nie spojrziała! Usiadł, skrzyżował ręce i czekał.

W końcu słuchacze zaczęli zajmować miejsca. Poppy wróciła do Fletcha, niepokojąc się, gdzie usiądzie Jemma.

- Księżna - oznajmił jej - zaprzyjaźnia się z lordem Strange'em. Poczekajmy, aż Beaumont o tym usłyszy!

- Lord Strange ma zdumiewającą kolekcję osobliwości - uświadomiła go Poppy. - Jak rozumiem, zbiera przede wszystkim dzieła sztuki, ale posiada też wiele fascynujących okazów naukowych. Oddałabym wszystko, żeby móc je zobaczyć.

- Nie pozwoliłbym ci się zbliżyć do granic jego posiadłości. Nie masz pojęcia, co się tam dzieje, Poppy!

- O ile mi wiadomo, to się nazywa orgie. Czytałam o tym w historii starożytnego Rzymu.

- Poppy!

- Chyba nie sądzisz, że miałabym ochotę przyłączyć się do zaproszonych? - spytała. Kąciki jej ust się uniosły, lecz nie był to uśmiech.

Fletch otworzył usta, ale nie wydobył z siebie ani słowa.

- Mam nadzieję, że nie - powiedziała zimno. - To jedyna rzecz, której powinieneś być pewny, Fletch. Raczej nie przyprawię ci rogów.

- W oczach Poppy malowało się coś tak posępnego, że Fletch poczuł chłód w sercu.

- Poppy...

Odwróciła się i pomachała do Jemmy, która zajęła miejsce w drugim końcu sali.

- To nie jest kwestia... zdrady - rzekł Fletch, szukając odpowiedniego słowa. - Ale Strange jest rozwiązłym człowiekiem.

- Ach, rozwiązłym? - rzekła Poppy. - Sądziłam, że każdy mężczyzna, który bierze sobie kochankę, jest rozwiązły. Taka naiwność jak moja istnieje tylko po to, by mężczyźni mogli odzierać z niej kobiety. Nieprawdaż?

Na przodzie sali pan Moorehead rozpoczął dyskusję na temat plemienia zwanego Karamojong, które mieszkało w Afryce. Poppy i Fletch siedzieli obok siebie w milczeniu.

- To było wyjątkowo nudne - orzekł Fletch, kiedy debata dobiegła końca.

- Nie zgadzam się z tobą - powiedziała chłodno Poppy. – Zamierzam kupić jego książkę *W Arce nie ma już miejsca*, przy pierwszej okazji.

- Brzmi jak dziecięca rymowanka.

- Opłaciłam subskrypcję na wszystkie pozycje dotyczące podróży i przyrody u Lackingtona. Ty za to płacisz.

- Nigdy nie rozmawialiśmy o takich książkach.

- A o czym, na Boga, mielibyśmy rozmawiać? Chyba że potajemnie interesowałeś się naukami przyrodniczymi.

Otworzył usta, lecz Poppy jeszcze nie skończyła.

- Zapewniam cię, że gdybym przeczytała artykuł o nowych wzorach zegarów albo o rewolucji w produkcji haftowanej satyny, natychmiast opowiedziałabym ci o tym.

- Rzadko przypominasz mi swoją matkę - powiedział powoli Fletch - ale teraz dostrzegam pewne podobieństwo.

- Wyobrażam sobie, że takie chwile muszą być coraz częstsze, skoro mieszkasz razem z nią. Jak się miewa moja najdroższa rodzicielka? Ostatnio spotkaliśmy się, żeby o niej porozmawiać. Musi być jakiś powód, dla którego tutaj przyszedłeś.

- Nie jestem tu po to, żeby rozmawiać o twojej matce! - niemal wykrzyczał te słowa.

- Zaskakujesz mnie - rzuciła.

Tymczasem tak zwana ożywiona dyskusja z przodu sali szybko przeradzała się w pyskówkę dwóch obrzucających się błotem brodatych antykwariuszy.

Ponieważ Poppy nie sprawiała wrażenia bardziej zafascynowanej kwestią pępka Ewy niż on - chociaż kto wie, biorąc pod uwagę wszystkie jej sekrety - Fletch uznał, że może kontynuować rozmowę.

- Bóg nigdy nie umieściłby fałszywego świadectwa na ciele Adama - oznajmił pan Brownrigg, sprawiając wrażenie, jakby zaledwie przed tygodniem dokładnie omawiał tę sprawę z Najwyższym.

- Twoja matka wydaje się mieć doskonale - szepnął Fletch do Poppy. - A co z tobą?

Wysłuchała z napięciem wściekłej odpowiedzi pana Pringle'a, po czym zwróciła się do męża z promiennym uśmiechem.

- Spędzam czas wprost cudownie. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek w życiu była tak szczęśliwa. Mam nadzieję, że i ty jesteś zadowolony?

Oczywiście - wymamrotał.

- Bóg nie musi tworzyć fałszywej historii - rzekł pan Brownrigg, stając oko w oko ze swoim oponentem.

- Jemma mówiła, że wygłosiłeś mowę w Izbie Lordów - rzuciła Poppy. - Na jaki temat?

- Chodziło o to, czy Pitt nadaje się do objęcia stanowiska pierwszego lorda skarbu. W końcu spojrzała na niego.

- Jak to? Gazeta donosiła, że twoje wystąpienie było płomienne.

- Płomienne, to prawda. I bardzo dobrze przyjęte przez opozycję - przyznał Fletch. - Chociaż w połowie zacząłem przedstawiać przeciwny punkt widzenia.

Poppy westchnęła ale - trzeba jej to przyznać - się nie uśmiechnęła.

- Wielkie nieba, jak ci się to udało, Fletch?

- Lord Tempie poprosił, żebym zaprezentował jego opinię, a ja sądziłem, że będzie to łatwe. Jednak w połowie wystąpienia zdałem sobie sprawę, że sam nie zgadzam się z argumentami, które przedstawiam, więc zmieniłem linię.

- Nie możesz tak robić!

- Ale zrobiłem. - Uśmiechnął się lekko, przypominając sobie debatę. - Chociaż wydawało mi się, że niektórym zaczną dymić peruki.

- Nie spodziewałabym się tego po tobie - powiedziała Poppy, przyglądając się Fletchowi.

- To znaczy czego? Że poplączę przemówienie? Z tego, co powiedziałaś przed chwilą, wnoszę, że powinnaś uważać to za coś naturalnego.

- Że będziesz przemawiał w parlamencie. Nie sądziłam, że interesują cię takie sprawy.

- Że interesuje mnie cokolwiek poza odcieniem płaszcza?

Sprawiła wrażenie odrobinę skruszonej.

- Oczywiście wiem, że doskonale zajmujesz się posiadłością.

- Sprawilo mi to przyjemność - powiedział. - Oczywiście wszystko przerodziło się w farsę, kiedy zdałem sobie sprawę, że przedstawiam argumenty niewłaściwej strony, ale to moja wina. Powinienem był przemyśleć swoje wystąpienie.

- Cóż, jestem pewna, że wymagało to sporej odwagi - rzekła Poppy, dotykając jego ramienia. - Chodzi mi o przyznanie się do pomyłki.

- Nie przyznałem się do tego. Po prostu mówiłem tak dużo, że w końcu nikt nie miał pojęcia, o co mi właściwie chodzi, aż wróciłem do swoich wniosków.

- Adam został ulepiony z gliny, bez żadnych blizn! - wrzasnął jeden z dyskutantów.

- Sądzę, że zbliżają się do końca - szepnęła Poppy.

- Skąd wiesz? Obawiam się, że mogą kontynuować przez całą noc. Muszą się straszliwie nienawidzić, prawda?

- O nie, nie wydaje mi się. To raczej gra. W ostatnim numerze „Philosophical Transactions” pan Brownrigg cytował Pringle'a i twierdził, że jego rozprawa na temat muszli przegrzebka jest jedną z najlepszych, jakie czytał.

- Muszli przegrzebka? - powtórzył Fletch.

- Tak. Pod wpływem jego opinii zamówiłam tę rozprawę, ale nie wydała mi się interesująca. Pringle twierdzi, że koncentryczne pierścienie na muszli odpowiadają liczbie lat, jakie przeżył małż.

Fletch zamrugał zdezorientowany.

- To znaczy, że małż wytwarza każdego roku nowy pierścień - wytłumaczyła Poppy.

- A dlaczego nie?

- To niemożliwe.

Tymczasem panowie Brownrigg i Pringle łypnęli na siebie w ostatnich porywach naukowej furii, po czym zeszli ze sceny. Obserwując ich, Fletch doszedł do wniosku, że Poppy miała rację i obaj uczeni zapewne wybiorą się w jakieś spokojniejsze miejsce wychylić po szklaneczce brandy. Cała debata dziwnie przypominała mu zażarte dyskusje w Izbie Lordów.

- Dlaczego nigdy nie powiedziałaś, że interesują cię muszle, leniwce i podobne sprawy?

Spojrzała na niego wyraźnie zaskoczona.

- To znaczy, że cię nigdy nie interesowały takie tematy?

- Nie.

- No właśnie.

- Ale ty... ty mnie kochałaś. - Fletch z jakiegoś tajemniczego powodu odczuł nieodpartą chęć powiedzenia tego na głos. Chciał jej o tym przypomnieć. Sprawić, żeby cofnęła to, co powiedziała wcześniej.

Jej spojrzenie było jasne i pogodne.

- Nie, Fletch, nie kochałam. Rozmawialiśmy już o tym. Żadne z nas nie było tak naprawdę zakochane. A poza tym, to wszystko jest zupełnie inne niż tamto życie.

- Jakie życie? - Fletch miał wrażenie, że rozpaczliwie próbuje zrozumieć obcy język.

- To... to sprawia mi przyjemność - powiedziała Poppy, rozglądając się dookoła. - Nie widzisz, jakie to interesujące?

Fletch również się rozejrzył. Sala była odrapana i wypełniona po brzegi, głównie przez mężczyzn, lecz tu i ówdzie widać było także kobiety. Po prawej stronie kilku ludzi prowadziło ożywioną rozmowę na temat latających wiewiórek.

- W rzeczywistości one nie latają - oświadczył niski, gruby jegomość, unosząc dumnie tłusty podbródek. Jego głowę otaczał wianuszek rdzawych włosów. Jeśli Fletch kiedykolwiek spotkał człowieka, który rozpaczliwie potrzebował peruki, to był nim właśnie ten mężczyzna.

- Ależ latają - sprzeciwił się inny, potężnie zbudowany.

- To profesor - szepnęła Poppy, wskazując głową drugiego z rozmówców.

Fletch zauważył, że błyszcza jej oczy. Chrząknął.

- Doktor Fibbin udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że wiewiórki mogą przelecieć odległość czterdziestu do pięćdziesięciu stóp.

- Fibbin to głupiec - orzekł łysawy grubas.

Choć przykro było mu to przyznać, Fletch podzielał jego zdanie.

- W Ashmolean Museum w Oksfordzie mają wypchaną latającą wiewiórkę - powiedziała Poppy, siadając obok Fletcha. - Napisałam list i zamierzam wybrać się do muzeum w grudniu.

- Czy właśnie tym się zajmujesz? - spytał osłupiały Fletch. - Nie widziałem cię na żadnym przyjęciu. Chodziłaś do muzeów?

- O nie! - odpowiedziała Poppy. - To znaczy, jeszcze nie. Widzisz, matka pozwalała mi bywać w Somerset House tylko wtedy, gdy odbywały się tu wykłady na temat zwyczajów panujących w dobrym towarzystwie, chociaż Towarzystwo Królewskie spotykało się w dokładnie tym samym czasie!

- Jesteś zamężna, Poppy - zauważył Fletch. - Możesz iść do każdego przeklętego muzeum, kiedy tylko masz na to ochotę.

- Teraz już mogę. Cicho, Fletch. Pan Belsize będzie przemawiał.

Pan Belsize rzeczywiście zabrał głos. Mówił bez końca. A Fletch po prostu siedział ze wzrokiem wbitym w zniszczony dywan i zastanawiał się, dlaczego Poppy uważała, że nie może pójść do muzeum. Dlaczego nie wiedział, że jego żona ma na to ochotę. Przez głowę przemknęła mu jeszcze myśl o zbliżającej się debacie w Izbie Lordów na temat ustawy wschodnioindyjskiej Foksa.

- Nie pojedziesz do Oksfordu z Jemmą - powiedział, korzystając z chwili, gdy pan Belsize przerwał, by napić się wody.

- Oczywiście, że pojedę - odparła Poppy.

- Nie pozwolę, żeby moja żona błąkała się poza Londynem beze mnie.

Spojrzała na niego z wyraźnym rozbawieniem.

- Fletch, jeśli będę miała ochotę pojechać do Paryża, wybiorę się choćby jutro.

- Zawiozę cię do Oksfordu - oznajmił, krzyżując ramiona.

- Nie.

- Poppy, jeśli nie pozwolisz, żebym odwiózł cię do Oksfordu, powiem twojej matce, że zapadłaś na rzadką chorobę krwi i bardzo potrzebujesz jej wsparcia.

Spojrzała na niego zmrużonymi oczami.

- Wiedziałam, że rozmowa zejdzie na temat mojej matki.

- I to w kilku aspektach - mruknął, sadowiając się wygodniej na krześle. Pan Belsize rozpoczął kolejną tyradę.

29

Po bliższych oględzinach Jemma doszła do wniosku, że lord Strange jest ubrany równie sztywno jak Fletch, a może nawet bardziej elegancko.

- Wasza Wysokość - powiedział, składając jej głęboki ukłon.

- Lordzie Strange.

- To dla mnie zaszczyt, że przyszła pani porozmawiać ze mną - rzekl. - Tak mało prawdziwych kobiet widuję w tych czasach.

- Znałam pańską żonę - powiedziała Jemma. - Sally była moją bliską przyjaciółką.

Wyraz jego oczu zmienił się natychmiast.

- Przypuszczam, że nie wysłano pani do szkoły?

- Nie, lecz matka chrzestna Sally, lady Fiblesworth, była przyjaciółką mojej rodziny i często odwiedzałyśmy się w dzieciństwie.

- Lady Fiblesworth to niezwykła kobieta.

- To prawda. Sally bywała u nas regularnie, dopóki nie wyszłam za mąż i nie wyjechałam do Paryża. Nie było mnie w Anglii w czasie jej debiutu.

- Ona właściwie nigdy nie zadebiutowała. Uznano mnie za zbyt rozwodzonego, więc rodzina postanowiła mnie ożenić. To był najszczęśliwszy dzień w moim życiu.

- Przykro mi, że nie ma jej już wśród nas.

Przygarbił się nieznacznie.

- Podzielam pani uczucie.

Wyglądało na to, że rozmowa się urwała, więc Jemma spróbowała innego tematu.

- Czy gra pan w szachy, lordzie Strange?

- Tak.

Spodobała jej się jego lakoniczność. Dobrzy szachiści rzadko rozwodzili się nad swoimi umiejętnościami.

- Ale - dodał - kiedy ostatnio rozmawiałem z Philidorem, powiedział mi, że była pani jedyną osobą, która pokonała go w trzech kolejnych partiach. Ja pokonałem go tylko raz czy dwa, więc partyjka ze mną będzie dla pani stratą czasu.

- Grał pan z Philidorem?

Przytaknął.

- Ostatniego roku w Paryżu.

- Musimy rozegrać partię.

- Gram tylko wtedy, gdy jestem w Fonthill albo w Paryżu.

Fonthill słynęło ze swego piękna - trzysta akrów urządzonych za kwotę, która każdego doprowadziłaby do ruiny. Tyle że człowiek o majątku Strange'a nic nie byłoby w stanie zrujnować.

- Fonthill? Proszę mi wybaczyć, ale osiem ostatnich lat spędziłam poza krajem. Czy to pańska rezydencja?

- Tak. Muszę przyznać, że jest pani dość interesująca jak na przedstawicielkę swojej płci.

- Nauczyłam się nie odwzajemniać komplementów tego rodzaju. Mężczyźni mają skłonność do myślenia, że są bardziej interesujący niż pozostali przedstawiciele swojej płci, podczas gdy w rzeczywistości nie mają w sobie nic niezwykłego.

Na jego twarzy odmalowało się uznanie.

- Zdaje się, że na to zasłużyłem.

- Wszyscy zasługujemy na wiele rzeczy, których nie dostajemy.

- Chciałbym zagrać z panią w szachy. Ale, jak mówiłem, gram wyłącznie w Fonthill albo w Paryżu. To moja słabostka.

- A zatem będę musiała żyć, nie doświadczwszy tej przyjemności - mruknęła, pozwalając, by z nieznacznej zmiany tonu jej głosu wywnioskował, co sądzi na temat podobnych słabostek i próżności.

Roześmiał się, czym zupełnie ją zaskoczył.

- Naturalnie mogę panią zaprosić do Fonthill.

- Cóż za miła perspektywa.

- Cnotliwe zamężne kobiety nigdy mnie nie odwiedzają. Zastanówmy się. Czy to możliwe, że słyszałem plotki, jakoby nie była pani aż tak rygorystycznie... cnotliwa?

- Ach, plotki - rzekła słodkim głosem, obrzucając wzrokiem złotowłosą damę, która stała u jego boku niczym manekin czekający na ożywienie. - Bywają tak mylące.

- A czasami precyzyjne - odparł z uśmiechem. Kiedy zechciał, potrafi być wprost uroczy. - Jutro wyjeżdżam do Fonthill. Może Wasza Wysokość zgodziłaby się złożyć mi wizytę? Mogę pani obiecać mnóstwo rozrywek, zwłaszcza w czasie świąt.

Polityczna reputacja biednego Beaumonta nie przetrwa takiej wizyty.

Wprawdzie nie wątpię, że gra z panem w szachy to prawdziwa przyjemność, lecz chciałabym pomówić o czymś innym. Kupiłam figurę szachową od pana Grudnera.

- To była królowa, nieprawdaż? Afrykańska królowa. Tak ją nazywam.

- Gorąco pragnęłabym dokupić jej towarzystwo.

Roześmiał się i złożył jej głęboki ukłon.

- Czy nikt pani nie powiedział, że jestem niezwykle uparty? Jeśli odwiedzi pani Fonthill, Wasza Wysokość, będzie to prezent od gospodarza. Tymczasem radziłbym pani zapoznać się z panią Patton. – Wskazał głową wysoką damę stojącą pośrodku grupki. - Jest jedyną kobietą, którą przyjęto do Londyńskiego Klubu Szachowego. Być może mogłaby pani dołączyć do niej w tym gronie i grać w szachy, kiedy tylko pani zapragnie.

- Z pewnością poproszę, by nas sobie przedstawiono.

- Zapewne słyszała pani, co mówi się o reputacji?

- Ludzie mówią tyle rzeczy. Trudno wszystko zapamiętać.

- Trafne spostrzeżenie. Ja lubię porównywać reputację do dziewictwa.

Jemma uśmiechnęła się nieznacznie.

- Jego utrata to krótka przykrość, za to później można się cieszyć owocami?

- Otóż to! Straciłem swoją reputację dawno temu. To było tylko słowo. Słowo odeszło w przeszłość, ale przyjemność trwa dalej. - Ukłonił się.

Był diabelnie czarujący. Gdyby nie reputacja męża i obietnica, którą mu złożyła, udałaby się do Fonthill natychmiast. Strange rzucił rękawicę i Jemkę irytowało, że nie może jej podjąć.

Nie oczekiwał, że odwiedzi Fonthill. Zobaczyła to w jego oczach - cień upokorzenia, niepotrzebny komplement.

To wzbudziło w niej chęć odrzucenia konwenansów i złożenia mu wizyty. Ale jak mogła wybrać się do tej posiadłości, przy wszystkich wiązanych z nią skandalach i wyuzdanych przyjęciach. Jeśli te opowieści były prawdziwe? Nie mogła. Nie mogła zrobić tego Beaumontowi.

Jej francuscy przyjaciele wybuchnęliby śmiechem, gdyby usłyszeli o jej rozterkach. Mężów i honor uważali za tematy godne żon mieszczuchów. Ale życie w Londynie było znacznie bardziej skomplikowane niż to, które prowadziła, bawiąc na francuskim dworze.

Jemma wiele lat temu zapomniała, co to onieśmienie. Przyjechała do Paryża jako młoda księżna bez męża, znalazła się w Wersalu i zaczęła wygrywać szachowe pojedynki z Francuzami. Każda z tych trzech okoliczności wystarczyłaby, żeby wprowadzić w onieśmienie większość dam. Ale nie kobietę z rodziny Reeve'ów, pomyślała z dumą.

Tym bardziej zaskoczyło ją odkrycie, że czuje się odrobinę - tylko odrobinę - onieśmielona w obecności pani Patton. Na pozór nie było ku temu żadnego powodu. Pani Patton była szczupłą kobietą o brązowych włosach, raczej ekscentrycznie ubraną, co w zasadzie powinno wystarczyć, by dać Jemmie poczucie wyższości.

Większość kobiet miała na sobie suknie z krótkimi falbanami i większymi lub mniejszymi rogówkami. Pani Patton nie miała żadnych falbanek, bufek ani rogówek. Była ubrana w sięgający ud żakiet dopasowany do jej figury. Pod żakiem miała błękitną jak chaber bluzkę, która z tyłu przechodziła w długie fałdy. Z przodu żakiet lekko się rozchyłał, odsłaniając kamizelkę. Kamizelkę! Jemma nagle poczuła się przytłoczona własnymi wstążkami, koronkami i falbankami.

Okazało się, że w grupie ludzi, otaczających panią Patton, trwa ożywiona dyskusja na temat maszyn drukarskich i czcionek, o czym Jemma nie miała najmniejszego pojęcia. W końcu dyskusja o czcionkach bezszeryfowych, czymkolwiek były, dobiegła końca i pani Patton zwróciła się do Jemmy.

- Wasza Wysokość, od dawna pragnęłam panią poznać - powiedziała z szelmowskim uśmiechem. - Wiele słyszałam o tym, jak biegle gra pani w szachy.

- Ja słyszałam to samo o pani - odparła Jemma z lekkim ukłonem.

- Nie sędzę, żebym mogła się z panią równać. Philidor pokonał mnie z łatwością, gdy w zeszłym roku odwiedził Londyn. Ale powiedział mi o pani i zapragnęłam spotkać się z panią u Parsloe'a. Mam nadzieję, że zamiast zająć moje miejsce w Londyńskim Klubie Szachowym, zgodzi się pani zostać jedną z dwóch kobiet wśród setki wybrańców.

- Czy to krępujące być jedyną kobietą?

- Nie uważam, żeby to było krępujące. Czasami członkowie klubu poruszają tematy, które mnie nużą, takie jak zalety tej czy innej tancerki. Przekonałam się, że drobna uwaga na temat bolących piersi w czasie karmienia dziecka przywraca dżentelmenom świadomość mojej obecności.

- Ponieważ nie karmiłam dziecka - rzekła Jemma - będę musiała naśladować panią.

- Jestem pewna, że znajdzie pani własne sposoby na to, by przywrócić im wrażliwość. Widzi pani, mężczyzn bardzo łatwo zbić z tropu. Naturalnie staram się tego nie robić w czasie gry w szachy, ale czasami po prostu trudno nie wykorzystać tej przewagi.

- Chciałabym zobaczyć, jak zbija pani z tropu mojego męża. Prawdę mówiąc, wielką przyjemność sprawiłoby mi, gdyby pani z nim zagrała.

- Ach, księżę de Beaumont jest politykiem. To zupełnie inny typ. Pani Patton się skrzywiła. - Wątpię, żeby grywał w szachy ze zwykłymi śmiertelnikami. Jeśli jest człowiekiem w połowie tak zajęтым, jak piszą o nim gazety, to nie ma wiele czasu na grę.

- Myślałam o zorganizowaniu przyjęcia w święta - powiedziała Jemma. - Byłabym zachwycona, gdybyście rozegrali wtedy partyjkę i gdyby pokonała pani mojego męża. Jestem przekonana, że mogłabym bezpiecznie postawić na panią, a nie na polityka.

- Jestem zaszczyczona zaproszeniem... - rzekła pani Patton, sprawiając wrażenie, jakby zamierzała odmówić.

- Och, proszę - przerwała jej Jemma. - To dopiero za kilka miesięcy. Nie może pani odrzucić mojego zaproszenia. Właśnie wróciła z Paryża po ośmiu latach i przekonałam się, że jest tu niewielu ludzi z którymi mogłabym grać w szachy.

- Wielkie nieba - rzekła pani Patton. - Można pomyśleć, że zmonopolizowała pani rynek, jeśli chodzi o grę w szachy. Pani rozgrywki z mężem i księciem de Villiers budzą powszechne zainteresowanie.

- Nigdy nie grałam w szachy z kobietą i muszę przyznać, że ogromnie mnie to ciekawi.

- Przypuszczam, że będzie pani trudnym przeciwnikiem.

- A zatem?

- Podróżuję z dziećmi. Z dziećmi i, jakże mogłam zapomnieć z mężem.

- Wszyscy będziecie mile widzianymi gośćmi. Potrzeba dzieci, żeby w pełni docenić uroki świąt. Zorganizujemy wspaniałe przyjęcie i każdy znajdzie fasolkę.

- Tu udowodniła pani, że nie jest matką - zauważyła wesoło pani Patton. - Doszłoby do prawdziwej rzezi niewiniątek, kiedy pokłóciliby się o to, kto znalazł większą fasolkę.

- W takim razie, droga pani Patton, obiecuję dołożyć wszelkich starań, żeby to pani została fasolową królową dnia, jeśli tylko przyjedziecie.

Pani Patton się roześmiała.

- Zatem mam okazję zagrać w szachy i zostać królową? Nawet jeśli nie odbędzie się to w do końca uczciwy sposób, trudno się oprzeć. Przypuszczam, że mój mąż się zgodzi, lecz jeśli nie, przyślę pani jutru wiadomość z przeprosinami.

Jemie spodobało się, że pani Patton nie okazywała ani cienia służalczości. Złożyła głęboki ukłon, jak księżna przed księżną.

- To będzie dla mnie prawdziwa przyjemność.

Książę de Villiers do panny Charlotte Tatlock

20 listopada, godzina 10.00

Czy wciąż ma mi Pani za złe brak delikatności? Od miesiący jestem przykuty do łóżka. Piszę w desperacji, aby zapytać, czy nie zechciałaby Pani poczytać mi Biblii. Osoba tak inteligentna i piękna jak Pani powinna zająć się czynieniem cudów, a jestem pewien, że taka powódź niebiańskich wpływów będzie miała iście cudowne działanie. Mój służący będzie czekał na Pani odpowiedź.

Panna Charlotte Tatlock do księcia de Villiers

Zwrotną pocztą

Jest Pan najbardziej fantastycznym i nieuprzejmym człowiekiem, jaki urządził sobie zabawę moim kosztem. Pana ocenie pozostawiam to, jak nasz zbawiciel osądziłby Pańskie postępowanie.

PS Naprawdę przykro mi słyszeć, że wciąż źle się Pan czuje.

Książę de Villiers do panny Charlotte Tatlock

Godzina 11.30

Nie zamierzałem być nieuprzejmy. Proszę przyjść i ze mną porozmawiać. Nie mam tu nikogo oprócz kamerdynera i służby oraz kilku myszy, które głośno piszczą nocami.

Panna Charlotte Tatlock do księcia de Villiers

Zwrotną pocztą

Pańska samotność jest niewątpliwie nagrodą za niegodziwie spędzone życie.

Książę de Villiers do panny Charlotte Tatlock

Godzina 13.00

Jest Pani zbyt miła, by być tak zarozumiałą, jaką się Pani wydaje. Obawiam się, że wkrótce umrę z nudów. I muszę dodać, że wielu nieproszonych gości pragnęłoby dostać się do mojej sypialni.

Panna Charlotte Tatlock do księcia de Villiers

Zwrotną pocztą

Proszę ich wpuścić. W odróżnieniu do mnie, nie ma Pan nic do stracenia.

Księżę de Villiers do panny Charlotte Tatlock

Godzina 14.30

O okrucieństwo! Twe imię brzmi Charlotte. Proszę nie rzucać mnie na pastwę tych, którzy chcieliby mnie odwiedzić. Przychodzą obłudnie tylko po to, żeby móc opowiadać o moich ostatnich westchnieniach, żalonych rzeczach, jakie mówiłem, i o tym, jak bardzo bladą miałem twarz. Nie wątpić, że żaden z nich nie powiedziałby mi tak jak Pani, iż jestem szkodliwym nikczemnikiem.

Panna Charlotte Tatlock do księcia de Villiers

Zwrotną pocztą

Ich ignorancja nie jest wystarczającą przyczyną, bym się narażała na nieprzyjemności, nie wspominając o utracie dobrego imienia.

Panna Charlotte Tatlock do księcia de Villiers

29 listopada, godzina 10.00

Zaryzykowałam napisanie tego listu, ponieważ dziś rano otrzymałam smutną wiadomość o Pańskiej śmierci. Z zaskoczeniem odkryłam w sobie nadzieję, że te pogłoski nie są prawdziwe. Nie potrafię się oprzeć chęci zapytania, czy to prawda.

Księżę de Villiers do panny Charlotte Tatlock

Zwrotną pocztą

Żyję głównie przez złośliwość. Kamerdyner mówił mi, że dotychczas już trzykrotnie krążyły całkiem wiarygodne wieści o mojej śmierci, a raz zostałem nawet pogrzebany. Sądziłem, że ma mnie Pani dość?

Panna Charlotte Tatlock do księcia de Villiers

Godzina 11.00

Niczego od Pana nie oczekuję, ale ciążyłoby mi na duszy, gdybym wzgardziła okazją poczytania Panu Biblii.

Książę de Villiers do panny Charlotte Tatlock

30 listopada, godzina 10.00

Gorączka, która wróciła wczoraj po południu, nie pozwoliła mi odpowiedzieć na Pani list. Mój powóz czeka na Panią. Proszę nie zwlekać, gdyż obawiam się, że gorączka jest moją nieodłączną towarzyszką. Czy mogłaby Pani odwiedzić mnie teraz?

31

30 listopada

Fletch skierował woźnicę do Hyde Parku. Nie chciał wracać do domu. Lady Flora za każdym razem wybiegała mu na powitanie. Nawet sposób, w jaki mówiła „Wasza Wysokość”, świadczył o zapiekłej wrogości. Jeszcze gorzej było, kiedy nazywała go księciem, jakby się dobrze znali. Bardzo go to męczyło. Można by sądzić, że Poppy, która nigdy nie powiedziała przy nim złego słowa o matce, zachęcała ją do przedłużania wizyty w dziwacznym akcie zemsty. Piekielnie dotkliwej.

Kiedy dotarli do parku, nie mógł wytrzymać w ciasnym wnętrzu powozu i wybrał się na przechadzkę, choć było pochmurno i przenikliwie zimno.

Spacerował alejkami i obserwował szare krople spadające z nieba. Czuł chłód deszczu na policzkach. Poppy go nie kocha.

Nigdy go nie kochała. Ta jej potworna matka zmusiła ją do małżeństwa. Ślub był wydarzeniem szczęśliwym tylko dla niego, co wyjaśniało przyczynę żalonych niepowodzeń w ich życiu intymnym. Nie kochała go. Naturalne więc było, że go nie pożądała.

Deszcz na jego twarzy nagle stał się gorący. Tu gorące krople, tam zimny dreszcz.

- Ale ja ją kochałem - powiedział głośno wśród absolutnej ciszy. - Byłem w niej zakochany.

Tamte święta przed laty w Paryżu zapadły mu głęboko w pamięć.

- Kochałem ją. Ja... ja... - umilkł, zanim powiedział na głos, że wciąż ją kocha.

Poppy go nie chce. Nie znosi go. Powiedziała, żeby znalazł sobie kochankę.

Spacerował, aż jego serce stało się równie ponure jak niebo, i uświadomił sobie prawdę.

Musi być przeklęty, ponieważ wciąż ją kocha. Kocha swoją żonę, Mimo wszystko.

To zaś oznacza, że nie może żyć samotnie przez pięć lat, jak sugerowała Poppy. Nie może dalej budzić się w środku nocy i zastanawiać, co ona robi i z kim tańczy. Przekłęci przyrodnicy! Na miłość boską! Ze wszystkich rzeczy, które powiedziała mu matka Poppy, ta bolała najbardziej.

Poppy była, na przykład, oczarowana doktorem Loudanem. Chudym wiotkim człowieczkiem ze skłonnością do patroszenia małych gryzoni.

Przez całe lata udawał kogoś, kim nie był. Wszystko po to, by zwrócić na siebie jej uwagę. A ona pragnęła okularów. Zerwał kapelusz, uniósł głowę i pozwolił, by deszcz spływał mu po twarzy i starannie ułożonych włosach. Zimne krople moczyły mu koszulę i chłodziły palce.

Musiał coś zrobić ze swoim życiem, stać się człowiekiem, którego Poppy będzie podziwiała. Nigdy go nie pragnęła... Pogarda, jaką zobaczył w jej oczach, kiedy porównywała go z tamtym profesorem... Było to to samo uczucie, które teraz żywił wobec siebie.

Ich krępujące zbliżenia zapewne z czasem ulegną nieznacznej poprawie. Lecz i tak będą miały niewiele wspólnego z potężnym pożądaniem, jakie odczuwał. Z tym, jak bardzo jego ciało pragnęło kochać się z nią.

A jednak nie należał do mężczyzn, którym łatwo przychodzi niewierność. Nie potrafił pójść do łóżka z kurtyzaną ani nawet z damą. Prawda była taka, że wcale nie chciał mieć kochanki. Znowu zaczął spacerować, a krople deszczu padały mu na kark.

Może przeżyć, nie mając Poppy w swoim łóżku.

Ale nie przeżyje, jeśli nie będzie jej w jego życiu. Poppy musi wrócić do domu. Obieca, że nie odwiedzi jej sypialni, dopóki nie zdecydują się na dzieci. I przestanie się dąsać.

Przez ostatnich kilka lat wciąż był obrażony. Musiał przyznać lady Florze, że to trafna obserwacja. Irytował się, ponieważ życie okazało się nie odpowiadać jego wyobrażeniom. Dość. Dość myślenia o Francuzkach i w ogóle o pożądaniu. Do diabła z nim.

Mnichom się to udaje, prawda? Nie potrzebują seksu, żeby być mężczyznami. Tym, czego on potrzebuje, jest Poppy. I nagle, nie wiadomo dlaczego, poczuł się lekki jak piórko.

Potrzebuje jej.

Zawrócił i ruszył z powrotem do powozu. Może stać się kimś, z kogo będzie dumna, kimś, kogo nie interesuje wyłącznie krój płaszcza i połysk włosów.

Chciał zostać jednym z najważniejszych ludzi w Izbie Lordów. Chciał zmienić coś w kraju, stać się człowiekiem, którego słowa będą budzić respekt i podziw. Takim, jakim był niegdyś jego ojciec.

Wtedy uwolni się od lady Flory, co będzie jego prezentem dla Poppy. I w końcu skusi ją do powrotu do domu, zanim nadejdą święta. A wówczas w jakiś sposób, pewnego dnia sprawi, że żona znowu go pokocha tak jak dawniej. Tak samo jak kochała go w tamte święta w Paryżu, kiedy patrzyła na niego, jakby był dla niej całym światem.

Kiedy go kochała.

32

Różowy salon w Beaumont House, 6 grudnia

Nie pojedę do Oksfordu - tłumaczyła Jemma - ponieważ masz dobrego męża, który zaproponował, że będzie ci towarzyszył. Nie chcę być nieuprzejma, ale zupełnie nie interesują mnie trójpalczaste szczury czy cokolwiek zamierzasz tam oglądać.

- Wiem - powiedziała Poppy - że byłam potworem, prowadząc cię w te wszystkie nudne miejsca.

Nie poszłabym, gdyby nie sprawiało mi przyjemności twoje towarzystwo. Ale prawda jest taka, że nie mam ochoty jechać do Oksfordu. Naprawdę. Pani Patton

zabiera mnie jutro do Londyńskiego Klubu Szachowego, do którego zamierzam wstąpić, jeśli tylko zgodzą się mnie przyjąć.

- Oczywiście, powinnaś to zrobić. Będziesz mogła zawstydzić mężczyzn, pokonując ich w grze.

- Zamieniasz się w małego, krwiożerczego stworka.

- Zawsze byłam małym, krwiożerczym stworkiem - odparła Poppy. - Mam doskonały wzór w osobie matki. To dlatego Fletch chce mi towarzyszyć w drodze do Oksfordu. W ten sposób może się uwolnić od jej towarzystwa.

- Spójrz na to. - Jemma pokazała jej kartkę, którą trzymała w dłoni. - Dostałam list od Roberty, mojej szwagierki, która pisze, że niedźwiedź wpadł w szal w posiadłości jej ojca i pożarł parę rzadkich kaczek. Muszę jej odpisać. Kochanie, poradzisz sobie beze mnie, prawda?

- Chodzi o to, że to jest Fletch!

- To twój mąż - przypomniała Jemma. - Przez kilka lat byliście małżeństwem, pamiętasz?

- Teraz wszystko wygląda zupełnie inaczej. Czuję się niezręcznie w jego towarzystwie. Możemy się pokłócić. A co będzie, jeśli on.. .jeśli będzie...

- Nie będzie - powiedziała Jemma z przekonaniem: - A jeśli spróbuje, możesz go wyrzucić z powozu. Jesteś krwiożerczą kobietą, pamiętasz? Pomyśl o matce.

Poppy pomyślała o matce. Gdyby Fletch zachował się nieodpowiednio w jej obecności, ponad wszelką wątpliwość wyrzuciłaby go z powozu i posłała nocnik w ślad za nim.

- Rzeczywiście.

- Mężczyźni są bardzo użyteczni w czasie takich podróży - zauważyła Jemma, wychodząc z pokoju. - Jeśli pęknie koło albo stanie się coś podobnego.

Poppy podeszła do powozu Fletcha, starając się naśladować zachowaniem matkę.

Uniósł wzrok znad papierów, które czytał, i uśmiechnął się bez troski. Musiała zebrać wszystkie siły, by nie odpowiedzieć uśmiechem. O nie, nie będzie uśmiechać się do niego jak spragniony miłości szczeniak.

Przyjrzał się jej.

- Wszystko w porządku, Poppy? Jesteś sztywna jak pogrzebacz.
- Chcę tylko powiedzieć, że wcale nie musisz mi towarzyszyć, Fletch. Jestem pewna, że masz mnóstwo pracy.
- Rzeczywiście, mam.
- Więc wróć do domu – zaproponowała.
- Do twojej matki? Za żadne skarby. Zabrałem pracę ze sobą. - Zagłębił się w dokumentach.

Poppy rozsiadła się na przeciwległym siedzeniu i obserwowała Fletcha całkowicie pochłoniętego czytaniem. Jakie to irytujące, że jest aż tak pociągający. Celowo starała się myśleć o doktorze Loudanie. Loudan jej słuchał. Uważał, że jest inteligentna. Pomyślała o liście, który napisała do niego rano. Sugerowała, że jego przypuszczenia dotyczące tak zwanego szczura piżmowego występującego na Cejlonie mogą być błędne. Jeśli uwzględnić informacje opublikowane przed trzema laty przez doktora Farthinga, zwierzę to nie może być szczurem piżmowym. Kąciki jej ust uniosły się w górę.

Fletch nie podniósł wzroku znad papierów, a jednak spytał:

- Cóż skłoniło cię do uśmiechu?
- Nic.
- O czym myślisz?
- O doktorze Loudanie.

Chrząknął, lecz nie odpowiedział. Sprawilo to Poppy pewną satysfakcję. Jego wysokość Piękny Książę Fletcher musiał zrozumieć, że na świecie są mężczyźni, których bardziej interesują szczury piżmowe niż olśniewające stroje.

- Co czytasz? - spytała. - Nie mogę czytać w powozie, ponieważ dostaję mdłości.
- Potwornie głupią rozprawę na temat ustawy o handlu z Francją. Z dwunastu stron nudziarstwa wynika tyle, że francuska brandy kosztuje za dużo.
- I co autor zamierza z tym zrobić?
- Narzekać i lamentować - odpowiedział Fletch. - To wstrząsające, ile papieru marnuje się w Izbie Lordów na niekończące się gładzenie bez żadnych konsekwencji. Jeśli zabiorę głos w sprawie tej ustawy, to skoncentruję się na sytuacji angielskich

rolników. Ludziom pracującym w mojej posiadłości muszę co roku wypłacać dodatkowe pieniądze. Przy obecnych cenach pszenicy nie sposób się utrzymać. Ta ustawa nie powinna dotyczyć brandy, lecz zabronić sprowadzania francuskiej pszenicy.

- Więc dlaczego się tym nie zajmiesz?

Nie odpowiedział, lecz zajął się czytaniem następnej strony.

- Halo? - odezwała się. - Nie słyszysz mnie? Poczula się dobrze, zadając zaczepne pytanie. To było tak niepodobne do starej Poppy.

- Zrobiłem z siebie głupca ostatnim wystąpieniem w Izbie Lordów, jeśli nie pamiętasz.

Nie spojrział na nią.

Poppy się roześmiała. Nic na to nie mogła poradzić. Wyglądał tak uroczo, kiedy był urażony.

- Ale przecież wróciłeś do tematu, prawda?

- Nikt nie zrozumiał mojego wystąpienia. Moja partia, to znaczy partia Foksa, uważa, że zrobiłem dobrą robotę. Najwyraźniej nikt nie zauważył, że w połowie zmieniłem zdanie.

- Och.

- Mówiłem w nieco zawiły sposób. Wydaje mi się, że tylko Beaumont zrozumiał, o co mi chodziło.

- Mąż Jemmy? To wspaniały polityk, prawda?

- Podziękował mi za poparcie - rzekł ponuro Fletch. - Co z tego, skoro ludzie nie słuchają?

- Trudno uważnie śledzić długie przemówienia. Moim zdaniem wystąpienia są bardziej zrozumiałe, jeśli mówca sformułuje prostą myśl i powtórzy ją co najmniej dwukrotnie, jak autor twojego artykułu na temat brandy. Przypuszczam, że twoje wystąpienie nie było proste?

- Jak mogło być proste? To skomplikowany problem. Ten idiota - potrząsnął plikiem papierów, które trzymał w dłoni - sprowadził ustawę handlową do jednej sprawy.

- Tak, ale zrozumiałeś to natychmiast, prawda?

- Cóż...

- Zamykam sprawę.

Przyjrzał jej się uważnie.

- Wiesz, dotychczas nigdy mi się nie sprzeciwiałaś.

- Wtedy byliśmy małżeństwem.

- Nadal jesteśmy małżeństwem!

W jego oczach pojawił się błysk autentycznego gniewu. Sprawilo jej to przyjemność. Wzruszyła ramionami.

- Teraz jest inaczej.

Poczekal, az znajda sie na kolacji Pod Lisem i Kolibrem. Kiedy Poppy powiedziala, ze chce udać się do sypialni, wyrzucil to z siebie bez zadnego ostrzezenia.

- Prawda jest taka, ze nawet jesli to twoja matka zaaranzowala nasze malzenstwo, chociaz wydawalo mi sie, ze to my chcieliśmy tego slubu, musze być potwornie tepy, poniewaz nie potrafie sam siebie przekonac, ze cię nie kocham.

Poppy juz podnosila sie z krzesla. Teraz opadla na nie z powrotem, zdajac sobie sprawe, ze wyraz zaskoczenia malujacy sie na jej twarzy musi wygladac niemal komicznie.

- Wiem, ze to brzmi glupio, biorac pod uwage to, co czujesz - wygladal na poirytowanego, jak zwykle mężczyzni, kiedy mowia o uczuciach - ale nie moge pozwolisc, zebyś myslala, ze cię nie kocham.

- Ach... - wykrztusila.

Podniosl dloni.

-Pozwol mi dokończyc. Kocham cię, dlatego chce, zebyś wiedziala, ze zrozumialem. Nie sadze, zebyś kiedykolwiek miala polubic fizyczne zblizenia, a przynajmniej nie ze mna, Poppy. Jestem gotow sie tym pogodzic.

- Och - szepnela. Poczula sie, jakby wpadala w glęboka, ciemna studnie. Przez cale zycie starala sie nikogo nie rozczarowac. A teraz rozczarowala Fletcha. Miala ochote wyskoczyc przez okno. Wyciagnal rece w jej strone.

- To nie twoja wina. I moja tez nie. Po prostu tak chcial los. Nie widzisz tego, Poppy?

- Widzę, że powinnam... powinnam była bardziej się starać - rzekła nie swoim głosem, starając się ukryć napływające do oczu łzy.

- Przecież próbowałaś, prawda? - Jego spojrzenie było tak łagodne, że niemal się rozplakała.

- Tak.

- Więc zrezygnujmy z pożycia.

- Ty nie możesz zrezygnować.

- Dlaczego nie?

- Mężczyźni po prostu nie potrafią.

- Uważasz, że mężczyźni nie potrafią się powstrzymać, ale kobiety mogą to zrobić? - Uśmiechał się teraz lekko, ściskając ją za rękę, aby i ona uśmiechnęła się do niego.

- To bardzo uprzejmie, że tak mówisz, Fletch. Ale myślę, że naprawdę byłoby lepiej, gdybyś przez pewien czas po prostu poszedł swą drogą. Potem, kiedy zdecydujemy, że chcemy mieć dziecko, spotkamy się i zadbamy o to.

Westchnął.

- Nie słuchasz mnie.

- Ależ słucham.

- Kocham cię, Poppy.

Przełknęła ślinę.

- Nie zamierzam korzystać z usług kobiet lekkiego prowadzenia, które będą udawały, że mnie lubią i pożądamy. I nie chcę romansu z kimś takim jak twoja przyjaciółka Louise.

- Chcesz.

- Dużo o tym myślałem. Ale jeśli wyobrażę sobie siebie w łóżku z nią albo jakąkolwiek inną kobietą, to się po prostu nie sprawdza. Do diabła, Poppy, czy nie sądzisz, że byłoby mi o wiele łatwiej, gdyby to zadziało? Mógłbym wyskoczyć na święta do Fonthill i rozerwać się z połową rozpustnic w królestwie.

- Tak, to byłoby dla ciebie znacznie łatwiejsze - powiedziała bezceremonialnie. - I dla mnie też. Dlaczego tego nie zrobisz?

Jego oczy pociemniały i przez chwilę Poppy sądziła, że go zraniła, lecz wtedy Fletch odwrócił jej dłoń i powiedział:

- Oboje jesteśmy trochę wybrakowani. Ale niestety, kiedy poprosiłem, żebyś za mnie wyszła, składałem długoterminową propozycję.

Myśli Poppy pędziły jak oszalałe. Słyszac Fletcha, jedna jej część krzyczała w milczeniu i tańczyła z radości. Druga jednak była przerażona, ponieważ wrócili do miejsca, w którym już byli. Do łóżka, w którym ona znowu go rozczaruje, ponieważ nie potrafi...

Spojrzał jej w oczy i musiał w nich dostrzec dokładnie to, o czym myślała, gdyż pokręcił głową.

- Nie proszę cię o to, Poppy. Zrobimy dokładnie tak, jak będziesz chciała. Żadnego łóżka. Nic z tych rzeczy. Ja tego nie potrzebuję, a ty nie chcesz.

- Nie potrzebujesz? - To zaprzeczało wszystkiemu, co wcześniej mówiła jej matka.

- Przekonałem się, że sprawy łóżkowe nie są dla mnie aż tak ważne. Nie było cię przy mnie długie miesiące i nie zламаłem małżeńskich ślubów.

Z jego oczu można było wyczytać, że mówi prawdę. Czy to możliwe? Poppy radziła sobie doskonale bez życia intymnego. Dlaczego z Fletchem nie miałyby być podobnie?

- Po prostu zapomnijmy o tym do czasu, kiedy uznamy, że chcemy mieć dziecko - dodał.

- Nie jestem pewna, czy możemy mieć dzieci, Fletch. Próbowaliśmy przez cztery lata.

Wzruszył ramionami.

- Mój ojciec i matka byli małżeństwem przez dziesięć lat, zanim się urodziłem. A potem minęło kolejnych osiem, zanim przyszedł na świat mój brat i wreszcie bliźnięta. W ten sposób spłodzili czwórkę potomstwa.

- Czy zmartwiłoby cię, gdybyśmy nie mieli dzieci?

- Niespecjalnie. Jeden z moich braci wypełni ten obowiązek. A zatem przemyślałem to wszystko i doszedłem do wniosku, że jedyne, co możemy zrobić, to udawać, że wszystkie te łóżkowe sprawy w ogóle nie istnieją. Nie kochałem się od miesięcy i mam się całkiem dobrze.

W rzeczywistości Poppy wcale nie była co do tego przekonana. Fletch sprawiał wrażenie spiętego, nie do końca naturalnego... Ale nie chciała o tym myśleć.

Jedyne, czego teraz pragnęła, to mu uwierzyć.

- Oczywiście, jeśli nie jest tak, że po prostu nie chcesz mnie widzieć w pobliżu siebie – dodał z zakłopotaniem, gdy zapadła cisza.

Milczała jeszcze przez chwilę. Nie pozwoli mu sądzić, że zamierza być jego małą, wierną dziewczynką, służalczo wdzięczną za każde spojrzenie. Wpatrywał się w podłogę i wyglądał na nieszczęśliwego. Dobrze.

- Mam nadzieję, że to nie obecność mojej matki w domu skłania cię do tych deklaracji - odezwała się w końcu. - Chociaż zdaję sobie sprawę, że ma to coś wspólnego z twoją prośbą, żebym wróciła.

- Mylisz się.

Nie uwierzyła w te słowa, ale ich nie skomentowała. Musiała powiedzieć mu coś ważniejszego.

- Zrozum, Fletch, że nie czuję tego samego, co ty. Nie jestem zakochana, chociaż bardzo cię lubię.

Przytaknął. Włosy opadły mu na oczy i wyglądał tak cudownie, że niemal zerwała się, gotowa przytulić się do niego i złożyć wszystkie głupie obietnice. Może mogłaby bardziej się postarać...

Nie.

Przez ostatnie miesiące czuła się wolna. Mieszkała u Jemmy i nie martwiła się o to, jak wygląda, co ma na sobie i czy mąż pomyśli, że jest głupia, skoro kupuje osobliwości, albo czy wieczorem przyjdzie do jej sypialni.

- Nie wrócę do domu - dodała. - Jeszcze nie teraz.

Wyglądał na oszołomionego.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie mam na to ochoty.

- Czy to z powodu Loudana? - Kiedy Fletch marszczył brwi, niepokojąco przypominał pirata.

- W pewnym sensie tak. Zawsze myślałam, że byłoby to niewłaściwe, gdybym chodziła na spotkania Towarzystwa Królewskiego. Schowałam swoje książki, bardzo starałam się zachowywać jak przystało księżnej i uczynić cię szczęśliwym. A teraz kupiłam gablotę na moje osobliwości. Fletch. Muszę cię uprzedzić, że była dość droga, ponieważ jest zrobiona na wzór kabinetu należącego do króla Szwecji.

Innego dnia kupiłam grecką monetę. I widziałam ogłoszenie o sprzedaży wampumu z Wirginii.

- Ależ ja nigdy nie powiedziałem, że nie powinnaś czegoś takiego kupować. Możesz mieć wszystkie wampумы, jakich zapragniesz, cokolwiek by to było.

- W tej chwili wcale nie czuję się jak księżna.

- Jesteś księżną - powiedział z naciskiem. - Ja jestem twoim księciem i powinnaś być razem ze mną w domu.

- Chodzi o moją matkę, prawda?

- Nie, chodzi o ciebie. I o mnie. Nie czuję się dobrze, kiedy nie widzę cię przy śniadaniu. I nie lubię chodzić bez ciebie na przyjęcia. Brakuje mi rozmów z tobą.

- Nie rozumiem dlaczego. Od lat nie rozmawialiśmy o niczym szczególnie interesującym.

- Wydawało mi się, że to jest interesujące. Może lubię rozmawiać z tobą o różnych nudnych rzeczach.

- Nie chcę wracać do twojego domu.

- Teraz to dom twojej matki - rzekł ponuro. - Poczekaj, aż zobaczysz, jakie powiesiła kotary.

- Bardzo ozdobne?

- Czuję się jak w Wersalu.

- Jak mogłabym odebrać jej tę przyjemność? - powiedziała Poppy z uśmiechem. - Zawsze chciała być księżną.

Fletch jęknął.

- Więc może mógłbym zamieszkać z tobą i Jemmą?

- Nie zostałeś zaproszony.

- Nawet na święta? A co z przyjęciem Jemmy? Pół Londynu o nim mówi. Nie zostawisz mnie z twoją matką na święta, prawda?

- Zobaczą, jak będę się czuła - rzekła wyniośle Poppy. - To będzie przyjęcie dla bliskich przyjaciół. Z pewnością bawiłbyś się lepiej na wsi z Pittem albo z któryś z przyjaciół z Izby Lordów.

- Nie - odparł. - Najlepiej czułbym się z tobą. W święta zawsze przypominam sobie, jak razem staliśmy na wieży w Saint Germain des Pres. Pamiętasz to, Poppy?

- Tak - powiedziała. - Oczywiście, że pamiętam. - Serce biło jej w zawrotnym tempie.

- Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że ta absurda kamea powinna mi podpowiedzieć, że pewnego dnia będziemy rozmawiać o wydrach rzecznych. Byłem tak zaślepiiony miłością, że nie potrafiłem jasno myśleć.

- To pora roku tak na nas działała - rzekła z przekonaniem. - Tak się zdarza w Boże Narodzenie.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Pora roku nie ma tu nic do rzeczy. Nie dla mnie.

Nie umiała znaleźć odpowiedzi. Udała więc, że nie słyszała jego słów. Patrzył na nią poważnym wzrokiem, ze zmarszczonymi brwiami.

Nie chciała, żeby czuł się samotny w święta.

- Poproszę Jemmę - odezwała się po chwili.

- Słucham?

- Poproszę Jemmę, żeby wysłała ci zaproszenie.

Jego uśmiech sprawił, że poczuła się nieswojo. Postanowiła schronić się w sypialni.

33

Następnego dnia

Ashmolean Museum było piekielnie nudnym miejscem pełnym wypchanych myszy. Poppy wpadła w uniesienie na widok nieszczęsnej latającej wiewiórki, lecz zdaniem Fletcha wyglądała ona żałośnie, przyszpilona do ściany, z rozpostartymi łapkami.

- Spójrz na nią - pokazał. - Prosi o darowanie życia. Błaga. Wypuście mnie!

Poppy nie zwracała na niego uwagi.

- Popatrz na piąty palec. Jest zagięty do tyłu, prawie jak kciuk. Czy to nie ciekawe?

Fletch obawiał się, że mała wiewiórka zacznie go nawiedzać w snach.

- Podobno lata między drzewami, chociaż nie wierzę, żeby naprawdę to umiała bez skrzydeł - rzekł z niesmakiem. - Nie przybita do deski. Tutaj śmierdzi.

- Taksidermia nie jest doskonałą nauką - rzekła Poppy, choć jej najwyraźniej zapach nie przeszkadzał.

Oczywiście kustosz Ashmolean był tak zauroczony jej błękitnymi oczami, że zaczął otwierać wszystkie gabloty, nawet te opatrzone tabliczką „Nie do ekspozycji”. Potem zaś zniknął na chwilę w piwnicy i wrócił z zakurzonymi pudłami, pełnymi obrzydliwych przedmiotów.

- Zmniejszona głowa?

- Nie ma potrzeby pisać - rzekła Poppy, pochylając się nad niewielkim paskudztwem z takim nabożeństwem, jakby było odlane ze złota.

Kustosz obrzucił go pogardliwym spojrzeniem, więc Fletch wycofał się do drzwi, gdzie smród był mniej uciążliwy. Wyjął raport Linchberry'ego. Był niedobry, wręcz pokrętny i zajmował się przede wszystkim francuskimi produktami, a nie angielskimi farmerami.

Przeczytał go jeszcze raz, po czym poprosił kustosza o kałamarz i pióro. Ten ledwie zwrócił uwagę na prośbę Fletcha, tak był zachwycony Poppy. Fletch podwinął rękawy i zabrał się do pisania. Cała sztuka polegała na zachowaniu prostoty, jak sugerowała Poppy.

Bywając przez ostatnie miesiące regularnie w Izbie Lordów i słuchając uważnie wszystkich wystąpień, zwrócił uwagę, że ani jeden z przemawiających nie mówił wprost. Wszystko było wyrażane tak kwiecistym i zagmatwanym językiem, że trudno było dostrzec las spoza drzew. Do diabła, postąpił dokładnie tak samo, kiedy postanowił wygłosić własną mowę - co najprawdopodobniej wyjaśnia, dlaczego nikt nie miał pojęcia, o czym właściwie mówił. Jeśli zostanie zawarty traktat z Francją, to należy uwzględnić wpływ, jaki będzie miał na angielskich rolników. Nie na arystokratów i ich zamiłowanie do francuskiej brandy i jedwabiu - tu zerknął czule na ozdobny mankiet surduta - lecz właśnie na rolników. Ludzi takich jak Higgle, który uprawiał część ziemi należącej do Fletchera. Higgle rozpaczliwie starał się wiązać koniec z końcem, co przychodziło mu z ogromnym trudem przy ósemce dzieci i obecnych cenach chleba.

Fletch się zastanawiał, zaczął akapit, wyrzucił go do kosza.

Książę de Beaumont udzielił mu kiedyś pewnej rady. Jeśli naprawdę chce pokonać oponenta, to kluczem do tego jest przygotowanie historii, która przykuje uwagę wszystkich. Jej bohaterem będzie Higgle.

Zaczął jeszcze raz, lecz zmiął kartkę, gdy zbliżał się już do końca.

Znowu zabrał się do pisania, tym razem tylko o Higgle'u. O tym jak pracuje od świtu do zmierzchu, uprawiając ziemię. O tym, że kazał wszystkim swoim dzieciom pracować razem z nim na polu, dopóki Fletch nie rozkazał mu przestać i nie wysłał ich do wiejskiej szkoły. O tym, że dostawał mniej niż pensa za dziesięć funtów pszenicy, ale za bochenek chleba musiał zapłacić siedem pensów.

Kiedy w wejściu do muzeum wydłużyły się cienie, miał pięć stron przyzwoitego tekstu. A co więcej, wiedział, że może przemawiać, nie czytając z kartki, choć czuł się pewniej, mając wystąpienie spisane. Było proste, klarowne i - na Boga! - przejmujące.

Właśnie wtedy zza rogu wyszła Poppy. Zerwał się na równe nogi. Jego żona wyglądała, jakby właśnie stoczyła walkę. Różową sukienkę *polonaise* pokrywały brązowe smugi, koronkowa lamówka była rozdarta.

- Wielkie nieba, co się stało? - Jego głos odbił się echem w marmurowym holu.

Zamrugła, zaskoczona i natychmiast zorientował się, że nic jej nie jest. Loki opadały z jej wymyślnej fryzury. Fletch nigdy nie widział Poppy tak rozczochranej. Nawet kiedy się kochali, trzymała głowę nieruchomo, żeby nie zepsuć uczesania.

Najwyraźniej muzea stanowiły wyjątek od tej reguły.

- Pan Munson pozwolił mi obejrzeć kolekcję, którą kapitan Cook przysłał ze swojej drugiej podróży. Nawet zbiory w piwnicy, które jeszcze nie zostały skatalogowane.

- Więcej latających wiewiórek? - Fletch próbował zetrzeć czarną smugę z ramienia Poppy.

- Jest tam zwierzę dwukrotnie większe od dużego szczura - opowiadała.

Kiedy Poppy nie widziała, podał panu Munsonowi sakiewkę. Nigdy nie widział jej tak podekscytowanej, a jej podniecenie miało piorunujący wpływ na jego ciało. Omal nie pękły mu spodnie. Na szczęście Poppy nigdy nie zwracała na ten szczegół anatomii najmniejszej uwagi. Włosy miała zburzone i płonące oczy. Jej policzki były zaróżowione. Miały ten sam ciepły kolor, który sprawiał, że chciał je całować i może ugryźć ją w ucho... Zdał sobie sprawę, że Poppy mu się przygląda.

- Wszystko z tobą w porządku, Fletch?

- Twoja służąca dostanie apopleksji, kiedy cię zobaczy. Myślałem właśnie o tym.

- Dziwne jest to - mówiła Poppy, zupełnie nie zwracając uwagi na jego słowa - że to zwierzę nosi młode w kieszeni.

- Co takiego?

- Nazywa się opos, chociaż kapitan Cook podobno doszedł do wniosku, że należy do rodziny psów.

- O! - zauważył inteligentnie Fletch.

- Nie zgadzam się z tym - rzekła Poppy. - Natychmiast napiszę do doktora Loudana i zawiadomię go o tym. Mimo iż z wyglądu przypomina psa, kieszeń wskazuje, że należy do zupełnie innego gatunku. Rozumiesz, o co mi chodzi, Fletch?

- Oczywiście - zapewnił, pomagając jej wsiąść do powozu.

- Pod Psem i Kuropatwą - zwrócił się do woźnicy, Jamesa. - Nazwa gospody dziwnie pasowała do tematu rozmowy z Poppy.

Kiedy znaleźli się w powozie, Poppy wciąż mówiła o dziwnym zwierzęciu. Prawdę mówiąc, nie zamilkła ani na chwilę.

- Kustosz powiedział, że według kapitana Cooka opos żywi się owocami. Nakarmił go pomarańczą. Żaden pies nie zjadłby pomarańczy.

- Zdecydowanie nie - potwierdził Fletch.

Kiedy dotarli do Pod Psem i Kuropatwą, zmierzchało. Powietrze było chłodne i wilgotne, jakby miał zacząć padać śnieg. Poppy chyba wciąż nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wygląda, więc Fletch wziął ją pod ramię, jakby brudna i podarta suknia nie była czymś niezwykłym.

Sądząc z hałaśliwych odgłosów, dochodzących ze wspólnej sali - nie wspominając o jakimś człowieku śpiącym na końcu korytarza - gospoda Pod Psem i Kuropatwą była oblężona przez klientów. Właściciel wyszedł im na spotkanie, uśmiechając się

w ów szczególny sposób - jak karczmarz, który ma zbyt wielu gości.

- Jaśnie panie - rzekł, kłaniając się nerwowo - nie jestem pewien czy uda nam się was pomieścić...

- Zarezerwowaliśmy pokoje - powiedział Fletch. - Mój człowiek powinien tu być dawno temu. Jestem księżę Fletcher.

- Obawiam się, że służący jeszcze nie przybył - tłumaczył się gospodarz. - Jest u mnie Andrew Whiston, Wasza Wysokość, który wzbudza wielkie zainteresowanie, jak może pan zobaczyć.

Nawet nie drgnął, kiedy jakiś zapijaczony jegomość wytoczył się przez drzwi i uderzył w ścianę.

- Jeszcze nie przybył - powtórzył z namysłem Fletch. - Jak to możliwe? Drugi powóz opuścił Chalgrove równocześnie z nami, wcześniej rano.

- Myślisz, że mieli wypadek? - spytała Poppy, marszcząc brwi.

- To możliwe - odparł właściciel gospody. Pstryknął palcami i dwóch posługaczy zerwało się na nogi. - Poszukajcie ludzi Jego Wysokości. Sprawdźcie drogę z Chalgrove.

Odwrócił się do Fletcha.

- Może być, że utknęli w błocie. Niestety w najbliższej okolicy nie ma innej gospody. Ale zrobię, co w mojej mocy, żeby wasze wysokoście pomieścić.

- Naturalnie wynagrodzę każdego, kto będzie musiał cierpieć niewygodę z naszego powodu.

Jakiś gość wybiegł na zewnątrz i zaczął wymiotować tuż przed drzwiami. Poppy się wzdrygnęła.

- Kto to jest Andrew Whiston? - spytała.

- Król żebraków - wyjaśnił gospodarz. - Ma ledwie dwadzieścia osiem cali wzrostu i sam w sobie stanowi osobliwość. Raz do roku przybywa z Londynu i śpiewa nam parę piosenek.

- To pijak, tyle że bardzo niskiego wzrostu - dodał Fletch. - Kiedy jest w Londynie, każdą noc spędza, żłopiąc wino u Surra.

- Rzeczywiście uwielbia trunki - rzekł gospodarz, odwracając się - a młodzieńcy lubią mu stawiać, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Zrobię wszystko, żeby

państwu było wygodnie. Mogę zaproponować dobry pokój, ale muszę znaleźć prywatną jadalnię.

- Potrzebujemy dwóch pokoi - zaświergotała Poppy - i oczywiście miejsca dla mojej pokojówki.

Wyraz paniki przemknął przez twarz właściciela gospody.

- Już nie mam wolnych pokoi, Wasza Wysokość. Mogę umieścić dwóch moich gości razem, ale obawiam się, że nie mogę ich zupełnie wyrzucić.

Fletch ujął żonę za ramię.

- Nie zamierzamy nikogo wyrzucać na chłód, prawda, Poppy?

Spojrzała na niego i powiedziała:

- Oczywiście, że zamierzamy. Jeżeli zapłacisz im podwójnie, Fletch, zapewne będą nam wdzięczni.

Zawsze wiedział, że kobiety są tą bardziej okrutną płcią. Ale w jej głosie zabrzmiał ton niepokoju, który go zainteresował.

- Jesteś nieuprzejma. Ja nie wyrzucam ludzi na ulicę. Wkrótce zacznie padać śnieg. To nie byłoby w porządku.

Zacisnęła usta, lecz już się odwrócił.

- Jej Wysokość uprzejmie zgodziła się na niewygody - oznajmił właścicielowi, który ukłonił się tak nisko, że nosem niemal dotknął kolan.

- Przygotuję prywatny salon - zapewniał, prowadząc ich na schody - I najlepsze posiłki, jakie kiedykolwiek podano w Oksfordzie. Proszę dać mi godzinę na urządzenie wszystkiego, a będą państwo całkowicie zadowoleni. Zapewniam.

- Możesz spać w salonie - mruknęła Poppy, wchodząc po wąskich, ciemnych schodach.

- Z całą pewnością nie - odparł Fletch. - Jestem cały zakurzony, a ty wyglądasz jeszcze gorzej. Oboje musimy się wykapać, zjeść kolację i iść spać. Pamiętaj, Poppy, wyrzuciłem z moich myśli sprawy łóżkowe. Zawsze dotrzymuję słowa.

Przytaknęła. A żeby w to uwierzyła, Fletch był gotów dostarczyć jej całą armię latających wiewiórek. Z jakiegoś powodu znowu płonął pożądaniem. Było zupełnie tak samo jak wtedy, gdy się spotkali po raz pierwszy.

Wziął żonę pod rękę, ale jedyne, czego pragnął, to przycisnąć ją do ściany i całować tak mocno, żeby nogi się pod nią ugięły. Zapewne dlatego, że jej włosy i strój były w nieładzie. Jemu nigdy nie udało się doprowadzić jej do takiego stanu. Nawet nago, zawsze wyglądała, jakby miała na sobie niewidzialny gorset.

Sypialnia była przestronna i miała pochyły sufit, który schodził nisko nad łożo.

- To nasz najlepszy pokój - rzekł nerwowo właściciel gospody. - Jest bardzo miły, Wasza Wysokość.

Pościel była śnieżnobiała, a sam pokój wyglądał na czysty. Na tym i na drinku Fletchowi zależało najbardziej.

- Oboje będziemy potrzebować gorącej kąpieli - oznajmił. - Tymczasem przynieś mi, proszę, brandy. I szklankę wina dla jej wysokości.

- Wino? - spytała Poppy, spoglądając znad notatek, które robili w muzeum.

- Wino - rzekł stanowczo. - I kąpiel.

Gospodarz wyszedł, a wtedy Poppy popatrzyła na niego uważnie.

- Czy nie byłoby lepiej, gdybyś wyszedł? Oczywiście, jeśli pozwolisz, żebym pierwsza wzięła kąpiel.

Fletchowi właśnie udało się zdjąć buty. W odpowiedzi podszedł do łóżka i padł na nie niczym drzewo ścięte w lesie.

- Żartujesz - rzekł spod puchowych poduch piętrzących się wokół jego głowy. - Jestem wykończony, Poppy. Dwa dni spędziliśmy w powozie, nie licząc siedmiu godzin w cholernym muzeum. W ustach mam pełno kurzu, a on ma paskudny smak.

Poppy podeszła do szyby. Kiedy zobaczyła swoje odbicie, jęknęła i bezskutecznie próbowała poprawić fryzurę.

- To na nic - powiedział Fletch, gdy w końcu udało mu się odsunąć poduszki i usiąść. - Wyglądasz strasznie.

- Nigdy wcześniej nie mówiłeś mi takich rzeczy - oburzyła się, patrząc na niego z nachmurzoną miną. Jej wysiłki przyniosły efekt odwrotny do zamierzonego. Teraz spomiędzy jej włosów sterczał kawałek czarnego futra.

Wtedy byliśmy porządnym małżeństwem. Teraz wszystko jest inaczej. Zupełnie jakbyśmy byli małżeństwem od czterdziestu lat. Nie chodzimy ze sobą do łóżka, możemy sobie nawzajem mówić prawdę i nie martwić się, że zranimy swoje uczucia. Odwróciła się do lusterka i znowu zaczęła dłubać we włosach.

- Teraz wszędzie wystaje czarne - poinformował ją chwilę później.

Krzyknęła z rozpaczą.

- Nie możesz tego po prostu wyczesać?

- Oczywiście, że nie. Jestem pewna, że sam nigdy się nie czesałeś.

- Ależ tak. Nie znoszę, kiedy ktoś mnie dotyka - wyjaśnił. – Zawsze sam się ubieram, może z niewielką pomocą przy butach.

- Cóż, kobiety nie mogą robić takich rzeczy - stwierdziła stanowczo. - Sama nie potrafię nawet umocować rogowki.

- Nie wiem, czy zauważyłaś, ale nie ma tu twojej pokojówki. Nie możesz się sama rozebrać? - spytał, dziękując Bogu, że kołdra ukrywa wybrzuszenie w jego spodniach.

- Naturalnie - odparła z przekonaniem.

- Więc dlaczego tego nie zrobisz? - Fletch świetnie się bawił. - Ten pokój - dodał poważnym tonem - jest za mały, żeby pomieścić koszyki, które nosisz na biodrach. A szczerze mówiąc, nie wydaje mi , żeby właściciel gospody był zadowolony z tego, że zostawiasz to lepkie coś na wszystkim, czego dotkniesz.

- Lepkie coś? - Obejrzała się przez ramię i znowu krzyknęła. Bóg jeden wie, skąd pochodziła owa materia, prawdopodobnie gdzieś z muzealnych piwnic.

- Jeśli pozbędziesz się tego rusztowania, suknia ci oklapnie - rzekł z uśmiechem. Sam zdążył zdjąć płaszcz i kamizelkę oraz rozpiąć mankiety.

Obrzuciła go wzrokiem i poleciła:

- Nie patrz.

Odchylił się do tyłu i zamknął oczy.

- Odsunąłem to wszystko od siebie, pamiętasz? A poza tym, nigdy nie fantazjowałem o kobietach pokrytych kurzem.

Obserwował ją spod opuszczonych rzęs, ponieważ - szczerze mówiąc - w swoich pierwszych fantazjach widział właśnie takie kobiety.

Poppy miała na sobie ogromne spódnice. Podciągała je i gubiła się w ich fałdach. W końcu udało jej się uchwycić wszystkie warstwy.

Fletch musiał wziąć głęboki oddech, kiedy podwinęła spódnicę. Miała najpiękniejsze kostki, jakie kiedykolwiek widział. Nie mógł jednak zerknąć powyżej kolan, gdyż widok zasłaniała drucziana konstrukcja, zamykająca jej sylwetkę.

Widać było, że czuła się niczym ślepy opos w nocy by użyć jednej z jej przyrodniczych metafor. Nigdy nie uda jej się rozwiązać tego urządzenia.

- Może ci pomóc? - spytał w końcu.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Uśmiechał się szeroko.

- Masz otwarte oczy! - zawołała oskarżycielsko.

Zsunął nogi z łóżka, a ona błyskawicznie opuściła spódnicę.

- Nie poradzisz sobie z całym tym ubraniem, Poppy. Widziałem cię naga, pamiętasz? Co za różnica?

Mruczała coś o prywatności.

- Zdejmowałeś ubranie i kładłeś się na łóżku zupełnie nago - przypomniał, podnosząc jej spódnicę. - Czego się boisz? Jesteśmy starym małżeństwem, pamiętasz? Pewnie zacznę niedługo przy tobie puszczać wiatry po każdym posiłku.

- Nie ośmieliłbyś się!

- Ależ tak, a gdyby to była uroczysta kolacja, rzuciłbym winę na ciebie - powiedział Fletch, zmagając się z taśmami podtrzymującymi paniery. - Chwyciłbym cię za łokieć i powiedział bardzo głośno: „Nie martw się, moja droga. Powiem, że to ja”.

- Chybabym cię zabiła - obiecała Poppy z zaciętą miną.

- Jak byś to zrobiła? - Podeszedł do niej z drugiej strony, aby rozwiązać kolejną taśmę. Musiał ją zagadywać, inaczej mogłaby zauważyć, jak drżą mu palce. To śmieszne, że pożądał jej aż tak bardzo teraz, gdy była ubrana, podczas gdy rok wcześniej mógł ją mieć, kiedy tylko zechciał, i nie wykorzystywał tego.

- Dałabym ci środek na przeczyszczenie.

Uśmiechała się do niego ze złowieszczym błyskiem w oku. Zamiast rozwiązać, udało mu się zacisnąć węzeł jeszcze mocniej.

- Dałabym ci środek na przeczyszczenie - kontynuowała z lubością - i wywierciłabym dziurę w twoim nocniku.

- Obrzydliwa jędra. Mówiłaś, że jak twoja pokojówka zdejmuje to z ciebie?

Rzuciła okiem przez ramię.

- Rozwiązuje, to jasne. Z drugiej strony powinno się zdjąć dość łatwo.

- No cóż, tutaj się zablokowało.

Przyszło mu do głowy, żeby ją poprosić, by oparła się o krzesło i pochyliła. Łatwiej dosięgnąłby węzła. W porę ugryzł się w język. Gdyby to zrobiła, najprawdopodobniej straciłby panowanie nad sobą i rzucił się na nią. Dlatego przerzucił sobie spódnice przez lewe ramię i próbował rozsypać troczki.

- Ten pomysł z nocnikiem jest doprawdy odrażający - rzekł, starając się nie patrzeć na uroczą krzywiznę jej pośladków, wyraźnie widoczną przez cieniutką koszulę.

- Moja matka... - zaczęła i urwała nagle.

- Trudno mi sobie wyobrazić twoją matkę przypuszczającą atak na nocnik.

- Mogłaby cię zaskoczyć.

Drugi panier opadł na podłogę wśród kłębowiska drutów. Kopnął go, odsuwając z drogi, co wywołało cichy okrzyk przerażenia Poppy.

- Uwważaj! To delikatne.

- Twoje własne biodra podobają mi się o wiele bardziej - rzekł, wracając do łóżka i kładąc się jak najszybciej, żeby nie zwróciła uwagi na przód jego spodni.

- Jestem zaskoczona, że właśnie ty to mówisz. W końcu paniery są modne i jako takie muszą stanowić obiekt zainteresowania księcia Fletchera.

- Posunąłem się nieco za daleko w pogoni za modą - wyznał, opierając się o ścianę. - Próbowałem w ten sposób zwrócić na siebie twoją uwagę.

Odwróciła się od okna z ustami otwartymi ze zdumienia.

- Słucham?

- Chciałem, żebyś zwróciła na mnie uwagę. Teraz, gdy przyjąłem do wiadomości, że nigdy nie będziesz mnie pożądać, przestałem się tak usilnie starać.

Poppy jednak, zamiast być zadowolona, wyglądała, jakby się miała za chwilę rozpłakać.

- To takie smutne, Fletch.

- Minęło - powiedział. - Już nie jest problemem.

Odwróciła się do lustra i wznowiła zmagania z fryzurą, lecz niezależnie od tego, co robiła, tylko pogarszała sytuację.

- Jak sądzisz, czy jest szansa, że to czarne coś to smoła? - spytał po chwili. - Bo wygląda, jakby rozsmarowywało się po twoich włosach.

- Smoła? Co to jest smoła?

- Czarna, lepka substancja, która nie daje się usunąć - wyjaśnił, podnosząc się znowu z łóżka.

Zaczęła dzień z oszalamiającą fryzurą, ozdobioną jednym długim piórem, trzema krótszymi i pękiem wstążek z tyłu. Do tego ogromna liczba spływających loków, poskręcana część u góry i co najmniej jedno pełne pudełko pudru do włosów.

Teraz pióra były powyginane, a włosy... Dotknął palcem czarnej substancji i przyłożył do nosa.

- Zdecydowanie smoła - orzekł.

- Możesz to wyczesać? - poprosiła. Starła się spojrzeć przez ramię w lustro. - Widzę tam coś czarnego, ale...

- Na początek musimy wydobyć z twoich włosów wszystkie te pióra i kokardy.

Zamilkła na chwilę.

- Czy sądzisz, że Luce wkrótce się odnajdzie?

- Nie wątpię, że umiesz sobie sama poradzić z włosami.

- Z mężczyznami jest inaczej niż z kobietami! - warknęła i odwróciła się do niego, podparta pod boki. Wyglądała tak słodko, że niemal stracił głowę i ją pocałował. - Mężczyźnie wystarczy, że użyje odrobiny pudru...

- Nie ja.

- I zwiąże z tyłu włosy.

- To umiałabym zrobić.

- Więc dlaczego czasami tego nie zrobisz? Roześmiała się.

- Wyjść z domu z włosami związanymi jak pięcioletnia dziewczynka?

- Ale mogłabyś się tak czesać w domu.

- To nie uchodzi.

- Ja bym się tym nie przejmował na twoim miejscu. Ta fryzura wygląda ciężko i dziwnie pachnie.

- Moje włosy nie śmierdzą!

- Nie mówię, że śmierdzą. Po prostu jest w nich tyle lawendowego pudru, że zupełnie nie czuję twojego zapachu.

- Ja nie mam żadnego zapachu - powiedziała, unosząc dumnie brodę i spiorunowała go wzrokiem.

- A ja mam - rzekł, wachając swoją pachę. - Zastanawiam się, kiedy przygotują kąpiel.

- Jesteś odrażający!

- Nie jestem - zaprotestował. - Nawet lubię zapach mojego potu. Twojego też.

Pukanie do drzwi zapowiedziało pojawienie się właściciela gospody niosącego niewielką cynową balię. Za nim weszło trzech ludzi z cebrzykami gorącej wody. Postawił balię pod oknem i zwrócił się do Fletcha.

- Znaleźliśmy państwa służących.

- Och, cudownie! - wykrzyknęła Poppy. - Czy moja pokojówka jest w drodze?

- Niestety, powóz przewrócił się do rowu. O ile mi wiadomo, ci, którzy byli na zewnątrz, wyszli cało. Lecz służący i pokojówka jechali w środku. Kamerdyner stracił przytomność i ocknął się dopiero przed godziną, a pokojówka ma złamaną rękę.

- O nie! Biedna Luce! - zawołała Poppy. - Muszę się z nią zobaczyć!

- Już się nią zajęto Pod Lisem i Kolibrem, Wasza Wysokość. Mój człowiek powiedział, że dostała coś na złagodzenie bólu i śpi słodko jak niemowlę.

- Czy mój kamerdyner też tam jest? - przerwał mu Fletch.

- Oboje są bezpieczni jak pluskwy w łóżku - odparł gospodarz. - Zastanawiałem się nad kłopotliwym położeniem księżnej i pomyślałem, że nasza Elsie z kuchni mogłaby pomóc Jej Wysokości w kobiecych sprawach. - Usunął się na bok, wpuszczając potężną dziewczynę o rękach bardziej owłosionych niż Fletch. Uśmiechnęła się szeroko, pokazując ostatnie trzy zęby, jakie jej zostały.

Fletch zerknął na Poppy i powiedział:

- Dzisiejszej nocy moja żona i ja postanowiliśmy zakosztować wiejskich przyjemności i obyć się bez osobistej służby. Nie przejmuj się tym. Nie chciałbym odrywać Elsie od jej zajęć w kuchni.

Poppy już otwierała usta, lecz Fletch wypchnął gospodarza i jego ludzi z pokoju, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

34

Charlotte wyjęła Biblię i usiadła, starając się nie dać po sobie poznać, że zastanawia się, czy Villiers wygląda na bliższego śmierci niż wtedy, gdy go widziała ostatnim razem. Sama myśl o tym sprawiła, że serce zaczęło jej szybciej bić, co było głupie, ponieważ ledwie знаła tego człowieka. Widziała go tylko cztery razy.

- Ani trochę się nie zmieniłem - rzekł niewinnie. - Wciąż tak samo szkodliwy, odporny na chrześcijańską naukę i ogólnie złośliwy.

- Po raz kolejny przyniosłam Biblię - powiedziała świętoszkowato. - Jestem pewna, że będzie to dla pana wielką pociechą.

- Czy przeczyta mi pani fragment o Dawidzie obserwującym Betszebę? Zawsze bardzo go lubiłem, kiedy byłem chłopcem.

- Absolutnie nie. Przeczytam panu ustęp z Łukasza. - I zaczęła czytać starą, miłą opowieść o narodzinach Chrystusa.

Zaskoczył ją i nie odezwał się ani słowem, kiedy zaczęła:

- „Za czasów Heroda, króla Judei...”

W pewnym momencie służący przyniósł szklankę wody i Villiers uniósł ją do ust.

- Historia Bożego Narodzenia - powiedział kąśliwie jak zawsze. - Czy sądzi pani, że powinienem słuchać o cudach?

- To nie wyrządzi panu krzywdy. Zbliżają się święta.

- Zawsze lubiłem święta - rzekł, podając szklankę służącemu, który napełnił ją i bezszelestnie opuścił pokój. - Życzenia, wie pani.

- Jakie pan ma życzenie?

- Chciałbym latać. Zawsze tego pragnąłem. Ale przyjąłbym też dar rozmawiania ze zwierzętami. A pani?

- Nigdy nie byliśmy zachęcane do wymyślania życzeń, w każdym razie nie w czasie świąt. Ale mam bardzo miłe świąteczne wspomnienia.

- Wydaje się dziś pani nieco sztywna.

- Zawsze taka jestem. Czy chce pan, żebym czytała dalej, Wasza Wysokość?

- Proszę, nie zwracaj się tak do mnie.

- „Chłopiec zaś rósł i wzmacniał się duchem - czytała dalej - a żył na pustkowiu aż do dnia ukazania się przed Izraelem”.

Ale nie myślała o słowach, które padały z jej ust, lecz o tym, jak napięta jest skóra na kościach policzkowych Villiersa. Umierał. Wiedziała to w głębi ducha. Po co więc zachowywać się wobec niego tak pruderyjnie, skoro zdawała sobie sprawę, że sprawia mu tym przykrość?

Odłożyła książkę. Po chwili Villiers otworzył oczy - miał naprawdę długie rzęsy - i powiedział:

- Proszę czytać dalej.

- Sądziłam, że ma pan dość słuchania.

- Chciałbym wiedzieć, jak ta historia się kończy. - Roześmiał się, widząc wyraz jej twarzy.

- Powinien pan wypić resztę wody.

Podniósł szklankę, ona zaś rozpaczliwie próbowała wymyślić coś, co mogłaby powiedzieć, żeby owa iskierka znowu pojawiła się w jego oczach.

- Dlaczego chciał pan latać?

- A kto by nie chciał? Mieć skrzydła na plecach i całe niebo dla siebie... Unosić się na wietrze niczym sokoły, przysiądać na drzewach, żeby porozmawiać z przyjaciółmi. Jestem przekonany, że konwersacje, które odbywają się na gałęziach drzew, są o wiele bardziej interesujące niż te w londyńskich domach.

- To urocze!

- Musi pani sobie czegoś życzyć - powiedział. - Nie ma na świecie prawdziwego Anglika, który nie chciałby znaleźć fasolki w swoim kawałku ciasta i zostać fasolowym królem. Albo który nie pragnąłby, żeby jego okropna młodsza siostra

straciła swoje ulubione kwiaty lub oparzyła sobie palec o płonąca rodzynekę.

Charlotte próbowała wymyślić jakąś niezobowiązującą odpowiedź lecz w końcu wyznała prawdę:

- Nie miałam poważniejszych życzeń, dopóki nie skończyłam szesnastu lat.

Spojrzał na nią przeciągle.

- Zakochała się pani?

- Nie. Po prostu chciałam, żeby jakiś mężczyzna zakochał się we mnie. Byłam pewna, że będę potrafiła obdarzyć uczuciem każdego, kto by się pojawił.

- Biedna Charlotte - rzekł. W jego głosie brzmiało znacznie mniej znudzenia. Miała rację, powinien zacząć myśleć o kimś innym niż on sam. - Czy jakiś mężczyzna zakochał się w pani?

- Raz wydawało mi się, że tak. Lord Barnabę Reeve.

- Więc to Reeve był owym Barnabe'em, który sprowadził panią do mnie? Nie wiedziałem, jak ma na imię.

- Kiedyś tańczyliśmy ze sobą całą noc - wspominała. - Sądziłam... Ale kilka dni później wyjechał z Londynu i oszalał. Tak przynajmniej mówią.

- Nie chciałbym niszczyć pani słodkich wspomnień o pierwszej miłości, ale moim zdaniem lepiej nie mieć żadnego męża niż takiego, który jest niespełna rozumu. I znam wielu ludzi, którzy przyznaliby mi rację.

Jego ręce wciąż spoczywały na kołdrze, nienaturalnie nieruchome.

Ich widok skłonił ją do mówienia.

- Niewątpliwie ma pan rację. Po jakimś czasie przestałam tęsknić za tym, by ktoś mnie pokochał. Pragnęłam tylko spotkać kogoś na tyle ślepego, by pomylił mnie z kimś, w kim mógłby się zakochać.

Uśmiechnął się blado.

- Nie jest pani dobrym lekarstwem. Zwłaszcza kiedy się pani wścieka i warczy na mnie. Domyślam się, że właśnie to widzi w pani Elijah.

- Elijah?

- Książę de Beaumont. Sądzę, że mógłbym się z panią ożenić.

Spojrzała na niego z przerażeniem.

- Pan... - zawahała się. Umierał, ale jak mu to powiedzieć?

- Umieram? Umieram, umieram. Tak się to mówi w moich sferach - rzekł beztrąsko.

- Być półżywym to równie nieprzyjemne jak być na pół obłąkanym, jak Reeve. W żadnym z tych stanów człowiek nie jest dobrym towarzyszem dla przyjaciół ani małżonkiem dla kobiety.

- Wcale nie chce mnie pan poślubić - odezwała się Charlotte, dochodząc do siebie. - Poza tym jest pan dla mnie zbyt wielką postacią. Nie ośmieliłabym się myśleć o panu.

- Myślałem, że kobiety lubią wychodzić za mężczyzn z wyższych. To ma tak dobry wpływ na potomstwo.

- Jak pan sam zauważył, nie mam dzieci - zwróciła uwagę Charlotte. - Dlaczego miałabym się martwić o ich przyszłe tytuły?

- Może to będzie dla pani szokujące, ale ostatniej nocy zastanawiałem się, czy nie powinienem zadbać o spłodzenie kilkorga dzieci, po czym sobie przypomniałem, że już mam potomstwo.

- Ma pan?

- Z nieprawego łóżka - wyjaśnił. - To się czasami zdarza.

- Mnie nie - zauważyła zgryźliwie.

- Kobietom ogólnie lepiej wychodzi panowanie nad tym, ile mają dzieci.

Wyglądał, jakby wracała mu gorączka, więc powiedziała:

- Chyba lepiej będzie wrócić do Biblii, chociaż dla pańskiej duszy jest już chyba za późno.

- Sądzi pani, że mógłbym odkupić swoją duszę, gdybym znalazł dla pani męża?

- Zrobiłby pan lepiej, troszcząc się o los swoich biednych dzieci - odpadła. - Ile ich pan ma? - usłyszała zabarwioną grozą fascynację w swoim głosie.

- Nie tak wiele, żeby stworzyć chór - odpowiedział - ale też zbyt dużo na występ solo. Swoją drogą, czy umie pani śpiewać?

- Nie.

- Znam bardzo miłego młodzieńca, który potrzebuje żony, lecz on niestety kocha śpiew.

- Nie znam się za dobrze na takich sprawach.

- A co z końmi?

- Istnieją.

- Nie zabrzmiało to entuzjastycznie. Ale lubi pani mówić. Oboje o tym wiemy.

I ma pani dobre pomysły na przemówienia Beaumonta... Co pani sądzi o dobrze zapowiadającym się młodym polityku? Jest ich mnóstwo.

- Szukają panny z dużym posagiem - powiedziała trzeźwo.

- Mogłaby pani mieć posag.

- Przypadkiem nie mam.

- Mogę go pani dać. - Otworzył szeroko oczy i spojrzał na nią. Były ciemne i inteligentne.

- Dlaczego miałby pan to zrobić?

- Lubię panią. A umierający mają swoje słabostki, popełniają głupstwa...

- Dziękuję panu. - Po czym dodała z nutą smutku: - To byłoby niesmaczne kupować sobie męża, nie sądzi pan? Nawet dzięki hojności księcia.

- Ach, on by o tym nie wiedział. Wystarczy lepsza sukienka i odrobina koloru tu i ówdzie na policzkach. No i pani włosy. - Spojrzał na nią. - Wyglądają gorzej, niż to zapamiętałem.

Nie powiedziała mu, że sama ułożyła rano fryzurę drżącymi dłońmi, obawiając się, że może być martwy lub bliski śmierci, po czym wypadła z domu, nie słuchając wołającej za nią May.

- I tak wciąż będę sobą.

- Nie, jeśli panią odmienię. Ale nie sądzę, żeby polityk był dobrym rozwiązaniem. Byłby zbyt zaborczy i twardy. Ma pani rację, nie można wykluczyć, że taki człowiek poślubiłby panią dla pieniędzy i wpływów politycznych. Wszyscy mają te same odrażające skłonności. Widziałbym dla pani raczej intelektualistę.

- Kogo?

- Filozofa. Reeve był myślicielem. Pamiętam, jak z obłędem w oczach rozprawiał o różnych rzeczach. Nigdy nie był nudny.

- Nie - przyznała mu rację Charlotte.

- Już prawie święta?

- Jutro jest dzień Świętego Mikołaja.

- Wielkie nieba. - Westchnął. - Wydaje się, jakbym wczoraj stawał do tego przeklętego pojedynku, a tymczasem... niemożliwe, żeby minęły całe miesiące.

- Minęły.

- Chyba tego nie przeżyję, prawda?

- Jest pan zbyt niemiły, żeby umrzeć - powiedziała ostro. - Jeśli nie będzie pan wystarczająco ostrożny, poślubię pana, kiedy będzie pan w gorączce, i zabiorę wszystkie pieniądze.

Już nie wyglądał tak posępnie i roześmiał się nawet, choć natychmiast syknął z bólu.

- Co, do diabła, zrobiłaby pani z pieniędzmi? Kupiła sobie ubrania?

- Dałabym pańskim dzieciom - odparła.

- One dostaną pieniądze. Nie ojca, ale pieniądze. Ponieważ nie umiem być ojcem, lepiej poradzą sobie beze mnie.

- Bzdury! Jest pan ojcem. Tyle że złym.

- Będę musiał znaleźć pani głuchego męża - orzekł, przymykając oczy. - Ale żądam, żeby odwiedzała mnie pani, dopóki nie umrę.

- Dlaczego miałabym narażać swoją reputację dla pańskich wątpliwych talentów swata?

- Jest coś, czego pani o mnie nie wie. Udaje mi się wszystko, do czego przyłożę rękę. Znajdę pani idealnego kandydata. Chciałbym zobaczyć, jak go pani odrzuca.

- Jeśli go zaakceptuję, w zamian będzie pan musiał coś dla mnie zrobić.

- Co takiego? W zamian za znalezienie czegoś, czego pragnie pani serce, oczekuje pani przysługi?

- Utrzymam pana przy życiu dostatecznie długo, by zdążył mi ją pan wyświadczyć

- zauważyła. - Inaczej będzie pan musiał umrzeć tylko dlatego, że tak powiedział doktor. Nie sędzę, żeby ktokolwiek w Londynie zdawał sobie sprawę, jak bardzo jest pan potulny.

- Jest pani wiedźmą! Co to za przysługa?

- Jeśli znajdzie mi pan męża, takiego, który mi przypadnie do gustu, ja zostanę żoną, a pan zostanie ojcem.

- Jestem ojcem na tyle, na ile był nim mój ojciec. A nawet lepszym, bo nigdy nie krzyczę na swoje dzieci.

- Mógłby pan, pod warunkiem że znałby ich imiona.

- Gorsza od wiedzy - zauważył. - Wydanie pani za mąż będzie wymagało cudu.

- W dodatku będzie pan musiał wstać z łóżka - odgryzła się. - Jak zamierza pan szukać mi męża, mającąc w pościeli?

Przyjrzał jej się uważnie.

- Kiedy nadchodzi gorączka, nie mam wielkiego wyboru.

- Cóż, nie mogę narażać mojej reputacji na ruinę w pańskim domu. Jaki uczciwy mężczyzna chciałby poślubić kobietę, którą spotkałby przy panu, w pańskiej sypialni?

- Trafna uwaga - mruknął. - Przypuszczam, że chce mi pani dać do zrozumienia, że powinienem się wziąć w garść.

- Cóż... - zawahała się.

- Zawsze uważałem, że to kobiety powinny być generałami.

Wydawało się, że zasnął. Charlotte włożyła Biblię do worka z robótkami, zamierzając wyjść po cichu. On jednak otworzył oczy i się odezwał.

- Świąteczne przyjęcie, oto czego potrzebujemy.

- Proszę spróbować zasnąć. Znowu wygląda pan bardzo słabo.

- Gdybyśmy byli zaproszeni na przyjęcie, mogłaby pani przeczytać mi cały Stary Testament i nikt nie domyśliłby się, że odbywaliśmy tak rozpustne spotkania. Pomyślę o tym jutro - dodał, przymykając oczy. - Wie pani, jestem zmęczony. Ale to nie gorączka. Może pani jest cudem, panno Charlotte, jakkolwiek się pani nazywa.

- Ba - powiedziała tylko po to, by dać mu jakiś temat do rozmyślań.

Finchley kręcił się po korytarzu. Charlotte uśmiechnęła się do niego.

- Sądzę, że to zdrowy sen - szepnęła. - Nie wygląda na rozgorączkowanego.

- Chwała Bogu - rzekł Finchley, wyglądając, jakby miał się rozpląkać. - Pani dorożka czeka, panno Charlotte.

Co masz zamiar zrobić? - Poppy z wściekłością obserwowała, jak drzwi zamykają się za Elsie. - Jak mam sama przygotować się do snu, a tym bardziej do kąpieli? Nie mogę przecież spać z całym tym pudrem na głowie.

- Wyczesujesz puder co wieczór?

- Oczywiście!

- Sądziłem, że kobiety śpią, trzymając sztywno głowę, żeby nie popsuć sobie fryzury. Nigdy nie rozpuszczałaś włosów, kiedy odwiedzałem cię w sypialni.

- Z całą pewnością nie.

- Właściwie dlaczego nie? - Stanął za nią i zaczął poprawiać jej uczesanie. - Nawet kiedy widziałem cię w nocnej koszuli, włosy zawsze miałaś starannie ułożone. Sądziłem, że tak je zostawiasz.

- Po twoich wizytach kąpałam się oczywiście jeszcze raz i wtedy pokojówka rozpuszczała mi włosy. Co ty robisz? - spytała Poppy. Zaczynała czuć się nieswojo. Mimo iż Fletch nie chciał z nią już sypiać... cóż, byli sami. Naprawdę sami. Nie było pokojówki, która pomogłaby się wykąpać. W ogóle nie było żadnej pokojówki.

- Wyjmuję ci szpilki z włosów, to oczywiste.

- Ta młoda kobieta poradziłaby sobie z tym doskonale!

- Miała na sobie fartuch, Poppy. Widziałaś ten fartuch?

- Pracuje w kuchni. Dlaczego nie miałyby nosić fartucha? Ja czasami też zakładam fartuszek, kiedy krzątam się po domu.

- Nie zauważyłaś, że był zakrwawiony? - spytał. - Wyglądało na że subtelna Elsie właśnie urywała głowy kurczakom gołymi rękoma.

Poppy musiała przyznać, że obudził się w niej sprzeciw na myśl, iż miałyby ją kąpać kuchenna morderczyni.

- O, fuj!

- Nie mogę wyciągnąć tego pióra. Tego długiego z tyłu.

- Ale nie ciągnij teraz!

Jednak kiedy Poppy sięgnęła do tyłu i próbowała mu pomóc, odsunął jej rękę.

- Wydobyłem kilka szpilek - powiedział minutę później - ale czarna maź nie schodzi. A pióro ani drgnie.

- Zmyję to - powiedziała. - Jeśli zaraz wyjdiesz, wszystko z siebie zmyję.

- A jak zamierzasz zrobić to sama?

Odwróciła się i spojrzała na niego. Pióro opadło jej na oko, więc odsunęła je na bok.

- Te pióra są przyklejone do twoich włosów. Wiedziałaś o tym, Poppy? Twoja służąca musiała je przyklejać, a potem odcinać razem z włosami.

Poppy o tym nie wiedziała, ale nie wiedziała również wielu innych rzeczy o układaniu fryzury. Właśnie dlatego tyle płaciła Luce.

- Problem w tym, że nie mamy pod ręką nożyczek - orzekł. Chyba zapytam właściciela gospody.

Otworzył drzwi i zawołał, zanim zdążyła pomyśleć o odpowiedzi.

Chwilę później zaprezentował jej z dumą wielkie nożyce.

- Zamierzam wyciąć całą tę czarną substancję i pióra. Lepiej się teraz nie ruszaj.

Cofnęła się z przerażeniem.

- Chyba żartujesz? Nie obetniesz mi włosów. Zmyję smołę. I klej też.

- W porządku - rzekł, krzyżując ramiona na piersi. Poppy naprawdę była zła, że wyglądał... cóż... tak męsko. Na tym polegał problem, Był wysokim mężczyzną, z mnóstwem mięśni, co naturalnie wytrącało ją z równowagi. Prawdę mówiąc, miała ochotę wsunąć rękę pod jego ramię, w tym miejscu, gdzie przez płótno koszuli widać było napięte mięśnie.

- Zdrapię to - powtórzyła. - Więc jeśli byłbyś tak miły i wyszedł, Fletch, rozprawię się z tym w jedną chwilę.

- Dokąd mam iść? Chcesz, żebym zszedł na dół pooglądać króla żebraków?

- Nie obchodzi mnie, dokąd pójdziesz, ale z całą pewnością nic możesz tu zostać, kiedy będę się kąpała.

- Dlaczego nie? Już kiedyś widziałem cię nagą, Poppy. Do diabła, nawet całowałem twoje nagie ciało. Ten aspekt naszego życia małżeńskiego jest już zakończony. A teraz sędzę, że potrzebujesz pomocy

Wziął do ręki pasmo włosów Poppy i przyglądał mu się z niesmakiem.

- Czy kiedykolwiek kąpałaś się sama?

W jego głosie zabrzmiał ton, który odebrała jako krytykę.

- Nie, oczywiście, że nie - rzuciła z wściekłością. - Ale nie robi tego żadna ze znanych mi kobiet.

- Ja tylko proponuję pomoc.

Teraz jego zachowanie sprawiło, że poczuła się winna. W końcu, co za różnica? Widział ją nagą więcej razy, niż mogłaby zliczyć. A ona widziała smołę sklejącą jej posypane pudrem włosy. Swędzenie zaczynało doprowadzać ją do szaleństwa.

- Dobrze. Ale będę się kąpała w koszuli.

Wzruszył ramionami.

- Ja sam lubię być naprawdę czysty, ale wiem, że wielu damom na tym nie zależy. Wystarczy wejść do sali balowej w czerwcu, żeby to zrozumieć.

- Ja jestem czysta! - warknęła.

- Twój wybór - rzekł uprzejmie. - Zupełnie mnie nie obchodzi, co będziesz miała na sobie w kąpeli. Mogę to powtórzyć jeszcze raz: ta część naszego małżeństwa jest zakończona.

Wszystko to było dość krępujące. Poppy próbowała zdjąć suknię, lecz zdała sobie sprawę, że nie uda jej się samej rozpiąć stanika, więc obecność Fletcha nawet się przydała. Właśnie zmagał się z małymi haczykami, kiedy Poppy przypomniała sobie, co powiedziała Jemma. Zachichotała.

- Następne miłe wspomnienia o Loudanie?

Zabrzmiało to raczej nieprzyjaźnie.

- Jemma twierdziła, że mężczyźni często okazują się użyteczni w czasie podróży powozem - wyjaśniła, czując, że śmiech znowu w niej wzbiera. - Miała rację.

Zsunął sukienkę do tyłu z jej ramion, a wtedy z niej wyszła. Suknia miała wszyte trzy osobne halki i była naprawdę ciężka. Koronkowa koszulka zaczepiła się o nią i Fletch próbował ją odplątać, klnąc cicho pod nosem. Z całą pewnością nie był teraz użyteczny. Poppy przypomniała sobie oposa z Ashmolean Museum.

- Przeciwstawne kciuki są ogromnie ważne - powiedziała.

Nagle rozległ się odgłos rozdieranej tkaniny i koszula opadła. Poppy błyskawicznie odwróciła się i zobaczyła Fletcha z kawałkiem koronki w rękach.

- Nie chciały się odczepić - wyjaśnił z głupawym uśmiechem.

Poppy wzięła się pod boki.

- Co teraz zrobię bez koronek?

- Cóż, tak czy inaczej nie możesz drugi raz włożyć tej sukni, Wskazał czarne plamy na bokach. Poppy przyglądała się im przez chwilę, a kiedy podniosła wzrok, zauważyła, że Fletch wpatruje się w jej piersi. Zerknęła na siebie i zorientowała się, że ma na sobie koszulkę tak cienką, iż doskonale widać było przez nią biust, a nawet rysowały się różowe sutki.

Zanim zdążyła zasłonić się rękoma, on prześliznął się wzrokiem dalej, jakby nie było tam nic interesującego.

- Wejdz do balii, a ja spróbuję usunąć smołę - polecił.

Oczywiście jej ciało nie było już dla niego pociągające. W końcu miał aż cztery lata, by się nią nasycić, a to aż nadto wystarczyło. Poza tym Poppy dobrze wiedziała, że wiele kobiet ma piersi znacznie większe niż ona.

Uniosła skraj koszuli i weszła do balii. Zerknęła ukradkiem na Fletcha, ale stał po drugiej stronie pokoju i wpatrywał się w okno.

- Pada śnieg - rzekł obojętnie. - Prawdziwa śnieżna burza.

Ponad jego ramieniem dostrzegła wielkie białe płatki. Śnieżycy sprawiała, że ich pokój wydawał się mniejszy i bardziej intymny.

- Chciałabym, żeby w święta padał śnieg - powiedziała. Usiadła w wodzie, zastanawiając się, jak będzie wyglądać jej koszula, kiedy namoknie.

Przecież to i tak nie ma dla niego znaczenia.

Mokry materiał wydawał się delikatny niczym pajęczyna i przylegał do nóg. Naciągnęła go na kolana, ale tam, gdzie opadł między nogi, Poppy mogła dostrzec prześwitujące złote włosy. Szybko podciągnęła kolana, rozchlapując wodę na podłodze.

- Jesteś gotowa? - spytał od okna.

- Nie! - Kiedy owinęła ramiona wokół piersi i miała podciągnięte kolana, była zakryta. Nie wyglądała skromnie, ale przynajmniej była zakryta. - Tak! - zawołała. - Jestem gotowa.

Jemma i jej mąż zbliżali się do końca rozgrywki. Gdyby Jemma miała ocenić szanse, powiedziałyby, że wygra z łatwością. Beaumont grał pierwszą partię w tym pojedynku z taką zaciętością, jakby każdy ruch mógł zadecydować o zmianie rządu.

Teraz jednak grał beztrosko, gawędząc o indyjskiej ustawie Foksa, o traktacie handlowym z Francją, podatku na brandy i sytuacji Szkotów w Izbie Lordów. Zupełnie jakby chciał poznać jej opinię. Ona zaś rozkładała szachownicę do kolejnej gry, gdyż rozgrywanie - jak to nabywali - partii na boku weszło im w zwyczaj. I jeśli uważała, że naprawdę opowiada bzdury, mówiła mu o tym.

Zaczęła regularnie czytywać „Morning Chronicle” i „Morning Post”, choć starała się utrzymać to przed nim w tajemnicy. Nie można przecież dać mężowi poznać, że jest interesujący. To mogłoby się zakończyć wyłącznie katastrofą.

Tego wieczoru Jemma patrzyła na szachownicę i wiedziała, że zwycięstwo należy do niej. Gra potrwa jeszcze trzy dni, ze względu na regułę jednego ruchu dziennie, lecz już teraz była praktycznie skończona.

- Tym razem nie grałeś na poważnie - powiedziała, przesuając królową na E5 i zdejmując jego drugą wieżę.

W beznadziejnym geście solidarności przesunął pionka w kierunku swojej zagrożonej królowej.

- To prawda. Ale nie chciałbym, żebyś pomyślała, że mniej mi zależy na zwycięstwie.

- Wierzę, że to chęć rywalizacji popycha cię do gry - zauważyła. - W ostatniej grze to Villiers był twoim rywalem, nie ja. Kiedy Villiers nie prowadzi równoległej gry, nie potrafisz się zmusić, by dać z siebie wszystko.

Nie powiedziała tego, co oczywiste - że jeśli jej ocena była trafna to w rzeczywistości nie dbał o zwycięstwo. A biorąc pod uwagę, iż podobno to ona sama miała być nagrodą dla zwycięzcy... Cóż, nie było niczego, o czym nie wiedziałyby od lat, nieprawdaż?

- Lada dzień odbędzie się głosowanie nad indyjską ustawą Foksa - rzucił. - Czy niedługo wybierzemy się na wieś? Moja matka pisze, że chciałyby zostać w Szkocji.

Nie było potrzeby wyjaśniać tej uwagi. Księżna wdowa była powszechnie znana jako sekutnica.

- Organizujemy przyjęcie. Właśnie rozesłałam zaproszenia.

Odłożył figury na miejsce, znieruchomiał na moment i w końcu powiedział:

- Oczywiście. Doskonały pomysł.

Jemnę zirytował brak żywszej reakcji z jego strony.

- Czy powinnam zaprosić pannę Tatlock?

Pytanie zawisło w powietrzu. Celowo go drażniła, ale dlaczego? Dlaczego?

- Byłoby mi miło.

Ach, więc tak brzmiała odpowiedź.

- Ale nie jej siostrę. Nie zniosłabym jej towarzystwa.

- Rzeczywiście - odparł, przyznając jej rację.

- Naturalnie Poppy i Fletch.

- Ale nie jej matka - powiedział tym razem on. - Nie zniosłbym jej.

- Lady Flora nie jest milutka - rzekła z przekonaniem Jemma.

- Jest straszna. Roześmiała się cicho.

- Zaproszę tego miłego doktora Loudana z Towarzystwa Królewskiego. To zmusi Fletcha, by miał się na baczności - wyjaśniła. Elijah wydawał się rozbawiony.

- Jemma swatka - powiedział. - To dość zaskakujące, czyż nie?

- Ich małżeństwo nie musi się skończyć. Kochają się nawzajem.

- Ale jeśli ich życie intymne jest takie, jak mówiłaś...

Wzruszyła ramionami.

- Nasze było niewiele lepsze.

Zbyt późno dostrzegła, że dała się wciągnąć w pułapkę.

- Nasze małżeństwo... - rzekł z namysłem.

Jemma zerwała się z fotela

- Pora się ubierać! Wstał również.
- Może... zaprosimy Villiersa?
- Villiersa? Ale on...
- Samego.

Elijah, w którym zakochała się przed laty, nagle pojawił się w zupełnie nieoczekiwany sposób.

- Jeśli zaprosimy Villiersa, plotkom nie będzie końca - zauważyła. - Nikt nie uwierzy w to, że jest umierający. Pomyślą, że mam z nim romans pod twoim nosem.

- Kiedy pomyślę, że umiera, niemal chciałbym, żeby tak było.

Jemie na chwilę odebrało mowę.

- To niewątpliwie pokazuje, jakie jest moje miejsce w twoim życiu.

Wyprostował się w fotelu i spojrzał na nią.

- Co... - I dotarło do niego znaczenie jego własnych słów. - Nie to miałem na myśli.

Lecz Jemma miała już dosyć łamania serca tego dnia.

- Dam ci to, na co zasłużyłeś - zapewniła. - Wyleczę go, a potem wśliznę mu się do łóżka i udowodnię, że wszystkie plotki były prawdziwe.

W jej spojrzeniu było coś... nie rozpacz, choć wydawało się...

- Powinienem zacząć zaglądać w dziurki od klucza - rzekł ponuro.

- Po co miałbyś to robić?

Zbliżył się do niej o krok.

- Jesteś moją żoną, Jemmo.

- Jestem nią od lat.

Ujął ją pod brodę.

- Pocałowałaś mnie tamtej nocy.

- Chwila zapomnienia - odrzekła szeptem.

- Pocałunki są jak prawo własności, nie sądzisz?

Stali tak blisko siebie, że niemal czuła ciepło jego ciała i nagle przypomniała sobie, jak wysoki jest w porównaniu z nią. Nie czekał aż znajdzie ciętą ripostę. Po prostu pochylił się i całował ją do utraty tchu.

- Prawa własności - powtórzył głosem nieco głębszym niż zwykle.

I wyszedł z pokoju.

37

Fletch bał się odwrócić. Zupełnie jakby na pokój spadł czar, słodki i senny. Śnieg był jak jeżyny, rosnące wokół pałacu księżniczki. Tej, która spała od stu lat. Gdyby tylko było im dane sto lat, bez służących, bez matki Poppy, bez tych arystokratycznych bzdur.

Okna zaparowały, a za szybami wirowały płatki śniegu. Może śnieżycą, tak jak krzewy jeżyn, uwięzi ich razem w przytulnym łożu.

Widział odbijające się w oknie złote włosy Poppy i uroczą krzywiznę jej ramienia. Siedziała, oczywiście, plecami do niego. Jej włosy opadały ciężkimi puklami, a ich złocisty kolor przeplatał się z czernią smoły. Z tyłu wystawały dwa pióra. Sięgały aż poniżej talii.

Właściciel gospody zostawił trochę mydła, lecz Fletch nie sądził, żeby zmyło smołę. Wziął miskę i zaczerpnął nieco wody z cebrzyka.

- Wyleję ci to na głowę.

Poppy mocniej zacisnęła ramiona wokół piersi i skinęła głową.

Lał wodę powoli. Najpierw z prawej strony, aby koszula przylgnęła jej do ramienia, następnie na plecy. Przeszedł na lewo, skąd przez koszulkę mógł widzieć delikatny, różowy odcień jej skóry. Zaczęła drżeć.

- W koszuli jest ci zimniej - zauważył. - I nie wyobrażam sobie, jak zamierzasz się umyć przez materiał.

W odpowiedzi pochyliła głowę i spytała:

- Czy mógłbyś mi umyć głowę?

Nabrał trochę wody, lecz włosów było mnóstwo. Zapach lawendowego pudru przyprawiał go o mdłości, więc chlusnął obficie. Wziął odrobinę mydła i zaczął wcierać je we włosy. Przez chwilę siedziała spokojnie, lecz w końcu zaczęła protestować, udzielać instrukcji i rad.

- Poppy!

Zamilkła na moment.

- Czy kiedykolwiek myłaś komuś głowę?

- Nie.

- Ja myję swoją sam. I z twoją postępuję w dokładnie ten sam sposób.

- Ale to boli - jęknęła Poppy. Przestała zakrywać piersi i teraz trzymała się kurczowo brzegów balii. - Przewrócisz balie!

- Musiałem użyć nieco siły. Masz całkiem splątane włosy. - Chwyć jedno z pasm. - Fe! Może powinienem to po prostu obciąć?

- Nie! - krzyknęła. - Ja to rozplaczę. Jestem pewna, że mi się uda.

- Zawsze możesz nosić perukę, dopóki nie odrosną - podsunął Fletch. - Myślę, że tak byłoby o wiele łatwiej. Nie powiesz mi, że twoja pokojówka myje ci włosy co wieczór.

- Owszem. Czasami to trwa dość długo.

- Jak długo?

- Zwykle nie dłużej niż dwie, trzy godziny - odparła Poppy. - Au!

- Trzy godziny? - Fletch przestał się zmagać z jej czupryną. - Każdego wieczoru marnujesz na to kilka godzin? A co z tymi nocami, kiedy przychodziłem do twojego łóżka? Nie spałaś jeszcze przez dwie, trzy godziny, żeby umyć włosy?

Poppy spojrzała na niego zdziwiona. Mokre strąki spadały jej na oczy.

- Czasem, kiedy jestem bardzo zmęczona, prawie usypiam, ale nie mogłabym iść spać z pudrem we włosach. Po jednym dniu zaczyna strasznie swędzieć. W gorsze dni w porze kolacji jestem bliska szaleństwa. Trudno wtedy spokojnie usiedzieć.

Fletch przyglądał się jej badawczo.

- Poppy - rzekł powoli - chcesz powiedzieć, że kiedy się kochaliśmy, swędziała cię głowa?

- Tylko czasami - wykrztusiła po chwili milczenia. Miała głos skruszonej dziewczynki. Patrzył na jej włosy i miał wrażenie, jakby w jego głowie coś świtało. Może...

- Ty drżysz. Musisz zdjąć tę mokrą koszulę. Możesz się przeziębic. Podeszedł do kominka i dołożył polano. - Nie patrzę. Zdejmij ją, Poppy.

Usłyszał kłaśnięcie mokrego płótna o podłogę. Pogmerał jeszcze raz w kominku, usiłując zebrać myśli. Musi postępować powoli. Bardzo powoli. Powiedzieć, że nie interesuje go jej ciało. Przekonać ją, by w to uwierzyła.

To zaś oznaczało brak seksu tej nocy. Wszystkie mięśnie w jego ciele zaprotestowały na tę myśl.

Musiał wytrzymać, żeby skutek był trwały. Powoli docierało do niego, że zupełnie nie zna swojej żony. Jak mógł nie wiedzieć, że podczas gdy on cieszył się jej ciałem, czekała z niecierpliwością, by móc umyć głowę?

Przypomniał sobie, jak czasem próbował dotknąć jej włosów, a ona zawsze protestowała. Naturalnie ustępował, ponieważ wszyscy wiedzą, że kobiety potrzebują wielu godzin na ułożenie fryzury. Woda w cebrzyku stojącym przy kominku wciąż była gorąca. Wziął chochlę i polał Poppy. Zapiszczała. Fletch widział, jak stara się dostrzec, czy patrzył na jej nagie ciało.

Nie patrzył. Nie mógł, bo jeśli spojrzełby na tę cudowną postać siedzącą tuż przed jego oczami, rzuciłby się na nią jak zwierzę.

Dlatego przeszedł obok, jak człowiek zupełnie niezainteresowany sprawami seksu. Nałożył jeszcze trochę mydła na jej włosy, chwycił grzebień i usiłował wyczesać smołę. Kwadrans później zaczął się martwić.

- Nie schodzi. Muszę obciąć trochę włosów, Poppy. - Chwycił długie pasmo opadające jej na plecy. Tkwiło w nich pióro, smoła i Bóg wie, co jeszcze.

Poppy spojrzała na niego i, ku swemu przerażeniu, Fletch zobaczył łzę spływającą po jej policzku.

- Jesteś pewien?

- Przykro mi. Popatrz.

Zerknęła na splątany kołtun i uрониła jeszcze kilka łez.

- To nieważne. Możesz założyć perukę. Poza tym, po co ci te wszystkie włosy? Tylko cię przez to swędzi. Lepiej ci będzie bez nich.

- Ale przecież... - Pociągnęła uroczo nosem, więc podał jej swoją chusteczkę. Ukryła w niej twarz i powiedziała coś niezrozumiałego. Co takiego?

- Będę brzydka - wybuchnęła, patrząc na niego. Broda jej drżała. - I niemodna. Przecież nie znosisz niemodnych kobiet!

Gdyby tylko wiedziała. Gdyby... starał się nie spuszczać wzroku poniżej jej mostka.

- To nieważne, Poppy - powiedział to najłagodniejszym tonem, na jaki było go stać. - Twoja matka powiedziała prawdę o mężczyznach. Nie potrafimy zachwycać się jedną i tą samą kobietą przez dłuższy czas. Ale kocham cię i chcę, żeby ci było wygodnie. Nie obchodzą mnie twoje włosy!

Pociągnęła znowu nosem i otarła następne łzy.

- To nie zabrzmiało, jakbyś mnie kochał.

- Ależ kocham. - Chwycił nożyczki. - Kochałbym cię nawet, gdybyś miała włosy krótkie jak opos.

Zauważył następne łzy na jej policzkach. Poppy pochyliła głowę i nic nie odpowiedziała, zaczął więc ciąć. Po chwili się odezwał.

- Poppy?

- Tak? - głos miała stłumiony, ponieważ podciągnęła kolana i ukryła w nich twarz.

- Czy wiesz, że masz kołtuny we włosach, tuż przy skórze?

- Co?

Odciął jeden i pokazał jej.

- Widzisz? Wszystko jest splątane. Wydaje mi się, że twoja pokojówka tak naprawdę wcale nie czesała ci włosów z tyłu.

Zadrżała i zaczęła znowu płakać, tym razem głośno.

- Po prostu tnij - załkała. - Dalej. To nie ma żadnego znaczenia.

Próbował ocalić chociaż część pukli, lecz musiał się pozbyć całe smoły.

- Myślę, że problem polega na tym, że przyklejała ci pióra do włosów. A potem, jak sądzę, odcinała, jeśli nie udawało jej się zmyć kleju

- To obrzydliwe - powiedziała cicho Poppy.

- Widzę końcówki piór. Tu jest istna menażeria.

- Chyba ptaszarnia - rzuciła z przekąsem.

- Jestem zaskoczony. Zawsze zastanawiałem się, jak kobietom się udaje mieć fryzury trzy razy wyższe od głowy. Teraz już wiem.

- Luce czasami wkłada do środka poduszkę - wyznała Poppy, - Inaczej jak pióra miałyby się utrzymać? Te, które noszę przy uroczystych okazjach, mają szesnaście cali długości. Ale myślałam, że Luce dobrze sobie radzi. Większość kobiet zostawia włosy upięte, nawet przez kilka dni, i to z piórami, ale ja zawsze upierałam się, żeby je myć co wieczór.

- O, znalazłem szpilkę do włosów - powiedział Fletch. - Zobacz, ma diamentową główkę.

- To zaledwie z wczoraj - szepnęła speszona Poppy. - Sprawiasz, że czuję się obrzydliwie brudna.

- Uderz w stół... - odparł Fletch. Lecz Poppy wyglądała tak żałośnie, że zlitował się nad nią. - Przynajmniej nie śmierdzisz, Poppy. Nie mogę znieść kobiet, które śmierdzą jak świńskie sadło.

- Puder za bardzo przykleja się do smalcu, a to swędzi. Dlatego ja używam łaju.

- Łaju! - To wiele wyjaśniało. Fletch bezlitośnie obciął jeszcze kilka pasm włosów posklejanych woskiem ze świecy.

- Poszukam innej pokojówki - zapowiedziała Poppy. - Nigdy nie lubiłam Luce.

- Więc dlaczego, na Boga, jeszcze jej nie odprawiłaś?

- Moja matka ją znalazła. Jest Francuzką. I wspaniale układa włosy. Pamiętasz bal u lady Salisbury?

- Miałaś fryzurę wysoką jak babilońska wieża.

- Była piękna.

Fletch odciął kilka kolejnych pukli, które osunęły się na ramiona Poppy. Podniosła je z dreszczem odrazy i rzuciła na podłogę.

- Nie rozumiem, dlaczego nigdy nie zwróciłaś uwagi na to, co robi twoja pokojówka. Albo czego nie robi, żeby powiedzieć dokładniej.

Poppy była bardzo speszona.

- Damy nie cheszą sobie same włosów.

- Damy nie robią tego, damy nie robią tamtego. Cieszę się, że jestem mężczyzną.

- Gdybym ja była mężczyzną, pojechałabym do Cambridge i została słynnym przyrodnikiem.

- Doktor Poppy, światowej sławy ekspert od psowatych oposów. No, myślę, że skończyłem. - Przeciągnął grzebieniem przez ocalałe włosy.

- Wciąż potrzebuję kąpieli. Ta woda stała się dość nieprzyjemna.

Fletch podniósł jej suknię i strategicznie zarzucił na lustro w rogu pokoju. Następnie podał jej ręcznik. Spojrzała najpierw na niewielki kawałek płótna. Potem na niego.

- Nie jestem zainteresowany, pamiętasz?

Dostrzegł nieme pytanie w jej oczach, ale zmusił się do uśmiechu.

- Zejdę na dół i powiem gospodarzowi, żeby wylał tę wodę i przyniósł świeżą.

Był tak podniecony, że czuł ból, kiedy schodził po schodach.

38

Fletch został na dole, kiedy Poppy brała drugą kąpiel. Dzięki temu zdążyła zdjąć suknię z lustra, spojrzeć w nie, zalać się łzami na widok swoich nierówno poprzycinanych loków, a wreszcie wejść do balii i się wykąpać. Była teraz naprawdę czysta - sama umyła sobie włosy i przeczesała palcami każde pasmo, zamiast siedzieć beczynnie i czekać, aż pokojówka zrobi to za nią.

Nigdy więcej, obiecała sobie.

Dopiero gdy wycierała się ręcznikiem przy kominku, zdała sobie sprawę, że słowo nigdy dotyczy również lawendowego pudru. Nie miała po co wyglądać pięknie każdego dnia. Jej mąż już jej nie pożądał.

Co dziwne, ta świadomość okazała się przykra.

- Pies ogrodnika - mruknęła do siebie, otrząsając włosy i odrzucając je do tyłu. Nie ważyły niemal nic, co było wspaniałym uczuciem, Okrutna prawda była taka, że choć ona nie chciała jego - a przynajmniej nie chciała, żeby się z nią kochał - to wolałaby, żeby jej pożądał

Serce ją bolało, co było głupie. Od lat leżała, cierpiąc męki zakłopotania i swędzenie, czekając, aż Fletch skończy swoje zabiegi. A więc dlaczego teraz miałaby chcieć, żeby zrobił to jeszcze raz?

Ależ oczywiście, że nie chciała.

Po prostu pokój był tak mały, a on wydawał się taki duży. Nie mogła się powstrzymać od patrzenia na jego pierś. Fletch pochlapał się, kiedy ją mył. Koszula przyłgnęła do jego ciała. Był ciepły, twardy i umięśniony we wszystkich miejscach, w których ona nie miała mięśni.

I prawdopodobnie o to chodziło. W końcu z zamiłowania była przyrodnikiem. Jego ciało różniło się od jej ciała niemal tak, jakby był latającą wiewiórką. Jego włosy były jedwabiste i lśniące, a jej... Aż się wzdrygnęła. Jak mogła nie zdawać sobie sprawy, w jakim stanie są jej włosy?

Nic dziwnego, że jej nie pożądał.

Nigdy nie potrafiłaby pragnąć kogoś, kto ma we włosach obrzydliwe splątane kołtuny. Tymczasem włosy Fletcha przypominały w dotyku satynę.

Skórę miała zaczerwienioną od tarcia w kąpielni, a głowę swobodną i czystą. Nigdy więcej pudru. Nigdy więcej łożu. Nigdy więcej piór. Żadnych wymyślnych fryzur. Żadnej francuskiej pokojówki.

Przy drzwiach rozległ się jakiś hałas i Poppy pospiesznie wskoczyła pod pierzynę. Fletch wsunął głowę, rozejrzał się wokoło i wpuścił do środka służącego z pustą balią.

- Ci na dole są wstrząśnięci - powiedział, kiedy służba zabrała starą balię. - Nie wydaje mi się, żeby w kuchni kiedykolwiek podgrzewano tyle wody, chyba że wypadał dzień kąpieli dla całej parafii. Przyślą nam tutaj kilka półmisków z kolacją, ponieważ nasze kufry są Pod Lisem i Kolibrem i nie możemy się przebrać do posiłku.

- Jestem już czysta. - Powinna czuć się upokorzona, lecz tak niebyło.

Fletch zaczął wyciągać koszulę ze spodni.

- Będzie ci przeszkadzało, jeśli wezmę kąpiel?

Pokręciła głową, kiedy rozpinął sprzączki przy kolanach.

- Wiele razy widziałas mnie nago i nie robiło to na tobie wielkiego wrażenia.

- To nieprawda - rzekła Poppy, odwracając wzrok, gdy zdejmował koszulę przez głowę. - Tuż po tym, jak się pobraliśmy, myślałam, że zwymiotuję ze zdenerwowania za każdym razem, gdy przychodziłeś do mojej sypialni.

Zerknął na nią i zamarł w pół ruchu. Właśnie miał zdejmować dnie. Poppy poczuła, że się czerwieni. To wszystko było tak intymne. Nigdy nie widziała, jak Fletch się rozbiera. Wchodził do sypialni ubrany przyzwoicie w szlafrok, wpuszczany przez pokojówkę. Teraz było inaczej. Widziała jego szeroką pierś porośniętą czarnymi włosami, które jednak nie ukrywały mięśni wybrzusających się pod skórą...

- Czy teraz chce ci się wymiotować?

- Moja matka zwymiotowała za pierwszym razem – powie dziadziała Poppy. Wielkie nieba, gorąco tutaj, prawda? - Powachlowała się dłonią

- Twoja matka zwymiotowała?

- Och tak. Wielu kobietom się to zdarza - szczebiotała Poppy, aby nie dać mu poznać, że z jego powodu czuje się... nieswojo.

- Wymiotują?

- To wielki wstrząs. I... cóż...

- Jest nieprzyjemne - odpowiedział, zaciskając szczęki. Jednym płynnym ruchem zdjął spodnie. Poppy poczuła niezwykły ucisk w żołądku. Fletch miał długie, smukłe nogi. Wszystko w nim było piękne. Jego męskość oczywiście nie była piękna, co matka uświadomiła jej dawno temu. Fletch zanurzył się w balii i odchylił głowę do tyłu, dokładnie tak samo, jak Poppy zamierzała odtąd robić. Jego włosy opadły niczym czarny aksamit. Był tak przystojny, że Poppy poczuła, jak zasycha jej w ustach. Sprężyste mięśnie, złocista skóra i tam... między nogami...

Nie mogła sobie wyobrazić, jak udaje mu się to ukrywać, skoro aż tak odstaje od ciała. Pewnie jakoś to przypina, podobnie jak gorset opina jej piersi. Miał zamknięte oczy, więc osunęła się na poduszki i patrzyła.

Wyglądał... cóż, elegancko. Potężnie.

Wszystko to sprawiło, że Poppy zaczęła lekko drżeć, ponieważ przypomniała sobie, jak unosił się nad nią i pytał:

- Poppy, jesteś gotowa?

A ona przytakiwała, bo chciała mieć to już za sobą. Wtedy on ocierał się o nią, a czasami...

Wspomnienia sprawiły, że poczuła ciepło między nogami. Odwróciła głowę.

Fletch tymczasem zamknął mocniej oczy i uśmiechnął się do siebie. Jak na razie wszystko szło dobrze. Maleńki pączek nadziei zakiełkował w jego piersi.

- Czy umyłabyś mi włosy? - spytał, opierając kolana o brzegi wanny, aby żona mogła patrzeć do woli, gdyby chciała. - Możesz włożyć moją koszulę.

Trudno jej było odmówić, więc stanęła za nim i zabrała się do mycia. Naprężył mięśnie i wydał cichy pomruk. Poppy zamarła.

- Wszystko w porządku?

Pomyślał, że to zabrzmiało, jakby zabrakło jej tchu.

- To takie przyjemne - powiedział ochryplym głosem, wkładając w to tyle serca, ile się odważył.

- O, to dobrze - odparła, trąc mocniej jego głowę.

Zanim skończyła, miał już obmyślony plan.

- Poppy, czy mogłabyś mi umyć nogi? Jestem tak duży, że boję się, że przewrócę balii.

Poruszył się nieco, by pokazać, jak woda rozchlapuje się na podłogę.

- Nie rób tak! Nie chcę, żeby służący przyszli tu znowu. I tak już myślą, że nie jesteśmy całkiem normalni.

Wyprostował nogę.

- Byłabyś tak miła? Wprawdzie nogom nie można było nic zarzucić, lecz najbardziej zależało mu na tym, żeby Poppy zapoznała się z jego męskością. Zaróżowiła się jak prosiaczek, kiedy tarła jego kostki. Fletch zgiął kolano, aby miała łatwiejszy dostęp do ud.

Wciąż zerknęła na niego ukradkiem, więc w końcu postanowił wyświadczyć jej przysługę i odchylił głowę, chociaż kark zaczynał mu już drętwieć. Zamknął oczy.

- Dziękuję - zamruczał.

Czuł dotyk na udach. Nie odważył się zerknąć nawet spod przymkniętych powiek. Jeśli sprawiałaby wrażenie choć odrobinę zainteresowanej, przewróciłby balię i skoczył na nią. A tego nie było w jego planie.

Pozwolił jej zbliżyć się do męskości, lecz nie na tyle blisko, by mogła jej dotknąć.

- Czy zajęłabyś się drugą? - spytał, prostując prawą nogę.

Zamiast delikatnego dotknięcia na kostce, poczuł tarcie tak gwałtowne i mocne, że musiało pozbawić go połowy włosów na nodze. Dwie sekundy później Poppy rzuciła w niego ręcznikiem. On zastanawiał się, co zrobił źle.

Być może chodziło o jego przyrodzenie.

Do diabła, jeśli większość kobiet wymiotuje - nigdy wcześniej o tym nie słyszał, ale kto wie? - może i ona poczuła się niedobrze, wiedział doskonale, że natura obdarzyła go hojniej niż większość mężczyzn.

Chociaż nigdy nie przyniosło mi to żadnej korzyści, pomyślał smętnie.

- W co ubierzemy się do snu? - spytała Poppy. Kiedy stał przed kominkiem, susząc się, ona wsunęła się do łóżka. Wzrok miała utkwiony w ścianie, zapewne żeby nie patrzeć na niego.

Do diabła.

- Coś znajdę - powiedział, wkładając spodnie i koszulę. Uporządkowanie ubrania wymagało nieco wysiłku, ponieważ najwyraźniej nie wszystkie części jego ciała dostosowały się do sytuacji, przynajmniej na tę noc.

Przez całą drogę na dół wmawiał sobie, że wcale jej nie pożąda. No dobrze, pożąda jej, ale do niczego nie dojdzie. Do niczego. Niczego. Jest tak bezpłciowy, jak... po prostu bezpłciowy. Pomyśl o St. Albansie, tłumaczył sam sobie. Czy St. Albans chodziłby w ta kim stanie?

Ta myśl była niewątpliwie trzeźwiąca, choć jego ciało nie zwrócili na to uwagi.

Jeszcze bardziej trzeźwiąco podziałała wizja jego samego i Poppy odzianych w nocne koszule właściciela gospody. Zaoferował co prawda, koszulę należącą do Elsie, lecz Fletch pomyślał, że jej czystość może budzić pewne wątpliwości. Dlatego kiedy dostał dwie czyste męskie koszule nocne, chwycił je bez wahania.

Ostatecznie jednak poskromienie wewnętrznego diabła nie okazało się aż tak trudne. Kiedy zjedli kolację i leżeli w łóżku, Poppy opowiedziała mu o swoich pomysłach dotyczących oposa i niezwykłego kciuka zwierzęcia. Potem zaś zaczęła mówić o jego wystąpieniu, które podobało jej się tak bardzo, że w końcu wstał i je wygłosił. Bez notatek, Przechadzając się przed kominkiem, z koszulą nocną łopoczącą wokół kolan.

Początkowo Poppy chichotała, lecz Fletch zauważył, w którym momencie zaczęła słuchać uważnie. Widział też, kiedy czar prysł, więc przeskoczył w myślach dwa akapity, przechodząc do konkluzji.

Poppy klaskała, on zaś czuł się tak dumny, że nie mógł pohamować uśmiechu.

- W Izbie Lordów nie znajdzie się nikt, kto nie zgodziłby się z tobą! - wołała.

- To tylko dzięki radom Beaumonta - powiedział. - Widzisz, chodzi raczej o to, żeby opowiedzieć jakąś historię niż rzeczywiście przedstawić argumenty. A potem ty zwróciłaś mi uwagę, że lepiej mówić prosto i zrozumiale...

Ale ona znowu chichotała.

- Co się stało?

- To... ta twoja... no, ta rzecz - wyjaśniła, zakrywając dłonią usta. - Kiedy nie jest schowana w spodniach, wygląda tak dziwnie. Fletch! Musisz mi wybaczyć, ale... - Reszta słów utonęła w eksplozji śmiechu.

Fletch spojrział w dół i rzeczywiście - pod koszulą widać było dumnie wyprężony członek. Cóż, nie mógł się spodziewać niczego innego.

Poppy była spowita w zwoje tkaniny, lecz jej włosy skręcały się w cudowne pierścienie, ona sama zaś była najpiękniejszym, najśłodszym najbardziej rozkosznym stworzeniem, jakie widział w życiu. Westchnął.

- To klątwa mężczyzny.

- Wiem - rzekła, poważniejąc. - Nie powinnam się śmiać. W końcu ty nigdy nie śmiesz się z moich piersi, prawda?

- Nigdy - odpowiedział z głębokim przekonaniem.

- A przecież one też są na swój sposób dziwaczne. Chodzi mi o to, że jeśli będę miała dzieci, to będzie z nich ciekło mleko. Teraz śmiesznie podskakują, a raz nawet wypadły mi z sukienki.

- Tak, to dziwne - potwierdził Fletch. - Rzeczywiście dziwne.

Potem zaś, ponieważ nie przychodziło mu do głowy nic, co nie miałooby związku z owymi piersiami, zaproponował, by poszli spać.

Zdmuchnął świecę i wrócił pod pierzynę. Przed chwilą przestał padać śnieg. Ku rozczarowaniu Fletcha wyglądało na to, że rankiem będą mogli ruszyć w dalszą drogę. Żadna burza nie zatrzyma ich w łóżku na sto lat.

Leżał na plecach, wpatrując się w ciemny sufit, gdy poczuł drobne palce wślizgujące się w jego dłoń.

- Jestem taka szczęśliwa, że wybrałeś się razem ze mną do Oksfordu - szepnęła Poppy.

Czuł to samo. Bał się jej jednak powiedzieć dlaczego, aby wszystkiego nie zepsuć.

- Jestem za ciebie odpowiedzialny - stwierdził odrobinę szorstko. - Zawsze starałem się tobą opiekować, Poppy.

- Dziękuję - odparła szeptem.

Wydało mu się, że słyszy w jej głosie nutkę rozczarowania, lecz może były to tylko jego pobożne życzenia.

Następnego dnia, kiedy Charlotte wygramoliła się z dorożki, zdała sobie sprawę, że zapomniała włożyć do torby Biblię. Nie żeby miało to dla niej wielkie znaczenie, lecz przekonała już przecież May, która uważała, że jej wizyty u Villiersa są skandaliczne, że niesie pociechę umierającemu, czytając mu fragmenty Biblii.

- On się martwi, że jego nieśmiertelna dusza jest skazana na potępienie - tłumaczyła.

May się wahała, rozdarta między nieufnością a wrodzoną gotowością pomagania.

- Chciałabym tylko, żeby znalazł się ktoś inny, kto mógłby go pocieszać - powtarzała, załamując ręce. - Dlaczego akurat ty musisz mu czytać Biblię?

- Nawet jeśli ktoś się dowie, nie będzie podejrzewał nic złego.

- Z pewnością wszyscy się dowiedzą!

- Nie, jeśli księżę umrze - odparła Charlotte.

- Och! - westchnęła May. - To wydaje się tak...

Ale Charlotte nie spała pół nocy, rozmyślając na ten temat.

- Nie wierzę, żeby Villiers mógł wyzdrowieć. Gorączka utrzymuje się od miesięcy. Jest chudy jak szczapa i tak osłabiony... To straszna śmierć.

- Mój Boże! - skomentowała May.

- Jeśli mogę cokolwiek zrobić, zrobię to.

May znowu załamała ręce, lecz obie zdawały sobie sprawę, że Charlotte nie ma wyboru. Ale mimo tego, co mówiła o śmierci, Charlotte miała pewien plan. Villiers odzyskiwał siły, kiedy się z nim kłóciła. Potrzebował tego. Kiedy nie walczył, leżał nieruchomo w swoim szarym, sennym pokoju. Powoli dobrowolnie odchodził. Jednak kiedy go obrażała i dokuczała mu, budził się.

Zapewne ten plan nie zadziała. Ale nic innego nie przychodziło jej do głowy.

Weszła do sypialni księcia, gotowa mu podokuczać, lecz zamarła w pół kroku. Villiers nie był sam.

Oparty o okno w przeciwległym krańcu pokoju stał szczupły mężczyzna o gburowatej twarzy. Oczy miał czarne niczym nocne niebo, podkrążone, jakby od dawna nie spał. Mimo zmęczonego wyglądu nie sposób było nie rozpoznać tych ostro

zarysowanych kości policzkowych. Charlotte spoglądała to na Villiersa, to na nieznanego.

- Patrzcie tylko - wycedził, nie dbając o to, by przyjąć bardziej przyzwoitą pozycję. - Pojawiła się twoja świętoszka i niech mnie diabli, jeśli nie zauważyła podobieństwa między nami.

Villiers leżał z zamkniętymi oczami. Jego skóra wydawała się przezroczysta, ściśle opinała kości policzkowe. Nagle otworzył oczy - takie same jak u nieznanego - i spojrzał na Charlotte.

- Jest pani, panno Tatlock - odezwał się z uśmiechem. Tym uroczym uśmiechem, który tak rzadko gościł na jego twarzy. Podeszła do łóżka i popatrzyła na niego.

- Przyszłam przeczytać panu dalszy ciąg historii, którą zaczęłam, ale zapomniałam Biblii.

- Co to takiego? - spytał człowiek przy oknie. - Pieśń nad Pieśniami? Powiedz, Villiers.

Pomyślałaby, że jest przerażający ale w jego głosie brzmiało jakieś dziwne napięcie, jakby i on próbował przebudzić Villiersa, zmuszając go do odpowiedzi i drażniąc się z nim.

- Historia narodzin Jezusa - wyjaśniła. - Jego Wysokość chciał się dowiedzieć, jak się skończyła.

- Źle - dobiegł głos z łóżka. - Kończy się źle, jak większość rzeczy w życiu. Droga panno Tatlock, czuję się dziś okropnie zmęczony.

Próbowała wymyślić jakąś odpowiedź.

Villiers machnął wychudzoną ręką.

- Mój kuzyn. Widzi pani, jednak mam rodzinę. Ktoś musi po mnie zostać księciem. Długo to trwało, ale w końcu mojemu prawnikowi udało się odnaleźć tego człowieka.

Przyszły książę uśmiechnął się do Charlotte, pokazując białe zęby lśniące na tle brązowej skóry.

- Zabija go myśl, że taki podejrzany typ jak ja odziedziczy tytuł. To prawda, że nie był bardzo elegancki. Płaszcz miał wymięty i rozchylony niedbale. Na szyi związał coś w rodzaju apaszki, która jednak w niczym nie przypominała olśniewających tkanin, jakie zwykle nosili książęta.

- To bolesne - powiedział Villiers. - Zostawiać mój wspaniały dom, nie wspominając o kolekcji lasek, tej żalosnej imitacji dżentelmena.

- Jak się pan nazywa, sir? - spytała Charlotte.

- Miles Dautry. Nie chciałbym być obcesowy panno Tatlock, a sędzę, że ksiązę powinien teraz raczej oszczędzać siły.

Wypraszał ją. Ona jednak czuła, że nie może wyjść, dopóki ni spróbuje wytrącić Villiersa z marazmu.

- Nie wiem, jak Jego Wysokość mógłby odpoczywać, wiedząc, że jego majątek trafi w ręce kogoś takiego jak pan? - spytała, siadając, jak by nie słyszała Dautry'ego.

- Samo nazwisko Villiers kojarzy się z rozsądkiem, elegancją, wyszukany smakiem... Nic dziwnego, że ksiązę nie potrafi się odprężyć.

W pokoju zapanowała chwila pełnego konsternacji milczenia. W końcu Villiers zaczął chichotać. Ledwie słyszalnie, ale chichotać. Otworzył oczy i spojrzał na kuzyna.

- Abnegat, prawda? Miło mi, że się pani ze mną zgadza, panno Tatlock. Powinienem być zająć się nim, kiedy jeszcze trzymałem się na nogach.

- Nie jest jeszcze za późno - rzekła pospiesznie Charlotte. - Może pan go nauczyć, jak powinien się zachowywać ksiązę. Jak powinien się ubierać.

Dautry parsknął, lecz nic nie powiedział, co znaczyło, że zrozumiał jej plan. Podniósł brew, a ona dała mu znak, by się przyłączył. Villiers znowu machnął ręką.

- Za późno. Proszę sobie wyobrazić, że ten człowiek nigdy nie poleruje paznokci. Pewnie ma tylko jedną parę pończoch...

- Nieprawda - wtrącił Dautry. - Mam ich kilka.

- Niewątpliwie wszystkie dziurawe - powiedział z westchnieniem Villiers. — A jego płaszcz... Proszę popatrzeć na jego płaszcz, panno Tatlock. Mogę być śmiertelnie chory, ale nawet ja zauważyłem, jak ten płaszcz wchodzi do pokoju. Moją jedyną pociechą jest to, że opuszczę ten okrutny świat, zanim człowiek noszący ów płaszcz zostanie księciem.

Charlotte spojrzała. Dautry był wyjątkowo szeroki w ramionach i miał na sobie czarny płaszcz, niewyróżniający się niczym prócz tego, że był uszyty z jakiejś niezbyt szlachetnej mieszanki. I że był pomięty.

- Jechałem całą noc. Wyruszyłem, jak tylko dostałem wiadomość - powiedział.

- Rozumiem, co ma pan na myśli, Wasza Wysokość - odezwała się Charlotte. - To hańba. Hańba dla nazwiska.

Dautry z wściekłością przymrużył oczy.

- O co pani chodzi, panno Tatlock? Przecież jest pani tutaj dlatego, liczy, iż zostanie księżną.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Znam kobiety takie jak pani - wyjaśnił. - Zależy pani na tytule i tylko pani udaje, że spełnia dobre uczynki. Pewnie ma pani nadzieję, że Villiers dojdzie do siebie.

- Nie - rzekła Charlotte. - Zamierzałam zastawić sidła na spadkobiercę. To oznaczałoby pana... gdybym wcześniej pana nie zobaczyła! Teraz muszę zmienić wszystkie plany.

Villiers śmiał się słabo.

- Pomóż mi usiąść, Dautry. Tu cię ma. Żadna przyzwoita kobieta nie wyjdzie za ciebie, jeśli będziesz bardziej przypominał robotnika portowego niż księcia. A poza tym, co się stanie z moim nieszczęsnym majątkiem? Miałby zostać przekazany przez mężczyznę mężczyźnie i bez udziału kobiety?

Dautry rozejrzał się po sypialni i przygryzł wargę. Ręce wciąż miał skrzyżowane na piersi.

- Nie chciałbym cię urazić, ale w tym domu widać kobiecą rękę. Chociaż nigdy nie zdecydowałeś się żadnej poślubić.

- Nie ma nic męskiego w byciu koszmarem krawca - odrzekł Villiers, wyglądając na całkowicie przytomnego. - Dautry, będziesz musiał odwiedzić mojego krawca. To ostatnie życzenie umierającego.

Charlotte nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Proszę nie zapomnieć o fryzjerze - powiedziała głosem ociekającym słodyczą. - Żadna kobieta nie poślubiłaby mężczyzny wyglądającego jak worek szmat.

Wydaje mi się, że pani powinna zrobić to samo, panno Tatlock odparł przyszyły książę, mrużąc oczy. - Proszę spojrzeć na swoją suknię. Jestem zaskoczony, że potrafi pani wytrzymać z nią w jednym pokoju. Zwykła serża i krój sprzed dwóch lat.

- Byłbym zapomniał - wtrącił Villiers. - Zamierzam znaleźć jej męża. Panna Tatlock potrzebuje filozofa. Nie sądzę, żebyś przypadkiem jakiegoś znał?

- Co za szczęściara - zauważył Dautry, przesuając wzrokiem po jej prostej sukni. - Obawiam się, że filozofowie rzadko zapuszczają się na morze. My wolimy ludzi, którzy coś robią, a nie rozmyślają o tym.

- Powinna nosić kolory - powiedział sennie Villiers. - Jaskrawe kolory, barwy klejnotów.

Jego skóra nieco się zaróżowiła. Mówił z przerwami, w sposób dobrze już znany Charlotte.

Przygryzła wargę i spojrzała na Dautry'ego. Podszedł i położył dłoń na czole Villiersa.

- Mokry ręcznik poproszę - zawołał do służącego, który czekał za drzwiami.

Villiers zamknął oczy.

- Panno Tatlock - rzekł Villiers.

Powinna już wyjść.

- Truskawki... haftowana tafta... - mamrotał Villiers.

Charlotte czuła na sobie wzrok Dautry'ego, kiedy sięgała po swoją torbę z robótkami. Kiedy miała wyjść, odezwał się:

- Mam nadzieję, że nie zamierza pani zostać księżną, panno Tatlock?

Nie udała, że go nie rozumie. Nie chciała się odwracać, ponieważ oczy miała błyszczące od łez. A jednak to zrobiła.

- Nawet go nie znam. Jestem przekonana, że przypadkowo w gorączce podałem moje nazwisko lokajowi. A więc moja odpowiedź brzmi: „nie”. Ale chciałabym, żeby czytanie Biblii pomogło utrzymać go przy życiu.

- Tu się z panią zgodzę - rzekł z ponurym grymasem.

- On leży chory od miesięcy. Dlaczego nie było pana tutaj? Jest taki samotny.

Nie miałem pojęcia, że jest chory. Spotkałem go raz w życiu, kiedy miałem siedem lat. Ledwie sobie to przypominam. A z całą pewnością nie wiedziałem, że brał udział w pojedynku. Co za głupiec, w jego wieku.

- Wcale nie jest stary!

- Cięty aksamit - odezwał się znowu książę. - Z różami. Policzki miał zaczerwienione.

- Za stary, by wdawać się w pojedynki - orzekł Dautry.

- Nigdy wcześniej nie widziałam pana na żadnym przyjęciu. Oparł się o okno i znowu założył ręce na piersi.

- A więc nie jest pani miłosierną samarytanką, znaną przypadkiem przy ulicy, lecz kobietą z tak zwanego towarzystwa?

- To kwestia urodzenia. A pan jest najwyraźniej w tym samym przykrym położeniu.

- Prawdę mówiąc, nie.

- Zostanie pan księciem.

- Nierokującym większych nadziei. I nigdy nie myślałem o tym poważnie. Dziedzicę tylko dlatego, że dwa pokolenia wstecz pewien młodszy syn zakochał się w córce marynarza i wyruszył na morze.

- Marynarz! - Oczywiście, teraz wszystko nabierało sensu. Miał twarz ogorzałą od wiatru, zmarszczki w kącikach oczu, a przecież nie dałaby mu więcej niż trzydzieści lat. Syn księcia, który został żeglarzem. Cóż to musiał być za skandal! Charlotte nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Czy ona poszła za nim na morze?

Uniósł brew.

- Jest pani ciekawska jak te słodkie panienki z towarzystwa?

Znowu podniosła torbę i wymknęła się przez drzwi. Ruszył za nią, lecz zatrzymał się w progu.

- Czy nigdy nie stoi pan prosto? - spytała.

- Lubię wiedzieć, gdzie jest najbliższa solidna podpora.

- Nie jest pan teraz na pokładzie statku.

- Wolałbym być.

- Niech pan mu nie pozwoli zbyt łatwo zrobić z siebie księcia. Musi pan walczyć o każdy oddech.

- Niech mnie, jeśli nie mówi pani jak moja matka - wycedził. Te słowa ubodły ją. Zdała sobie sprawę, że naprawdę jest starą panną.

- Cóż, żegnam pana.

- Proszę zaczekać! - powiedział. - On zamierza zmienić również panią.
- Musi pan go poznać - odezwała się w połowie schodów. O mnie zapomni. Dużo rzeczy zapomina. Teraz może się pan nim zaopiekować.
- Ale on mnie opakuje w aksamit wyszywany w róże. - Głos przyszłego księcia był tak zde gustowany, że Charlotte nie mogła pohamować śmiechu.
- Będzie panu pasować - rzekła. Nie powiedziała tego, co naprawdę pomyślała. Że krawiec najprawdopodobniej nie zdąży uszyć całego stroju, nim Villiers odejdzie. Wyszła.

May odetchnęła z ulgą, kiedy usłyszała, że w końcu pojawił się ktoś z rodziny Villiersa.

- Cóż, naturalnie musi być jakiś spadkobierca - zaświergotała. - Rodzina pojawia się dopiero przy łożu śmierci.

- Nie wydaje mi się, żeby on taki był - zaprzeczyła Charlotte. - Nie sprawia wrażenia kogoś, komu zależy na majątku. Myślę, że jest marynarzem i nie miał pojęcia o chorobie księcia. Spotkał się z nim tylko raz.

Otwarte usta May były równie okrągłe, jak jej oczy.

- Marynarz! Marynarz jako następca księcia de Villiers. To... to... okropne.

- Tak. - Łza spłynęła po policzku Charlotte.

May posłała jej ostre spojrzenie.

- Musisz wyrzucić Villiersa ze swoich myśli, Lotte. - May zwracała się do niej tym przewiskiem z dzieciństwa tylko w chwilach wielkiego zaniepokojenia. - Wiem, że to trudne, ale takie jest życie. Proszę. Tutaj jest coś, co ci może pomóc. - Gestem magika wyciągającego królika z kapelusza triumfalnie zaprezentowała zapieczętowany list. - Pamiętasz, jak myślałyśmy, że list Villiersa pochodzi od Beaumonta?

- Beaumont do mnie napisał? - spytała Charlotte kompletnie zaskoczona.

- Nie, księżna. Być może wydaje kolejne przyjęcie.

Charlotte rozwinęła papier.

- Zaprasza mnie do swojej posiadłości na przyjęcie z okazji świąt.
- Świąta w książęcej posiadłości. - May westchnęła. - Koniecznie musisz tam pojechać. Chociaż nie wiadomo, czy parlament zawiesi posiedzenia przed Bożym Narodzeniem.

- Sądziłam, że wolisz, żebym trzymała się z daleka od księcia.

- Przyjęcie w rezydencji to coś zupełnie innego.

- Jak to?

May przygryzła wargę.

- Jest tak jak mówiłaś.

- Czyli jednak uważasz, że Beaumont się mną nie interesuje?

- Udowodnił to przecież, nie widzisz? List napisała księżna. Ona nigdy by cię nie zaprosiła, gdyby było inaczej.

- Mówiłam ci o tym - przypomniała zmęczonym głosem Charlotte.

- Musisz iść - May usiadła obok Charlotte. - Villiers wkrótce umrze, nieprawdaż?

Charlotte żałośnie przytaknęła.

- Dalej - rzekła May. - Idź.

40

Poppy wróciła z Oksfordu, wyglądając jak ostrzyżona owca. W dodatku bez pokojówki. Jemma posłała po świetnego młodego fryzjera, o którym słyszała, niejakiego monsieur Oliviera.

Następnego dnia Poppy wyglądała słodko jak brzoskwinka, z miękkimi, krótkimi lokami.

- Wprowadzisz nową modę - orzekła Jemma.

- Nie obchodzi mnie to, dopóki nie będę musiała używać tego wstrętnego pudru.

- Słyszałam o ludziach uczulonych na puder, dostają od niego czerwonych plam na twarzy.

- Uznaję mnie za niemodną, ale to nieważne - rzekła Poppy. - Jestem zamężna.

- To prawda - przyznała jej rację Jemma, nieco zaskoczona. - Chociaż nigdy nie uważałam, by strój miał jakikolwiek związek z małżeństwem.

- Ubierałam się tak, by wyrzeć wrażenie na Fletchu.

- Ja ubieram się dla siebie samej. Czasami spędzam cały dzień w garderobie. Ale jeśli już się ubieram, to zachwycająco, ponieważ potem sama czuję się zachwycająca.

- Ja nigdy nie czuję się w ten sposób.

- Jesteś słodka, dlaczego nie chcesz tego dostrzec? Proszę - podała jej arkusz papieru. - Co sądzisz o moim przyjęciu? To lista gości. Układam plan bitwy dla kamerdynera. Irytuję się, kiedy mam do czynienia ze służbą, której nigdy nie widziałam. Nie znoszę być zdana na nieznaną pomoc.

- Wielkie nieba - zawołała Poppy, oglądając listę. - Ilu ludzi zaprosiłaś?

- Niewielu. Chciałabym, żeby to było kameralne przyjęcie. Poza tym Villiers wciąż leży chory i nastrój nie będzie sprzyjał zabawie. To byłoby niestosowne.

- Niestosowne? Powiedziałabym, że skandaliczne.

- Nie przejmuję się skandalami - rzekła Jemma. - Martwi mnie tylko to, że wszyscy będziemy ponurzy. Ale jeśli Leopold poczuje się lepiej, przyjęcie uda się znakomicie.

- Czy Villiers zgodził się przybyć?

- Tak. Jedyne, co mnie niepokoi, to to, że przysłał mnóstwo szczegółowych instrukcji. Na przykład chce, żebym zaprosiła pannę Tatlock. Czy to nie dziwne?

- Pannę Tatlock?

- Tak.

Poppy się skrzywiła.

- Widzę, że doszłaś do tych samych wniosków, co ja - rzekła Jemma, dopisując coś do listy. - Beaumont poprosił Villiersa, by ten dopilnował, żeby jego inamorata była na przyjęciu. Ale najdziwniejsze jest to, że sama zaproponowałam Beaumontowi, że ją zaproszę.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Sprawdzalam go. Albo sama siebie - dodala z przekasem. -w kazdym razie odparl, ze byloby mu bardzo miolo, gdyby zostala zaproszona, wiec uwazam, ze nie przeszedl proby, prawda?

- To glupie z waszej strony - zauwazyła Poppy. - A zwlaszcza z twojej.

Jemma usmiechnęła się do niej.

- Kilka miesiecy temu bylabyś innego zdania.

- O co jeszcze prosil Villiers?

- Powiedzial, ze martwi się o swoja dusze, co, musze przyznac, nie swiadczy dobrze o jego zdrowiu. Chce, zeby na przyjeciu bylo kilku filozofow z Oksfordu. Zeby z nim dyskutowac.

- To dziwne.

- Nie moze byc az tak chory, jak mowia, skoro pragnie odbywac debaty w swojej sypialni. Co wiecej, zyczy sobie niezonatych filozofow To zupełnie osobliwe. Poza tym sprowadza dwuch krawcow i modystke. Modystke, Poppy! Czy sadzisz, ze on do szczetu oszalal?

Tego Poppy nie wiedziala, lecz nie mogla się powstrzymac od zadania jedyne go pytania, ktore bylo teraz dla niej istotne.

- Czy sadzisz, ze powinnam wyslac listek do Fletcha? Nie widzialam go od dwuch dni. Co prawda zupełnie mnie nie obchodzi, co bedzie robil w swieta, ale pomyslalam, ze mogą go zainteresowac moje osobliwosci. Moze zabiorę je ze soba?

- Lepiej dla niego, zeby nie wiedzial, gdzie jesteś. To samo dotyczy twojej matki. Przy okazji, ona nie jest zaproszona.

- Moja matka - powiedziala ponuro Poppy - zyczy sobie, zebym jej zlozyla wizyte przy najblizszej okazji.

- Pozwol, ze powtorze jeszcze raz - rzekla Jemma, ktora wyraźnie się zaniepokoiła. - Raczej odwołam przyjecie, niz dopuszczę do tego, zebyśmy twoja matka, ja i Villiers znalezi się pod jednym dachem. Kiedy ostatni raz spotkalam ja w Paryżu, powiedziala, ze jestem kobieta gry. Nie sadzę, zeby to byl komplement, a ty?

- Moja matka nigdy nie prawi komplementow - zauwazyła Poppy. - Mogę ci wytumaczyc, co miala na mysli, jesli chcesz.

- Nie, dziekuje. Wolę udawac, ze to się odnosilo do szachow. Męczą mnie obelgi.

Poppy ją objęła.

- Wcale nie jesteś tak zepsuta, jak udajesz, wiesz o tym?

- Prawdę mówiąc, jestem dwa razy bardziej zepsuta - odparła Jemmy natychmiast. - To ty jesteś zbyt niewinna, żeby dostrzec prawdę. Porozmawiaj o tym z moim udreńczonym mężem.

- Mężowie żyją po to, żeby ich poskramiać - zauważyła kpiąco Poppy. - Tak w każdym razie powiedziała mi kiedyś pewna mądra kobieta.

Poppy wysiadła z powozu przed domem księcia Fletchera - przed własnym domem - nie czując właściwie żadnej nostalgii. Nie miała ku temu zresztą powodów. Niedawno zdała sobie sprawę, że tylko przebywała w rezydencji. Nigdy nie uważała jej za dom.

Dom w pewnym sensie przypominał jej własne życie. Czasami się wydawało, że nigdy nie miała własnego życia. Że była jedynie marionetką w rękach matki.

Ta myśl sprawiła, że do frontowych drzwi podeszła w bojowym nastroju. Kiedy Quince prowadził ją do salonu, zauważyła, że matka nie tylko zamieszkała w rezydencji. Ona ją odmieniła.

Ściany były pokryte brokatem w czerwone plamki. Obok kominka stały wielkie osłony lśniące mosiądzem i złotem, wszędzie płonęły świece. Sam kominek ledwie było widać zza ekranu wyszywanego w wielkie jak kapusta róże i ozdobionego wymyślnymi złotymi zawijaszami. Aby wszystko do siebie pasowało, wszystkie meble były pozłacane.

- Mamo? - odezwała się Poppy, uśmiechem dając kamerdynerowi znak, że może odejść.

Matka podniosła się z otchłani brokatowej sofy z elegancją samej Marii Antoniny w dzień uroczystej audiencji. Ponad spiętrzoną fryzurą wznosił się istny las piór. Mimo wczesnej pory ramiona miała odsłonięte, a jej ubiór był równie oficjalny, jak reszta pokoju. Krótko mówiąc, wyglądała jak portret księżnej.

- Moja córko - rzekła lady Flora, wyciągając dłoń.

Poppy dygnęła i ją ucałowała.

Lady Flora wróciła na sofę. Prawdę mówiąc, z racji szerokości rogowki,

zajmowała całe siedzenie. Poppy usiadła naprzeciwko i czekała.

I rzeczywiście, zgodnie z jej oczekiwaniami wkrótce rozległ się krzyk. Nie był to jednak wibrujący krzyk przestraszonej kobiety. Przypominał raczej ryk przerażenia, jaki wydawały pewne małpy, które Poppy miała niegdyś okazję widzieć.

- Twoje włosy!

- Obciąłam je.

Matka dotknęła własnych włosów, a przerażenie na jej twarzy zamieniło się w coś w rodzaju zgrozy, że ktoś mógł wziąć do ręki nożyce, nie pytając jej o zdanie.

- Dlaczego... dlaczego... Ty głupia dziewczyno! Dlaczego zrobiłaś coś takiego? Wyglądasz jak przekupka! Nie mów mi, że Luce przyłożyła do tego rękę!

- Zwolniłam Luce.

- Zwolniłaś Luce? Luce! Jedną z najlepszych francuskich pokojówek w Anglii? - Zamarła z otwartymi z osłupienia ustami. Poppy z trudem powstrzymała uśmiech.

- Ona przyklejała mi pióra do włosów, a potem je odcinała, mamó. Nie mogłam na to dłużej pozwalać.

- Nie powinno cię obchodzić, jak osiąga efekt. A Luce zemdłałaby, gdyby cię teraz zobaczyła. Kiedy służyła u ciebie, przynajmniej byłaś *a la mode!*

- Musiałam obciąć włosy, żeby usunąć kołtuny. - Poppy przyglądała się lokom spiętrzonym na głowie matki. - Czy masz pojęcie, ile kołtunów może być w twoich włosach, mamó?

- Mówisz jak dziewczucha z ulicy - rzekła matka, ignorując zupełnie jej pytanie. - I tak samo wyglądasz. Dobrego francuskiego fryzjera nie znajduje się na każdym rogu. Musisz poszukać jakiegoś natychmiast, zanim ktoś cię zobaczy. Chcę ci powiedzieć, że cieszę się z tego, iż nie nagłaśniałaś swojego pobytu u księżnej de Beaumont. Udało mi się utrzymać to w tajemnicy przed większością znajomych.

Najwyraźniej do grona znajomych jej matki nie należeli ludzie bywający na odczytach w Towarzystwie Królewskim.

- Mówiłaś, że chcesz ze mną rozmawiać, mamó?

Nadeszła pora, żebyś wróciła do domu. Jutro wieczorem organizuję przyjęcie z okazji twojego powrotu na właściwe miejsce. Odmieniłam twój dom i twojego męża. Ten młody głupiec ma już kochankę i nie powinien cię więcej niepokoić.

Dziwne ukłucie, jakie Poppy poczuła w sercu, trwało tylko chwilę. Nie będzie kłamać.

- Fletch nie ma kochanki, mamó.

- Na miłość boską! Nie obrażaj nas obu, zniżając się do używania języka stosownego do twojej fryzury. Fletch! Fletch! To brzmi jak imię nieopierzonego dzieciaka, którym twój mąż, swoją drogą, jest. Ja zwracałam się do niego „Wasza Wysokość” i zapewniam cię, że mu się tu podobało. Mężczyźni tacy są. Wezwałam cię, Poppy, ponieważ przysyła pora, abyś skończyła z tymi głupotami i zajęła należne miejsce księżnej Fletcher.

- Ale sądziłam, że sprawia ci to przyjemność, mamó - powiedziała Poppy.

Lady Flora zmrużyła oczy i po raz pierwszy naprawdę spojrzała na córkę.

- A więc o to chodzi, tak? - spytała łagodnie. - Jesteś zazdrosna o matkę?

- Nie jestem o ciebie zazdrosna - odparła Poppy. Nienawidziła tego tonu w jej głosie. Lada chwila matka zacznie krzyczeć. Intuicja podpowiadała jej, by coś powiedziała, naprawiła błąd, przeprosiła...

Lady Flora wstała. Pióra chwiały się nad jej głową niczym grupa plotkujących kobiet.

- Co miała znaczyć twoja uwaga?

Poppy również wstała. Nie spiesząc się, wygładziła spódnicę. Wreszcie spojrzała matce w oczy.

- Sądziłam, że sprawia ci przyjemność mieszkanie w tym domu. Z całą pewnością uczyniłaś go bardziej książęcym.

- Ja zaledwie wprowadziłam tu odpowiednie standardy.

Poppy nic nie powiedziała.

Lady Flora zbliżyła się do niej, o krok.

- Nie podoba ci się? Po tym, jak poświęciłam kilka miesięcy życia, dbając o dom, którego nie potrafiłaś zmienić w siedzibę godną księżnej, ponieważ byłaś za głupia albo zbyt nieśmiała, nie podoba ci się to wszystko?!

Poppy odruchowo chciała się cofnąć. Choćby dlatego, że kropelka śliny prysnęła jej na policzek, lecz tylko ją otarła. Matka podniosła głos.

- Jesteś zazdrosna o moją urodę i wyszukany gust! Wdałaś się w swojego ojca i to nie jest moją winą, że stanowisz tak żalostną imitację księżnej. Zrobiłam, co w mojej mocy. Próbowałam uczynić cię godną twojej pozycji.

Dłoń lady Flory śmignęła w powietrzu. Uderzyła Poppy w twarz.

Cios był tak silny, że jej głowa odskoczyła do tyłu i Poppy cofnęła o krok. Ale z jakiegoś powodu ból nie był dotkliwy. Tego właśnie spodziewała.

Lady Flora rzuciła się na sofę i zaczęła łkać. Wszyscy, którzy ją znali – a Poppy nie miała wątpliwości, że teraz cała służba Fletcha знаła ją doskonale - wiedzieli, że za moment nastąpi prawdziwy wybuch hysterii.

Poppy się pochyliła i podniosła brokatową torebkę, po czym powiedziała:

- Mamo.

Matka uniosła głowę i spojrzała na nią.

- To dla mnie za wiele. Czym zasłużyłam na taki los?

- Wychodzę - oznajmiła Poppy. - Kocham cię, ale nie chcę cię więcej widzieć. Możesz zostać z Fletchem przez jakiś czas, jeśli chcesz. Oczywiście możesz zorganizować swoje jutrzejsze przyjęcie. Ale potem będę musiała poprosić, żebyś wróciła do swojej rezydencji.

- Zabraniam ci wracać do tego siedliska grzechu! - wrzasnęła matka, nagle zapominając o łzach. - Księżna de Beaumont przynosi taką samą hańbę swojemu tytułowi jak ty! To dziwka, która powinna nocami chodzić po ulicach, zamiast kłaść swój szacowny tytuł. Słyszałam z najlepszego źródła, że w święta zamierza złożyć wizytę lordowi Strange w Fonthill! Tego domu nie odwiedza nikt oprócz cudzołożników!

- Żegnaj - rzekła Poppy.

Ręce jej drżały, lecz się nie zatrzymała, nawet kiedy matka wykrzyczała jej imię. Po prostu pchnęła drzwi na korytarz i wyszła. Miała dziwne poczucie nierealności, ale i spokojnego triumfu.

Zrobiła wszystko, co mogła zrobić.

Quince tylko na nią zerknął i zaczął się jąkać. Poppy przyłożyli dłoń do policzka. Bolał i był zaczerwieniony. Z salonu dobiegł przeraźliwy hałas.

- Pomóż mojej matce... - zaczęła.

Ale wtedy otworzyły się frontowe drzwi i służący wpuścił Fletcha oraz Gilla.

Poppy uniosła dłoń do policzka, lecz w chwili, gdy ich oczy się spotkały, zdała sobie sprawę, że ta próba była bezcelowa. Fletch jednym ruchem odsunął jej rękę.

Wówczas poczuła się, jakby wszyscy służący i kamerdyner zniknęli. Fletch objął ją i mocno przycisnął do siebie. Bez słowa się pochylił i pocałował jej zaczerwieniony policzek.

- Wszystko w porządku - wyszeptała do jego piersi.

Odsunął ją od siebie, tylko na tyle, żeby móc spojrzeć jej w twarz, i powiedział:

- Nie, to nie jest w porządku.

Gili odesłał miotających się w panice służących i kamerdynera, po czym dyskretnie oddalił się do biblioteki.

- Wiedziałam, co robi.

- Wiedziałaś?

- Moja matka ma takie usposobienie. Wiedziałam, że mnie uderzy, jeśli znajdzie się pod presją. Nigdy nie umiała się pohamować w chwilach furii. Powiedziałam coś, co doprowadziło ją do wściekłości.

- Zabiję ją. - Twarz Fletcha całkowicie się zmieniła. Teraz nie był już ładniutki, jak to określiła matka. Wyglądał jak ktoś gotowy rzucić się z gołymi pięściami na tłum.

- Nie - powiedziała Poppy, uśmiechając się do niego, choć sprawiło jej to ból. Policzek zaczynał już puchnąć. - Sama do tego doprowadziłam, Fletch.

- To absurd!

- Sporo o tym myślałam w ostatnich miesiącach. Doszłam do wniosku, że będę jej córką tylko, jeżeli nigdy więcej mnie nie uderzy. Widzisz, zanim nie przeprowadziłam się do Jemmy, nie miałam okazji zastanawiać się nad tym.

- Jak mogłaś mi o tym nie powiedzieć! - Głos drżał mu wściekłości. Ale nie był zły na nią.

- Och, nie uderzyła mnie ani razu, odkąd wyszłam za męża - mówiła Poppy. - Wcześniej też przez długi czas tego nie robiła. Po prostu nauczyłam się, jak z nią postępować. Dopóki zachowywałam się dobrze...

- Poślubiając księcia. - Ręce opadły mu wzdłuż ciała.

Skinęła głową.

- To prawda. Poślubiłam księcia. Ale naprawdę myślałam, że cię Kocham, Fletch.

- Trudno mi uwierzyć, żebyś się nad tym głęboko zastanawiała.

- Być może nie.

Coś stanęło między nimi. Zimna, nieprzyjemna prawda. A zza drzwi salonu wciąż dobiegały zgrzytliwe łkania matki.

- Twoja matka musi opuścić mój dom - powiedział Fletch, a ledwie hamowana wściekłość w jego głosie przyprawiła Poppy o dreszcz.

- Zrobi to. Widzisz, upokorzyłam ją. I powiedziałam, że musi stąd odejść. Nigdy wcześniej nie wydawałam jej poleceń.

- Dopilnuję tego. Przypuszczam... Przypuszczam, że nie zechcesz zostać? - I nie dając jej szansy odpowiedzieć, dodał: - Dlaczego miałabyś to robić?

Uniósł głowę i zawołał:

- Quince!

- Wasza Wysokość. - Kamerdyner wyłonił się z bocznego wejścia z gorliwością, która wskazywała, że musiał stać z uchem przy drzwiach.

- Mój powóz czeka na zewnątrz. Jej Wysokość wróci do księżnej de Beaumont. I, na miłość boską, czy ktoś mógłby uciszyć te wrzaski? - Machnął ręką w stronę salonu.

Poppy przełknęła ślinę.

- Sądzę, że moja matka zostanie tu jeszcze dwa albo trzy dni. Tylko po to, żeby pokazać, iż moje polecenie nie ma dla niej znaczenia. Jutro organizuje przyjęcie, ale wyprowadzi się zaraz potem. Znam ją dość dobrze.

- Ja też - odparł Fletch. - Wracaj do domu, Poppy. Jest mi... - Wściekłość na chwilę zniknęła z jego twarzy i pojawił się wyraz udęczenia. - Jest mi piekielnie przykro, że mój dom nie jest dla ciebie bezpiecznym miejscem.

- Nie zawsze tak było, Fletch. Poznajesz najgorszą stronę mojej matki.

Zacisnął szczęki.

- Nie chcę jej więcej widzieć w żadnej postaci, nigdy. Czy to ci nie przeszkadza, Poppy?

Poczucie winy niemal ją obezwładniło, ale w końcu się odezwała:

- Nie.

I powtórzyła.

- Nie! - Powiedzenie tego na głos przyniosło jej ulgę. Będzie żyta własnym życiem, odetnie sznurki marionetki.

Odwróciła się i pozwoliła kamerdynerowi narzucić sobie na ramiona futro, po czym wyszła do powozu.

W myślach odwróciła się plecami do matki. Szła dumnie, nie oglądając się za siebie.

Ale jak każda historia, i ta miała drugie oblicze. Gdyby spojrzała do tyłu, zobaczyłaby męża, stojącego z wyrazem rozpacz na twarzy. Fletch myślał tylko o tym, że się z nim nie pożegnała. Ale dlaczego miałyby o tym pamiętać?

Powód, dla którego zawarli małżeństwo, stał się czymś znacznie gorszym niż brak pożądania ze strony Poppy.

Odeszła, jakby nigdy więcej nie chciała go oglądać. To miało sens. W końcu musiała go poślubić pod groźbą przemocy.

Otworzył gwałtownie drzwi biblioteki. Gili, zaskoczony, podniósł głowę.

- Jadę do St. Anne's Hill, jeśli chcesz się przyłączyć.

Gili wstał z fotela.

- Gdzie twoja żona?

- Odjechała.

- St. Anne's Hill? Chodzi o rezydencję Elizabeth Armistead?

- Zamierzam złożyć wizytę kurtyzanie, o której ci opowiadałem, Cressidzie. Jest urocza. Polubisz ją.

Gili spojrział na niego. Prawdziwy przyjaciel wie, kiedy należy trzymać język za zębami, a w twarzy Fletcha było coś, czego nie widział nigdy wcześniej i wolałby nie zobaczyć nigdy więcej.

Jeśli Cressida umie usunąć ten wyraz z jego twarzy, Gili z przyjemnością sam rzuci jej sakiewkę.

41

W drodze do wiejskiej rezydencji księcia de Beaumont, 15 grudnia

Wszystko w porządku, Wasza Wysokość? - zapytał Finchley chyba pięćsetny raz.

Villiers zacisnął zęby i zastanawiał się, czy gdyby sięgnął po jeden z pistoletów, umieszczonych w powozie, i zastrzelił się, byłaby to jakaś odpowiedź.

Nie był głupcem. Nigdy w życiu nie czuł się gorzej. Nawet to, że przez całą cholerną drogę leżał płasko na posłaniu w powozie, nie poprawiało sytuacji. Właściwie pistolet nie był już nawet potrzebny.

- Umieram - warknął do Finchleya. - Jak, do diabła, miałbym się czuć, twoim zdaniem?

- Poirytowany - odparł Finchley. - I wcale pan nie umiera, Wasza Wysokość. - Jego nieszczęsny kamerdyner był jednym z nielicznych, którzy nie przyjmowali tej prawdy do wiadomości. - Jest pan w drodze na świąteczne przyjęcie, jak zawsze o tej porze roku.

- Ależ jestem głupi - wymamrotał. Gorączka wracała. Nauczył się rozpoznawać jej pierwsze oznaki. Przychodziła, nieunikniona jak przyptyw oceanu, i pochłaniała go. Rzucił się półprzytomny, jeszcze nie do końca przez nią owładnięty. - Gdzie jest panna Tatlock?

- Dołączy do nas w rezydencji księcia.

- A Benjamin?

Żadnej odpowiedzi.

- Barnabę?

- Kim jest Barnabę? - spytał Finchley. - Wasza Wysokość?
- Dautry? Mój kuzyn?
- Również do nas dołączy - odparł łagodnie Finchley.

Odpywał. Zazwyczaj w tym momencie się poddawał, lecz teraz powóz szarpnął gwałtownie. Ból w rannym ramieniu był tak przenikliwy, że Villiers ocknął się z krzykiem.

- Przykro mi, Wasza Wysokość. - Głos Finchleya brzmiał tak, jak by kamerdyner miał się rozplakać, co podziałało na Villiersa równie trzeźwiąco jak ból. - Wkrótce będziemy na miejscu, obiecuję. Jeszcze godzina, może dwie, to wszystko. Nie powinienem był pozwolić panu na tę podróż.

To była jedyna rzecz, którą powinien zrobić, choć Villiers nie miał siły mu tego wyjaśniać. Miał w swoim życiu dwóch prawdziwych przyjaciół, Benjamina i Elijaha. Elijah zamienił się w księcia de Beaumont, napuszonego polityka. Benjamin odszedł.

Musi poprosić Elijaha o wybaczenie, czy jest politykiem, czy nie Nawet nie mógł sobie przypomnieć, o co się pokłócili. To było lata temu, lecz wydarzyło się w domu Beaumonta, więc tym bardziej powinien tam pojechać.

Pożegnać się, pomyślał półprzytomnie. Wszystko naprawić. A potem spokojnie odpłynąć tam, gdzie ból nie jest tak dotkliwy.

Ocknął się po kilku godzinach, kiedy owinięto go w lnianą płachtę. Właściwie obudził go krzyk. Krzyk i to, że ktoś dźgnął go nożem pod pachę.

- Chryste! - Jęknął. Szarpnął się, próbował otworzyć oczy i znowu jęknął. Pomyślał sennie, że miał nadzieję zatopić się w czerwonej fali przyływu, a nie tkwić w lodowatym bólu. To nie było sprawiedliwe. Nóż poruszył się w jego ciele.

- Do diabła!

Udało mu się otworzyć oczy.

Pochylał się nad nim potężny mężczyzna, rodzaj wiejskiego monstrum z krzaczastą brodą. Jedną wielką łapą przytrzymał go na pościeli, drugą zaś... robił coś z jego ramieniem. Coś tak przeraźliwie bolesnego, że Villiers był w stanie tylko jęczeć. Próbował się wyswobodzić, lecz - choć to upokarzające - nie mógł nawet drgnąć pod trzymającą go wielką ręką.

- Spokojnie - odezwał się mężczyzna z ciężkim szkockim akcentem. - Muszę łoczyścić tom rane albo sie pan wykończysz.

Villiers chciał coś powiedzieć, zaprotestować, chciał... Ale tym razem to nie była czerwona fala. Czarna kotara okryła go i strąciła z urwiska w przepaść.

- Dzięki Bogu - powiedział doktor Treglown. Bowiem ów wiejski niedźwiedź był lekarzem. - No, to bardzo dobrze, że stracił przytomność, o tak. To kto, do cholery, zajmował się księciem, co?

- Chirurg, doktor Banderspit - wyjaśnił Finchley. - Czy to dlatego, że nie pozwoliłem mu puścić krwi? Doktor ciągle chciał mu puszczać krew, ale ja nie pozwalałem. Czy to moja wina?

Doktor Treglown przewrócił oczami i polał ranę jakimś płynem o kwaśnym zapachu, który nawet lekko dymił.

- Zabiłbyś go niechybnie, gdybyś dał go wykrwawić, więc możesz być zadowolony. Musi być silny jak byk, że przy takiej infekcji przeżył tak długo.

- Co pan robi? - szepnął Finchley.

- Czyszcę to cholerstwo. Paskudne.

- Czyściliśmy ranę - rzekł z zaniepokojeniem kamerdyner. - Czyściliśmy ją dużą ilością brandy, jak zalecił chirurg, aż się w końcu zagoiła.

- Brandy! Ho, ho!

Finchley nie był pewien, co ma oznaczać „ho, ho”, ale nie zamierzał się dopytywać. Jego pan leżał nieruchomo jak martwy.

- Jest pan pewien, że on żyje? - zapytał. - Wygląda... źle. Nie widzę, żeby oddychał.

- Nie jest z nim dobrze - odparł doktor, odwracając się, żeby umyć ręce. - Widzisz, co wylazło z rany? To go zabijało.

- Ale z wierzchu wszystko wyglądało w porządku - powiedział zrozpaczony Finchley. - Nie wiedziałem...

- Nie musiałeś. Chyba że przedstawiasz się za chirurga, nie? - Jego żart budził grozę. - Teraz będziemy ją łotwierać, słyszysz? Będziesz przemywał ranę cztery razy na dzień terpentyną.

Z brzękiem postawił na stole czarną butelkę.

- Twój książę będzie wrzeszczał jak diabeł. Jeśli wydobrzeje na tyle, żeby zobaczyć, co robisz. Lepiej się przyszykuj. Ja skończę jutro wieczorem. Jeśli będzie ciągle żył, to może wydobrzeje. A może nie.

- O Boże! - jęknął Finchley. - To przecież święta!

- Jeszcze nie - zauważył Treglown. - Zostało jeszcze kilka dni. Myślę, że dowiemy się całkiem niedługo, czy ma zamiar zepsuć nam święta, pakując się do grobu. Przemyj jeszcze raz za sześć godzin. Musisz powtórzyć to i w nocy.

- Tak jest - odparł Finchley. - Będę tak robił.

- Kiedy przyjeżdża reszta towarzystwa? Beaumont i księżna? Wiesz, nigdyśmy jej nie widzieli. Wyjechała do Paryża, zanim zdążyła się pokazać na wsi. Moi pacjenci wychodzą z siebie z ciekawości.

- Za kilka dni, o ile mi wiadomo.

Treglown zachichotał.

- Powiedziałbym, że to będzie niezwykle przyjęcie. Umierający książę wydaje ostatnie tchnienie na strychu. To brzmi jak historia z jednej z tych powieści dla kobitek, nie?

Finchley rozejrzał się po urządzonej ze smakiem, w starym stylu sypialni. Księżna de Beaumont wydała instrukcje, by umieścić Villiersa w królewskich pokojach. Książę dostrzegłby w tym ironię, gdyby się ocknął, by to zauważyć.

- Dużo płynów, jeśli uda ci się go zmusić do picia - zaordynował Treglown, kierując się w stronę drzwi. - Postaram się przyjść później, jak dam rade. Wszędzie rodzą się dzieciaki, akuszerka też urodziła. Nie mam czasu zajmować się partanią zidiociałych londyńskich chirurgów! - Parsknął i wyszedł.

Finchley patrzył na swego pana, który leżał na łóżku nieruchomo niczym kłoda. Jakby czekając, aż ktoś z niego zdejmie miarę do trumny.

Wiejska posiadłość Beaumonta leżała w pobliżu Sturminster Newton, w hrabstwie Dorset, co najmniej trzy dni drogi od Londynu. Ledwie poutykały wokół siebie podróżne koce i przysunęły stopy do różanych cegieł, Poppy wypaliła:

- Myślisz, że Fletch przyjedzie za nami?

- Pytasz mnie już czwarty raz, odkąd wysłałam mu zaproszenie - powiedziała Jemma. - Odpowiem ci tak samo jak poprzednim razem. Nie wiem. Ale wydaje mi się, że te pytania o czymś świadczą, nie sądzisz? Nie zachowujesz się jak porzucona żona, gotowa odfrunąć do Paryża na kilka lat.

- Mówiłaś, że ty płakałaś miesiącami - przypomniała cicho Poppy.

- Płakałam, ponieważ miałam złamane serce. Ale ty jesteś w dziwny sposób zaniepokojona i radosna równocześnie.

- Mówi, że wciąż mnie kocha - rzekła Poppy pospiesznie.

Jemma uśmiechnęła się do niej smutno.

- Widzisz? Twoje małżeństwo nie jest wcale podobne do mojego.

- Chociaż zupełnie mnie już nie pożąda.

- W to nie wierzę.

- Moja matka mówi, że mężczyźni są niestali i po kilku latach tracą zainteresowanie kobiecym ciałem. Fletch przyznał jej rację.

- Moje doświadczenie wskazuje - powiedziała Jemma - że mężczyzna z zadowoleniem przyjmie każdą, która ma na niego ochotę. Jeśli znajdzie w łóżku uśmiechniętą kobietę, na pewno nie będzie narzekał.

- Ale Fletch mówił...

- Nie możesz przywiązywać zbyt wielkiej wagi do tego, co mówią mężczyźni.

Być może chce, żebyś to ty go pożądała - przerwała jej Jemma.

- Ale to nie... cóż...

Jemma spojrzała na nią badawczo.

- Jesteś pewna?

- Skąd wiesz, że kogoś pożadasz?

- Czuję, że miałabym ochotę zedrzeć z niego ubranie - powiedziała bez ogródek Jemma. - Łatwiej się zorientować, kiedy kogoś nie pragniesz. Na przykład czy kiedy widzisz lorda Manninga, masz wrażenie, że byłoby ci miło pogłaskać go po brzuchu?

- Absolutnie nie.

- Dobrze. Teraz wyobraź sobie w tej samej sytuacji Fletcha. Czy chciałabyś dotykać jego... brzucha?

Poppy nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

- To absurdalne, Jemmo.

- Męskie ciała są po to, żeby je podziwiać. To coś, o czym twoja matka najwyraźniej zapomniała. Ale ty masz szczęście. Wygląda na to, że twój mąż jest gotów poświęcać należytą uwagę również twojemu ciału. Musisz się tylko nauczyć, jak mu to odwzajemnić.

- Jemu już na tym nie zależy - stwierdziła Poppy ze smutkiem.

Jemma parsknęła.

- Zobaczymy, czy pojawi się na przyjęciu po liście, który wysłałam razem z zaproszeniem.

- Co w nim napisałaś?

- Wspomniałam, że zaprosiłam naturalistów i filozofów, więc przyjęcie może być dla niego wyjątkowo nużące. Przy okazji, służący przyniósł mi dziś rano wiadomość, że Villiers dotarł przed nami.

- Jak on się ma?

- Nie wiem. Beaumont powiedział, że poświęciłby nasze małżeństwo, żeby Villiers wyzdrowiał. Byłam wściekła.

- Ja też bym była - wtrąciła Poppy.

- Ale jakaś część mnie przyznaje mu rację. Villiers jest...

- Nigdy go nie spotkałam. Jaki on jest?

- Uroczy, złośliwy, gwałtowny, arogancki i niewiarygodnie inteligentny. I jest mistrzem szachów - dodała, jakby to wyjaśniało wszystko.

Trzeciego dnia podróży było już ciemno, gdy dotarli do gospody Pod Wieńcem Róż. Właściciel wybiegł im na spotkanie, jękając się z podniecenia, tak wielkie wrażenie wywarł na nim przyjazd niejednej, dwóch księżnych.

- Wszystko już przygotowałem - obwieścił, zacierając ręce.
- Cudownie - rzekła Jemma.
- Jego Wysokość także już dotarł - poinformował gospodarz.
- Doprawdy? Sądziłam, że Beaumont ma ostatnią sesję parlamentu. Zaczynałam się obawiać, że w ogóle nie skończą w tym roku. Musiał jechać jak szalenciec, żeby nas dogonić.

Ale kiedy weszły do gospody, stało się jasne, że nastąpiła pomyłka co do książąt. Poppy zajrzała do wspólnej sali i zamarła. W głębi siedział wysoki mężczyzna, opierając się o prosty drewniany stół. Jedwabiste włosy miał związane na karku. Był ubrany na czarno i wyglądał w każdym calu jak książę.

Poppy nadal stała jak słup soli, Fletch uniósł głowę i ją dostrzegł. Podniósł kubek w powitalnym geście.

Nagle całe jej ciało zapłonęło gwałtownym podnieceniem. Uniosła rękę i pomachała do niego, niczym pięcioletnia dziewczynka. Siedział z wyciągniętymi przed siebie nogami. Nie wyglądał tak elegancko jak niegdyś. Płaszcz miał rozpięty, pod szyją prostą apaszkę.

Poczuła się tak dziwnie, że niemal pobiegła wąskim korytarzem do Jemmy.

Przyjaciółka spojrzała na nią tylko raz i powiedziała:

- Zgaduję, że Beaumont ciągle dyskutuje o końcu cywilizowanego świata.
- Przyjechał - szepnęła Poppy. - Jest tutaj.
- Dzieli z tobą pokój? - spytała Jemma z kpiącym uśmiechem.
- Nie wiem!
- Ile pokoi przygotowałeś? - zapytała Jemma, zwracając się do właściciela gospody.
- Trzy najlepsze pokoje w domu - mówił pospiesznie. - I jeszcze sześć dla ludzi Waszych Wysokości. Mam nadzieję, że będą państwo zadowoleni.

Poppy nieco posmutniała. Bała się kochać z Fletchem. Dlaczego więc chciała dzielić z nim pokój?

- Mówiłam ci, że jest mną zmęczony - wyszeptała.
- Dlaczego nie pójdziesz nago do jego pokoju i nie przekonasz się, co zrobi? Postawiłabym mój najlepszy komplet szachów, że spędzisz całą noc w jego łóżku.
- To byłoby takie krępujące - wymamrotała Poppy oburzona samą myślą o czymś

podobnym.

Jemma i Fletch żartowali i flirtowali przez cały obiad. Poppy siedziała milcząca, niczym głupiutka młodsza siostra. Fletch miał ze sobą „Tatlera”.

- Nie miałem czasu go przeczytać - powiedział - ale zauważyłem, że na twoje przyjęcie patrzy się z dezaprobatą, Jemmo.

Jemma wyrwała mu gazetę z ręki.

- Pokaż mi to! - Zagłębiła się w lekturze. - To nie jest o moim przyjęciu, ale o tobie, Fletch. Wielkie nieba! Zgaduję, że twoje ostatnie wystąpienie w Izbie było wielkim sukcesem.

Zamrugął.

- Kiedy „Tatler” zaczął pisywać o sprawach politycznych?

- Dlaczego po prostu nie przeczytasz? „Podobno młody książe Fletcher wygłosił krótką orację...” Co to jest oracja, na miłość boską?

- Przemówienie - odparł, sprawiając wrażenie zakłopotanego. - To było wystąpienie na temat ustawy o handlu z Francją.

- Według tego, co czytam, Izba Lordów zerwała się na nogi i wyraziła entuzjastyczne poparcie. Dalej piszą, że każdy z lordów, który nie zgodziłby się z tobą, dowiódłby, że jest równie fałszywy, co zawistny. Dobra robota, Fletch!

Poppy się pochyliła i dotknęła jego dłoni.

- To prawda.

Ich oczy spotkały się na moment.

- Podobno odzywały się głosy, że Fletch powinien zostać natychmiast mianowany sekretarzem stanu. I że cała opozycja drży z obawy, że talent retoryczny księcia zostanie skierowany przeciwko nim.

- Głupstwa - orzekł Fletch.

Poppy tylko się do niego uśmiechnęła.

Jemma odwróciła stronę.

- O mój Boże! Tutaj jest coś o moim przyjęciu. A właściwie o moim bracie. Są zdania, że wszyscy biorący udział w pojedynkach powinni zostać odesłani do Francji w obliczu rychłej śmierci księcia de Villiers. Jestem pewna, że to dotyczy również sióstr tych zawadiaków. Za, jak piszą, „zbrodnię pospolitej wulgarności”. Wulgarności! – powtórzyła. - Jestem pewna, że nigdy nie bywam wulgarna.

- Czy to jedno z tych słów, które odnoszą się wyłącznie do innych ludzi? - spytał Fletch.

- Oczywiście. Zaliczam do tej kategorii wiele wyrazów.

- Na przykład?

- Dziewica.

Fletch wybuchnął śmiechem. Ledwie spojrzał na Poppy, tak był zajęty flirtowaniem z Jemmą. A ona nie odrywała od niego oczu. Przestał roztaczać wokół siebie tę wyjątkową aurę luksusu i wyszukanej elegancji, lecz płaszcz na jego szerokich ramionach wciąż leżał bez zarzutu.

- Z pewnością pan również zna kilka słów, których nigdy nie odnosi do siebie - powiedziała Jemma. - Prawda, Poppy? Pomóż mi. Pomyślmy... Sflaczały?

- To dotyczy tylko innych mężczyzn - odparł natychmiast Fletch.

Poppy nie miała pojęcia, o czym mówią, jednak się uśmiechnęła.

- Feniks to dobre słowo - rzekł Fletch. - Choćby nie wiem jak paliły płomienie, zawsze znowu powstaje.

- O czym wy mówicie? - spytała Poppy.

Jemma tylko chichotała, lecz Fletch jej odpowiedział.

- Wulgaryzmy - rzucił bez słowa dalszego wyjaśnienia.

Matka zawsze jej powtarzała, że dama nie powinna przyznawać się do wulgarności, a gafy traktować tak, jakby nie istniały.

- Mógłbyś mi to wyjaśnić? - poprosiła.

Również służąca zakrztusiła się śmiechem, co dodatkowo wzmogło ciekawość Poppy.

- Zostawiam panu ten honor - zwróciła się Jemma do Fletcha.

Ten się zawahał, skonsternowany.

- Feniks, o którym mowa, to intymne części mężczyzny.

- Rozumiem - rzekła Poppy. - A ogień to syfilis?

- Nie! - zapewnił pospiesznie Fletch. - Drugą część tego porównania wyjaśnię ci później.

- Sądzę, że rozumiem. Szekspir mówi o zamkach, które topnieją, niczym senna wizja. Domyślam się, że twój feniks nie stopniał?

Widząc wybuchającą śmiechem Jemmę i zszokowany wyraz twarzy Fletcha,

Poppy wyjaśniła:

- Jestem mężatką od czterech lat. I mnóstwo czasu spędziłam, pracując z podopiecznymi Stowarzyszenia Dobroczynnego na rzecz Pomocy Skruszonym Nierządnicom.

- Niepokoisz mnie - powiedziała Jemma, uśmiechając się do niej.

- Czy widziałaś nową rycinę George'a Townly'ego Stubbsa, zatytułowaną *Jego wysokość u Fitz?* - zmieniła temat Poppy.

- U Fitz? - spytała Jemma. - Rozumiem, że u pani Fitzherbert?

Poppy przytaknęła.

- On jest ubrany. Ale pani Fitzherbert nie.

Tu Fletch dorzucił uwagę o rycinie *Poranek po nocy poślubnej*, którą niedawno oglądał. Poppy, uznając, że dowiodła, iż nie jest niewinnym głuptasem, zajęła się na powrót obserwowaniem męża.

Wciąż nosił bródkę, długą tylko na tyle, że zakrywała jego dołek w brodzie, lecz Poppy w gruncie rzeczy ją polubiła. Wyglądał z nią bardziej męsko. Wcale nie ładniutko, jak mawiała jej matka.

Fletcher nie był ładny. Ani trochę. Miał oczy w niezwykłym, szaroniebieskim kolorze. Ze związanymi z tyłu włosami, bez śladu pudru, wyglądał dziko niczym ludzie, którzy mieszkali w lasach Ameryki, zmagając się z aligatorami i polując na oposy.

Nagle Poppy zorientowała się, że służąca, która przynosiła im potrawy, stara się dawać Fletchowi jakieś znaki. Na przykład ocierała się piersią o jego ramię i pochylała się nad nim, podając to lub owo tak, że nawet Poppy mogła zajrzeć w jej dekolt.

Piersi miała większe niż Poppy. Naprawdę wielkie. I wciąż oblizywała wargi w absolutnie oburzający sposób.

W końcu dziewczyna oddaliła się od Fletcha, by przejść bliżej Poppy i podać jej deser. Deser ów miał kształt pagórka i zdaniem Poppy niepokojąco przypominał kobiece piersi.

Pociągnęła łyk wina, zastanawiając się nad tym. Tymczasem dziewczyna strąciła kilka okruszków z kolan Fletcha. Z jego kolan! A Fletchowi najwyraźniej to nie przeszkadzało.

Dziewczyna, z niemal odsłoniętymi piersiami, podeszła znowu do Poppy, aby dolać jej herbaty. I to dlaczego? Ponieważ Poppy nie rozumiała w porę żartu z feniksem? Pochyliła się i Poppy ujrzała wprost przed sobą jej olbrzymie piersi.

Działając pod wpływem impulsu, chwyciła swój pudding i rzuciła nim w imponujący dekolt.

Dziewczyna wrzasnęła i podskoczyła.

Poppy wstała i uśmiechnęła się słodko.

- O mój Boże! Musiał mi się wyśliznąć z ręki - zaświergotała.

Właściciel gospody podszedł do drzwi, rzucił okiem i chwycił dziewczynę za ramię. Jego krzyki słychać było w całym domu.

- Tyle razy ci mówiłem, zachowaj swój towar dla tego, kto go chce. Już dosyć wstydu mi przyniosłaś.

Jemma zanosila się śmiechem.

- Zupełnie jak Feniks, który odrodził się na moich oczach!

Fletch wstał i się przeciągnął. Dłońmi niemal dotykał sufitu. W ten sposób jego krok znalazł się na poziomie oczu Poppy. Spodnie ciasno opinały umięśnione uda, podkreślając ich kształt.

- Żono – powiedział leniwie – przerażasz mnie.

Poppy wstała i potrząsnęła włosami. Jak cudownie było czuć, że j włosy poruszają się wraz z całym ciałem. Ruszyła korytarzem, lecz nagle poczuła, jak duża, ciepła ręka chwyta ją w pasie. Głęboki głos szepnął jej do ucha:

- Naprawdę powinienem cię złąć, Perdito.

- Ta dziewczyna ma to, na co zasłużyła! - warknęła Poppy, zerkając przez ramię.

Zaśmiał się do niej, a w jej żyłach krew zaczęła szybciej krążyć.

- W twoim gorsecie jest za mało miejsca na pudding - zauważył, spoglądając w dół. - Chociaż byłoby interesująco użyć ich jako talerza.

Podążyła za jego wzrokiem. Z tej perspektywy jej piersi wcale nie wydawały się małe. Co ciekawe, poczuła dreszcz na myśl, że on mógłby dotykać...

Tymczasem wziął ją za rękę i ruszył dalej, jakby nic się nie stało. Poppy myślała tylko o tym, że jest za późno. Nie była głupia. Nieprzyzwoite ciepło, które czuła między udami, oznaczało pożądanie. I wiedziała, że podobałoby jej się, gdyby Fletch jadł pudding z jej piersi.

Odkryła to.

Odkryła w sobie pożądanie, o którym mówiła Jemma. Tylko przez własną głupotę odkryła je o cztery lata za późno.

43

Poppy myślała, że istnieje pewna szansa - niewielka wprawdzie, ale zawsze - że Fletch przyjdzie do jej pokoju tej nocy. Może powiedziec jej dobranoc? Zabrała ze sobą swoje osobliwości, żeby mu pokazać, na wypadek gdyby zastukał do drzwi. Ale nie.

Leżała więc w łóżku i kolejny raz oglądała krystaliczną strukturę geody. Potem sięgnęła po niewielką figurkę Kupidyna i Psyche. Kiedy ją kupowała, myślała tylko o rozpostartych skrzydłach motyla. Były cudowne. Owad wykuty w kamieniu wyglądał tak lekko, jakby zaraz miał poderwać się do lotu.

Teraz jednak patrzyła na Kupidyna klęczącego przed swoją ukochaną Psyche. Nie był to pulchny, nadąsany Kupidyn, jak zwykle go przedstawiano, lecz zwinny młodzieniec o kędzierzawych włosach i długich smukłych kończynach. W pewnym momencie zorientowała się, że wodzi palcem po plecach figurki, po mięśniach nóg. Jego skrzydła nie tworzyły kamiennej koronki, lecz były potężnie umięśnione i upierzone, gotowe zanieść go z ziemi wprost do nieba.

Nie potrafiła uwolnić się od myśli, że wybierając tę rzeźbę ze względu na motyla, przeoczyła coś znacznie bardziej interesującego od kamiennego owada.

Nawet kiedy odłożyła figurkę i geodę, nie mogła zasnąć. Leżała i przychodziły jej do głowy najdziwniejsze myśli. Zupełnie jakby nie potrafiła wytrzymać we własnym ciele. Myślami była w pokoju Fletcha i widziała go bez koszuli, tak samo jak wtedy, kiedy brał kąpiel. W jej wyobraźni wstawał z balii i otrząsał się, rozpryskując wodę na wszystkie strony.

Poppy wierciła się na łóżku, próbując się wygodnie ułożyć. Samo myślenie o Fletchu sprawiało, że czuła...

Wstawał i krople wody spływały po jego piersi, potem niżej, aż do tych intymnych miejsc. Prawdę mówiąc, rzadko na niego patrzyła - przynajmniej w pierwszym roku małżeństwa - ponieważ bała się, że zwymiotuje. Co według słów jej matki musiało niechybnie nastąpić.

Ale właściwie, co tam było? Jakaś dziwna rzecz, rzecz, która sterczała z jego ciała niczym... niczym belka. Była różowa, ale twarda w dotyku.

Ale myśl o tym, jak czuła tę rzecz między nogami, teraz wywoływała w niej zupełnie inną reakcję. Czuła się, jakby wszystko w niej topniało. Czuła, że spodobałoby się jej, gdyby Fletch...

Przewróciła się na drugi bok. Co się z nią dzieje? Nawet gdy oblizła wargi, wydawało się jej, że ogarnia ją dziwna gorączka. Cała była mokra. Odrzuciła pierzynę. Wciąż było jej gorąco, więc podciągnęła nocną koszulę.

Ale i to było teraz inne. Patrzyła na swoje ciało, skąpane w księżycowym świetle. Miała wrażenie, jakby pojawiła się wróżka i zamieniła jej własne ciało na inne, niczym w starych bajkach, w których czarodziejki podmieniały dzieci. Tak, to z pewnością były jej piersi, tyle że z jakiegoś powodu wyglądały na pełniejsze. A ich końce miały całkiem ładny kolor. Widziała piersi dziewczyny pracującej w kuchni, kiedy rozchyłała jej się koszula, lecz nie były nawet w połowie tak ładne.

Poza tym nogi miała długie i - usiadła, żeby lepiej to zobaczyć - w ładnym kształcie. Błądziła myślami i teraz przypomniała sobie, jak Fletch całował ją wzdłuż wewnętrznej strony uda. Tyle że wtedy głowa swędziała ją tak bardzo, że patrzyła na to i ponaglała go w duchu: „Proszę, kończ już, całuj szybciej, proszę, całuj szybciej!”

A teraz... Teraz odchyliła nieco nogę. Pragnęła, żeby teraz tak ją całował. Włosy miała krótkie i sama je czesała. To stało się wręcz jej obsesją, czesała je raz za razem każdego wieczoru. Ale to zajęcie nie było nieprzyjemne. Lubiła czuć pod palcami dotyk miękkich, jedwabistych pasm. Czuła odrazę na myśl o tym, jak pokojówka szarpała ją za włosy, przyklejała do nich różne przedmioty i wcierała łój, aby nadać fryzurze odpowiedni kształt.

Gdyby Fletch teraz ją całował, zaczęłyby od kostki, a potem przesunąłby się wyżej, do kolana. Zadrżała na myśl o tym i otuliła się ramionami. Wyobrażenie sprawiło, że poczuła mrowienie w piersiach. A potem całowałby jeszcze wyżej i jeszcze, a w końcu...

Oczywiście całowałby też jej piersi. Dotknęła miejsca, do którego mógłby przyłożyć wargi. A potem...

Minęła kolejna godzina. Noc zamieniła się w aksamitną kotarę otulającą jej ciało. Leżała spowita w ciemność i wyobrażała sobie jak Fletch robi różne rzeczy... W końcu przypomniała sobie pewną noc, gdy głowa nie swędziała jej aż tak bardzo i Fletch całował ją... tam.

Wtedy nie myślała o tym jako o całowaniu, lecz w znacznie bardziej trywialny i krępujący sposób. Teraz jednak wspominała pocałunek i nie mogła się powstrzymać od powtarzania tych wspomnień. W pewnym momencie aż jęknęła.

A potem nie potrafiła powstrzymać cichych jęków. Ale w końcu była sama w pokoju, zakopana wśród pierzyn, w ciemnościach gospody i czuła się, jakby nie była sobą, jakby nie była Poppy. Była jakąś inną kobietą, jedną z tych, które Fletch widział w Paryżu.

Mieszkała przecież w Paryżu. Dobrze wiedziała, jak wyglądają kobiety, które nie są damami. Znała ten szczególny rodzaj mrużenia w ich głosie i zaproszenie malujące się w oczach.

Poppy wcześniej nie wiedziała, że i ona nie jest damą.

W tym najbardziej zachwycającym momencie nocy wcale jej nie zdziwiło, gdy zdała sobie sprawę, że myśli po francusku.

Charlotte była bardzo zakłopotana, kiedy się dowiedziała, że przybyła wcześniej niż gospodarze. Zaraz jednak zrozumiała, jak mogło do tego dojść. Księżna niewątpliwie zatrzymywała się w drodze, zaś Charlotte i May wybrały najmniej kosztowny sposób podróżowania. Skorzystały z dyliżansu, a następnie wynajęły woźnicę, który dowiózł je ze stacji do rezydencji Beaumonta.

Kamerdyner naturalnie nic nie powiedział. Ukłonił się tylko i ostrzegł, że Charlotte spędzi spokojny wieczór, gdyż pozostali goście jeszcze nie dotarli. Uniosła dumnie głowę i przeszła pewnym krokiem obok niego, jakby dając do zrozumienia, że to księżna popełniła nietakt, spóźniając się, a nie ona, przyjeżdżając zbyt wcześnie.

Już z drogi Charlotte widziała, że siedzibę księcia de Beaumont otacza ogromny, starannie utrzymany park. Sam dom okazał się równie imponujący. Był tak wielki, że z zewnątrz przypominał katedrę, przynajmniej zdaniem Charlotte. Wewnątrz zaś sufity znajdowały się tak wysoko, że w półmroku ledwie je było widać. W dodatku tu i ówdzie odchodziły boczne korytarze i drzwi.

Lokaj był równie straszny. Nosił liberię ozdobioną czerwonymi galonami, a jego włosy tworzyły nad czołem sztywny, napudrowany czub. Charlotte pomyślała, że przypomina biskupa, z włosami zamiast mitry.

- Domyślam się, że księżna nie wskazała pokoju dla mnie? - spytała cicho Charlotte, niemal biegnąc, by dotrzymać kroku lokajowi. - Przykro mi, że sprawiam kłopot.

Lokaj, pan Blount, wyprostował się nieznacznie i oznajmił:

- Jej Wysokość wydała zawczasu wszelkie instrukcje. Jest nadzwyczaj dobrze zorganizowana.

Szli korytarzem na piętrze, gdy nagle rozległ się przeraźliwy krzyk. Charlotte skuliła się i wypuściła torbę z robótkami. Brzmiałoby to jak niewiarygodnie cierpiące zwierzę, gdyby nie fakt, że krzyczał ponad wszelką wątpliwość człowiek.

Lokaj także się zatrzymał.

- Niezmiernie mi przykro, że poczuła się pani zaniepokojona - oznajmił z godnością. - Jeden z naszych gości jest w nie najlepszym zdrowiu.

- Książę de Villiers? - spytała Charlotte, czując, że na jej twarzy pojawia się uśmiech. - Czy już przybył?

- Tak, proszę pani - odparł lokaj, wyrażając dezaprobatę każdym lokiem swojej fryzury.

Rozległ się kolejny krzyk i tym razem Charlotte się zorientowała, że dobiega on z sąsiednich drzwi. Było to niczym wezwanie do broni. Nie mogła go zignorować. Zanim lokaj zdążył ją powstrzymać, pchnęła drzwi i weszła do środka.

Przed jej oczami roztaczał się przerażający widok. Villiers leżał rozebrany do pasa. Przytrzymało go dwóch służących, a Finchley wylewał jakąś dymiącą ciecz na straszną ranę w jego boku. Kamerdyner się odwrócił i zauważył ją. Ręka mu zadrżała i nieco płynu popłynęło na pierś Villiersa.

Książę nie oderwał wzroku od sufitu.

- Na miłość boską, Finchley, kończ z tym! Dłużej nie wytrzymam! - warknął.

- Panna Tatlock - wyjąkał Finchley.

- Co robisz? - zapytała ostro, wyjmując butelkę z dłoni służącego.

- Co ty z nim robisz?

Finchley otworzył usta i zaniemówił.

Odpowiedział jej Villiers.

- Chciałbym móc powiedzieć, że mnie zarzyna, ale działa zgodnie z zaleceniem lekarza.

- Jaki doktor kazałby robić coś podobnego? - Machnęła czarną butelką. Sama tym zaskoczona, kipiała gniewem. Zwróciła się do lokaja bez śladu wcześniejszego onieśmienia. - Co to za doktor?

Dopiero śmiech Villiersa - słaby, lecz słyszalny - spowodował, że przestała przesłuchiwać lokaja. I Finchleya.

- Do diabła, nie mogę się śmiać - powiedział, chwytając powietrze. - To boli!

- Jego Wysokość ma się znacznie lepiej, panno Tatlock – zapewniał Finchley. - Naprawdę. Doktor Treglown to cudotwórca. Otworzył ranę i okazało się, że cała jest zakażona, nie uwierzyłaby pani. Opatrujemy ją już od kilku dni.

- Być może przeżyję - dorzucił Villiers. - Mam nadzieję, że jest pani gotowa się zakochać, panno Tatlock.

Lokaj wciągnął powietrze z oburzeniem i wyprężył się dumnie.

- Zakochać! Więc to tak? Zastanawiała mnie zuchwałość tej młodej osoby. To, jak wtargnęła do pokoju mężczyzny, jak...

Villiers uniósł rękę i posłał mu jedno lodowate spojrzenie. To wystarczyło, by lokaj zamilkł.

- Panna Tatlock nie jest zakochana we mnie, Blount. Ani nie będzie. Ale lepiej przygotuj się na wstrząs, jeśli prowadzicie tu coś w rodzaju purytańskiego domostwa. Zdajesz sobie sprawę, że twoją panią jest księżna de Beaumont, prawda?

Lokaj wyprężył się znowu, a na jego twarzy odmalowała się dziwna mieszanina dumy i niesmaku.

- Jej Wysokość jest stale obecna w naszych myślach - oznajmił.

- Wyśmienicie. A to jest panna Tatlock, która należy do najbardziej wyczekiwanych gości Jej Wysokości.

- Jestem tego świadomy - rzekł lokaj, kłaniając się sztywno. - Jeśli mogę, wskażę pani Tatlock jej pokoje. Właśnie ją tam prowadziłem, aby mogła się odświeżyć po podróży.

Zyskałam wroga, pomyślała Charlotte. Zauważyła wzrok Villiersa na swojej wymiętej podróżnej sukni i nagle po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że rzeczywiście znajduje się w sypialni księcia, a on nie jest ubrany.

- Krawcowa - przypomniał sobie Villiers. - Przywiozłem ją ze sobą. Panna Tatlock musi się z nią niezwłocznie zobaczyć. Plan - zwrócił się do Charlotte. - Plan!

O Boże! Lokaj przyglądał się jej z wyrazem zjadliwego potępienia. Najwyraźniej uważał, że młoda dama nie powinna pozwolić, by książę płacił za jej stroje. Trudno byłoby znaleźć lepszy dowód, że uważa ją za przysłowiową nierządnicę babilońską.

- A pan Dautry? - zaryzykowała. - Jego transformacja jest niewątpliwie ważniejsza, Wasza Wysokość?

- A niech to, jestem zmęczony - mruknął, znowu zamykając oczy. - Zmusiłem Dautry'ego do spotkania z krawcem, ale protestował jak owca prowadzona do strzyżenia. Pani, panno Tatlock, będzie moim arcydziełem. I zadbałem o to, by znalazło się tutaj mnóstwo młodych mężczyzn, wśród których będzie pani mogła wybierać.

Finchley dał jej znak spojrzeniem i Charlotte wycofała się z pokoju.

Lokaj szedł o krok przed nią. Nawet łopoczące poły liberii i sterczące nad głową włosy wyrażały święte oburzenie.

Ulokował ją w sypialni z honorami należnymi pokojówce.

- Poproszę krawcową, by do pani przyszła, jeśli przypadkiem będzie miała wolną chwilę - rzucił, odwracając się od drzwi.

- To bardzo uprzejme z twojej strony - mruknęła Charlotte.

45

Fletch był przygnębiony.

W ciągu zaledwie kilku dni popadł w otchłań rozpacz, wydobył się z niej o własnych siłach i postanowił dotrzymać Poppy towarzystwa na wsi, nawet jeżeli ona go nie kocha i nigdy nie będzie kochać... A teraz obserwował rozwój sytuacji. Od chwili, gdy wsiedli do powozu, Poppy unikała jego spojrzenia. Czerwieniła się, gdy jej dotykał. Prawdę mówiąc, Fletch nie potrafił się powstrzymać przed złamaniem własnych reguł i „przypadkowo” przesunął dłońią po udzie żony, gdy pomagał jej wsiąść do powozu.

Niegdyś Poppy w ogóle nie zwróciłaby na to uwagi. A jeśli nawet, to spozjrzałaby na niego z irytacją, szybko ukrytą pod słodkim uśmiechem. Tym razem przymknęła oczy i cicho westchnęła. Co więcej, Fletch nigdy nie widział nic bardziej uroczego niż to, jak zarumieniły się wtedy jej policzki. Która kobieta rumieni się jeszcze w tych czasach?

Tak więc przez całą drogę w powozie Fletch był zajęty planowaniem następnych dwudziestu czterech godzin swojego małżeństwa. Zupełnie jakby prowadził kampanię wojenną. Jemma tymczasem zamartwiała się, że z powodu złamanej osi przedłużyła się ich podróż.

- W tym tempie nie tylko moi goście, ale i Beaumont dotrą do rezydencji wcześniej niż my.

- To dobrze - zauważyła Poppy. - Księżę będzie mógł wszystkich przywitać.

- Wcale nie... - Jemma była wyraźnie skonsternowana. - Nie rozumiesz tego.

- Nawet najlepszej gospodyni zdarza się czasem spóźnić - pocieszała ją Poppy. - Wysłałaś szczegółowe instrukcje. Jestem pewna...

- Nigdy go nie widziałam - powiedziała Jemma. - Organizuję świąteczne przyjęcie w domu, którego nigdy nie widziałam, ze służbą, której zupełnie nie znam. A teraz jeszcze opuścił mnie mój sekretarz.

- Wciąż masz trzy służące i osobistą pokojówkę - zauważyła Poppy. - Ja też tu jestem, Jemmo. Poza tym przyjeżdża Isidore. Może nawet już dotarła.

- Wszyscy przyjeżdżają - mówiła Jemma wyraźnie podenerwowana. - Louise będzie już na miejscu i oczywiście Harriet.

- Louise - powiedzieli równocześnie.

Fletch dałby sobie uciąć język. Poppy wyprostowała się na siedzeniu i nagle nie wyglądała już jak różowy kwiat, lecz jak przyzwoita angielska dama. Klął w duchu, zaś Jemma dalej wyliczała gości, którzy dotrą do rezydencji wcześniej niż ona.

- Naturalnie Villiers - mówiła. - Jest już od co najmniej kilku dni. Postanowił natychmiast wyruszyć na wieś. Mam tylko nadzieję, że lokaj zrobił wszystko, co mu poleciłam, żeby się nim odpowiednio zaopiekować.

- Z całą pewnością - wtrącił ze zniecierpliwieniem Fletch.

- Och. I ten przyrodnik - kontynuowała Jemma. - Doktor Loudan.

Słyszając to, Fletch nie potrafił powstrzymać gniewnego grymasu. Zerknął ukradkiem na Poppy, lecz na szczęście wzmianka o Loudanie nie wywołała u niej uśmiechu ani żadnej innej reakcji. Gdyby tak było, musiałby chyba zatrzymać powóz i odbyć z nią rozmowę na osobności.

Nie mógł tego dłużej znieść. Był ciągle podniecony od ponad dwóch tygodni. Zdawało mu się, jakby miał dopiero poślubić Poppy, chociaż nie miało to żadnego sensu. Ale ona płonęła się za każdym razem, gdy jej dotknął. I wciąż zerkała na niego ukradkiem. Czuł jej zapach zawsze, gdy była w pokoju - nie pachniała już lawendowym pudrem, jej woń przypominała najśłodsza, najbardziej wygrzaną na słońcu brzoskwinię, jaką kiedykolwiek jadł.

I właśnie zamierzał ją skonsumować. Dziś w nocy. Potrzebował jednak pomocy Jemmy.

Udało mu się zagadnąć ją w czasie ostatniej zmiany koni, jakąś godzinę jazdy od Beaumont Manor. Postanowił nie owijać w bawełnę. Jemma była kobietą, z którą należało rozmawiać wprost, i Fletch to doceniał.

- Chciałbym, żeby umieszczono nas w jednym pokoju - zwrócił się do księżnej.

Zauważył, że kąci jej ust lekko się uniosły.

- Co innego poleciłam lokajowi w listach.

- Proszę.

Teraz już się uśmiechała. Uśmiechała się jak mężczyzna. Już tylko za to można było pokochać Jemkę.

- W żadnym wypadku. Jeśli chce pan, żeby żona spędziła z panem noc, musi pan ją sam zwabić. - Posłała mu przeciągłe spojrzenie. - I sędzę, że może pan sobie z tym poradzić.

- Gdybym nie był zakochany w mojej żonie - rzekł, trafnie odczytując figlarne błyski w jej oczach - rzuciłbym się pani do stóp, skomlać.

Uważnie zlustrowała go wzrokiem.

- A gdyby pan nie był żonaty, rzuciłabym panu kość. Może nawet dwie.

Była tak urocza, że pochylił się i ją pocałował. Co wypadło tym lepiej, że Poppy wyszła z gospody w samą porę, żeby to zobaczyć. Wyprostował się i pomachał do niej, zdając sobie sprawę, że nie całował żony od miesięcy. Nawet maleńkiego cmoknięcia. Nic.

Oczywiście Poppy musi być przekonana, że zupełnie się nią nie interesuje. Co za bzdura! W siedmiu okolicznych hrabstwach nie znalazłby się ani jeden mężczyzna, który nie byłby zainteresowany, zwłaszcza teraz, gdy jej spojrzenie zmiękło, cała lekko drżała i rzucała ukradkowe spojrzenia.

Dzisiaj, obiecał sobie.

Dziś wieczorem.

Kiedy w końcu dotarli do posiadłości, wyszedł im na spotkanie dziwaczny jegomość z fryzurą przypominającą spienioną grzywę na morskiej fali. Okazał się lokajem. Po chwili pojawił się sam Beaumont, a za nim panna Tatlock. W pewnym momencie Fletch napotkał spojrzenie Poppy. Oboje zdali sobie sprawę, że myślą o tym samym. Co sądzi Jemma o tak wczesnym przybyciu panny Tatlock.

Zupełnie jakby on i Poppy mieszkali pod jednym dachem, pomyślał Fletch, zachwycony tym uczuciem.

Cały dom był ozdobiony zielonymi pnączami, a Fletch musiał przyznać, że pachniał równie pięknie. Jemie najwyraźniej nie spodobało się, kiedy panna Tatlock wskazała gałąź jemioli. Być może przypuszczała, że panna Tatlock wraz z Beaumontem zastosowali się do tradycji. Fletch starał się zapamiętać miejsca, gdzie powieszono każdy, choćby najmniejszy pęk jemioli.

Potem pozwolił, by Poppy weszła po schodach na górę, gdzie mogła się odświeżyć, zupełnie jakby nie miał ochoty patrzeć, jak jego żona myje twarz. Albo się przebiera. Albo kąpie. Albo...

Zaklął cicho, podszedł do okna i wbił wzrok w niekończącą się przestrzeń parku. Padał śnieg i wiatr unosił w górę wirujące białe tumany.

Beaumont stanął tuż za nim.

- Wygląda jak solidna burza - powiedział.

Fletch przytaknął.

- Czy wszyscy goście już przybyli?

- Wszyscy oprócz pana Dautry'ego. Ma tu dotrzeć dziś wieczorem, o ile nie zatrzyma go pogoda. Przy okazji, lokaj powiedział mi, że przyszło mnóstwo listów. Niektóre z nich do pana. Większość, jak sądzę, ma związek z przemówieniem, które pan wygłosił.

Odwrócił się i spojrzał na Fletcha.

- To było diabelnie dobre wystąpienie.

- Jestem zaszczycony, słysząc to - odparł Fletch. - Posłuchałem jedynie pańskiej rady.

- Mojej?

- Powiedział mi pan, że cała rzecz w historii. Miał pan rację. - Fletch przywołał miłe wspomnienie wiwatujących lordów.

- Mówiłem trochę niegłupich rzeczy wielu młodym ludziom, lecz żaden z nich nie zwrócił na to uwagi. Ale pan stworzył historię, która rzuciła Izbę na kolana, Fletcher. - Klepnął go w plecy. - Sądzę, że mógłby pan zostać zbawcą partii. I - dodał, wychodząc - ten Higgle maszcześnie, że jest u pana dzierżawcą.

Fletch uśmiechnął się do śniegu i do zmierzchu. To było dobre przemówienie. A już miał gotowy temat na następne. Poruszy kwestię handlu afrykańskimi niewolnikami, ten mały, brudny sekret, o którym nikt nie chce rozmawiać, a z którego wielu czerpie korzyści. W myślach już układał plan wystąpienia, jego wewnętrzny porządek, odwołania do przyzwoitości i zdrowego rozsądku. Do prawości.

W końcu wszedł na górę i w kąpeli zajął się przeglądaniem poczty. Listy przyniosły mu satysfakcję. Tak wielką, że gdy chwilę później wszedł do salonu, wciąż się uśmiechał. Naturalnie uśmiech ten mógł też mieć coś wspólnego z dzwonem, który bił w jego piersi: „Dziś wieczorem! Dziś wieczorem! Dziś wieczorem!”

To jednak nie przeszkodziło mu zauważyć ciszy, jaka zapadła, gdy wszedł do salonu.

Poppy zerwała się na równe nogi i podbiegła do niego. Przez chwilę sądził, że chce się do niego przytulić, i ledwie się powstrzymał przed wykonaniem czułego gestu.

Zatrzymała się tuż przed nim, wymachując w powietrzu kartką papieru.

- Fletch, coś złego stało się mojej matce.

Uniósł brew.

- Zadławiła się własnym jadem i...

- Fletch!

Jego ukochana, cudowna żona patrzyła na niego gniewnie.

- Mówię poważnie. Coś strasznego spotkało moją matkę. Dostałam od niej list. -
Podała mu kartkę.

Fletch spojrział na pismo, ponad ramieniem Poppy zauważając, że całe towarzystwo szepcze o czymś z ożywieniem niczym trupa aktorska, gdy księżę Walii wchodził za kulisy.

- „Do mojej córki, księżnej Fletcher, hrabiny Fulke, baronowej Ryskamp et cetera, et cetera”. - Zrobił zdumioną minę.

- Znasz moją matkę, Fletch - przerwała mu Poppy. - Ona uwielbia wszystkie te tytuły Po prostu przeczytaj list.

- „Spotkało mnie wielkie nieszczęście. Chociaż moja dusza jest niewinna niczym najczystszy kwiat, żadne bezstronne słowa nie mogą mnie już ocalić. Słowa prawdy, niczym klejnoty, zawisły w uszach stołów...” Poppy, to nie ma sensu. Jakie stoły mają uszy?

- To nie stoły, Fletch, tylko anioły. Słowa prawdy zawisły w uszach aniołów.

- A tu dalej jest mowa o diable... o, zobacz, „jego prawdziwy wróg”. Kto jest wrogiem diabła? Twoja matka?

Powiedziałbym raczej, że ona i diabeł są najlepszymi kompanami, dodał w duchu.

- Tego nie jestem pewna - stwierdziła Poppy. - Przeczytaj następny akapit. Nie była już tak podekscytowana i to ma więcej sensu.

- „Plotka jest dyskretnym sługą. Niczym plaga uderza w rozum prawdy i szarpie jej trzewia...” Hm, tylko zgaduję, ale czy może chodzić o to, że ktoś o niej plotkuje?

- Czytaj dalej!

- „Gorzej niż jad rudowłosego”. No, to już coś! Jakiś rudowłosy rozsiewa o niej plotki?

- Nie! Nie jestem pewna, co miała na myśli, pisząc to.

- Cóż, włosy Axminstera mają lekko rudawy odcień - zasugerował Fletch. - Wprawdzie nie sądziłem, że mógłby zainteresować się twoją matką, ponieważ nieczęsto można ją spotkać za kulisami kabaretów, ale może poszerzył krąg swoich znajomości?

- Fletch, czy możesz być poważny? Popatrz niżej.

Przymrużył oczy.

- Wygląda na to, że schroniła się na wsi, jeśli o to jej chodziło, gdy wspominała o „sanktuarium” i „niezdobytej twierdzy uciśnionej cnoty”.

- Nie chodzi o wieś, Fletch.

- Nie? - poczuł się nieco zawiedziony. - Została w Londynie?

- Nie. Udała się do sanktuarium. Moja matka wstąpiła do klasztoru!

- Do klasztoru? Nie mamy żadnych klasztorów.

- Ściśle rzecz biorąc, jest kilka klasztorów w Szkocji, jak sądzę. Ale ona pojechała do Francji. Widzisz ten fragment o biskupie Meux? Zawsze ją podziwiał. Wyjechała, Fletch. Wyjechała do Francji!

- Twoja matka wyjechała do Francji? - Fletch poczuł się, jakby wypił potężny łyk najlepszej brandy. Rodzaj słodkiego, gorącego szczęścia, które rozpływało się po całym jego ciele. - Twoja matka wyjechała do Francji!

W tej chwili Jemma zawołała.

- Poppy, ja też mam list na ten temat!

Fletch wraz z Poppy podszedł do Jemmy, starając się zapanować nad szerokim uśmiechem.

- Posłuchaj tego - mówiła Jemma. - To od lady Smalley. Prawie jej nie znam, co znaczy, że musiała wysłać kopie tego listu do wszystkich z towarzystwa. Na początku pisze trochę o „nieskalanym imieniu” lady Flory i o tym, że nie wierzy plotkom. „Siedziałyśmy w salonie księcia Fletchera, teraz przedziwnie odmienionym z przepychem tak skrajnym, że lady Cooper skomentowała, iż czuje się jak w królewskim burdelu. Lady Cooper oczywiście jak zwykle lubi żartować...”

- Gdyby ktoś miał stracić reputację - wtrąciła pani Patton - lepiej niech tego nie czyni w obecności lady Cooper, złośliwej sekutnicy, jeśli wolno mi wyrazić moją opinię.

- Proszę czytać dalej - powiedział Fletch, sadowiąc się wygodniej. - Cały zamieniam się w słuch.

Poppy posłała mu potępiające spojrzenie.

- Mówimy o mojej matce, Fletch. Twojej teściowej.

- Dokładnie tak - odparł. - Dokładnie.

Jemma wróciła do czytania listu.

- „Aż zupełnie niespodziewanie przy drzwiach pojawił się jakiś młody człowiek. Z wyglądu był całkiem atrakcyjny, chociaż miał w sobie coś niepasującego do dżentelmena. Przywitał lady Florę najczulszym tonem, wydając się w pierwszej chwili nie zauważać, że wszystkie tam jesteśmy. A kiedy zauważył naszą obecność, zamilkł i na sto sposobów okazywał zmieszanie i konsternację”.

- Miała kochanka! - jęknęła Harriet. Po czym spojrzała na Poppy. Naturalnie to tylko sprawia takie wrażenie. Trudno w to uwierzyć w przypadku tak niezłomnej kobiety jak lady Flora. Wszak nigdy nie okazała najmniejszej oznaki moralnej słabości.

- Z pewnością nie - mruknął Fletch.

Poppy spojrzała na Jemmę z osłupieniem.

- To niemożliwe - orzekła. - Znam moją matkę. Czytaj dalej, Jemmo.

- Streszczę ci dalszy ciąg. Ów przystojny młodzieniec czym prędzej się wycofał, ale szkody już się nie dało naprawić. Lady Flora doznała ataku nerwowego, który uniemożliwił jej logiczną rozmowę. Wówczas lady Cooper wzięła na siebie zadanie przyniesienia od lokaja soli trzeźwiących i oczywiście skorzystała z okazji, by go dokładnie przepytąć.

Zerknęła na Poppy.

- To doprawdy niefortunny przypadek, że twoja matka zaprosiła na herbatę lady Cooper.

- Lady Cooper jest jedną z jej najbliższych przyjaciółek - powiedziała. - Ale to nieistotne. To wszystko jest po prostu... niemożliwe.

Nie do pomyślenia.

- Nie według lady Cooper. Wasz własny lokaj wyznał szczerze, że ów młody człowiek początkowo bywał w domu, aby pomagać twojej matce w dekorowaniu wnętrza. Lecz w ciągu następnych miesięcy wszyscy zauważyli, że spędzają ze sobą coraz więcej czasu.

- Niemożliwe! - wykrzyknęła Poppy.

Fletch ujął ją za rękę.

- Niestety, rodzina zwykle dowiaduje się ostatnia, najdroższa.

Spojrzała na niego tak, że postanowił się więcej nie odzywać. Naprawdę, zdarzały się chwile, w których przypominała swoją matkę.

- Czy lady Smalley dodała coś jeszcze? - zapytała Poppy.

- Tylko tyle, że ów młodzieniec rzeczywiście był bardzo przystojny a przyciśnięty do muru utrzymywał, że będzie bronił jak lew czci i imienia lady Flory, która jest jego najdroższą patronką i niczym więcej. To cytat. Naturalnie rozпалиło to tylko ciekawość wszystkich, gdyż nie ma nic gorszego niż mężczyzna broniący honoru kobiety. Jeśli tego człowieka nie łączyłoby nic z twoją matką, Poppy, po prostu by zaprzeczył, zamiast opowiadać o jej honorze.

- To prawda - orzekła pani Patton. - Mowa o honorze zawsze jest pogrzebowym dzwonem dla reputacji kobiety.

Poppy pokręciła głową.

- Nie mogę w to uwierzyć. Po prostu nie mogę... Nie mogę uwierzyć.

Fletch nie odezwał się ani słowem.

- Ponieważ na kolację dzwoniło już dawno temu, sądzę, że powinniśmy udać się do jadalni. Chyba że mamy ochotę na zimne mięso - powiedziała Jemma, wstając. - Poppy, wiem, że to musi być dla ciebie przykre. Może wolisz zjeść w pokoju?

- Nie - odparła. - Jemmo, czy mogłabym przeczytać ten list? Nie mogę uwierzyć w to wszystko!

- Pamiętasz, jak wyszło na jaw, że Bussy d'Ambois ma romans z hrabiną de Montsury podczas gdy wszyscy sądzili, że zabawia się z księżną de Guise? Zapewniam cię, że hrabia Montsury był równie zaskoczony jak ty teraz.

- Ale to się tak nieprzyjemnie skończyło - odezwał się Fletch. - Hrabia chyba oszalał?

- Zamordował swoją żonę - przypomniała Jemma - twierdząc, że musi bronić honoru nazwiska.

- Przypuszczam, że znajdą się teraz tacy, którzy pomyślą, że twoje imię doznało uszczerbku przez związek z matką. - Fletch zwrócił się do Poppy, która czytała list lady Smalley.

- Nonsens - odparła.

- Zatem, jak się domyślam, nie muszę być aż tak radykalny jak hrabia de Montsury
- rzekł z nutą rozczarowania w głosie.

Jemma spojrzała na niego ostro.

Odpowiedział jej bladym uśmiechem.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy, nie sądzicie? Jestem niemal pewien, że lady Flora wkrótce będzie rządzić każdym klasztorem, w jakim umieści ją jej przyjaciel biskup.

- Oczywiście, że tak - powiedziała Poppy, oddając list Jemie. Ale...

Mówiła przez całą drogę do jadalni. I przez większość kolacji. Smutne było to, że Poppy nie mogła przyjąć do wiadomości prawdy, podobnie jak hrabia de Montsury. Jednak kiedy podano kompot gruszkowy i ciasto z jabłkami, powoli zaczynała się godzić z rzeczywistością.

- Po cóż twoja matka miałaby wyjeżdżać do Francji, gdyby wszystko było nieprawdą? - powtarzał Fletch. - Po prostu zignorowałyby to.

Potem okazało się, że Beaumont, który zwlekał z otwarciem swojej poczty, otrzymał podobną relację. Autor listu opisywał, jak ów młody człowiek padł udręczony na kolana przed lady Florą i całował jej stopy. Wszyscy zgodzili się co do tego, że ten szczegół został nieco upiększony.

- Ale prawda zostaje prawdą - rzekł Fletch. - Twoją matkę uwiodła ładna twarz, Poppy. Mimo wszystko ona też jest człowiekiem.

- Nie. Ona jest... - Poppy sama się zreflektowała.

- Człowiekiem - dokończył z zadowoleniem Fletch. - Niczym więcej jak tylko bezradną przedstawicielką ludzkiej rasy. Jak my wszyscy.

46

Śama myśl, że matka mogła mieć kochanka, była niewyobrażalna. To oczywiste, że nastąpiła jakaś straszna pomyłka. Poppy wypiła do kolacji sporo wina, starając się przekonać siebie, że powinna współczuć matce.

Ale pewne fakty sprawiały, że nie potrafiła się smucić. Jednym z nich było to, że lady Flora przeniosła się do Francji. Wstąpiła do klasztoru. Kiedy Poppy i Fletch wrócą do Londynu, nie będzie żadnych wściekłych listów, żadnych przypadkowych spotkań, kończących się jadowitymi uwagami na temat fryzury czy stroju. W ogóle żadnych spotkań.

Powiedzieć, że zrobiło jej się lżej na sercu, byłoby eufemizmem Poppy czuła się, jakby wypiła całą skrzynkę szampana.

Kiedy kolacja dobiegła końca, damy zostawiły dżentelmenów przy porto i przeszły do salonu. Harriet i pani Patton wybrały się odwiedzić ochronkę. Jemma usadowiła się na sofie wraz z Isidore i... hm... Louise. Co było tym bardziej upokarzające, że Poppy postanowiła poprosić o poradę małżeńską. Ale i tak Louise wiedziała już o jej małżeństwie wszystko, co najgorsze.

Poppy zebrała się w sobie i pomaszzerowała w stronę Jemmy. Trzy damy siedziały, sącząc poncz, i wyglądały jak rycina z „Lady's Magazine”. Nie, żeby Poppy uważała, że wygląda niemodnie. Zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że ma na sobie marszczoną i obszytą falbankami halkę. Szyję ozdabiała koronkowa obróżka, a włosy podniesione były na najmniejszej z możliwych poduszce, bez śladu pudru. Wyglądała uroczo. Prawdę mówiąc, uważała, że jej lśniące włosy bez pudru wyglądały znacznie lepiej niż upudrowane. Lecz co najważniejsze, nie wyglądała...

Jak Louise.

Louise miała w sobie coś łobuzerskiego i zmysłowego. Nie chodziło tylko o to, że jej suknia wydawała się trochę bardziej wycięta i nieco bardziej obcisła - chociaż taka naprawdę była - lecz o coś w jej ruchach, kiedy szła, coś w kolorze warg i jej śmiechu - niskim i gardłowym.

- Witaj, kochanie - zawołała Jemma, spoglądając na Poppy. - Czy próbowałeś ponczu? Bo szczerze mówiąc, wydaje mi się, że jest odrobinę za mocny. Nie jestem pewna, czy dam radę go wypić.

- Jeszcze nie - odparła Poppy. - Ale może powinnam.

- Zdecydowanie powinnaś - odezwała się Isidore, chichocząc opętańczo. Policzki miała zaczerwienione, co wyglądało uroczo w połączeniu z jej czarnymi jak węgiel włosami. Sprawiała wrażenie lekko podchmielonej.

Louise chwyciła Poppy i przyciągnęła ją do siebie.

- Usiądź przy mnie - powiedziała. - Jak pięknie wyglądają twoje włosy. Proszę, weź mój poncz. Ledwie go powąchałam, nie mogę pić mocnych trunków.

- Nie jestem pewna, czy ja mogę - rzekła Poppy. Spróbowała jednak i wydał jej się bardzo smaczny. Pachniał cynamonem, winem i świętami. - Potrzebuję pomocy - wyznała otwarcie.

Isidore spojrzała na nią zdziwiona.

- Chcesz, żebyśmy wyrzuciły z domu twojego męża? Jemmo, powinnaś lepiej się zastanowić, zanim zaprosiłaś na przyjęcie tego człowieka po tym, co zdarzyło się ostatnim razem, gdy się wszyscy spotkaliśmy!

- To ja go zaprosiłam - wtrąciła pośpiesznie Poppy.

Isidore otworzyła usta, co wyglądało komicznie.

- Naprawdę?

- Chciałam... Cóż, zmieniłam zdanie.

- Na jaki temat? - spytała Louise.

- Co do niego.

Jemma się uśmiechała.

- Doszłaś do wniosku, że ptaszek w garści jest lepszy niż naturalista na drzewie, czyż nie?

- Tak - potwierdziła Poppy.

- Jak możemy pomóc? - zapytała Isidore, pociągając łyk ponczu.

Louise przymrużyła oczy.

- Jutro będzie cię straszliwie bolała głowa, Isidore. I, nie obraż się, ale twoja twarz jest już zaróżowiona.

- Zawsze robię się czerwona jak burak, kiedy piję trunki - wyznała Isidore. - Ale bądźmy szczerze, kogo to obchodzi? Mój mąż jest daleko stąd, w Indiach, albo gdzie indziej. Mogłabym zmienić kolor na fioletowy, a na nim nie zrobiłoby to żadnego wrażenia.

- To wieprz - powiedziała bez ogródek Jemma. - Jeśli masz ochotę być czerwona, Isidore, proszę bardzo.

- Dziś jest jeden z tych dni - wyznała Isidore, mówiąc tylko odrobinę niewyraźnie
- kiedy mam ochotę zrobić coś szalonego.

- Nie wątpię - odparła natychmiast Louise. - A kiedy nadejdzie pora, uspokoimy cię. Lepiej powstrzymać cię od szaleństw, kiedy jesteś nietrzeźwa.

Poppy pociągnęła potężny łyk ponczu. Jej zdaniem lekkie upojenie tylko ułatwiało szaleństwa.

- Ja też chcę zrobić coś szalonego.

- Co takiego? - spytała Isidore, spoglądając na nią. - Czy twój mąż także wybiera się do Indii?

Louise sięgnęła i wyjęła Isidore kubek z dłoni.

- Wystarczy ci już, moja droga. W tym tempie uśniesz przed Wigilią i stracisz wszystkie przyjemności.

- Nie jestem pewna, na ile będziemy w nastroju na świętowanie - odezwała się Jemma, sprawiając wrażenie zaniepokojonej. - Lokaj powiedział, że Villiers wcale nie ma się lepiej. Poszłam się z nim zobaczyć, ale znowu spał. Myślę, że przesypia większą część dnia.

- Och, moja droga - rzekła Isidore ze smutną miną. - Myślałam, że być może poślubiłabym go zamiast mojego księcia, ale mogłabym to zrobić, tylko jeżeli przeżyje.

- Nie wiedziałam, że lubiłaś Villiersa - powiedziała zaskoczona Jemma.

- Ledwie go znałam. Ale jest księciem. Mogłabym po prostu wymazać nazwisko mojego męża z aktu małżeństwa. To mi się wydaje dość uczciwą zamianą za męża, którego właściwie nie mam. Jeden książę w Anglii jest wart dwóch w Indiach.

- Ale zapomnieliśmy zupełnie... - wtrąciła Jemma. - Jak możemy ci pomóc, Poppy?

Poppy właśnie skończyła swój poncz i cieszyła się przyjemnym uczuciem ciepła w żołądku.

- Fletch mówi, że mężczyźni przestają się interesować kobietami po kilku miesiącach sypania z nimi - powiedziała. - Dlatego przestałam być dla niego interesująca.

- *Bastardo!* - syknęła Isidore, wyjmując kubek z ręki Jemmy i pociągając z niego łyk.

- Chciałabym... Chciałabym zwabić go z powrotem do mojego łóżka.
- Jesteś równie czerwona jak ja - zauważyła Isidore.
- Femme fatale. - Uśmiechnęła się Jemma. - Louise, Isidore, idziemy! - Chwyła Poppy za rękę. - Na górę!

Fletch właśnie doszedł do wniosku, że niecodziennie wyglądający lokaj Jemmy jest osobą, która może mu powiedzieć, czy jego żona już śpi. Nagle Beaumont kaszlnął z dziwnym wyrazem twarzy. Grali w wista. Fletch podniósł wzrok i napotkał rozbawione spojrzenie Beaumonta. Odłożył karty.

- Tak? - spytał.

- Sądzę - odezwał się Beaumont - że to przedstawienie jest skierowane raczej do pana niż do mnie.

Fletch wstał i się odwrócił. Poppy stała w drzwiach.

Przy kolacji jej włosy były ułożone nad głową, w jedną z tych fryzur, które lubią kobiety, chociaż bez pudru. Wyglądała pięknie i uroczo. Teraz było zupełnie inaczej.

W drzwiach stała... kurtyzana. Miała loki spięte na szczycie głowy i mieniące się klejnotami, a kilka kosmyków opadało jej na ramiona. Oczy mocno podkreśliła czarną kreską, dzięki czemu sprawiały wrażenie dwa razy większych i cztery razy bardziej błękitnych. Karmazynowe wargi układały się w nieznaczny, kpiący uśmiezek.

Jej sukienka miała barwę ciemnokarmazynową, niemal czarną, a gorset zaczynał się poniżej piersi. Nic oprócz delikatnego skrawka koronki nie zakrywało jej sutków. Szyję ozdobiła wielkim, olśniewającym naszyjnikiem z zawieszka, która opadała dokładnie między zachwycające półkule piersi.

Cały salon zamarł.

Fletch ruszył naprzód, choć miał ochotę paść na kolana.

Poppy spojrzała na niego i na szkarłatnych wargach pojawił się pełen aprobaty uśmiech.

Fletch złożył głęboki ukłon.

- Dobry wieczór, pani.

- *Bonsoir* - jej głos nie brzmiał słodko. Był ochrypły, zdecydowany, bardzo kobiecy. To był głos Francuzki.

Jemma wraz z pozostałymi kobietami wśliznęła się do salonu, lecz Fletch nie odrywał wzroku od Poppy.

W jej oczach nie było nawet cienia wahania. Ani obawy. Była w każdym calu - kobietą, która doskonale wie, czego chce.

Jego.

- Jestem tutaj tylko dziś wieczorem - oznajmiła.

- Z wizytą? - wykrztusił.

- Z Francji.

- Czy mogę coś pani podać... mademoiselle?

- Niestety - powiedziała, opuszczając rzęsy. Były nieprzyzwoicie czarne i tak długie, że Fletch aż zdarzał. - Nie jestem mademoiselle.

- Czyżby była pani mężatką? - spytał, ujmując jej dłoń i podnosząc do ust. - *Je suis desole*, tak mi przykro.

Wzruszyła nieznacznie ramionami.

- Dlaczego? Małżeństwo to taki interesujący stan.

- Doprawdy?

- Ależ oczywiście! Tylko zamężna kobieta może naprawdę wiedzieć, czego chce.

Jemma, stojąca za nim, wybuchnęła śmiechem. Lecz Fletchowi serce biło zbyt szybko, by się roześmiać. Każdy cal jego ciała wypełniał głód drapieżnika. Miał ochotę przerzucić Poppy przez ramię i zabrać ją na górę - każdą smakowitą cząstkę jej ciała. Jej piersi były widoczne dla wszystkich. On sam dostrzegł sutek, przebijający się przez białą koronkę.

- A czego małżeństwo nauczyło panią o pożądaniu? - zapytał, sam zaskoczony chrapliwością swego głosu. - Czego pani chce, madame?

Coś zmieniło się w jej oczach. Na moment spoważniały.

- Poppy? - spytał. - Czego chcesz?

Jeszcze raz podniósł do ust jej dłoń. Samo dotknięcie wargami jej skóry sprawiło, że zadrżał, niczym rasowy koń, czekający na linii startu.

- Ciebie.

Powiedziała to miękko i posłała mu jedno z tych dwuznacznych, rocznych, niebezpiecznych spojrzeń.

- Chcę ciebie.

Jedynym wyjaśnieniem, jakie potrafił znaleźć Fletch, było to, że stracił głowę. Właśnie tam, w salonie pełnym rozchichotanych lordów, co najmniej dwóch lub trzech służących, nie wspominając o lokaju z włosami jak morska piana...

Księżę Fletcher wziął swoją księżną - a może była to tylko dzika Francuzka z krótką wizytą - na ręce i opuścił salon. Udali się na górę.

47

Umieranie nie jest łatwą sprawą. Villiers sądził, że pogodził się z tym, choć wcale mu się to nie podobało. Szkocki lekarz przestał polewać mu ranę terpentyną, lecz nie miał zachwyconej miny, kiedy go obejrzał. Poza tym Villiers wyczuwał złe nowiny. Gorączka nie męczyła go już tak bardzo - i to było dużo - ale wycieńczenie niczym kotwica wciągało go w głąb morza.

- Nie zamierzam już długo żyć - oznajmił Charlotte, która pojawiła się nagle po kolacji i opowiedziała mu historię o lady Florze i młodym służącym, w którą nie wierzył ani przez moment. Teraz siedziała przy nim, czytając mu jedną z powieści pana Fieldinga. Villiers już od wielu stron nie słuchał. Lubił po prostu leżeć i patrzeć, jak Charlotte porusza ustami, czytając. I obserwować delikatne kości jej dłoni, gdy przewraca strony.

- Dlaczego nie została pani na dole z filozofami? - spytał. - Specjalnie domagałem się, by zostali zaproszeni.

Charlotte podniosła wzrok znad książki.

- Księżna powiedziała, że w kręgu jej znajomych nie ma żadnych filozofów. A pan będzie żył. Doktor uważa, że infekcja rany ustąpiła.

Villiers uśmiechnął się blado.

- To pani mówiła mi, że bym nie przykładał zbyt wielkiej wagi do tego, co mówią lekarze.

Miał absolutną rację co do przyjęcia. Etykieta nie miała tu zastosowania. Jemma zaprosiła go do gry w szachy i nawet rozegrał kilka ruchów, nim zdał sobie sprawę, że zupełnie go to nie obchodzi.

Wtedy Jemma zrobiła smutną minę i wyglądała, jakby miała się rozplakać, więc zamknął oczy i udawał, że zasnął. Tyle że ostatnio zamykanie oczu nie było bezpieczne. Kiedy je otwierał, przekonywał się, że minął dzień i zapadła noc. Albo że noc również minęła, a także większa część dnia.

Nikogo nie interesowało, że Charlotte siedzi obok niego, a ona nigdy nie była smutna. Jak mógł oczekiwać, drażniła się z nim.

- Czy ma pan zamiar tak umrzeć? - pytała uszczypliwie.

Niemal się roześmiał, lecz kosztowałoby go to zbyt wiele wysiłku i bólu.

- Odwoływanie się do mojej próżności nic nie pomoże. Czy mogę się zwracać do pani po imieniu, o mądra panno Tatlock?

Uniosła w górę długi nos.

- Mówienie sobie po imieniu jest wyrazem zażyłości.

- Chciałbym być z panią w zażyłych stosunkach.

Na moment zapadła cisza.

- Chociaż nie zostanę na tym świecie wystarczająco długo, by się z panią ożenić - dodał.

- Nie chciałby się pan ze mną ożenić. - Podniosła książkę. - Czy mam czytać dalej?

- Ależ oczywiście, że bym chciał - powiedział, ponieważ nie było żadnego powodu, by trzymać to w tajemnicy. - Lubię panią, Charlotte. Wcześniej myślałem, że mógłbym kochać tylko Jemmę, ale teraz jestem zupełnie pewien, że pokochałem panią.

- To bardzo głupie z pana strony - warknęła.

- Tak? - Obserwował ją spod przymkniętych powiek i dostrzegł wilgotny błysk w jej oczach. Nie chciał, żeby była smutna. Ta myśl wprowadziła go w panikę. - Więc proszę o tym pomyśleć. Co za szkoda, że umieram. Mogłaby pani odziedziczyć fortunę!

Zareagowała natychmiast.

- Proszę uważać, co pan mówi. Mogłabym sprowadzić pastora i poślubić pana jeszcze dzisiaj.

- Nie miałbym nic przeciwko temu.

Teraz wargi wyraźnie jej drżały. A były to wargi delikatne i różowe. Villiers zupełnie nie myślał o intymnym kontakcie, ale zwrócił uwagę na jej wargi. Mówiła przykre rzeczy, lecz usta miała małe i słodkie.

- Ależ tak, miałby pan! - rzuciła z zapałem. - Nigdy nie poślubię pana dla majątku i proszę o tym nie zapominać!

- A czy wyszłaby pani za mnie z innych powodów? - Obserwował ją zza długich rzęs. Oczywiście powie, że nie. Był wrakiem człowieka, umierającym, głupim, samotnym. A ona...

- I nie tylko dlatego, że rozpaczliwie tęskni pani za ślubną obrączką? - dodał. Nie chciał tracić czasu na konwenanse. Nie w obliczu rychłej śmierci.

- Nie wiem - odparła powoli. Wyciągnęła rękę i jej ciepłe palce chwyciły jego dłoń.

Znowu poczuł się straszliwie wyczerpany. Był tak zmęczony bólem. Teraz czuł go w całym ciele, więcej niż jeden rodzaj bólu.

- Czy pomyślałaby pani, że jedna mała rana od szpady może doprowadzić do czegoś takiego?

Ścisnęła jego rękę.

- Proszę nie umierać - powiedziała pospiesznie. - Proszę. Ale on wiedział, że nie ma wyboru.

- Czy wie pani, jak się czuję, Charlotte?

- Nie.

- Jak pochodnia. Jak pochodnia na wietrze.

I wtedy zapadła ciemność, zanim zdążył powiedzieć następne słowo.

Charlotte siedziała obok Villiersa i patrzyła, jak śpi. Był wycieńczony, twarz miał bladą jak pergamin. A jednak wciąż widziała ten wspaniały skrawek życia, który składa się na duszę. Nietrudno było zauważyć, jak kruche jest to miejsce, w którym przebywa dusza.

Dautry wszedł bardzo cicho. Właśnie przyjechał, spóźnił się na kolację.

Chwilę trwało, nim zdała sobie sprawę, co się z nim stało. Już nie był ogorzałym marynarzem. Wyglądał olśniewająco, odziany w płaszcz z chabrowej tkaniny, dopasowany do jego szerokich ramion. Miał na sobie koszulę z najdelikatniejszego płótna. Zdradzały go tylko dwie rzeczy - włosy, które nadal opadały mu w nieładzie aż do ramion, i te same wytarte, wygodne buty, które nosił poprzednio.

- Wielkie nieba - powiedziała cicho. - Wygląda pan jak książę.

- Wyglądam jak nadęty paw - rzucił, obchodząc łóżko dookoła. Ujął Villiersa za rękę. - Do diabła.

Nie było sensu udawać, że nie wie, co ma na myśli. Wszystkie oznaki wskazywały, że życie Villiersa dobiega końca.

- Jutro Wigilia - powiedziała. - Miałam nadzieję, że będzie z nami w święta.

- Jeszcze może panią zaskoczyć.

- Już to zrobił - odparła.

Dautry spojrział na nią, zdumiony.

- Poprosił, żebym za niego wyszła.

Przez krótką chwilę jego twarz wykrzywił grymas wściekłości, po czym stała się równie beznamiętna jak poprzednio.

- Zrobił to? - wycedził. - Czy to pani podsunęła mu ten pomysł?

Wstała i otrzepała spódnice.

- Jest pan dupkiem.

- Subtelna angielska dama używa takiego słowa? - rzekł kpiąco.

- Dupek! - powtórzyła, napawając się brzmieniem tego wyrazu we własnych ustach. W tej podróży, w całej jej znajomości z księciem de Villiers było coś, co ją odmieniło. Uczyniło ją bardziej podobną do niego, bojową, odważniejszą. Pogładziła leżącą na kołdrze dłoń Villiersa.

Dautry przeszedł dookoła łóżka.

- Widzę, że go pani lubi.

Musiła odwrócić głowę. Stał tuż za nią i był taki wysoki.

- Jest pan...

- Wiem - przerwał jej. - Już mi to pani mówiła.

Patrzył na nią z taką dezaprobatą, że aż przeszył ją dreszcz. Zupełnie jakby ona, Charlotte Tatlock, robiła coś niemoralnego. W gruncie rzeczy był to komplement.

- Więc uważa pan, że mogłabym uwieść umierającego księcia. Skłonić go do małżeństwa i zostać księżną?

- Czy to właśnie pani robi?

Spodobałaby jej się ta wizja, gdyby tylko nie obejmowała śmierci Villiersa.

- Ma na imię Leopold. Wiedział pan o tym?

Znowu wyglądał na wściekłego.

- Jak spotkała pani księcia?

Nagle poczuła jego ręce na ramionach.

Będzie mną szarpał, pomyślała. Starła się powstrzymać uśmiech. Dautry naprawdę uważał ją za uwodzicielkę, a nie zwykłą starą pannę, mieszkającą przy Gough Square.

- Jak długo pani go zna?

- Dość długo - odparła, przedłużając przyjemność, jaką czerpała z tej rozmowy.

Ale nie wiedziała wystarczająco dużo o mężczyznach. A może nie wiedziała wystarczająco dużo o Dautrym. Nie szarpał nią. Nagle pochylił głowę i zanim się zorientowała, co zamierza, poczuła jego usta na swoich wargach.

Na jej wargach!

Jego usta były silne i gorące. Charlotte poczuła jego zapach. Pachniał jak marynarz - rześkim wiatrem i odrobinę goździkami. Najdziwniejsze myśli przemykały jej przez głowę, o uwodzicielkach całujących nieznanym mężczyzn...

Pomysł ten spodobał jej się tak bardzo, że zrobiła dokładnie to, czego oczekiwał. Rozchyliła usta.

Wtedy jednak pocałunek się zmienił i nie mogła już myśleć tak jasno jak przed chwilą. Przestał ją trzymać za ramiona i przyciągnął ją do siebie. Jego korzenny zapach uderzał jej do głowy, więc objęła go ramionami za szyję.

Przerwali dopiero, gdy dobiegł ich jakiś odgłos od strony łóżka. Odsunęła się i odwróciła, lecz Villiers wciąż spał. Drżała na całym ciele. Nic dziwnego, pomyślała. Nic dziwnego, że mężczyźni i kobiety...

Sięgnęła i poprawiła mu kołdrę, zastanawiając się nad tym, co się stało.

- Czy miejscowy lekarz coś powiedział? - spytał Dautry cicho, na wypadek, gdyby Villiers miał lekki sen.

Lekarz nie powiedział wiele więcej niż to, czego sama się domyślała.

- Jeśli przeżyje dzisiejszą noc... Ale doktor Treglown nie sądzi, by mu się udało. A co pan myśli?

Dostrzegła w jego oczach odpowiedź, zgodną z tym, co sama przeczuwała.

- Co pani robi, jeśli on umrze? - Jego głos brzmiał teraz inaczej. Wciąż cedził słowa, lecz słysząc w nim było pożądanie.

- Nic - odparła, odwracając się do niego. - Będę płakać.

- Przyjdę posiedzieć z nim dziś wieczorem - oznajmił, kierując się do drzwi. - Muszę coś zjeść. Dotrzyma mi pani towarzystwa?

Spojrzała na Villiersa, ale spał dalej, tak samo jak zwykle, jakby każdy oddech był dla niego ogromnym wysiłkiem i jakby w każdej chwili mógł odejść. Patrzenie, jak umiera, było męczące.

- Proszę pójść ze mną - powiedział nieco łagodniej. - Może pani wrócić później. Zresztą wrócimy oboje.

Blount całym swoim jestestwem wyrażał dezaprobatę. Oczywiście wykonywał obowiązki. Umieścił ich oboje przy wygodnym stole w pokoju przedpołudniowym. Obsługiwał ich osobiście, ponieważ widział, co się święci. Przyglądał się, jak Dautry uśmiecha się do panny Tatlock, jak kładzie rękę na jej ramieniu. Nie mógł pozwolić, żeby ta Jezabel demoralizowała służących.

Zdawał sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Uważał ją za kochankę księcia de Villiers, a tymczasem siedziała tu z jego spadkobiercą. Śmiała się. Rozmawiała. Co to za kobieta?

Podając posiłki, ociągał się jak mógł, licząc, że uda mu się podsłuchać jej sekrety. Konwersacja nie sprawiała wrażenia szczególnie lubieżnej. Mówili o Indiach - miejscu zapomnianym przez Boga, zdaniem Blounta - i piratach - także porzuconych przez Boga - a w końcu o wielorybach. Na ich temat Blount nie miał jeszcze wyrobionej opinii, lecz podchodził do nich z rezerwą.

Nalewał drugą butelkę wina, kiedy odkrył, co czyniło pannę Charlotte Tatlock tak pociągającą. Chodziło o sposób, w jaki odpowiadała Dautry'emu. Odpowiadała. To nie do pomyślenia w przypadku młodej kobiety. A jednak tak właśnie postępowała. Napełniał ich szklanki w czasie rozmowy, w której ona z ożywieniem wypowiadała się na temat przemytników. I broniła ich, wyobraźcie sobie!

Blount natychmiast podjął decyzję. Nie dostaną więcej wina. Ani kropli! Nawet jeśli Jezabel go zażąda.

Był rozczarowany, kiedy wrócili do sypialni Villiersa, zupełnie jakby nie zauważyli, że kamerdyner ich porzucił. Rozmawiali zawzięcie.

48

Poppy nie była sobą. Nie była już potulną, głupiutką córką lady Flory. Nie była osobą, na którą ktoś mógłby krzyczeć albo której można by było rozkazywać.

To raczej ona mogłaby krzyczeć. I mówić innym ludziom, co mają robić.

Czuła się silna. Pozwoliła, by Fletch zaniósł ją do pokoju, ponieważ podobało jej się, jak trzymają ją w ramionach, jak się nią opiekuje.

Kiedy tylko znaleźli się w sypialni, wyrwała mu się. Tej nocy to ona będzie wszystkim kierować.

Odeszła od niego i powoli oparła się o słupek łóżka, wypinając piersi. Fletch stał przy drzwiach, a to, co widział, sprawiało, że serce biło mu coraz szybciej.

To działało.

Miała plan. Plan, do którego Jemma i Louise przekonały ją, gdy poszły razem na górę. I nie zamierzała z niego rezygnować. Nie po dwukrotnym przećwiczeniu, gdy Isidore padła na łóżko i zasnęła, narzekając, że żaden mężczyzna nie jest wart tylu starań.

Ułożyła wargi w senny, zapraszający uśmiezek.

- Słyszałam - odezwała się - że jest pan znużony swoją małżonką.

- Ja...

Nie dała mu dokończyć.

- *Bien*. Bowiem najwyraźniej ja jestem w takiej samej sytuacji.

- Co takiego? - spytał wyraźnie oszołomiony.

Uniosła ręce nad głową i chwyciła słupek łóżka, czując, jak jej piersi swobodnie ocierają się o delikatną koronkę gorsetu. Słyszała przyspieszony oddech Fletcha, który teraz nie wyglądał już jak subtelny, elegancki książę. Oczy mu błyszczały.

- Poppy... - powiedział powoli.

- *Monsieur?*

Opuściła jedną rękę i przesunęła nią wzdłuż szyi, a później przez piersi, dokładnie tak, jak pokazywała jej Jemma.

- To doprowadzi go do szaleństwa - przekonywała. - Mężczyźni uwielbiają, kiedy kobieta dotyka swojego ciała.

- Może powinnam wysłać mężowi swój portret - odezwała się wtedy nieprzytomnym głosem Isidore. - Chyba tak zrobię.

Poppy posłała Fletchowi uśmiech. Nieznacznym, tylko takim, by zorientował się, że to ona dyryguje.

- Dlaczego nie podejdziesz bliżej? - zamruczała.

Znalazł się przy niej w mgnieniu oka.

- Nie dotykaj!

Podniósł ręce. Uśmiech w jego oczach przyprawiał ją o dreszcz. Poczowała narastające ciepło i mrowienie między nogami.

- *Je n'y touche pas, madame* - powiedział.

Ona jednak musiała mieć pewność, że zrozumiał.

- Kobieta taka jak ja - oznajmiła - ma pewne wymagania.

- Tak? - Zbliżył się o krok. - Proszę mi powiedzieć.

Przykryła dłonią pierś i odchyliła głowę do tyłu. Teraz czuła, że całe jej ciało drży, tęskniąc za dotykiem jego dłoni. Od dnia, w którym dokonała odkrycia w gospodzie, poznała swoje ciało. Wiedziała, co sprawia jej przyjemność... I wiedziała, co chciałaby, żeby on zrobił, choć sama myśl o tym sprawiała, że robiła się czerwona na twarzy niczym Isidore.

- Proszę mi powiedzieć - powtórzył. W jego głosie brzmiała dzikość, która sprawiała, że Poppy drżała z podniecenia.

Trudno było mówić wprost. Wstyd odbierał jej mowę, odzierając z francuskiego kostiumu. Wtedy spojrzała na Fletcha. To był jej ukochany Fletch, stojący tuż przed nią. Niczego nie pragnęła bardziej niż tego, żeby ją dotknął. A zaraz potem - aby ona mogła dotknąć jego.

Kiedy na niego patrzyła, nabierała pewności siebie. Wiedziała, że chce dokładnie tego samego, co on. Poczowała, jakby gorąca fala przepłynęła przez całe jej ciało.

- Pragnę cię dotknąć - powiedziała. Mówiła cicho i spokojnie, lecz nie szeptała.

Nie odrywając od niej wzroku, zrzucił płaszcz. Oparła się znowu o słupek. Czuła, że siła pożądania czyni ją wyższą i piękniejszą. Sprawia, że jej wargi bardziej błyszczą, a ciało staje się bardziej ponętne.

Fletch miał szerokie i muskularne ramiona. Wyciągnął koszulę ze spodni.

- No, dalej - powiedziała. Poczowała zakłopotanie, słysząc, że jej własny głos przypomina skrzek.

Ale on także się uśmiechał.

- Co właściwie mam zrobić?

- Chcę, żebyś zdjął koszulę.

Jego uśmiech przyprawiał ją o dreszcz. Zdejmował koszulę powoli, by mogła zobaczyć jego umięśniony brzuch i złocistą skórę na ramionach. Jakże inaczej teraz wszystko widziała! Zawsze uważała, że jest ładny. Ale on nie był ładny.

Był...

Zapra gnęła go polizać. Na szczęście nie mógł usłyszeć tej myśli, chociaż czuła, że jej twarz staje się jeszcze bardziej czerwona.

- A teraz?

Milczała. Nie mogła przecież poprosić mężczyzny, żeby zdjął spodnie. Mimo że... Widziała tę wypukłość... i...

Pokręciła głową.

Zrobił kolejny krok do przodu, tak że niemal się dotykali.

- Wszystko w porządku - szepnął, pochylając się, żeby ją pocałować. - Nie chcę zdejmować spodni. Chcę cię tylko pocałować.

Musnęła jej wargi, całując tak słodko, że poczuła drżenie kolan.

- Nie ma potrzeby...

- Zdejmuj - warknęła, odpychając go. Nie mogła być tak blisko niego. Nie, tak cudownie pachniał. Nie mogła się skupić. Traciła swoją maskę, a on nie pragnąłby jej, gdyby stała się znowu potulną, małą Poppy i pozwoliła mu przejąć inicjatywę. Musiała zachować kontrolę, - *Immediately!* - dodała.

Uśmiechnął się, słysząc to, i zaczął się bawić swoim pasem. Opuścił go nieco w dół. Kochała jego smukłe uda i to niewielkie zagłębienie. Nie potrafiła powiedzieć, skąd wie o jego istnieniu, skoro nigdy świadomie na niego nie patrzyła. Fletch zsunął nieco spodnie. I jeszcze niżej.

Widziała go już setki razy. Zwłaszcza odkąd zaczął nalegać, by kochali się przy zapalonych świecach. Widziała go. Nigdy nie uważała, że jest groteskowy i włochaty, jak to opisywała matka.

Nigdy jednak nie patrzyła na niego wprost i czuła teraz, że drży na całym ciele. Był wielki. I gładki. Fletch opierał dłonie na biodrach, co sprawiało wrażenie, jakby całe jego ciało było właśnie...

Tym. Tam.

- A teraz? - spytał głosem głębokim i kuszącym, jakby rozmawiali o słodyczach.

Myślała gorączkowo, próbując znaleźć jakąś odpowiedź. Jak ma zostać Francuzką, aby on się nie znudził? Co dalej zrobiłaby Francuzka?

Nie potrafiła oderwać od niego wzroku, a jedyną rzeczą, której pragnęła, było...

Nie mogła tego powiedzieć. To takie straszliwie irytujące. Nie była w stanie zebrać myśli.

- Kochanie?

Zaczęła coś mówić, lecz jego spojrzenie było tak słodkie i łagodne, że wiedziała już, że jej się nie udało. Patrzył na nią i widział dawną, głupią Poppy, a nie zmysłową Francuzkę o oczach podmalowanych kohlem.

- Nie! - rzuciła ostro.

Zatrzymał się, lecz nie wyglądał na zadowolonego. Poppy wzięła głęboki oddech. Musi odnaleźć siebie, znaleźć w tym przyjemność. Przegrywa, wiedziała, że przegrywa. Chyba nadszedł czas, by pójść do łóżka. Tak właśnie powinna zrobić.

- Chciałabym, żebyś się położył - powiedziała. Na szczęście nie musiała modulować głosu. Sam zabrzmiał ochryple i prowokacyjnie.

- A nie chciałybyś, żebym cię najpierw rozebrał?

Zamarła na moment. Czy Francuzka pozwoliłaby, żeby mężczyzna ją rozebrał? Nie mogła sobie przypomnieć, czy Jemma mówiła cokolwiek na ten temat. W pewnym momencie wszystkie śmiały się głośno, że ledwie słyszała rady przyjaciółek.

- Francuzka zawsze rozbiera się sama - oświadczyła.

Uśmiechnął się, więc zapewne zachowała się właściwie. Rzuciła się na łóżko. Oparła głowę na rękach i skrzyżowała nogi. Trudno jej było patrzeć na cokolwiek innego niż jego... jego biodra. Zwilżyła wargi, a jej biodra uniosły się lekko.

Zrobiła to znowu i wydał dziwny dźwięk.

Przesunęła więc językiem po dolnej wardze. Patrzył na nią najbardziej zachwyconym, najbardziej smakowitym wzrokiem, jaki kiedykolwiek widziała. A więc wszystko robiła dobrze. Wiedziała, że wszystko robi dobrze. Przeniknął ją lekki dreszcz uniesienia.

- Tu jest tak gorąco - powiedziała niskim, kuszącym głosem. To było jedno ze zdań, których nauczyła ją Jemma. I zabrzmiało doskonale, chociaż Isidore płakała ze śmiechu i powiedziała, że Jemma mówi niczym dziwka za trzy pensy.

Wtedy po prostu rozchyliła dekolt i zsunęła na ramiona. Fletch wykladał jak umierający z pragnienia człowiek, który zobaczył wodę.

Poppy znowu oblizała wargi i zsunęła nieco sukienkę. I jeszcze niżej..

- Kochanie, zabijasz mnie! - Jęknął. Poppy zaś poczuła falę gorącą ogarniającą jej ciało.

- Mm... - zamruczała, zsuwając nieco niżej rękawy.

Jej piersi były teraz swobodne. Przyglądał im się, więc i ona spojrzała w dół. Wyglądały bardzo ładnie, ciepłe i zaokrąglone. Wiedziała, jak przyjemnie jest czuć ich ciężar w dłoni. Teraz jednak chciała poczuć na nich jego ręce.

Spojrzał jej w oczy i zobaczył w nich odbicie własnego pożądania.

- Poppy - poprosił - czy mogłabyś przyjść do łóżka? - Jego głos brzmiał ochryple. Wyglądało na to, że Francuzka go już zdobyła i teraz mogła mu pozwolić wziąć sprawy w swoje ręce. I dobrze, gdyż...

Właśnie w tym momencie odkryła, że dekolt zsunął się dokładnie tak nisko, jak powinien - do łokci. Próbowwała wyciągnąć rękę, lecz nie mogła.

- Jesteś uwięziona - stwierdził mąż z wyraźnym zadowoleniem. Zsunął nogi z łóżka.

To nie było francuskie - utknąć we własnym ubraniu. A jednak...

Fletch nawet nie próbował jej uwolnić. Po prostu stał przed nią, nie dotykając jej. Czy nie wiedział, czego oczekuje? Pocałował ją. Jego usta smakowały jak grzech, miód i wszystko, czego najbardziej w życiu pragnęła. Nie rozchylił jednak warg, a tego przecież chciała. Chwilę później Poppy czuła się bliska szaleństwa. Nie mogła podnieść rąk. A on jej nie dotykał. Tylko całował, lekko muskał wargami jej wargi.

W końcu więc musiała to sama zrobić. Jak prawdziwa Francuzka, którą przecież była, przesunęła językiem po jego wargach. Smakował słodko, męsko. Lekko korzennie.

Pocałuj mnie, pomyślała. Pocałuj mnie!

Ale on nie otworzył ust. Tylko w jego oczach pojawiły się błyski rozbawienia. I czegoś jeszcze. Czegoś mrocznego i władczego, co przyprawiało ją o dreszcz.

- Pocałuj mnie - szepnęła. - Fletch...

I w końcu to zrobił. Ot tak, po prostu, jedną ręką chwycił ją w pól i przyciągnął do siebie. Jej piersi oparły się o jego tors.

- Podoba ci się? - spytał.

Oddychała zbyt ciężko, by móc odpowiedzieć, przylegając do niego całym ciałem.

- Tak - wydyszała.

- Co ci się podoba?

Nie pocałował jej, dopóki nie odpowiedziała.

- Pocałuj mnie jeszcze raz, Fletch. - Jej głos zabrzmiał błagalnie i nagle poczuła ukłucie upokorzenia. Ale wtedy zaczął ją całować i nic już nie miało znaczenia...

Położył dłoń na jej policzku i powoli przesunął w dół, w dół po szyi, a ona aż krzyczała w duchu. Dlaczego jej nie dotykał?

Powiedziałyby: „Dotknij mnie”, lecz to byłoby zbyt śmiało. A on ją całował. Wtedy zdała sobie sprawę, że chciałaby go dotknąć, lecz nie może z powodu tej głupiej sukienki, więc zaczęła się z nią zmagać, podczas gdy Fletch ciągle ją całował.

Odchylił się do tyłu i spojrzał na nią. W jego oczach pojawiło się coś nowego. Coś jakby senność i rozmarzenie. Patrzy na Francuzkę, pomyślała Poppy z lekkim niepokojem. Co powinna teraz zrobić?

Ale to on podjął decyzję.

- *La liberte* - szepnął.

Położył ręce na jej szyi i przesunął je powoli w dół, do piersi. Zadrżała, a jego gorące dłonie obejmowały ją już w talii. Wtedy on jednym szybkim ruchem rozerwał delikatną tkaninę i ubranie opadło na podłogę.

- Bardzo ładne - wycedził.

Poppy już miała zasłonić jedną ręką piersi, a drugą łono, gdy przypomniała sobie, że nie jest sobą. Jest Francuzką. Dlatego przeciągnęła się rozkosznie. Czuła mrowienie w całym ciele i była gotowa na...

Niego.

On się tylko uśmiechał, więc Poppy postanowiła usłuchać instynktu. Odwróciła się i weszła na łóżko. Musnął dłonią jej pośladki i wydało jej się, że słyszy ciche mruknięcie, jakby przekleństwo. Powoli się położyła i przewróciła na plecy.

Był tam, na skraju łóżka. Spojrzenie miał mroczne.

- Czego pani sobie życzy, *madame*?

- Pocałunków - odparła, przeciągając się znowu. Odkryła, że kiedy trzyma ręce ponad głową, jej piersi wydają się większe.

Przysunął się do niej, a ona nie mogła oderwać od niego oczu. Cała drżała. Zaczęła drzeć tak bardzo, że bała się, iż on może to zauważyć. Uśmiechnęła się więc po francusku i wyszeptwała:

- *Monsieur*?

To było jedyne słowo, jakie przyszło jej do głowy.

- Poppy - powiedział i zbliżył usta do jej ust. To było niczym dar. Całowali się już setki razy, lata krótszych i dłuższych pocałunków, lecz żaden nie był taki jak ten.

Nigdy nie było tak, że jego pożądanie spotkało się z jej, że jego wargi smakowały jak najśłodszy nektar. Jeszcze nigdy nie byli tak blisko siebie.

- Chcesz zgasić świecę? - szepnął jej w kark.

Nie słuchała. Odkryła właśnie, że samo przesuwanie palcami po mięśniach jego pleców wzmacnia jej pożądanie.

- Świecę?

- Cśśś - szepnęła. - Pocałuj mnie. - I wreszcie, chwilę później, z jękiem: - Mocniej!

Czekało ich jeszcze wiele fascynujących rzeczy. Odkryli, jak ważny jest śmiech. Lubiła, jak Fletch śmiał się, całując słodką krągłość jej piersi, chociaż czasami myślała, że mógłby lepiej wykorzystać czas.

- Powiedziałeś mi, że powinnam ci mówić, czego chcę - odezwała się, chwytając oddech. I dodała z cichym westchnieniem: - Och...

Częścią ich zbliżenia był też lęk. Fletch śmiał się, dyszał i bał równocześnie. Bał się, że wszystko jest tylko snem, z którego za chwilę się przebudzi, gdyż rzeczywistość była znacznie piękniejsza od wszystkich jego sennych marzeń. Poppy wiała się pod jego dotykiem i jęczała. A przecież to była... Poppy. Udzielała mu instrukcji, zapominała o tym i zaczynała własne poszukiwania. A kiedy on próbował ją położyć i zajmować się nią, i doprowadzać ją do szaleństwa, jak sobie zaplanował, wpadała w szał i zanim się zorientował, sam leżał na plecach, a jego żona robiła wszystko, co w jej mocy, by odsunąć od niego wszelkie logiczne myśli.

- Chciałem... zamierzałem... - wydyszał, czując jej delikatne usta całujące całe jego ciało, smakujące je, badające.

- Cicho - powiedziała, a on spełniał wszystkie jej zachcianki, aż w końcu przesunął się nad nią i nie słuchał już żadnych protestów. Po prostu cieszył się słodkimi krągłościami jej piersi, zapamiętując, jak jęczała, kiedy używał zębów - tylko odrobinę, bardzo lekko - i jak smakowała, kiedy całował całe jej ciało.

Aż w końcu żadne z nich nie miało już siły dłużej się opierać, ona jęczała, w jego lędźwiach płonął ogień ... A jednak nadal się bał, że jej się to nie spodoba...

Bał się...

Wtedy ona przyciągnęła go do swojego aksamitnego, drobnego ciała i powiedziała najbardziej stanowczym tonem, na jaki mogła się zdobyć:

- Fletch, jeśli natychmiast nie zaczniesz się ze mną kochać...

Przylgnęła do niego i straciła panowanie nad sobą.

On zaś całkiem zapomniał o swoich obawach. Jakimś cudem odzyskali swoją noc poślubną. To był ich pierwszy raz.

Pieścił się z nią, drażnił, całował.

Zaczęła go znowu łąać, jego słodka, mała, kłótliva żona, aż w końcu ujął w dłonie jej twarz i obsypywał pocałunkami, zatapiając się w niej... po raz pierwszy, najlepszy, jedyny.

Poppy patrzyła na niego i ku swemu przerażeniu poczuła, że łyzy napływają jej do oczu. Francuska uwodzicielka nie płacze, kiedy się kocha. Poppy o tym wiedziała. Pociągnęła nosem i starała się myśleć po francusku, lecz jej własny Fletch scałowywał łyzy i wszedł w nią znowu, a wtedy ona przestała się martwić o łyzy i galijskie zwyczaje. Jedyne, co mogła zrobić, to złapać rytm i przyłączyć się do tańca.

Początkowo wydawało jej się, że uczestniczy w jakimś rodzaju rywalizacji, w której to on jest górą. Fletch poruszał się głęboko, mocno i miarowo, a ona wiła się pod nim, próbując osiągnąć to coś... Coś, czego pragnęła...

I nagle zdała sobie sprawę, że znowu to zrobiła. Pozwoliła mu prowadzić w tańcu, podejmować decyzje. Lekko wygięła się w łuk, naparła na niego i - o Boże! - znalazła, to było cudowne i narastało. Jęknął głucho z głębi gardła i odrzucił głowę do tyłu.

To był Fletch i Poppy. Razem.

Tym razem łyzy popłynęły obficie, bo jak mogłoby być inaczej? Ich ciała poruszały się w jednym rytmie, spocone i rzeczywiste. Fletch mówił też o miłości. Jego słowa były szorstkie, wydyszane i prawdziwe.

Poruszała się coraz szybciej, bliżej niego, czując smak łyz w ustach, kiedy ją całował - a raczej, kiedy się wzajemnie całowali - aż w końcu nie mogła już o niczym myśleć i z nagłym krzykiem eksplodowała na idealne, idealne elementy. Spocone, skłębione, nieczyste elementy.

Idealne.

Noc wigilijna - powiedział Villiers. Ledwie słyszał własny głos, tak był słaby, lecz nie dbał o to. Nie zastanawiał się, co to znaczy. Wiedział. Wiedziała to każda kość w jego wyczerpanym i obolałym ciele. Pogodził się z tym. - Czy przeczyta mi pani jeszcze raz tę opowieść?

Z jakiegoś powodu ta drobna dziewczyna o długim nosie, inteligentna, złośliwa stara panna była jedyną osobą, którą chciał widzieć przy swoim łóżku. Tego samego dnia, nieco wcześniej, usiadła przy nim Harriet, wdowa po Benjaminie, a on nie pamiętał nawet, co chce jej powiedzieć. Aż w końcu powiedział, że jest mu przykro.

Harriet płakała, lecz nie wiedział dlaczego i nie mógł znaleźć dość siły, by się nad tym zastanowić.

Charlotte obrażała go, krzyczała na niego i wyglądała, jakby miała się rozpłakać, lecz nigdy tego nie zrobiła.

- Czy mówiłem pani, że się z panią ożenię? - wymamrotał.

Uśmiechnęła się tak słabo, że ledwie to dostrzegł.

- Jeśli pan przeżyje, będę pana trzymać za słowo i poślubię pana z zemsty. Ale jestem pewna, że wycofa się pan, kiedy wróci do zmysłów.

- Może mnie pani podać do sądu za złamanie obietnicy.

- Jak pan sądzi, ile dostanę?

Myślenie przychodziło mu z trudnością, niczym pływanie w melasie, ale ta rozmowa i żarty przynosiły mu tyle radości, że starał się skoncentrować.

- Jestem bogaty. Nie zgodziłbym się na mniej niż trzydzieści sześć tysięcy funtów.

- Tak dużo?

Poczuł dumę.

- Widzi pani? Lepiej niech pani to przemyśli i jednak za mnie wyjdzie.

- Jest pan dla mnie za stary - rzuciła. - I proszę na siebie spojrzeć, chudy jak patyk.

Chciał odpowiedzieć jakimś nieprzyzwoitym żartem, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Nikt nigdy nie mówił, że pożądanie ucieka przed cieniem śmierci. Wiele jest rzeczy, których nikt nie mówi.

- Czy przeczyta mi pani jeszcze raz tę historię? - poprosił.

- Którą?

- Dzisiaj są jego urodziny.

- To magiczna noc - rzekła z uśmiechem. - Moja babcia opowiadała mi o niej różne historie. Dzisiaj jest jedyna noc w roku, kiedy zwierzęta mogą ze sobą rozmawiać.

- Szekspir twierdził to samo - zauważył Villiers. I wtedy znalazł w swojej głowie słowa, które brzmiały niczym rodzaj błogosławieństwa: - „Ptak jutrzeńki śpiewa całą noc. A wtedy, jak mówią, żaden duch nie odważy się poruszyć” - przerwał na chwilę.

- Tu było coś jeszcze, jak mi się zdaje. „Żadna wróżka, żadna wiedźma nie ma mocy czarować, tak święty i tak łaskawy to czas”.

- Czy chciałby pan posłuchać jeszcze raz Ewangelii Łukasza? - spytała.

Skinął głową.

- Tylko tej części o gospodzie i aniołach. Potrzymaj mnie pani za rękę?

Zaczęła więc, czystym, dźwięcznym głosem, a on uchwycił się tych starych, drogich mu słów niczym liny łączącej oba światy.

„W szóstym miesiącu posłał Bóg anioła Gabriela do miasta w Galilei...”

50

Zmierzchało. Był wigilijny wieczór. Zamieć na zewnątrz już się skończyła, lecz śnieg wciąż padał. Poppy odłączyła się od towarzystwa i podeszła do okna w głębokim wykuszu. Kiedy stała tuż przy szybie, mogła oglądać pogrążony w półmroku ogród. Tam, gdzie wcześniej widać było tylko kontury starannie przystrzyżonych krzewów, teraz rozciągał się tajemniczy krajobraz śniegu i cieni.

Tam, gdzie padało światło, śnieg skrzył się niczym diamenty. W cieniu przypominał miękki gruby aksamit.

Wiedziała, że wstanie, zanim jeszcze to zrobił. Zupełnie jakby łączyła ich cienka, niewidoczna nić. Wiedziała, że idzie w jej stronę.

Staął tuż za nią i otoczył ją ramionami, wtulając głowę w jej szyję.

- Witaj - rzekła głębokim, ochryłym głosem Francuzki.

- Poppy. - Tyle tylko powiedział. A potem przytulił się do niej od tyłu. - Uwielbiam, kiedy nie nosisz rogowki, ale teraz mamy problem - zamruczał jej do ucha. - Nie mogę się przecież odwrócić i zszokować wszystkich.

- Jak to?

Przytulił ją mocniej do siebie.

- Mam na sobie wycięty surdut.

- Nic nie może zszokować Jemmy - zauważyła Poppy.

- Nie chciałbym jej doprowadzić do szaleństwa z pożądania - powiedział z nutą rozbawienia w głosie.

- Ona widziała już takich jak ty. - Parsknęła.

- Nie licz na to - pochwalił się.

Odchyliła głowę do tyłu i oparła na jego ramieniu, mimo że był beznadziejnie próżnym i głupim stworzeniem - wzorem mężczyzny, jak powiedziałyby Jemma. Otoczył ją w pasie mocnym ramieniem, więc splotła palce z jego dłonią.

- Powinieneś przestać - odezwała się po chwili nieswoim głosem.

- Ja tak nie uważam.

- Jestem pewna, że ludzie cię widzą!

Jego ręka się nie zatrzymała.

- Zasuńmy za nami zasłony, chociaż nie wątpię, że byłoby wielu zainteresowanych.

Poppy zerknęła przez ramię i zauważyła, że istotnie zaciągnął ciężkie aksamitne kotary. Stali teraz w czymś w rodzaju maleńkiego pokoiku, zamkniętego z jednej strony oknem, za którym rozciągała się zimowa noc, z drugiej ścianą z karmazynowego aksamitu. Nagle zdała sobie sprawę, że głosy gości są stłumione, jakby dobiegały zza śnieżnej kurtyny.

- Każdy może odsunąć kotarę - szepnęła.

Trzymał w dłoni jej pierś i pieścił kciukiem, aż zaczęła się wić w jego objęciach, nie potrafiąc nad sobą zapanować.

- Nie są głupi. - Jego głos był mroczny jak noc.

Ugryzł ją lekko w ucho, w szyję, w delikatny łuk ramienia.

- Zachowujesz się jak zwierzę.

- Czuję się jak zwierzę.

- Konie gryzą się nawzajem, kiedy kopulują.

- Nigdy się temu nie przyglądałem.

- Czytałam o tym w książce - powiedziała z westchnieniem.

Druga ręka wsunęła się między jej uda i pocierała miękką tkaninę na jej delikatnych fałdkach, aż w końcu zaczęła jęczeć.

Nagle skupiła wzrok nie na ciemnym ogrodzie za oknem, lecz na ich odbiciach. Jej - z głową odchyłona do tyłu i opartą na jego ramieniu i jego - z ciemnymi włosami opadającymi na policzek, gdy ją całował. Jego ręce pieściły jej ciało niczym instrument muzyczny, z którego wydobywał pieśń złożoną z westchnień, pomruków i jęków... Naciskał teraz nieco mocniej, ona zaś była całkowicie bezbronna, wysunęła biodra do przodu, jęcząc cicho.

Odwrócił ją tak, by móc dosięgnąć ust, lecz nie przestawał jej dotykać.

- Fletch - powiedziała. To był szept, jak modlitwa. - Nie możesz... - urwała. Jej ciało grało melodię, którą dopiero zaczynała rozpoznawać. - Ludzie...

- Cśśś... Poszli na kolację.

I rzeczywiście, zdała sobie sprawę, że stłumiony gwar rozmów i śmiechu ucichł i jedynym dźwiękiem, jaki teraz słyszała, był jej własny przyspieszony oddech.

Uniósł jej spódnice. Widziała w szybie odbicie swoich jasnych nóg, dopóki nie odwróciła się od okna, a wtedy włożyła mu ręce pod surdut i wyjęła koszulę ze spodni. Nie zamierzała biernie się poddawać.

- Nie - szepnął - teraz moja kolej.

Dyszała przez chwilę, próbując złapać oddech.

- Nie! - powiedziała w końcu.

- Nie mogę się przecież tu rozebrać! - rzekł.

- Ale mnie możesz rozbierać!

Suknię miała podciągniętą do pasa. Oparła się o okno. Dotyk zimnego szkła był nieoczekiwanie podniecający - czuła równocześnie gorąco i zimno.

Fletch nie słuchał jej, tylko całował jej kark, czoło, policzki, w końcu docierając do ust. Był dziki i delikatny zarazem, dawał i brał, jego ręka podawała rytm, który sprawiał, że Poppy wiła się przy szybie, jęcząc.

Czuła iskry wzlatujące coraz wyżej i wyżej, aż w końcu jej serce biło tak szybko, że nic nie byłoby w stanie za nim nadążyć - z wyjątkiem jego palców, które doprowadzały ją do szaleństwa. Chciwie chłonał jej westchnienia, ciche jęki, drzenie jej ciała w jego ramionach.

Kiedy skończyli, odwróciła się i wtuliła w jego ramię.

- Czy zachowywałam się bardzo głośno?
- Słucham? - jego głos zabrzmiał szorstko.
- Teraz była moja kolej czy twoja?
- Moja - odparł.
- Kiedy będzie moja?
- Teraz?

51

Fletch wciąż miał jeszcze zaczerwienioną twarz i sprawiał wrażenie nieco zniecierpliwionego. Poppy wyglądała na szczęśliwą i nie przestawała się uśmiechać, natomiast on był wyraźnie poirytowany.

- Czy nie chciałabyś pójść na górę - spytał. - Teraz twoja kolej.
- O nie! - odparła z uśmiechem. - Chciałabym... - Stała i oblizwała usta, po czym wydeła nieco dolną wargę, ponieważ chciała zobaczyć ten błysk w jego oczach. - Chyba wyjdę na zewnątrz - zdecydowała.

Jego twarz nagle sposepniała.

- Na zewnątrz?

Skinęła głową.

- Zawsze możemy pójść do łóżka później, Fletch.

- Nie sądzisz, że mogłabyś używać mojego prawdziwego imienia?

- Fle... A jak masz naprawdę na imię?

- Nie wiesz, jak ma na imię twój mąż?

Pomyślała o tym przez chwilę, ale postanowiła nie czuć się winna.

- Matka uważała za skandal już samo to, że nazywam cię Fletch, a nie Fletcher.

Gdybym zaczęła zwracać się do ciebie po imieniu, z pewnością by zemdląła.

- Nienawidzę twojej matki - rzekł stanowczo.

- Matka twierdziła, że nie powinnam wracać, dopóki nie znajdziesz sobie kochanki - zauważyła. - Żebym nie musiała sama cały czas świadczyć ci seksownych usług.

Chwycił ją tak szybko, że nawet nie zauważyła, kiedy się poruszył.

- Zapomnij o tym. Nie chcę tego więcej słyszeć. To nie ma z nami nic wspólnego.

A poza tym potrzebujesz mnie.

Uśmiechnęła się do niego.

- Dlaczego?

- Żebym mógł ci służyć. I... - szepnął jej do ucha coś, czego w pierwszej chwili nie zrozumiała, lecz po chwili serce zabiło jej szybciej.

Ale czuła, że jedno musi powiedzieć.

- Nie mogę być cały czas Francuzką, Fletch. Obawiam się... obawiam się, że szybko byś się znudził.

Spojrzał na nią płonącymi oczami.

- Nigdy.

Wargi jej drżały, lecz chciała powiedzieć wszystko. Być może na koniec mogliby zostać przyjaciółmi, ale gdyby się to nie udało, pękłoby jej serce. To właśnie było najgorsze. A zdała sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy zobaczyła własne odbicie w szybie. Wyglądała jak kobieta zakochana. Była zakochana. Taką miłością, która nigdy nie przemija, która jest jak choroba trwająca aż do śmierci.

- Chcę tylko powiedzieć, że jeśli tak by się zdarzyło, to gdybyśmy mogli zostać przyjaciółmi, Fletch...

- Nie Fletch!

Zamrugnęła oczami.

- Jak więc masz na imię?

- John.

- Co? - to było takie proste, solidne, godne szacunku imię. Wydawało się nie mieć nic wspólnego z jej egzotycznie modnym mężem.

- Nigdy nie używaj go publicznie.

Spojrzała na niego. Włosy miał w nieładzie po tym, jak wzburzyła je za kotarą. Ale surduty układał się w nieskazitelne fałdy. Dzięki zawiązanej pod szyją apaszcze wyglądał bardzo elegancko. Wyglądał wręcz jak najbardziej elegancki młodzieniec wśród eleganckiego towarzystwa.

- Masz na imię John?

Wyglądał na tak wściekłego, że nie potrafiła pohamować śmiechu.

- Czy nie mówiłaś, że teraz twoja kolej? - Głos miał wyraźnie rozgniewany.

Oczywiście imię doskonale do niego pasowało. John był człowiekiem, w którym się zakochała - solidnym, rozważnym, silnym księciem, który kocha szczerze i wiernie. Którego ekstrawagancka powierzchowność ma niewiele wspólnego z solidnym angielskim wnętrzem.

- Kocham cię... - powiedziała. - John. Dotknęła jego policzka.

Uśmiechnął się odrobinę niepewnie.

- Wyjdźmy na zewnątrz. Na spacer.

Trudo było go nakłonić, by przestał ją całować, lecz w końcu za nią poszedł.

Człowiek, który ma na imię John, nie przestanie kochać swojej żony tylko dlatego, że nie jest najpiękniejszą kobietą w pokoju. Albo najmłodszą. Albo najmniej czytana.

Człowiek o imieniu John kocha na zawsze.

Nie chcę wychodzić na zewnątrz. Jest zimno. Jest Wigilia Bożego Narodzenia i pada śnieg. Wszyscy pomyślą, że oszaleliśmy.

Widząc miny służących, byli tego właściwie pewni. Ale Poppy, owijając szyję i głowę ciepłym wełnianym szalem, powiedziała:

- Po prostu wolisz wykorzystać to, że teraz twoja kolej.
- Wcale nie o to chodziło!
- Nigdy nie było mi wolno wychodzić na zewnątrz w czasie śnieżycy.
- To głos rozsądku! - Jęknął, przyjmując od lokaja parę obszytych futrem rękawic.
- Proszę się nie zgubić w śnieżycy - rzekł lokaj, podając Fletchowi niewielką latarnię.

- On ma rację - zauważył Fletch. - Możemy się znaleźć w niebezpieczeństwie! Zgubimy się w zamieci i znajdą nas dopiero w czasie wiosennej odwilży.

- Teraz już prawie nie pada - powiedziała Poppy, biorąc latarnię i dając znak służącemu, który otworzył wielkie frontowe drzwi.

Snop światła padający przez drzwi oświetlił świat zaklęty w sterty miękkich ciastek przykrytych watą cukrową.

Poppy lekkim krokiem wyszła przez drzwi. Fletch podążył za nią.

- Jeśli państwo nie wrócą w ciągu godziny, wyślę służącego.

Fletchowi nagle przyszło do głowy, że mogliby znaleźć jakąś ciepłą stajnię i sprawdzić koncepcję panny Tatlock, iż zwierzęta mówią w noc wigilijną. Pomyślał też o kilku innych sprawach. Na przykład o tym, że wypadła jego kolej....

- Dwie godziny - uściślił.

Czuł się wygłodniały. Ogarnięty obsesją. Absolutnie szalony. Najbardziej na świecie pragnął zaciągnąć Poppy z powrotem na górę, rzucić ją na łóżko i zatopić się w niej. Te myśli tak bardzo go podnieciły, że niemal nie czuł przenikliwego zimna. Oczywiście Poppy skierowała się prosto w najgłębszy śnieg i skręciła za róg domu.

- Poczekaj na mnie - zawołał i ruszył po jej śladach.

Śnieg sięgał jej do kolan. Uprzejmość nakazywała, by to on szedł przodem, lecz jeśli Poppy tak bardzo chciała brnąć przez zasy, pozwoli jej grać rolę mężczyzny.

Szła bardzo szybko, więc Fletch spieszył za nią, nie myśląc o niczym poza jej udami. O tym, jakie są miękkie i białe. I jak piszczała ostatniej nocy, kiedy zaczął je lekko kąsać. A potem, kiedy doszedł nieco wyżej, przestała piszczeć i zaczęła...

Cóż, jak to nazwać? Czy to ta sama kobieta, z którą kochał się od lat? Co się z nią stało?

Ta myśl go zaniepokoiła, jakby grunt usunął mu się spod nóg. Zaledwie rok temu leżała przed nim jak osełka zamrożonego masła, a teraz topniała i jęczała. I nie było to efektem żadnych jego działań!

Gdyby wypróbował jakąś nową technikę, mógłby to zrozumieć. Zaczął iść wolniej, rozmyślając. Poppy była już za rogiem. Fletch pomyślał, że ktoś musiał ją tego wszystkiego nauczyć, choć sam wiedział, że to nieprawda. Nie było żadnego innego mężczyzny poza tym chuderlawym doktorem Loudanem, a ona nie myślała o nim w taki sposób. Lubiła go wypytywać o różne rzeczy i pisać do niego niezrozumiałe listy o wiewiórkach i ich palcach.

A zatem, jeśli nie stopniała z powodu innego mężczyzny, to o co chodziło?

Nie o jego urodę, bo - choć myślenie o tym było dla niego krępujące - naoglądała się jej wystarczająco w ciągu czterech lat małżeństwa.

Właśnie wtedy usłyszał cichy krzyk i przyspieszył. Skręcił za narożnik domu i zobaczył swoją żonę zaglądnącą pod wielką jodłę.

- Co robisz? - zawołał.

Było tak cicho, że wydało mu się, iż jego głos niknie w śniegu. Ale, co dziwne, wcale nie było bardzo mroźno. Za nimi wznosił się wielki dom, z jego okien padała na ogród złocista poświata. Nikt oprócz nich nie był na tyle głupi, by wypuszczać się na śnieżycę.

- Spójrz tutaj - powiedziała Poppy, wymachując latarnią. - Pod tym drzewem mieszkają jakieś zwierzęta.

- Na miłość boską, to pewnie niedźwiedź. - Jęknął, brnąc ku niej przez śnieżne zasy. Śnieg wsypywał mu się do butów. Poppy musiała zmarznąć na kość, a dół jej sukni przemókł i zeszywniał.

- Ślady są znacznie mniejsze. Zobacz!

Podszedł do niej i w świetle latarni zobaczył drobne odciski łapek. Dwóch małych z przodu i dwóch dłuższych z tyłu.

Roześmiał się.

- To nie niedźwiedź!

- Może to angielski opos - odpowiedziała Poppy, chichocząc.

Jej oczy błyszczały z podniecenia. Fletch nie mógł przestać się śmiać.

- Jak na przyrodnika - wykrztusił - jesteś mało domyślna, Poppy.

Przymrużyła oczy, spojrzała na niego i jeszcze raz na ślady. Ich wielkość, to, jak były rozmieszczone...

- Króliki! - zawołała. - Pod tą jodłą jest królicza nora.

I nie zastanawiając się ani chwili, padła na kolana i wczołgała się pod ciężkie od śniegu, opadające ku ziemi gałęzie.

Fletch otworzył usta ze zdumienia. Na miłość boską!

- Poppy, wracaj tutaj! - krzyknął, pochylając się.

Żadnej odpowiedzi.

Nagle przyszło mu do głowy, że króliki są dobrym posiłkiem dla niedźwiedzia, który może mieszkać pod drzewem. Rzucił się na kolana i wsunął pod gałęzie tak szybko, że wpadł wprost na Poppy.

Siedziała, obejmując ramionami kolana.

- Fletch! - powiedziała tak zadowolona, jakby przyszedł do niej na filiżankę herbaty.

- Co, do diabła... ? - warknął, odsuwając latarnię. Płomyk zamigotał i zgasł. Ciemności rozjaśniało tylko słabe światełko latarni Poppy.

- Tu jest zupełnie jak w małym pokoiku - powiedziała. - Poczekaj chwilę, oczy ci się przyzwyczają.

- Czy są tu jakieś niedźwiedzie? - spytał z westchnieniem.

- Żadnych królików i żadnych niedźwiedzi. Ale jest mały domek.

Chwile później wiedział już, co ma na myśli. Śnieżna zaspą wokół jodły tworzyła coś w rodzaju ścian sięgających aż do dolnych gałęzi. Na ziemi leżał gruby materac z opadłych igieł. Przez śnieg przebijało się nieco światła, więc pod drzewem panował półmrok, jeśli nie liczyć jaśniejszego kręgu wokół latarni. Fletch dotykał głową

najniższych gałęzi.

- Bardzo miło - powiedział. - Chodźmy, Poppy. Musisz mieć zupełnie przemoczoną suknię.

- Nie jest mi zimno - odparła Poppy. Siedziała skulona przy pniu jodły i uśmiechała się do niego. Kosmyki włosów wysunęły się spod ciepłej czerwonej wełnianej czapki, którą dał jej lokaj. Wyglądała zupełnie inaczej niż w eleganckich kapelusikach, które zwykła nosić na samym czubku wymyślnych piramid z włosów. Wyglądała jak mała dziewczynka.

No dobrze, może nie taka całkiem mała. Nie z tymi zmysłowymi ustami i nie z takim spojrzeniem. Nie miała makijażu jak ostatniej nocy, lecz wcale nie był jej potrzebny. Usta miały głęboki kolor słodkiej, dojrzałej brzoskwini.

Kiedy przyglądał się jej twarzy, wysunęła lekko język i oblizała wargi, a on poczuł ogarniające go podniecenie.

Pod drzewem nie było dużo miejsca, więc przesunął się nieco do przodu.

- Poppy - powiedział powoli.

- Teraz twoja kolej.

- Możesz się tu przeziębć. Nie możemy...

- Prawdę mówiąc, tutaj jest ciepło. To śnieżna jaskinia. Czytałam o tym w „Gentleman's Magazine”. Kiedy kapitan Sybil wspinał się po górach w Peru, kopał śnieżne jaskinie i pisał później, że było mu tam ciepło.

- Mnie nie jest ciepło - narzekał Fletch. - Mam mokre kolana i przemarznięte stopy.

- Przesunął się jeszcze odrobinę do przodu i jego usta znalazły się o cal od jej ust. - Chcę mojej kolejki w przyzwoitym łóżku.

Ale ona wyciągnęła rękę w czerwonej rękawiczce i zanim się zorientował, leżał plecami na miękkim pościeliu z igieł. Poppy leżała na nim, on zaś nawet przez liczne warstwy ubrania czuł delikatne krzywizny jej ciała. Poza tym całowała go. Dość niezdarnie - to prawda.

Lecz zdaniem Fletcha jej entuzjizm nadrabiał wszelkie niedoskonałości. A kiedy udało mu się wyplątać ręce z płaszcza i zaczął pocierać jej ciało, oczywiście po to, żeby było jej cieplej, przekonał się, że coraz bardziej lubi ją całować.

Całowała go i wachała, lizała jego brwi i rzęsy, zajmując się ustami za każdym razem, gdy próbował coś powiedzieć, i uciszając go w ten sposób. Protestował nieco, kiedy zaczęła rozchyłać na nim ubranie, ale wówczas już wystarczająco podgrzali atmosferę w śnieżnej jaskini. Kiedy Poppy pocałunkami torowała sobie drogę do jego piersi, mrużąc, iż teraz nadeszła jego kolej. Czuł, jak temperatura podnosi się z minuty na minutę.

- Poppy - wydyszał w pewnej chwili. - Nie sędzę...

Bawiła się, spuszczając śnieg z palców na jego pierś i co bardziej wrażliwe części ciała, a po chwili chłód śniegu ustępował wobec żaru jej warg. Jako prawdziwy naukowiec, opatrywała swoje drobne eksperymenty odpowiednim komentarzem.

Fletch nigdy nie był w łóżku bardzo hałaśliwy. Wolał skupić się na przyjemności swojej partnerki. Teraz jednak czuł się bezbronny pod badawczym dotykiem Poppy, pod muśnięciami jej słodkich warg. Kiedy prowadziła swoją grę - śmiała się, całowała go, doprowadzała go do szaleństwa z pożądania - z jego ust wydobywały się dziwne, chrapliwe odgłosy.

W końcu udało mu się ją pochwycić. Bez słowa zdarł z niej suknię i mimo protestów przytrzymał ją przez chwilę o cal od siebie. Wtedy ogarnęło go jej słodkie, wilgotne ciepło.

Już nie protestowała. Ich ubrania leżały zwinięte obok. Owinął ją i siebie podbitym futrem płaszczem. Płatki śniegu padały mu na twarz niczym cukrowy pył...

Wszystko straciło znaczenie, kiedy znalazł właściwą drogę. Drogę do niej.

Przycisnął ją do siebie mocno, tak mocno, że już nie było wiadomo, gdzie się kończy on, a zaczyna ona. A przynajmniej oni tak to czuli.

W końcu się wyprężył, a ona krzyknęła. Potem zrobił to jeszcze raz i jeszcze, a Poppy, w tym doskonałym małym pokoiku, odzyskała głos i krzyczała raz po raz.

Później odchyliła się do tyłu i usiadła, głową trącając gałęzie. Śnieg sypał się na ich ciała, lecz topniał, ledwie zetknął się z gorącą skórą.

Wszystko przychodziło jej samo. Znalazła rytm, który doprowadzał go do szaleństwa - zbyt wolny, zbyt szybki, sam tego nie wiedział. Wiedział tylko, że ciśnienie narasta i jest niemal bolesne. Odsuwała się, smukła i delikatna, po czym wracała, gdy on chciał tylko ją przytrzymać.

Jęczała i krzyczała, on zaś czuł narastające w niej napięcie, jakby byli jednym ciałem.

A kiedy burza wreszcie się rozpuściła, nastąpiło to dla obojga w tym samym momencie.

53

Kiedy Villiers się obudził, sypialnię oświetlała tylko jedna świeca. Charlotte spała na krześle tuż obok jego łóżka. Biblia wysunęła jej się z dłoni i leżała na podłodze. Obserwował ją przez chwilę. Dautry spał na drugim krześle, z głową niewygodnie opartą o ścianę.

Musiało być później, niż sądził, ponieważ z oddali wiatr niósł dźwięk kościelnych dzwonów. Brzmiały jak niesamowita muzyka, jak wróżki, które przychodzą nocą i wykradają dusze, dzieci czy cokolwiek, co mają w zwyczaju wykradać.

Ten dźwięk oznaczał, że jest Boże Narodzenie.

Kolejne Boże Narodzenie.

Przebudziła się właśnie w tym momencie niczym kot z drzemki i spojrzała na niego.

Uśmiechnął się do niej.

- Leopold? - odgarnęła włosy z oczu. - Mój Boże, spałam tutaj całą noc?

- Jesteś zrujnowana - powiedział, słysząc wesołość we własnym głosie. - Oczywiście nikt w domu Jemmy nie zwróci na to uwagi, ale ja mogę cię pozwać do sądu za niedotrzymanie obietnicy, jeśli będę musiał.

- Niedotrzymanie obietnicy? - wyprostowała się i spojrzała na niego. Zamarła.

- Czuł się słaby jak kociak, ale udało mu się usiąść i oprzeć o poduszki.

- O mój Boże - szepnęła. - Ty...

- Mówiłaś, że za bardzo ufam opinii lekarzy - przypomniał jej. - Treglown powiedział, że jeśli przeżyję noc, to znaczy, że będę żył. Sądzisz, że nie powinienem mu wierzyć.

- Ale on powiedział...

- Żyję po to, żeby dowieść, że ten człowiek się mylił. Wesołych świąt, Charlotte.

- Wesołych świąt - wyszeptała.

- Przyszła księżno... - dodał. Zerwała się z krzesła.

- Będę w swoim pokoju.

- Za późno. Jesteś skompromitowana.

- Na wypadek, gdybyś nie zauważył, twój spadkobierca też tutaj jest. Więc kto mnie skompromitował? Przygotuj się na złamanie obietnicy, Wasza Wysokość.

- Zrobię to - powiedział cicho. Dał znak ręką w stronę drzwi i sięgnął po szklankę z wodą. Była jak błogosławieństwo dla jego języka, spływała, zwilżając gardło.

Był wycieńczony.

Ale żył.

A więc szklanką wznosił toast na cześć tego, którego narodziny świętowali.

- Dziękuję.

Jego szept zabrzmiał dziwnie w cichym pokoju. Nie było tu nikogo oprócz śpiącego kuzyna i zniedołężniałego księcia. I zapachu kobiecych perfum.

Powtórzył więc jeszcze raz, głośniej:

- Dziękuję.

Z oddali dobiegał dźwięk dzwonów, a księżę de Villiers przewrócił się na bok i zapadł w sen. Czysty, uzdrawiający sen.

Poppy obudziła się i zmrużyła oczy, ponieważ sypialnia była zalana światłem. Podeszła do okna i zauważyła, że w nocy musiało padać i łagodne śnieżne pagórki zamieniły się w połyskliwe, twarde kryształy lodu. Światło odbijało się iskrami od lodowych powierzchni. Lód okrywał gałązki głogu i zwisał długimi soplami z okapów południowego skrzydła.

Poranek Bożego Narodzenia.

Poppy zawsze lubiła święta. W Boże Narodzenie matka rzadko traciła panowanie nad sobą. Ten dzień był cichy, lecz uroczysty. Siadały razem, a matka pozwalała jej opuścić trzygodzinne ćwiczenia gry na klawesynie, godzinę nauki śpiewu i kilka godzin tańca. Patrzyła nawet, jak Poppy bawi się bierkami, chociaż sama nigdy nie grała. Były też postacie z piernika, wyjazd do kościoła z ciepłymi cegłami pod stopami i wreszcie pieczony paw na kolację.

Usłyszała odgłos kroków. Ciepłe ramiona objęły ją w pasie

- Wracaj do łóżka - odezwał się senny głos.
- Jest Boże Narodzenie - powiedziała.
- Więc świętujmy.
- Nie tak!
- Dlaczego nie?

Masował jej kark, co było bardzo przyjemne.

- Święta... święta są wyjątkowe - odparła, odsuwając się.
- Ty jesteś wyjątkowa. - Wyciągnął ku niej rękę.
- Fletch! Jest poranek! Zamrugnął zdezorientowany.
- Więc?

Wyślizgnęła się mu.

- To nie jest zwykły poranek. To poranek Bożego Narodzenia. Wszystko to - wskazała ręką w stronę łóżka - nie jest dziś na miejscu.

Wyraźnie posmutniał.

- Co masz na myśli, mówiąc „nie na miejscu”?

- Nie mogłabym... - urwała. Zabrzmiało to zupełnie, jakby słyszała siebie niegdyś.

Przypomniała sobie, jak kilka lat temu sama pouczała Fletcha na temat niestosowności pocałunków z otwartymi ustami.

Założył ręce na piersi i zmarszczył brwi.

- Nie mogę być Francuzką cały czas - powiedziała.

- Nie chciałbym, żebyś była.

- Nie zawsze będę się kochać pod drzewem.

- Ani nawet za kotarą.

- Nie.

Uśmiechał się do niej.

- Jakoś to przeżyję. Zawsze przecież zostaje łóżko. Spójrz na mnie, Poppy.

Ich spojrzenia się spotkały.

- Nie. Popatrz na mnie.

Zarumieniła się.

- Jest ranek, Fletch! Moja pokojówka zaraz tu przyjdzie.

- Zanim wejdzie, na pewno zapuka. A teraz popatrz na mnie, Poppy.

Przygryzła dolną wargę, lecz odważyła się spojrzeć poniżej jego piersi. Nie miał na sobie spodni. Jego nogi były długie i silne. To właśnie te nogi przedzierały się przez śnieg, kiedy ostatniej nocy postanowił zanieść ją do domu. A ręce... lubiła patrzeć, jak napinają się mięśnie jego przedramion. Niósł ją całą drogę do domu, jakby nie ważyła więcej niż piórko. Poppy przytuliła się do jego piersi i szeptała do niego, choć była prawie pewna, że nie usłyszał ani słowa.

Podobało jej się również to, jak jego pierś przechodziła w brzuch szeregiem małych, twardych dołek. Dalej była niewielka strzałka z włosów i wreszcie... Nie żeby ten widok wywoływał jeszcze u niej rumieniec. Patrzyła raczej z czułością. A nawet samo patrzenie sprawiło, że znowu poczuła tę falę roztapiającego ją gorąca.

- Cóż - powiedziała pospiesznie, starając się ukryć drżenie kolan. - Popatrzyłam.

- I co zobaczyłaś?

- Czekasz na komplementy?
- Oczywiście.
- Wyglądasz na całkiem zdrowego młodego samca.

Zbliżył się do niej o krok.

- Czy nie wyglądam jak ktoś, kogo kochasz?

Ich spojrzenia się spotkały. Nadeszła pora powiedzieć prawdę.

- Tak. O tak, John.

- Jak ktoś, kogo poślubiłaś dlatego, że twoja matka sobie tego życzyła?

- Nie sądzę - głos jej zadrżał - żeby miała z tym cokolwiek wspólnego.

Naprawdę.

- Jak ktoś, kto będzie przy tobie przez całą resztę życia, każdego dnia?

Przy tych słowach zdobyła się na niepewny uśmiech.

- Poppy, jak myślisz, po co były te święta?

- Żeby schrupać piernikowego ludzika? - szepnęła.

- Ja jestem twoim świątecznym pierniczkiem - powiedział i tylko lekko uniesione kąciki ust wskazywały, że w duchu się śmieje.

Poppy zebrała się w sobie.

- Chcesz powiedzieć, że kochanie się z żoną w święta jest przyzwoite?

Uśmiechnął się do niej, jakby właśnie wygrała wiejskie zawody łucznicze.

- I chcesz powiedzieć, że kochanie się o poranku także jest przyzwoite?

- Ależ tak. Wręcz niezbędne.

- I że - to zdanie musiała powiedzieć bardzo powoli, by podkreślić jego wagę - nie przestaniesz chcieć się ze mną kochać, nawet jeśli nie będę się zachowywać jak Francuzka?

- I nie chciałbym być zmuszony za każdym razem wyciągać cię spod drzewa. - Ujął ją pod brodę i uniósł jej twarz. - Czy tego nie widzisz, Poppy? Kocham cię. Kochałem cię na tyle, by zrezygnować z seksu, ponieważ ty go nie lubiłaś. A teraz, kiedy go polubiłaś... Cóż, chciałbym się tym zajmować, kiedy tylko mi pozwolisz. Pod drzewem, jak najbardziej. Z francuskim akcentem, *mais oui*. A przytulać się w łóżku z moją tak bardzo angielską żoną, po tym, jak wygłosi mi wykład o latających wiewiórkach, zawsze. I to przez całe nasze życie. A zatem, czy

będziesz tak miła i wrócisz do łóżka? W jej oczach pojawiły się łzy.

- Sądzę - powiedziała cicho - że chciałabym zostać twoją żoną.

- Jesteś moją żoną.

- Wysłałam za księcia - mówiła. - Ale chciałabym poślubić ciebie. Mojego Johna, który przypadkowo jest również księciem.

Wziął ją w ramiona.

- Perdito, czy zostaniesz moją żoną?

- Tak - wyszeptała.

- To dobrze. Zatem przypieczętujemy nasze zaręczyny. - Zaniósł ją na łóżko. - Czy zamierzasz stawiać opór?

Pokręciła głową.

- Zaprawdę, nie godzi się, by niepoślubieni kochali się ze sobą - powiedział z namaszczeniem, parodiując kaznodzieję.

Pocałowała go w ramię. Odsunął się, lecz nie przestawał mówić, a w jego oczach błyszczały diabelskie iskierki rozbawienia. Pocałowała go w szyję. A potem w podbródek, ten silnie zarysowany podbródek, teraz już uwolniony od głupiej, śmiesznej bródki. I pocałowała jego dołek w brodzie.

- Kocham cię - powiedziała. Jej głos brzmiał ochryple i uwodzicielsko, ale teraz już rozumiała, że cała tajemnica tkwi nie we francuskim akcencie, lecz w pożądaniu.

- Nie wiem, jak to się stało, że miałam takie szczęście. Naprawdę. Gdybyś był jakimś innym mężczyzną, innym księciem, moja matka zmusiłaby mnie, żebym za ciebie wyszła, a ja byłam wtedy tak głupiutkim stworzeniem, że usłuchałabym jej. Ale tajemniczym zrządzeniem losu to właśnie ty byłeś mężczyzną, który pojawił się w odpowiedniej chwili. Nie zasłużyłam na ciebie.

- Ja czuję to samo. To, jak reagowałeś, kiedy się kochaliśmy...

- Słyszałam moją matkę - przerwała mu. - Cały czas rozbrzmiewał mi w głowie jej głos. Czułam tylko jej oburzenie, a nigdy ciebie, Fletch. Gdybym to ciebie czuła, gdybym naprawdę cię znała, wszystko byłoby inaczej. Już od pierwszej nocy, którą razem spędziliśmy. Ja po prostu nie wiedziałam, że to ty jesteś moim mężem.

- Zawsze byłem twoim mężem - powiedział. - Nie istniał dla mnie nikt inny od chwili, gdy pierwszy raz cię ujrzałem, Poppy. Nigdy. Kiedy mnie opuściłaś, czułem

się, jakbym stracił własną duszę. Chodziłem i udawałem, że jestem normalnym człowiekiem, ale wiedziałem, że brakuje mi tej najważniejszej części... Czy to ma sens?

- Z tym pocałunkiem - szepnęła, zbliżając usta do jego warg - oddaję ci moją duszę. Na przechowanie.

- Na dobre i na złe - dodał.

- W chorobie i zdrowiu.

- Dopóki nas śmierć nie rozłączy.

W tym momencie książę i księżna Fletcher zamilkli. I od tej chwili budzili zdumienie swoich przyjaciół, a później także rodziny, uparcie twierdząc, że pobrali się w Boże Narodzenie.

I obchodzili rocznicę zaślubin w tym dniu przez długie lata.

55

Bał kostiumowy w wiejskiej rezydencji księcia de Beaumont,

6 stycznia, święto Trzech Króli

Żaden z tych kostiumów nie jest szczególnie interesujący - narzekał książę Fletcher, rozmawiając z żoną.

- Uważam, że kostium pani Patton jest bardzo pomysłowy. Nigdy nie widziałam tak wojowniczo wyglądającej Diany, do tego całej w królewskich błękitach. I podoba mi się tamten dżentelmen. Ten przebrany za Henryka VIII.

- Wiem, że Henryk VIII miał wielki brzuch - zauważył Fletch - ale wydaje mi się, że lord Pladget pozwolił sobie na zbyt dużą dowolność.

- Jego żona powiedziała, że przywiązał sobie koc w pasie.

- Kiedy pierwszy raz spotkałem lady Isidore, pomyślałam, że jest raczej stateczna - skomentował Fletch. - Ale popatrz na nią teraz!

Isidore tańczyła w pobliżu przebrana za Zenobię, królową Palmyry. Miała na sobie spódnicę ze złotej tkaniny obszytą pawimi piórami. O jej gorsecie nie warto było wspominać, ponieważ prawie nie istniał.

- O nie! - jęknęła Poppy. - Ten człowiek, z którym tańczy, to lord Beesby, prawda?

- To prawdziwy stary dziwak - powiedział Fletch. Zawsze głośnie...

- Nie o to mi chodziło - przerwała mu Poppy. - Spójrz tylko, jak patrzy Isidore w oczy.

- Zakochany - orzekł Fletch. - Powiedziałbym, że to beznadziejny przypadek.

- Czy on jest żonaty? - syknęła Poppy.

- Jeszcze nie.

Odetchnęła z ulgą i dalej tańczyła, ledwie unikając zderzenia z jakimś hałaśliwym człowiekiem przebranym dość nieudolnie za papieża. Twarz miał purpurową i poruszał się jak żagiel okrętu pchanego wiatrem. Wszystkie te kostiumy przypomniały Poppy o czymś, o co zamierzała zapytać.

- Fletch, kim był ten młody człowiek, którego wynająłeś?

Ale Fletch nie usłyszał. Śmiał się, widząc, jak papież runął na podłogę, pociągając za sobą marynarza tańczącego z królową Saby.

Królowa Saby wcale nie bawiła się tak dobrze. Charlotte wyplątała się spomiędzy stóp papieża. Dautry podniósł ją w górę jak piórko i chwilę później znowu tańczyli.

- Gdzie, na Boga, uczył się pan tańczyć?

- To marynarski taniec - odparł Dautry. - Poza tym, panno Tatlock, proszę wierzyć lub nie, ale również poza salami balowymi i socjetą istnieje cywilizowany świat.

Ona, która tak kąśliwie i dowcipnie rozmawiała z Villiersem, teraz nie potrafiła znaleźć żadnej ciętej odpowiedzi. Zupełnie jakby magiczna kurtyna wyparowała i Charlotte znowu stała się niezdarną starą panną. Tyle że... ta stara panna tańczyła z przystojnym mężczyzną, który przyciągał spojrzenia wszystkich kobiet.

- A więc wyjdzie pani za niego - spytał nagle.

- Słucham?

- Czy wyjdzie pani za Villiersa? - powtórzył. - I proszę nie sądzić, że zależy mi na odziedziczeniu tytułu. Mój ojciec zostawił mi prawdziwą fortunę, którą zdobył na morzu. Mógłbym kupić pół Londynu i odsprzedać go znowu, gdybym zechciał.

- Oczywiście musi pan czuć pewien niepokój... - zaczęła.

Wyprowadził ją z sali balowej i zabrał do niewielkiej, zasłoniętej kotarą alkowy.

Charlotte poczuła, że zaczyna jej brakować tchu.

- A więc, czy zamierza pani wyjść za niego? - spytał z naciskiem.

Otworzyła usta, lecz nie potrafiła wykrztusić słowa.

Pochylił głowę. Nie całował ciepło i czule, lecz stanowczo i zdecydowanie. Jego pocałunek zadawał pytanie, na które nie była jeszcze gotowa odpowiedzieć.

Dlatego ona, stara, panna Charlotte, odsunęła się od niego, oparła ręce na biodrach i powiedziała.

- Jeszcze nie jestem pewna.

Sprawiał wrażenie zaskoczonego. A więc nie tylko ona czuła ten ogień, kiedy się całowali.

- Czego pani nie jest pewna?

- Kogo powinnam poślubić.

- Czy ma pani jakiś wybór?

Uśmiechnęła się, wiedząc, że jej siostra, May, nie poznałaby jej w tej chwili. Dzisiaj była królową Saby, kobietą podbijającą serca mężczyzn.

- Villiers grozi mi procesem za złamanie przyrzeczenia, jeśli za niego nie wyjdę.

Dautry parsknął.

- A ja go kocham.

Zacisnął zęby.

Teraz tańczyła o krok bliżej niego.

- Ale jest jeszcze pan.

- Ja nie prosiłem pani o rękę.

Idiota.

- W takim razie zostaje mi tylko książę. Może pan już ćwiczyć tytułowanie mnie jej wysokością.

W jego oczach pojawił się gniew, lecz ustąpił, kiedy Dautry zajrzał w głąb duszy Charlotte i zobaczył kobietę gotową stanąć pod wiatr poczuć na wargach smak soli.

- Charlotte - powiedział.

Uniosła głowę.

- Podejmę decyzję w przyszłym tygodniu. Zdecyduję, czy powinnam przyjąć jego propozycję, czy pańską. Bo złożył mi pan propozycję, prawda? Być może zapomniał pan wypowiedzieć ją na głos, ale zauważyłam, że cechuje pana pewna powściągliwość.

W jego czarnych oczach pojawiły się iskierki rozbawienia. I czegoś jeszcze, co sprawiło, że Charlotte poczuła, jak miękną jej nogi, jakby w pokoju brakowało powietrza.

A wtedy on zaczął ją znowu całować.

- Przepraszam? - spytał Fletch.

- Ten młody człowiek, którego wynająłeś - powtórzyła Poppy. - Gdzie go znalazłeś?

- Jaki młody człowiek?

- Ten, który udawał zakochanego w mojej matce.

Zachował kamienną twarz.

- Ach?

- Tak! - Skinęła głową. - Właśnie ten młody człowiek. Ten, który tak dzielnie bronił honoru mojej matki. Niewątpliwie ma talent dramatyczny.

- Czy twojej matce nie mógł się po prostu spodobać przystojny młodzieniec?

Fletch uśmiechał się triumfująco, lecz Poppy pokręciła głową.

- Czy jest tu dzisiaj?

- Wielkie nieba, nie! - Fletch złamał się w końcu. - Był, jakby to ująć... przyjacielem na jedną noc...

- Przyjacielem... - Oczy Poppy zrobiły się zupełnie okrągłe. - Naprawdę? Gdzie go znalazłeś?

Przymknął oczy.

- Po prostu poprosiłem o radę pewną kobietę, która orientuje się w takich sprawach.

Popatrzyła na niego badawczo.

- Któż to był?

- Młoda krewna pani Armistead.

- Nie miałam pojęcia, że znasz panią Armistead.

Poderwał ją z podłogi i spojrzał uważnie na swoją śliczną żonę.

- Wiesz, jak bardzo cię kocham, prawda?

Zmarszczyła brwi.

- Powiedz mi, że jesteś zazdrosna. Ma na imię Cressida i jest bardzo piękna.

- Nie jestem zazdrosna - odparła natychmiast, marszcząc nosek. - A więc zadawałeś się z przyjaciółmi na jedną noc i z przyjaciółmi Foksa...

- Bardzo sprytne - powiedział i beczelnie pocałował ją na samym środku sali balowej.

Ale Poppy miała przeczucie, że ów bal kostiumowy u księżnej de Beaumont będzie jeszcze przez wiele lat tematem plotek i jeden czy dwa małżeńskie pocałunki nie zwrócą niczyjej uwagi.

Oczywiście teraz, gdy księżę de Villiers wracał do zdrowia, pojedynki szachowe księżnej de Beaumont - jeden z jej mężem, drugi z Villiersem - znowu stały się przedmiotem niezliczonych rozmów.

- Czy pokonała go pani? - spytała pani Patton, zatrzymując się na chwilę w saloniku.

Jemma mrugnęła do niej okiem.

- Czy wątpiła w to pani?

- Nie po tym, jak rozgromiła mnie pani w ostatnich dniach.

- Ostatniego wieczoru wygrała pani bardzo zgrabnie - zauważyła Jemma. - Zwłaszcza ten sprytny ruch wieżą... Zapędziła mnie pani w kozi róg.

- Jedno z nielicznych zwycięstw. Ale mimo to gra z panią to prawdziwa przyjemność. A zatem wygrała pani ze swoim mężem... i zakończyła pani partię z Villiersem?

- Niestety - odparła Jemma z zafrasowaną miną.

- Nie udało się pani wygrać?

- Poświęcał jedną figurę za drugą. Grał błyskotliwie, sprytnie i bezlitośnie.
- Więc w obu pojedynkach odbędzie się ostatnia, trzecia partia. To fascynujące!
- I ostatnie partie zostaną rozegrane z zawiązanymi oczami - wyjaśniła Jemma, nakładając na wargi odrobinę rubinowej szminki.

- I... tak przynajmniej słyszałam... - zawiesiła głos pani Patton.

- W łóżku - uzupełniła Jemma.

- W łóżku z księciem de Villiers - powiedziała pani Patton głosem jakby rozmarzonym. - Nie ma chyba w Anglii kobiety, która nie byłaby gotowa poświęcić królowej dla zyskania takiej szansy.

- Villiers nie chce wrócić do gry, dopóki nie wyzdrowieje. Mówi, że za sześć miesięcy.

Pani Patton się roześmiała.

- Czy z mężem zagra pani niezwłocznie?

- Nie wiem - odparła Jemma, poprawiając niesforny kosmyk włosów. - Dopiero co wygrałam tę partię i jeszcze nie zdążyliśmy o tym porozmawiać. Podejmiemy decyzję za jakiś czas...

Epilog

Posiadłość Fletchgrów, siedem lat później, 25 grudnia

Było Boże Narodzenie. Mała dziewczynka śpiewała, fałszując, lecz z entuzjazmem, jak to się często zdarza dzieciom.

Po chwili przyłączył się do niej ojciec. Jego głęboki, ciepły głos wtórował jej wysokiemu głosikowi.

Nagle zapiszczała. Ludzie tak się zachowują, kiedy nieoczekiwanie zaczynają lecieć w powietrzu i lądują na czyichś ramionach. Nawet jeśli są to bardzo mali ludzie, z którymi łatwo jest robić takie rzeczy.

- Papo! - zawołała Clementine, chwytając księcia Fletchera za włosy. - Przestań. *Grandmere* powiedziała, że nie powinnam krzyczeć, ponieważ jestem młodą damą. Ale to przez ciebie to zrobiłam. To nie moja wina.

Ojciec usłużnie opuścił ją głową do dołu, aż zaczęła piszczeć jeszcze głośniejsze, tak głośno, że zwróciła uwagę drugiej osoby obecnej w pokoju.

Zanim Fletch zdał sobie sprawę, co się dzieje, małe pulchne rączki owinęły się wokół jego nogi i zacisnęły się na niej zestaw pięciu ostrych ząbków - trzy u góry i dwa na dole.

- Puść Clemmie! - Zapiszczał głosik, stłumiony przez jedwabną pończochę. - Puść Clemmie, tato!

- Tylko nie moje pończochy, Alexandrze - powiedział Fletch, stawiając Clementine z powrotem na podłodze tak szybko, że włosy owinęły się jej wokół ramion jak złocisty jedwab. - A niech to! - jęknął. - To pogrzebowy dzwon dla

moich następnych pończoch. Co powie nieszczęsny Morson?

Alexander nie okazał współczucia kamerdynerowi księcia. Był zbyt zajęty przywoływaniem księcia do porządku.

- Tata niemiły dla Clemmie - powiedział. I dodał: - Assander do góry!

Fletch poderwał synka w górę

- Papo! - zawołała Clemmie, czochrając go po głowie. - Pobawmy się w trzy statki!

Podbiegła do okna, ciągnąc go za sobą.

- Widziałam trzy statki... - zaśpiewała.

Tym razem ojciec pozwolił, żeby śpiewała sama. Stojąc obok, z pulchnymi kolanami Alexandra przy uszach, trzymał jej ciepłą, miękką rączkę. Clementine kołysała się do przodu i do tyłu, najwyraźniej obserwując trzy statki płynące po zasypanym śniegiem trawniku.

Nagle się odwrócił, ponieważ w jakiś zagadkowy sposób zawsze wyczuwał, kiedy jego żona wchodziła do pokoju. Córeczka dalej śpiewała, straszliwie fałszując, więc Fletch uśmiechnął się tylko, nie chcąc jej przerywać. Alexander zapiszczał i zaczął podskakiwać, co mogło oznaczać, że chce się nauczyć latać albo że chciałby się znaleźć w ramionach matki.

Uśmiech Poppy był tak uroczy, że Fletch poczuł rozpierające go szczęście, gdy przytulił ją do siebie. Alexander położył rączkę na włosach matki i wszyscy razem stali przy oknie, wpatrując się w zimowy krajobraz.

Poppy się poruszyła, jakby zamierzała odejść, więc Fletch szybko postawił synka i mocno chwycił żonę w objęcia. Była tak samo piękna jak wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczył ją w Paryżu, i tak samo kusząca, jak wtedy, gdy kochali się pod gałęziami jodły.

Dzieci były przyzwyczajone do tego, że rodzice się przytulają. Alexander podreptał do swoich zabawek, a Clementine wzięła lalkę i uczyła ją śpiewać kolędy.

- Jest Boże Narodzenie - powiedział Fletch, muskając wargami usta Poppy. Potem pocałował ją jeszcze raz, gdyż smakowała wspaniale i pięknie pachniała. I była jego.

- Pamiętasz, jak pierwszy raz pocałowałem cię na wieży Saint Germain des Pres? -
By to zilustrować, przyciągnął ją do siebie w długim, namiętym pocałunku.

- Uważaj - powiedziała, łapiąc oddech. - Oberwiesz moją mufką!

Fletch przesunął rękoma po pupie żony.

- Uwielbiam tę nową modę - zamruczał z rozmarzeniem. - Nigdy więcej nie chcę
widzieć rogówki.

- Boże Narodzenie - zauważyła, odgarniając mu z oczu kosmyk włosów - to moja
ulubiona pora roku

- Twój dzień - szepnął, pochylając się ku niej - chrupania piernikowego ludzika.

- Wiesz, co kucharz przygotował w tym roku? - spytała z niewinną miną.

- Nie. Co?

- Piernikowe damy! Pozłoczone i całkiem, całkiem jadalne.

Fletch się uśmiechnął.

- Chcesz powiedzieć, że teraz moja kolej?

Poppy zaskoczyła go pocałunkiem, który nagle stał się czymś znacznie słodszy
i głębszy, jak to bywa w świąteczne dni.

- Będziemy musieli o to powalczyć - szepnęła po chwili.

- O co? - spytał zdezorientowany. - Poppy, jestem...

Natychmiast podniosła głowę.

- Co on robi? - Alexander był wprawdzie urwisem, lecz teraz nie robił nic
niebezpiecznego, a jedynie uderzał powozem zabawką o ceglany kominek, próbując
połamać jego koła.

- To nie Alexander - rzekł Fletch, obejmując jej twarz dłońmi. - Jesteś pewna, że
to nie sen?

Nic, że wszystkie kobiety w całym Londynie wzdychały na widok księcia
Fletcher'a. Nic, że jego koledzy w Izbie Lordów zwracali się jak jeden mąż do księcia
Fletcher'a, kiedy potrzebowali błyskotliwego przemówienia - i pewnego zwycięstwa.
I wreszcie nic, że według wszelkich znaków na niebie i ziemi jego żona była
niewypowiedzianie szczęśliwa i w łóżku, i poza nim... Jej ukochany mąż wciąż nie
mógł uwierzyć, że na to wszystko zasłużył.

- John - powiedziała z uśmiechem na ustach - czy wiesz, że ostatniej nocy była Wigilia Bożego Narodzenia, a to znaczy, że osły mogły mówić ludzkim głosem?

Uniósł brwi ze zdumieniem.

- I to zauważyła moja uczona małżonka? Napisałaś o tym list do biednego Loudana? Może dzięki temu w końcu zdobędzie profesurę, której nigdy by nie uzyskał, gdybyś tak pracowicie nie poprawiała jego dzieł. Chociaż jestem pewien, że uniwersytet wolałby raczej zatrudnić niejakiego P.F., autora opublikowanej ostatnio rozprawy o oposach.

- Być może nie zauważyłeś - powiedziała z czułością - ale pewien osioł jest teraz w tym właśnie pokoju i już nie mówi po angielsku. Można by wręcz pomyśleć, że... że nie słyszał wszystkiego, co mówiłam mu ostatniej nocy.

- Wydaje mi się, że księżna Fletcher właśnie nazwała swojego męża osłem - zauważył. - Wiedziałem, że wdałaś się w swoją matkę! - I błyskawicznie uchylił się przed pacnięciem.

- To, co mówiłam ostatniej nocy... - Poczują, że lekko się czerwieni, mimo iż od tylu lat byli małżeństwem. - Ostatniej nocy, po...

- Po kolacji? - Jego oczy śmiały się do niej.

Nawet po tak wielu latach spędzonych razem Poppy niezbyt sobie radziła z mówieniem o niektórych rzeczach głośno, choć bez trudu przychodziło jej robienie ich, gdy byli sami. Dlatego po prostu przyciągnęła jego głowę i pocałowała go z całą radością osoby, która prawdziwie kocha i jest kochana.

Z radością matki, która wie, że jej dzieci czują się kochane i nie obawiają się nieprzyjemnych słów ani uderzenia.

Z radością kogoś, kto chce przekazać pewien sekret.

Ale po chwili przypomniała sobie, że jej sekret miał być świątecznym prezentem, szepnęła więc tylko:

- Wesółych świąt, Johnie.

Fletch nie wyczuł pod dłonią wdzięcznej krzywizny.

- Dziecko? - zapytał z niedowierzaniem. - Dziecko?

Skinęła głową, czując, że łzy napływają jej do oczu.

- Kolejne.

A wtedy Fletch chwycił ją w objęcia i zawirowali w tańcu. Poppy trzymała na rękach Alexandra, a Clementine kręciła się między nimi. Wszyscy śmiali się i wykrzykiwali:

- Dziecko! Dziecko!

I miało to wiele sensu. W końcu świętowali dzień narodzin.

Podziękowania

Z głębi serca dziękuję mojej błyskotliwej redaktorce, Carrie Feron, świetnie zorganizowanej i mającej wspaniałą wyobraźnię asystentce, Kim Castillo, oraz Franzece Drouin, asystentce o olbrzymiej wiedzy, zajmującej się wyszukiwaniem potrzebnych mi informacji. Nie udałooby mi się napisać tej książki bez was wszystkich!

Osobę pani Patton stworzyłam zainspirowana postacią Ann Rosamond, która mogłaby być najprawdziwszą i straszliwą gregoriańską lady.